

Ścieżki mroku 2 Grzbiet Świata

R.A. Salvatore



calibre 0.7.37

R. A. Salvatore

Grzbiet Świata

(The Spine of the World)

Tłumaczenie: Piotr Kucharski

PROLOG

Niższy z mężczyzn, znany w Luskan pod wieloma imionami, lecz najczęściej jako Morik Łotr, podniósł wysoko butelkę i potrząsnął nią, była bowiem brudna, a chciał dostrzec ciemną linię zawartości na tle pomarańczowego światła zachodzącego słońca.

– Do dna – powiedział, przysuwając naczynie z powrotem, by wziąć ów ostatni łyk.

Wielki mężczyzna, siedzący obok niego na krańcu nabrzeża, pochwycił butelkę, poruszając się ze zwinnością niespotykaną u kogoś tak ogromnych rozmiarów. Morik instynktownie skoczył, by złapać flaszkę z powrotem, lecz wysoki mężczyzna podniósł umięśnione ramię, by osłonić się przed wyciągającymi się dłońmi, i wysączył zawartość butelki jednym potężnym haustem.

– Hej, Wulfgarze, ostatnio to ty zawsze kończysz – narzekał Morik, bez przekonania wymierzając Wulfgarowi kuksańca w bark.

– Zasłużyłem sobie – spierał się Wulfgar.

Morik przyglądał mu się sceptycznie przez krótką chwilę, po czym przypomniał sobie ich ostatnią rywalizację, podczas której Wulfgar istotnie zyskał prawo do ostatniego łyka z następnej butelki.

– Szczęśliwy rzut – mruknął Morik. Wiedział jednak, że było inaczej i już dawno przestał się dziwić wojowniczemu męstwu Wulfgara.

– Który znów wykonam – oznajmił Wulfgar, wstając i unosząc Aegis-fanga, swój cudowny młot bojowy. Zatoczył się uderzając młotem o otwartą dłoń, a na ogorzałej twarzy Morika wykwitł chytry uśmiech. On również wstał z trudnością, podnosząc pustą butelkę i kołysząc nią z łatwością za szyjkę.

– Teraz? – spytał łotrzyk.

– Rzuć ją dość wysoko, albo przegrasz – wyjaśnił jasnowłosy barbarzyńca, podnosząc rękę i wskazując końcem młota na otwarte morze.

– Liczę do pięciu, zanim uderzy w wodę – Morik przyjrzał się lodowato swemu barbarzyńskiemu przyjacielowi, recytując zasady hazardowej gierki, którą stworzyli wiele dni temu. Morik wygrał kilka pierwszych rywalizacji, lecz czwartego dnia Wulfgar nauczył się odpowiednio prowadzić opadającą butelkę i jego młot rozrzucał po zatoce drobne drzazgi szkła. Ostatnio Morik miał szansę wygrać tylko wtedy, gdy Wulfgar wypił zbyt wiele z butelki.

– Nie uderzy – mruknął Wulfgar, kiedy Morik odchylił się do rzutu.

Niski mężczyzna zatrzymał się i znów przyjrzał wyższemu z pewną dozą pogardy. Ręka poruszyła się w tył i w przód. Nagle Morik poruszył się gwałtownie, jakby zamierzał rzucić.

– Co? – Zdumiony Wulfgar uświadomił sobie, że Morik nie posłał butelki w powietrze. W chwili gdy skierował wzrok na Morika, niski mężczyzna zatoczył pełen obrót i cisnął butelkę wysoko i daleko.

Prosto w kierunku opadającego słońca.

Wulfgar nie śledził jej lotu od początku, tak więc mógł jedynie zmrużyć oczy w obliczu blasku, lecz w końcu ją dostrzegł. Wydawszy z siebie ryk, cisnął swym potężnym młotem bojowym, a magiczna i cudownie wykonana broń zaczęła wirować nisko nad zatoką.

Morik pisnął w zachwycie, sądząc że przechytrzył wielkiego mężczyznę, bowiem w chwili, gdy Wulfgar rzucił, butelka była już nisko na niebie i pełne dwadzieścia kroków od nadbrzeża. Nikt nie potrafiłby cisnąć młotem bojowym tak daleko i tak szybko, by w nią trafić, jak sądził Morik, zwłaszcza nie ktoś, kto właśnie wypił ponad połowę zawartości celu!

Butelka niemal stykała się z falą, gdy Aegis-fang doścignął ją, rozbijając na tysiąc drobnych cząstek.

– Dotknęła wody! – wrzasnął Morik.

– Wygrałem – powiedział stanowczo Wulfgar, tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Morik mógł jedynie zamruczeć w odpowiedzi, wiedział bowiem, że wielki mężczyzna ma rację. Młot trafił butelkę na czas.

– To chyba szkoda, dobry młot na ledwie butelkę – dobiegł zza nich głos. Odwrócili się, by ujrzeć dwóch mężczyzn, z wyciągniętymi mieczami, stojących zaledwie kilka kroków dalej.

– A teraz, mistrzu Moriku Łotrze – stwierdził jeden z nich, wysoki i szczupły osobnik z chustką zawiązaną na głowie, opaską na oku i zardzewiałą, wygiętą klingą wymachującą w powietrzu przed nim – wiem, że nieźle złupiłeś przed tygodniem sprzedawcę klejnotów i sądzę, że byłoby mądrze podzielić się tym łupem ze mną i moim druhem.

Morik zerknął na Wulfgara, a jego paskudny uśmiezek i błysk w ciemnych oczach powiedziały barbarzyńcy, że nie zamierzał się niczym dzielić, poza może ostrzem swego świętego sztyletu.

– A gdybyście wciąż mieli młot, moglibyśmy się spierać w tej kwestii – zaśmiał się drugi zbir, równie wysoki jak jego przyjaciel, lecz dużo szerszy i dalece brudniejszy. Wysunął swój miecz w kierunku Wulfgara. Barbarzyńca zatoczył się do tyłu, niemal spadając z przystani – a przynajmniej

udając.

– Sądzę, że mogliście znaleźć kupca przede mną – Morik odparł spokojnie. – Zakładając, że był w ogóle jakiś kupiec, ponieważ zapewniam was, że nie mam pojęcia, o czym mówicie.

Szczupły zbir warknął i wysunął swój miecz przed siebie.

– Teraz, Moriku! – zaczął wrzeszczeć, lecz zanim te słowa opuściły w ogóle jego usta, Morik wyskoczył do przodu, wpadając w zasięg zakrzywionej klingi, obracając się, ustawiając tyłem do przedramienia mężczyzny i wykonując pchnięcie. Zanurkował pod rękę zaskoczonego przeciwnika, unosząc ją wysoko swą prawą dłoń, podczas gdy lewa w ostatnim świetle dnia błysnęła srebrną iskrą, kiedy sztylet Morika wbijał się w pachę zaskoczonego zbira.

W międzyczasie drugi osiłek, sądząc że ma przed sobą łatwy, nieuzbrojony cel, rzucił się w jego stronę. Jego nabiegłe krwią oczy powiększyły się, gdy Wulfgar wyciągnął zza biodra prawą dłoń, ukazując, że potężny młot bojowy powrócił przy pomocy magii do jego pięści. Zbir zatrzymał się gwałtownie i zerknął w panice na swego towarzysza. Do tej jednak pory świeżo rozbrojony przez Morika mężczyzna odwrócił się i rzucił do ucieczki, Morik zaś biegł tuż za nim, szydząc z niego i śmiejąc się histerycznie, gdy raz za razem kłuł osiłka w pośladki.

– Hej! – krzyknął ten, który pozostał, starając się odwrócić.

– Potrafię trafić w spadającą butelkę – przypomniał mu Wulfgar. Mężczyzna zatrzymał się nagle i obrócił powoli ku wielkiemu barbarzyńcy.

– Nie chcemy kłopotów – wyjaśnił zbir, powoli kładąc swój miecz na deskach przystani. – Żadnych kłopotów, dobry panie – rzekł, skłaniając się kilkakrotnie.

Wulfgar opuścił Aegis-fanga na deski, a osiłek przestał się kłaniać, wpatrując się bacznie w broń.

– Podnieś swój miecz, jeśli chcesz – zaproponował barbarzyńca.

Zbir popatrzył na niego z niedowierzaniem. Następnie, widząc barbarzyńcę bez broni – poza oczywiście tymi niesamowitymi pięściami – mężczyzna podniósł miecz.

Wulfgar dopadł go przed pierwszym zamachem. Potężny wojownik wyrzucił przed siebie dłoń, by chwycić mężczyznę za nadgarstek ręki z mieczem. Nagłym i gwałtownym szarpnięciem Wulfgar wyprostował ową rękę do góry, po czym uderzył osiłka w pierś oszalamiającym prawym prostym, pozbawiając go tchu i sił. Miecz upadł na przystań.

Wulfgar znów szarpnął za rękę, unosząc mężczyznę w powietrze i wrywając mu ramię ze stawu. Barbarzyńca puścił, pozwalając zbirowi upaść ciężko na nogi, po czym ugodził go paskudnym lewym sierpowym w szczękę. Jediną rzeczą, która powstrzymała osiłka przed spadnięciem z przystani była

prawa dłoń Wulfgara, łapiąca go za przód koszuli. Z oszałamiającą siłą Wulfgar podniósł mężczyznę z desek, trzymając go trzydzieści centymetrów nad mołem.

Zbir próbował chwycić Wulfgara i przerwać chwyt, lecz został potrząśnięty tak gwałtownie, że niemal odgryzł sobie język, a każda jego kończyna wydawała się być zrobiona z gumy.

– Ten tutaj nie ma za dużej sakiewki – zawołał Morik. Wulfgar spojrzał za swą ofiarę i ujrzał, że jego towarzysz prześcignął uciekającego zbira, zaganiając go z powrotem na koniec mola. Osilek paskudnie kulał i błagał o litość, co sprawiło jedynie, że Morik znów dźgnął go w pośladki, wywołując kolejne skamlenia.

– Proszę, przyjacielu – wyjąkał mężczyzna trzymany przez Wulfgara w górze.

– Zamknij się! – ryknął barbarzyńca, gwałtownie opuszczając rękę w dół, pochylając głowę i wykonując szarpnięcie potężnymi mięśniami karku, tak że jego czoło zderzyło się silnie z twarzą zbira.

W barbarzyńcy zagotował się pierwotny szał, gniew wykraczający poza ten incydent, poza próbę rabunku. Nie stał już na przystani w Luskan. Znajdował się z powrotem w Otchłani, w siedzibie Errtu, jako dręczony więzień niegodziwego demona. Teraz ów mężczyzna był jednym z jego sług, szczypcorękim glabrezu, albo gorzej, kuszącym sukkubem. Wulfgar znalazł się tam z powrotem, widząc szary dym, wyczuwając paskudny smród, czując ukąszenia biczów i płomieni, szczypce na swym karku, chłodny pocałunek demonicy.

Tak wyraźnie to do niego przyszło! Tak jaskrawo! Koszmar powrócił, trzymając go w garści najczystsze go szału, zduszając jego litość czy współczucie, wrzucając go w jamy udręki, emocjonalnych i fizycznych tortur. Czuł swędzenie i parzenie tych małych stonóg, których używał Errtu, zagrzebujących się pod jego skórę i pełzających w jego wnętrzu, rozpalających tam tysiące ogni swymi jadowitymi szczypcami. Były na nim i w nim, wszędzie, a ich małe nóżki drażniły i pobudzały jego nerwy tak, że w dwójnasób odczuwał ogromny ból wywoływany przez ich palący jad.

Istotnie, znów był dręczony, lecz nagle i nieoczekiwanie Wulfgar odkrył, że nie jest już bezradny.

Zbir wzniósł się w powietrze. Wulfgar bez wysiłku uniósł go nad głowę, choć mężczyzna ważył dobrze ponad sto kilo. Wydając z siebie pierwotny ryk, wrzask wydostający się ze ściśniętego gardła, barbarzyńca zakreślił nim w kierunku morza.

– Nie umiem pływać! – wrzasnął mężczyzna. Wymachując żałośnie rękoma i nogami uderzył z pluskiem w wodę całe pięć metrów od mola i szamotał się, krzycząc o pomoc. Wulfgar odwrócił się. Nawet jeśli w ogóle go słyszał, nie okazał tego po sobie.

Morik przyjrzał się barbarzyńcy z pewnym zaskoczeniem.

– On nie umie pływać – stwierdził, gdy Wulfgar się zbliżył.

– Ma więc okazję się nauczyć – mruknął chłodno barbarzyńca, którego myśli wciąż wirowały w zadymionych korytarzach rozległego lochu Errtu. Mówiąc otrzepywał się po rękach i nogach, zrzucając wyobrażone stonogi.

Morik wzruszył ramionami. Spojrzał na mężczyznę, który szamotał się i płakał na deskach u jego stóp.

– Umiesz pływać?

Zbir zerknął bojaźliwie na niskiego łotrzyka i lekko, z nadzieją skinął głową.

– To idź do swojego przyjaciela – polecił Morik. Mężczyzna zaczął się powoli odczołgiwać.

– Obawiam się, że jego przyjaciel będzie martwy, zanim do niego dotrze – Morik stwierdził do Wulfgara. Barbarzyńca wydawał się go nie słyszeć.

– Och, pomóż temu łajdakowi – westchnął Morik, chwytając Wulfgara za rękę i zmuszając jego błądzący wzrok, by się skupił. – Dla mnie. Nie chciałbym rozpocząć nocy ze śmiercią na rękach.

Wulfgar westchnąwszy, wyciągnął swe potężne dłonie. Zbir na kolanach stwierdził nagle, że jest podnoszony z desek, jedna ręka trzyma go za tył bryczesów, a druga zaciska się wokół jego kołnierza. Wulfgar wykonał trzy kroki rozbiegu i cisnął mężczyznę, daleko i wysoko. Lecący zbir doścignął swego miotającego się kompana, z donośnym chlupotem lądując na płask w jego pobliżu.

Wulfgar nie widział jego lądowania. Straciwszy wszelkie zainteresowanie tą sceną, odwrócił się i przywoławszy mentalnie Aegis-fanga do ręki przemknął obok Morika, który pochylił z szacunkiem głowę przed swym niebezpiecznym i potężnym przyjacielem.

Morik dogonił Wulfgara, gdy barbarzyńca opuszczał przystań.

– Oni wciąż szamoczą się w wodzie – stwierdził łotrzyk. – Grubas głupio trzyma się swego kumpla, wciągając ich obu pod wodę. Obaj mogą utonąć.

Wulfgar nie wydawał się tym przejmować i Morik wiedział, że było to szczerym odbiciem jego serca. Łotrzyk jeszcze raz zerknął przez ramię na przystań, po czym jedynie wzruszył ramionami. W końcu te zbiry same się o to prosiły.

Z Wulfgarem, synem Beornegara, nie można było igrać.

Tak więc Morik również usunął ich ze swych myśli – prawdę mówiąc, to nawet przez chwilę naprawdę się nie przejmował – i zamiast tego skupił się na swym towarzyszu. Swym zdumiewającym towarzyszu, który nauczył się walczyć pod kierunkiem elfa drowa!

Morik skrzywił się, choć Wulfgar miał oczywiście zbyt rozproszoną uwagę, by to dostrzec. Łotrzyk pomyślał o innym drowie, o gościu, który nie tak dawno temu przybył nieoczekiwanie do niego, prosząc by obserwował bacznie Wulfgara i płacąc mu z góry za jego usługi (oraz niezbyt subtelnie wyjaśniając, że gdyby Morikowi nie powiodło się w „zamówionym” zadaniu, pan mrocznego elfa nie będzie zadowolony). Od tego czasu mroczne elfy nie skontaktowały się z Morikiem ani razu, ku jego uldze, lecz wciąż dotrzymywał swej strony umowy, by mieć oko na Wulfgara.

Nie, nie było tak, musiał przyznać łotrzyk, przynajmniej przed sobą. Zaczął znajomość z Wulfgarem dla czysto osobistych zysków, częściowo z obawy przed drowami, częściowo z obawy przed Wulfgarem i chęci dowiedzenia się więcej o tym mężczyźnie, który tak wyraźnie stał się jego rywalem na ulicach. Tak było na początku. Nie obawiał się już Wulfgara, choć czasami obawiał się o głęboko dręczonego, nękanego mężczyznę. Morik ledwo poświęcał jakąś myśl drowom, które nie pojawiały się od całych tygodni. Co dziwne, Morik zaczął lubić Wulfgara, zaczął cieszyć się jego towarzystwem, pomimo licznych chwil, gdy nad zachowaniem barbarzyńcy dominowała opryskliwość.

Niemal powiedział Wulfgarowi o ówczesnej wizycie drowów, z jakiegoś pierwotnego pragnienia, by ostrzec mężczyznę, który stał mu się przyjacielem. Niemal... lecz praktyczna strona Morika, ostrożny pragmatyzm, który pozwolił mu pozostać przy życiu w tak nieprzyjnym środowisku jak ulice Luskan, przypominała mu, że nie byłoby to dobre. Gdyby mroczne elfy przyszły po Wulfgara, nieważne czy by się ich spodziewał czy nie, barbarzyńca byłby pokonany. W końcu były to drowy, dzierzące potężną magię i najdoskonalsze z kling, elfy które potrafiły wejść bez zaproszenia do sypialni Morika i wyrwać go ze snu. Nawet Wulfgar musiał spać. Gdyby te mroczne elfy, po tym gdy skończyłyby już z biednym Wulfgarem, dowiedziały się kiedykolwiek, że Morik je zdradził...

Morika poczuł, jak po grzbiecie przebiegł mu dreszcz, stanowczo więc odrzucił od siebie te niepokojące myśli, kierując swą uwagę z powrotem na wielkiego przyjaciela. Co dziwne, Morik widział w nim przyjazną duszę, mężczyznę który mógłby być (i istotnie niegdyś był) szlachetnym i potężnym wojownikiem, przywódcą swego ludu, lecz który, z tego czy innego powodu, utracił łaskę.

W taki oto sposób Morik postrzegał swą własną sytuację, choć tak naprawdę na drodze do swej obecnej pozycji znajdował się już od wczesnego dzieciństwa. Mimo to, gdyby jego matka nie umarła w połogu, gdyby jego ojciec nie porzucił go na ulicy...

Spoglądając teraz na Wulfgara, Morik nie potrafił opędzić się od myślenia o człowieku, jakim sam mógłby się stać, jakim był niegdyś Wulfgar. Okoliczności przekłęły ich obydwu, jak sądził Morik, tak więc nie miał żadnych złudzeń, co do ich aktualnej sytuacji. Prawda o jego więzi z Wulfgarem – prawdziwy powód, dla którego pozostawał tak blisko niego – pomimo wszelkich swych przeczuć (w końcu barbarzyńca był obserwowany przez mroczne elfy!) była taka, że postrzegał wielkiego mężczyznę tak, jak mógłby postrzegać młodszego brata. To, oraz fakt że przyjaźń Wulfgara dała mu większy respekt wśród motłochu. Dla Morika zawsze musiał istnieć jakiś praktyczny powód.

Dzień zbliżał się ku końcowi, noc ku początkowi. Nadchodził czas Morika i Wulfgara, czas ulicznego życia w Luskan.

TERAŹNIEJSZOŚĆ

W mojej ojczyźnie Menzoberranzan, gdzie demony się zabawiają, a drowy pławią w straszliwych zgonach rywali, utrzymuje się stan koniecznej czujności i ostrożności. Nie mający się na bacności drow jest w Menzoberranzan zabijany, tak więc rzadko się zdarza, by mroczne elfy raczyły się egzotycznymi ziołami czy napitkami, które przytępiają zmysły.

Rzadko, lecz są wyjątki. Podczas końcowej ceremonii w Melee-Magthere, szkole wojowników do której uczęszczałem, absolwenci angażują się w orgię zaćmiewających umysł ziół i zmysłowych przyjemności wraz z kobietami z Arach-Tinilith, w chwili najczystszej hedonizmu, zabawie najczystszych przyjemności, nie zważając na przyszłe implikacje.

Odrzuciłem tę orgię, choć wtedy nie wiedziałem dlaczego. Naruszyła moje poczucie moralności, jak sądziłem (i wciąż sądzę) oraz zmieniła tak wiele rzeczy, które uważałem za cenne. Teraz, spoglądając w przeszłość, uświadomiłem sobie inną prawdę, prawdę, która wymusiła odrzucenie tej orgii. Poza implikacjami moralnymi, a było ich wiele, sama myśl o zaćmiewających umysł ziołach przeraziła mnie i odrzuciła. Wiedziałem o tym oczywiście przez cały czas – zaraz gdy poczułem upojenie na owej ceremonii, instynktownie się przeciw niemu zbuntowałem – lecz dopiero niedawno doszedłem do zrozumienia prawdy względem owego odrzucenia, prawdziwego powodu, dla którego na takie wpływy nie ma miejsca w moim życiu.

Zioła te oczywiście atakują ciało w różny sposób, od spowalniania refleksu do całkowitego niszczenia koordynacji, lecz ważniejsze jest, iż na dwa sposoby atakują duszę. Po pierwsze, okrywają mgłą przeszłość, wymazując wspomnienia przyjemne oraz nieprzyjemne, a po drugie, eliminują wszelkie myśli o przyszłości. Środki odurzające zamykają swego użytkownika w terażniejszości, tu i teraz, nie zważając na przyszłość, nie zastanawiając się nad przeszłością. Na tym polega pułapka, ograniczenie perspektywy pozwalające na próbę beztroskiego nasycenia się rozwiązłymi fizycznymi przyjemnościami. Odurzona osoba odważy się nawet na ryzykowne czyny, ponieważ jej wewnętrzna ostrożność może być aż tak wypaczona, nawet do punktu utraty instynktu przetrwania. Jak wielu młodych wojowników rzuca się głupio na silniejszych przeciwników, tylko po to, by zostać zabitymi? Jak wiele młodych kobiet łąduje z dziećmi, poczętymi z mężczyznami, o których nigdy nie myślałyby jako o przyszłych małżonkach?

Na tym polega pułapka, ograniczenie perspektywy, którego nie mogę tolerować. Idę przez życie z nadzieją, wieczną nadzieją, że przyszłość będzie lepsza niż terażniejszość, lecz tylko wtedy, gdy będę działać, by ją taką uczynić. Tak więc wraz z owym znojem przychodzi satysfakcja z życia, poczucie spełnienia, którego wszyscy tak naprawdę potrzebujemy dla prawdziwej radości. Jakże

mógłbym pozostać szczery wobec tej nadziei, gdybym pozwolił sobie na chwilę słabości, która mogłaby równie dobrze zniszczyć wszystko, co osiągnąłem i co mam nadzieję osiągnąć? Jakże byłbym w stanie zareagować na tak wiele nieoczekiwanych sytuacji gdybym, w chwili ich występowania, był pod wpływem substancji oddziałującej na umysł, takiej która ograniczałaby mój osąd lub zmieniała perspektywę?

Nie można także lekceważyć niebezpieczeństw, do których mogą doprowadzić takie substancje. Gdybym pozwolił sobie dać się ponieść nastrojowi ceremonii ukończenia Melee-Magthere, gdybym pozwolił sobie na zmysłowe przyjemności oferowane przez kapłanki, jakże uboższe mogłoby być każde szczere miłosne spotkanie?

Wielce, według mnie. Zmysłowe przyjemności są, albo powinny być, kulminacją fizycznych pragnień połączonych z intelektualną i emocjonalną decyzją, oddaniem się, zarówno dala jak i duszy, w więzi zaufania oraz szacunku. W sytuacji takiej, jak owa ceremonia zakończenia, żadna taka więź nie miałaby miejsca, byłoby to jedynie oddanie ciała, a co więcej, wzięcie tego, co oferuje ktoś inny. Nie byłoby połączenia na wyższym stopniu, nie byłoby duchowego doświadczenia, a w związku z tym i prawdziwej radości.

Nie potrafię żyć w takim beznadziejnym pławieniu się, bowiem tym to właśnie jest: żalonym pławieniem się na niskich, podstawowych poziomach egzystencji, wywołanym, jak sądzę, brakiem nadziei na wyższy poziom.

Odrzucam więc wszystkie poza najbardziej umiarkowanymi zastosowaniami takich środków odurzających i choć otwarcie nie osądzam tych, którzy się nimi raczą, żałuję ich pustych dusz.

Co doprowadza osoby do takich głębin? Ból, jak sądzę, oraz wspomnienia zbyt nędzne, by można było otwarcie stawić im czoła i je pokonać. Owszem, środki odurzające mogą przy tępić ból przeszłości kloszem przyszłości. Nie jest to jednak korzystna wymiana.

Mając to w myślach, obawiam się o Wulfgara, swego utraconego przyjaciela. Gdzie znajdzie ucieczkę od udręk swej niewoli?

Drizzt Do'Urden

ROZDZIAŁ 1

DO PORTU

Jak ja nienawidzę tego miejsca – zauważył Robillard, czarodziej w powłóczyściej szacie. Mówił do kapitana Deudermonta z Duszka Morskiego, gdy trójmasztowy szkuner okrążył długi pirs i ukazała się przed nim przystań północnego portu Luskan.

Deudermont, wysoki i majestatyczny mężczyzna, o manierach lorda i spokojnej, zamyślanej postawie, jedynie skinął głową słysząc oświadczenie czarodzieja. Już to wszystko słyszał, i to wielokrotnie. Spojrzał na dalekie kontury miasta i dostrzegł wyróżniający się budynek Gościnnej Wieży Wtajemniczonych, osławionej gildii czarodziejów z Luskan. Właśnie to, jak wiedział Deudermont, było źródłem pogardliwego nastawienia Robillarda do tego portu, choć czarodziej był dość oszczędny w swych wyjaśnieniach, wykonał zaledwie kilka niedbałych uwag o „idiotach” zarządzających Gościnną Wieżą i ich braku umiejętności w odróżnianiu prawdziwego czarodziejskiego mistrza od przebiegłego oszusta. Deudermont podejrzewał, iż Robillardowi odmówiono niegdyś przyjęcia do gildii.

– Dlaczego Luskan? – Narzekał okrętowy czarodziej. – Czy Waterdeep nie pasowałoby lepiej do naszych potrzeb? Żadna przystań wzdłuż całego Wybrzeża Mieczy nie może się równać ze stoczniami remontowymi Waterdeep.

– Luskan było bliżej – przypomniał mu Deudermont.

– Zaledwie kilka dni różnicy – odparł Robillard.

– Gdybyśmy w ciągu tych kilku dni trafili na sztorm, uszkodzony kadłub mógłby się rozpaść, a ciała nas wszystkich stałyby się pokarmem dla krabów i ryb – powiedział kapitan. – Byłoby to zbyt głupim hazardem w porównaniu z czyjąś dumą.

Robillard zaczął odpowiadać, lecz pojął znaczenie ostatniej uwagi kapitana, zanim zdążył jeszcze bardziej się zawstydzić. Zmarszczył brwi.

– Piraci by nas dopadli, gdybym nie wymierzył idealnie wybuchu – czarodziej wymruczał po paru chwilach potrzebnych mu, by się uspokoić.

Deudermont przyznał mu rację. Istotnie, robota Robillarda w ostatnim polowaniu na piratów była zdecydowanie spektakularna. Kilka lat wcześniej Duszek Morski – nowy, większy, szybszy i silniejszy – został przez lordów Waterdeep ustanowiony jako łowca piratów. Żadnemu żaglowcowi nie udawało się tak dobrze to zadanie, tak dobrze, że gdy czujka wypatrzył parę statków pirackich

płynących po północnych wodach od Wybrzeża Mieczy, tak blisko Luskan, gdzie Duszek Morski się często błakał, Deudermont ledwo mógł w to uwierzyć. Sama reputacja szkunera sprawiała, że od wielu miesięcy wody te były czyste.

Ci piraci przyплыnęli tu dla zemsty, nie dla łatwej kupieckiej zdobyczy, i byli dobrze przygotowani do walki, bowiem każdy z nich był uzbrojony w małą katapultę, spory oddział tuczników oraz parę czarodziejów. Nawet mimo tego zostali wymanewrowani przez zdolnego Deudermonta oraz jego doświadczoną załogę, a także wyprowadzeni w pole dzięki magii potężnego Robillarda, który już od ponad dekady używał swych niemałych mocy w walce morskiej. Jedną z iluzji Robillarda dała wrażenie, że Duszek Morski był wrakiem, z głównym masztem leżącym na pokładzie i tuzinami trupów u burt. Jak wygłodniałe wilki, piraci wykonywali koła, bliżej i bliżej, dopóki nie podплыnęli, jeden od lewej burty, drugi od sterburty, aby dobić ranny okręt.

Tak naprawdę Duszek Morski wcale nie był mocno uszkodzony, a Robillard skontrolował ofensywną magię wrogich czarodziejów. Małe katapulty piratów niewiele mogły zdziałać przeciw opancerzonym burtom dumnego szkunera.

Łucznicy Deudermonta, o wspaniałych umiejętnościach, ostrzelali silnie zbliżające się żaglowce, a szkuner precyzyjnie i skutecznie przeszedł z żagli bitewnych na pełne i jego dziób praktycznie wzniósł się ponad wodę, gdy wymykał się pomiędzy zaskoczonych piratów.

Robillard opuścił na pirackie okręty całun ciszy, nie pozwalając im czarodziejom rzucać żadnych defensywnych czarów, po czym cisnął trzy kule ogniste – Bum! Bum! Bum! – jedna za drugą, po jednej na każdy ze statków i trzecią pomiędzy. Później nastąpiła konwencjonalna salwa ze strony balisty i katapulty. Działowi Duszka Morskiego posyłali kawałki łańcuchów, aby jeszcze bardziej zniszczyć żagle, oraz kule smoły, by podsycić płomienie.

Pozbawione masztów, beładnie dryfujące, całkowicie ogarnięte ogniem statki pirackie szybko zatoneły. Pożoga była tak wielka, że Deudermont i jego załoga zdołali wyciągnąć jedynie kilku rozbitków z chłodnych wód oceanu.

Duszek Morski nie wymknął się jednak bez szwanku. Znajdował się teraz pod zaledwie jednym pełnym żaglem. Jeszcze bardziej niebezpieczna była spora szczelina tuż nad linią wody. Deudermont musiał utrzymywać niemal jedną trzecią załogi przy wybieraniu wody, dlatego więc skierował się ku najbliższemu portowi – do Luskan.

Deudermont uważał to za naprawdę dobry wybór. Wolał Luskan od znacznie większego portu Waterdeep, ponieważ choć finansowany był z południowego miasta i mógł liczyć na obiad w domu każdego lorda miasta, Luskan było gościnniejsze dla zwyczajnych członków załogi, mężczyzn bez pozycji, manier i pretensji, by jadać u stołu szlachty. Luskan, podobnie jak Waterdeep, miał określone klasy, lecz dolne szczeble drabiny społecznej Luskan wciąż znajdowały się ponad dolnymi Waterdeep. Powitalne okrzyki dobiegły ich z każdego nabrzeża, gdy zbliżali się do miasta, ponieważ Duszek Morski był tu dobrze znany i szanowany. Uczciwi rybacy i kupieccy marynarze z Luskan, z całego północnego odcinka Wybrzeża Mieczy, już dawno docenili pracę kapitana Deudermonta i

jego szybkiego szkunera.

– Dobry wybór, rzekłbym – zauważył kapitan.

– Lepsze jedzenie, lepsze kobiety i lepsza rozrywka są w Waterdeep – odparł Robillard.

– Ale nie lepsi czarodzieje – nie mógł się powstrzymać Deudermont. – Z pewnością Gościnną Wieża należy do najbardziej szanowanych gildii magów w całych Krainach.

Robillard jęknął i wymruczał pod nosem kilka przekleństw, znacząco odchodząc.

Deudermont nie odwrócił się, by śledzić jego kroki, lecz nie uszły jego uwadze ciężkie wymowne stąpnięcia twardych podeszew butów czarodzieja.

* * *

– No, tylko tak szybciutko – kobieta zagruchała, bawiąc się jedną dłonią brudnymi blond włosami i wydymając wargi. – Szybki numerek, żebym się tak nie denerwowała przed całą nocą przy stolikach.

Wielki barbarzyńca przejechał językiem po zębach, ponieważ jego usta wydawały się zrobione z materiału, i to na dodatek brudnego. Po nocnej pracy w tawernie Cutlass, wrócił do doków na ostre picie z Morikiem. Jak zwykle, zostali tam aż do świtu, a następnie Wulfgar dotoczył się do Cutlassa, swego domu i miejsca zatrudnienia, prosto do łóżka.

Jednak ta kobieta, Delly Curtie, barmanka w tawernie i kochanka Wulfgara od ostatnich kilku miesięcy, przyszła go szukać. Kiedyś postrzegał ją jako przyjemną odmianę, lukier na alkoholowym cieście, a nawet jako czułą przyjaciółkę. Delly troszczyła się o Wulfgara podczas jego pierwszych trudnych dni w Luskan. Zajmowała się jego potrzebami, emocjonalnymi i fizycznymi, bez pytania, bez osądzania, bez proszenia o cokolwiek w zamian. Ostatnio ich związek zaczął się jednak zmieniać, i to niezbyt subtelnie. Teraz, gdy osiadł wygodniej w nowym życiu, życiu niemal w pełni poświęconym walce z bólem zapamiętanym z lat spędzonych u Errtu, Wulfgar zaczął widzieć inny obraz Delly Curtie.

Pod względem emocjonalnym wciąż była dzieckiem, wymagającą uwagi małą dziewczynką. Wulfgar, który dawno już skończył dwudziestkę, był od niej kilka lat starszy. Teraz, nagle, stał się w związku dorosłym, a potrzeby Delly zaczęły przysłańać jego własne.

– Och, ale masz dla mnie dziesięć minutek, mój Wulfgarze – powiedziała, podchodząc bliżej i głaszcząc go dłonią po policzku.

Wulfgar chwycił ją za nadgarstek i delikatnie, acz stanowczo odsunął jej rękę.

– Długa noc – odparł. – I miałem nadzieję na więcej odpoczynku, zanim zacznę swe obowiązki u Arumna.

– Ale ja mam chętkę...

– Więcej odpoczynku – powtórzył Wulfgar, wyraźnie akcentując słowa.

Delly odsunęła się od niego, a jej uwodzicielsko wydęte wargi stały się nagle zimne i obojętne.

– Niech ci tak będzie – rzekła szorstko. – Myślisz, że tylko ty chcesz ze mną dzielić swoje łóżko?

Wulfgar nie usprawiedliwił jej tyrady odpowiedzią. Mógł jedynie powiedzieć, że naprawdę go to nie obchodziło, że to wszystko – jego picie, jego walki – było kwestią ukrywania się i niczym więcej. Tak naprawdę Wulfgar lubił i szanował Delly, uważał ją za przyjaciółkę – czy też raczej uważałby, gdyby szczerze wierzył, iż sam może być przyjacielem. Nie chciał jej ranić.

Delly stała w pokoju Wulfgara, drżąc z niepewności. Nagle, czując się bardzo naga w kusej koszuli, skrzyżowała przed sobą ręce i wybiegła na korytarz, do swojego pokoju, trzaskając mocno drzwiami.

Wulfgar zamknął oczy i potrząsnął głową. Zachichotał bezradnie, ze smutkiem, gdy usłyszał jak drzwi Delly znów się otwierają, a następnie w korytarzu odezwały się biegnące kroki, kierujące się do zewnętrznych drzwi. Te również trzasnęły i Wulfgar zrozumiał, że całe to przedstawienie było przeznaczone dla niego – Delly chciała, by usłyszał, że rzeczywiście zamierzała znaleźć pociechę w ramionach kogoś innego.

Była skomplikowana, barbarzyńca to rozumiał, miała w sobie wręcz więcej emocjonalnego zamętu niż on, jeśli to w ogóle możliwe. Zastanawiał się, jak udało im się zabrnąć aż tak daleko. Ich związek był tak prosty na początku, tak bezpośredni: dwoje ludzi potrzebujących siebie nawzajem. Ostatnio jednak stał się bardziej złożony, potrzeby przemieniły się w podpory emocjonalne. Delly potrzebowała Wulfgara, by się nią opiekował, by ją chronił, mówił jej, że jest piękna, lecz Wulfgar wiedział, że nie potrafiłby zadbać nawet o siebie samego, nie mówiąc już o kimś innym. Delly potrzebowała Wulfgara, by ją kochał, lecz barbarzyńca nie miał miłości, którą mógłby jej dać. Dla Wulfgara były tam jedynie ból i nienawiść, jedynie wspomnienia demona Errtu i więzienia w Otchłani, gdzie był torturowany przez sześć długich lat.

Wulfgar westchnął i przetarł oczy, by usunąć z nich sen, po czym sięgnął po butelkę, jedynie po to, by stwierdzić, że jest pusta. Wydawszy z siebie pełne frustracji warknięcie, cisnął nią na drugą stronę pokoju, gdzie rozbiła się o ścianę. Wyobraził sobie, jedynie przez chwilę, że uderzyła w twarz Delly Curtie. Obraz ten wystraszył Wulfgara, lecz go nie zaskoczył. Mgliście zastanawiał się, czy Delly nie doprowadziła go do tego punktu celowo – być może ta kobieta nie była niewinnym dzieckiem, lecz przebiegłą łowczynią. Gdy przyszła do niego po raz pierwszy, oferując pociechę, czy

zamierzała wykorzystać jego emocjonalną słabość, by wciągnąć go w pułapkę? Skłonić go, by ją poślubił, być może? Uratować go, aby on mógł pewnego dnia uratować ją z tej nędznej egzystencji, jaką sobie wybudowała jako tawerniana dziewczka?

Wulfgar uświadomił sobie, że od zaciskania tak mocno dłoni pobielaty mu knykcie i celowo otworzył je, biorąc kilka głębokich, uspokajających oddechów. Kolejne westchnięcie, kolejne przejechanie językiem po brudnych zębach, i mężczyzna wstał, przeciągając swe wielkie, mierzące ponad dwa metry ciało. Odkrył, jak niemal każdego poranka, gdy przechodził przez ten rytuał, że dziś jeszcze bardziej bolą go mięśnie i kości. Wulfgar zerknął na swe wielkie ramiona i, choć wciąż były one grubsze i bardziej muskularne niż u niemal każdego żyjącego mężczyzny, nie mógł nie zauważyć w nich pewnej obwisłości, jak gdyby skóra zaczynała wisieć zbyt luźno na jego masywnej sylwetce.

Jakże inne było teraz jego życie od tego, które wiódł lata temu w Dolinie Lodowego Wichru, gdy pracował przez cały dzień z Bruenorem, swym przybranym krasnoludzkim ojcem, tłukąc młotem i podnosząc wielkie głazy, albo gdy udawał się na łowy czy na gigantów z Drizztem, swym wojowniczym przyjacielem, biegnąc cały dzień, walcząc cały dzień. Godziny były wtedy jeszcze bardziej napięte, bardziej wypełnione fizycznym znojem, lecz ów znoj był wyłącznie fizyczny, nie emocjonalny. W tamtym czasie i tamtym miejscu nie czuł bólu.

Ciemność w jego sercu – najdotkliwszy ból – była źródłem tego wszystkiego.

Starał się wrócić myślą do tych straconych lat, do pracy u boku Bruenora i Drizzta, albo do tego, jak spędzał dzień biegając wzdłuż smaganych wichrami stoków Kopca Kelvina, samotnej góry w Dolinie Lodowego Wichru, ścigając Catti-brie...

Sama myśl o tej kobiecie zatrzymała go gwałtownie i pozostawiła pustym, w ową pustkę w nieunikniony sposób wślizgnęły się obrazy Errtu i jego demonicznych sług. Kiedyś jeden z owych sług, straszliwy sukkub, przybrał formę Catti-brie, przybrał ją idealnie, i Errtu przekonał Wulfgara, że zdołał ją zwabić, że została pojmana, by cierpieć tę samą wieczną udrękę, co Wulfgar, z powodu Wulfgara.

Errtu wziął sukkuba, Catti-brie, tuż przed przerażone oczy Wulfgara i rozerwał kobietę, kończyła po kończyne, pozerając ją w orgii krwi.

Gwałtownie chwytnąc oddech, Wulfgar walczył, by wrócić do swych myśli o Catti-brie, o prawdziwej Catti-brie. Kochał ją. Była być może jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochał, lecz teraz uważał, że stracił ją na zawsze. Choć mógł udać się do Dekapolis w Dolinie Lodowego Wichru i ją odnaleźć, więź pomiędzy nimi została przecięta, zerwana ostrymi bliznami po Errtu i reakcją Wulfgara na owe blizny.

Długie cienie wdzierające się przez okno powiedziały mu, że dzień zbliżał się ku końcowi i że wkrótce zacznie się jego praca jako wykidajły u Arumna Gardpecka. Zmęczony mężczyzna nie okłamał jednak Delly mówiąc jej, że potrzebuje więcej odpoczynku, tak więc zwałił się z powrotem na łóżko i zapadł w głęboki sen.

Noc ogarnęła już mocno Luskan, gdy Wulfgar dotoczył się do zatłoczonej wspólnej sali w Cutlassie.

– Znów późno, jakby nas to mogło zdziwić – szczupły mężczyzna o oczach jak paciorki, nazywający się Josi Puddles, regularny klient tawerny i dobry przyjaciel Arumna Gardpecka, rzekł do barmana, gdy obydwoj zauważyli wejście Wulfgara. – On coraz mniej pracuje i wypija cię do sucha.

Arumn Gardpeck, miły, lecz stanowczy i zawsze praktyczny mężczyzna, chciał dać swą typową odpowiedź, lecz nie mógł obalić twierdzenia Josiego. Arumna bolało, gdy obserwował upadek Wulfgara. Zaprzyjaźnił się z barbarzyńcą, odkąd przed miesiącami przybył on do Luskan. Z początku Arumn interesował się nim z powodu oczywistego fizycznego męstwa Wulfgara – potężny wojownik taki jak on mógł być prawdziwym dobrodziejstwem dla interesów tawerny położonej w nieprzyjemnej dzielnicy doków w tym niespokojnym mieście. Po swej pierwszej rozmowie z barbarzyńcą Arumn zrozumiał, że jego uczucia wobec Wulfgara sięgają głębiej niż sprzyjająca okazja w interesach. Naprawdę go polubił.

Josi zawsze przypominał Arumnowi o potencjalnych pułapkach, o tym, że wcześniej czy później, potencjalni ochroniarze stawali się posiłkami dla szurów w rynsztokach.

– Myślisz, że słońce dopiero opadło do wody? – Josi spytał Wulfgara, gdy mężczyzna przemknął obok, ziewając.

Wulfgar zatrzymał się i obrócił powoli, rozważnie, by zmierzyć niskiego mężczyznę spojrzeniem.

– Minęło pół nocy – powiedział Josi, a jego ton zmienił się nagle z oskarżycielskiego na konwersacyjny – ale pilnowałem tej budy za ciebie. Myślałem, że będę też musiał zapobiec paru walkom.

Wulfgar przyjrzał się sceptycznie niskiemu mężczyźnie.

– Nie rozbiłbyś nawet cienkiej szyby ciężką pałą – stwierdził, kończąc kolejnym przeciągłym ziewnięciem.

Josi, wieczny tchórz, przyjął obelgę skinieniem głowy i wyrażającym samodezaprobata uśmiechem.

– Umówiliśmy się co do twoich godzin pracy – Arumn powiedział poważnie.

– I rozumiemy twoje prawdziwe potrzeby – Wulfgar przypominał mężczyźnie. – Zgodnie z twoimi własnymi słowami, moje prawdziwe obowiązki mają miejsce później, bo rzadko wcześniej zaczynają się większe kłopoty. Określiłeś zachód słońca jako moją zmianę, ale wyjaśniłeś, że tak naprawdę przez dłuższy czas nie będę potrzebny.

– Raczej tak – Arumn odpowiedział ze skinieniem głową, które wywołało jęk Josiego. Z niepokojem obserwował, że wielki mężczyzna – który według niego zastąpił go na miejscu najlepszego przyjaciela Arumna – jest mocno zdyscyplinowany.

– Sytuacja się zmieniła – ciągnął Arumn. – Zyskaliśmy reputację i dość wielu wrogów. Co noc wałęsasz się do późna i twoi... nasi wrogowie widzą to. Obawiam się, że pewnego razu wtoczysz się tu po zapadnięciu nocy i zobaczysz, że wszyscy leżymy trupem.

Wulfgar przybrał niedowierzającą minę i odwrócił się, machając lekceważąco ręką.

– Wulfgarze – Arumn zawołał za nim stanowczo. Barbarzyńca odwrócił się, skrzywiony.

– Ostatniej nocy zginęły trzy butelki – Arumn rzekł spokojnie, cicho, z wyraźną nutą troski w głosie.

– Obiecałeś mi tyle butelek, ile będę chciał – odpowiedział Wulfgar.

– Dla ciebie – nalegał Arumn – a nie dla twojego czającego się małego przyjaciela.

Wszyscy dookoła rozszerzyli oczy na tę uwagę, bowiem niewielu właścicieli tawern w Luskan odezwałoby się tak śmiało na temat niebezpiecznego Morika Łotra.

Wulfgar opuścił wzrok i zachichotał, potrząsając głową.

– Dobry Arumnie – zaczął – czy chciałbyś być tym, który powie Morikowi, że nie jest u ciebie mile widziany na drinka?

Arumn zmrużył oczy, a Wulfgar przez krótką chwilę odwzajemniał jego spojrzenie.

Akurat wtedy weszła do pomieszczenia Delly Curtie, z oczyma wciąż czerwonymi, pełnymi łez. Wulfgar popatrzył na nią i poczuł ukłucie winy, lecz nie przyznałby się do tego publicznie. Odwrócił się i zajął swymi obowiązkami, przechodząc by pogrozić pijakowi, który stawał się trochę zbyt hałaśliwy.

– Bawi się nią jakby grał na lutni – Josi Puddles stwierdził do Arumna.

Arumn wydał z siebie pełne frustracji westchnięcie. Polubił Wulfgara, lecz coraz bardziej obraźliwe zachowanie wielkiego mężczyzny zaczynało umniejszać ową sympatię. Delly ód paru lat była Arumnowi niczym córka. Jeśli Wulfgar bawił się nią nie zważając na jej uczucia, on i Arumn zdecydowanie dążyli do konfrontacji.

Arumn przeniósł uwagę z Delly na Wulfgara, akurat na czas, by zauważyć jak wielki mężczyzna podnosi krzykacza za szyję, niesie go do drzwi i niezbyt delikatnie wyrzuca na ulicę.

– Facet nic nie zrobił – narzekał Josi Puddles. – Będzie się tak dalej zachowywał, a wylądujesz bez gości.

Arumn jedynie westchnął.

* * *

Trzech mężczyzn w przeciwległym krańcu baru również przyglądało się ruchom wielkiego barbarzyńcy, z więcej niż przelotnym zainteresowaniem.

– Nie może być – wymruczał jeden z nich, chudy, brodaty koleś. – Świat jest za duży.

– Powiadom ci, że tak jest – odparł środkowy. – Nie było cię wtedy na pokładzie Duszka Morskiego. Nie zapomniałbych go, nie Wulfgara. Płynąłeś z nim cało drogę z Waterdeep do Memnon. Tak było, a potem nazad, i walczyliśmy sporo z piratami wtedy.

– Wygląda na dobrego, by go mieć przy sobie podczas walki z piratami – stwierdził Waillan Micanty, trzeci z grupy.

– Tyż prawda! – powiedział drugi. – Ale nie taki un dobry jak ten jego towarzysz. No wiesz, ten ciemnoskóry koleś, mały i przystojny, ale bardziej żarliwy niż ranny sahuagin, a szybszy z klingą, albo i dwoma, niż każdy kogo zech widział.

– Drizzt Do'Urden? – spytał chudy. – Ten wielki podróżował z drowem?

– Ano – rzekł drugi, ściągając teraz na siebie ich pełną uwagę. Uśmiechał się szeroko, zarówno dlatego, że był w centrum zainteresowania, jak i przypominając sobie ekscytującą podróż jaką odbył z Wulfgarem, Drizttem oraz panterzą towarzyszką drowa.

– A co z Catti-brie? – spytał Waillan, który, jak cała załoga Deudermonta, mocno zadurzył się w pięknej i zdolnej kobiecie wkrótce po tym, jak ona i Drizzt dołączyli do ich załogi kilka lat temu. Drizzt, Catti-brie i Guenhwyvar żeglowali na pokładzie Duszka Morskiego przez wiele miesięcy i jakże łatwo było zatapiać piratów mając przy sobie taką trójkę!

– Catti-brie dołączyła do nas na południe od Wrót Baldura – wyjaśnił opowiadający. – Przybyła z krasnałem, królem Bruenorem z Mithrilowej Hali, na latającym rydwaniu, który stał w płomieniach. Nigdy zech czegoś takiego nie widział. Powiadom wam, bo ten dziki krasnal przejechał tym czymś tuż obok żagla jednego z pirackich statków, z którymi walczył. Zatopił cały cholerny statek, naprawdę, i wciunął był pełen śliny i ochoty do walki, gdyśmy go wyciungli z wody!

– Ba, ale kłamiesz – zaczął protestować chudy marynarz.

– Nie, słyszałem tę historię – wtrącił Waillan Micanty. – Słyszałem od samego kapitana, oraz od Drizzta i Catti-brie.

To uciszyło chudzielca. Wszyscy po prostu siedzieli i przez dłuższą chwilę przyglądali się ruchom Wulfgara.

– Pewien jesteś, że to on? – spytał pierwszy. – To ten Wulfgar? W chwili gdy zadawał to pytanie, Wulfgar zdjął z pleców Aegis-fanga i oparł go o ścianę.

– Och, na me własne oczy, to on – odpowiedział drugi. – Nie zapomniłbych jego czy tego jego młota. On umie tym rozbić maszt, powiadom wom, i trafić nim pirata w oko, lewe lub prawe, ze stu długich kroków.

Po przeciwległej stronie pomieszczenia Wulfgar usłyszał krótką kłótnię z klientem. Sięgnął jedną potężną ręką, chwycił mężczyznę za gardło i z łatwością, wielką łatwością, podniósł go z siedzenia i wyrzucił w powietrze. Wulfgar przeszedł spokojnie przez gospodę do drzwi i cisnął pijaka na ulicę.

– Najsilniejszy człowiek, jakiego widziałem – stwierdził drugi marynarz, a jego dwaj towarzysze nie zamierzali zaprzeczyć. Wysączyli swe drinki i obserwowali jeszcze przez chwilę, zanim opuścili Cutlassa wracając do domu, gdzie ochoczo pospieszili poinformować swego kapitana, kogo właśnie widzieli.

* * *

Kapitan Deudermont przejechał w zamyśleniu palcami po starannie przystrzyżonej brodzie, starając się przetrwać opowieść, którą właśnie przytoczył mu Waillan Micanty. Starał się bardzo, ponieważ nie miało to dla niego sensu. Gdy Drizzt i Catti-brie podróżowali z nim podczas tych wspaniałych lat ścigania piratów wzdłuż Wybrzeża Mieczy, opowiedzieli mu smutną historię o śmierci Wulfgara. Opowieść do głębi poruszyła Deudermonta, który zaprzyjaźnił się z wielkim barbarzyńcą podczas tamtej podróży do Memnon przed laty.

Wulfgar był martwy, tak twierdzili Drizzt i Catti-brie, i tak wierzył Deudermont. Mimo to jeden z zaufanych członków załogi twierdził, że barbarzyńca był jak najbardziej żywy i miał się dobrze oraz pracował w Cutlassie, tawernie do której Deudermont uczęszczał.

Obraz ten poprowadził Deudermonta z powrotem do jego pierwszego spotkania z barbarzyńcą oraz Drizztem w tawernie Ramiona Syreny w Waterdeep. Wulfgar uniknął walki z okrytym złą

sławą zawadiaką o imieniu Bungo. Jakież wspaniałe rzeczy barbarzyńca i jego towarzysze później osiągnęli, od uratowania swego małego przyjaciela-halflinga ze szponów okrutnego paszy w Calimporcie do odzyskania Mithrilowej Hali dla klanu Battlehammer. Myśl o Wulfgarze pracującym jako wykidajło w zapuszczonej tawernie w Luskan wydawała się niedorzeczna.

Zwłaszcza jeśli, według Drizzta i Catti-brie, Wulfgar nie żył.

Deudermont pomyślał o swej ostatniej podróży z tą dwójką, gdy Duszek Morski został rzucony na samotną wysepkę daleko na morzu. Ślepa wieszczka uraczyła Drizzta zagadką o kimś, o kim myślał, że nie żyje. Ostatnim razem Deudermont widział Drizzta i Catti-brie podczas ich rozstania, na śródlądowym jeziorze, właśnie tam, gdzie Duszek Morski został nieumyślnie przetransportowany.

A więc Wulfgar mógł żyć? Kapitan Deudermont widział w życiu zbyt wiele, by od razu odrzucić tę możliwość.

Mimo to wydawało się kapitanowi prawdopodobne, że jego marynarze się pomylili. Mieli mało doświadczeń z barbarzyńcami północy, z których wszyscy wydawali się wielcy, o blond włosach i silni. Wszyscy mogli dla nich wyglądać tak samo. Cutlass wziął sobie barbarzyńskiego wojownika na wykidajkę, ale nie był to Wulfgar.

Nie myślał już o tym więcej, mając wiele obowiązków oraz spotkań, którymi musiał się zająć w ważniejszych domach i instytucjach w mieście. Jednakże trzy dni później, gdy jadł przy stole obiad z jedną z luskańskich rodzin szlacheckich, konwersacja zesłała na śmierć jednego z najbardziej znanych miejskich osiłków.

– O wiele nam lepiej bez Wyrwidęba – upierał się jeden z gości – najczystszej formy kłopotów, jaka kiedykolwiek weszła do naszego miasta.

– Tylko zbir, nic więcej – odparł inny – i nie taki twardy.

– Ba, ale mógł powalić biegnącego konia wychodząc mu na drogę – nalegał pierwszy. – Widziałem jak tak zrobił!

– Ale nie mógł powalić nowego chłopaka Arumna Gardpecka – wtrącił się inny. – Gdy próbował walczyć z tym gościem, nasz Wyrwidąb wyleciał z Cutlassa, zabierając ze sobą framugę.

Deudermont nadstawił uszu.

– Taa, ten – zgodził się pierwszy. – Za silny na jakiegokolwiek człowieka, z tego co słyszę w opowieściach, i ten młot bojowy! Najpiękniejsza broń, jaką kiedykolwiek widziałem!

Wzmianka o młocie sprawiła, że Deudermont niemal zakrztusił się jedzeniem, pamiętał bowiem dobrze moc Aegis-fanga.

– Jak on się nazywa? – spytał kapitan.

– Kto się nazywa?

– Nowy chłopak Arumna Gardpecka.

Obydwaj mężczyźni popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami.

– Wolf cośtam, jak sędzę – rzekł pierwszy.

Kiedy kilka godzin później kapitan Deudermont opuszczał dom szlachcica, stwierdził że nie kieruje się z powrotem na Duszka Morskiego, lecz wzdłuż okrytej złą sławą Ulicy Półksiężycy, najpaskudniejszej części Luskan, siedziby Cutlassa. Wszedł do środka bez wahania, dosuwając krzesło do pierwszego wolnego stolika. Deudermont zauważył wielkiego mężczyznę, zanim jeszcze zdążył usiąść. Bez wątpienia był to Wulfgar, syn Beornegara. Kapitan nie znał Wulfgara zbyt dobrze i nie widział go od lat, lecz nie mogło być wątpliwości. Same rozmiary, aura siły i przenikliwe niebieskie oczy pozbawiły go złudzeń. Och, wyglądał bardziej niechlujnie, z niezadbaną brodą i w brudnym ubraniu, lecz był to Wulfgar.

Wielki mężczyzna natychmiast napotkał wzrok Deudermonta, lecz gdy go odwracał, w oczach barbarzyńcy nie było widać, że go rozpoznał. Deudermont jeszcze bardziej się upewnił, gdy ujrzał wspaniałą młot bojowy Aegis-fang, przypięty w poprzek szerokich pleców Wulfgara.

– Pijesz czy szukasz bójki?

Deudermont odwrócił się i ujrzał młodą kobietę stojącą obok stolika, z tacą w dłoni. – No i?

– Szukam bójki? – kapitan powtórzył tępo, nie rozumiejąc.

– Tak na niego patrzysz – odparła młoda kobieta, wskazując na Wulfgara. – Wielu tu takich przychodzi, co szukają walki. Wielu takich się stąd wynosi. Ale dobrze dla ciebie, jeśli chcesz z nim walczyć i dobrze dla niego, jeśli zostawisz go martwego na ulicy.

– Nie szukam walki – zapewnił ją Deudermont. – Ale powiedz mi, jak on się nazywa?

Kobieta parsknęła i potrząsnęła głową, zdenerwowana z jakiegoś niezrozumiałego przez Deudermonta powodu.

– Wulfgar – odpowiedziała. – I lepiej by było dla nas wszystkich, gdyby nigdy tu nie przyszedł. – Nie pytając ponownie, czy chce drinka, po prostu odeszła.

Deudermont nie poświęcił już jej więcej uwagi, znów wpatrując się w wielkiego mężczyznę. W jaki sposób Wulfgar tu wylądował? Dlaczego nie był martwy? I gdzie byli Drizzt i Catti-brie?

Siedział cierpliwie, z biegiem czasu obserwując rozkład sali, dopóki nie zbliżył się świt i wszyscy klienci, poza nim i jednym chudym osobnikiem przy barze, nie wyszli.

– Czas do domu – zawołał do niego barman. Gdy Deudermont nie wykonał żadnego ruchu, by odpowiedzieć czy wstać z krzesła, wykidajło podszedł do stolika.

Majacząc nad nim wysoko, Wulfgar zmierzył wzrokiem siedzącego kapitana.

– Możesz stąd wyjść, a możesz wylecieć – wyjaśnił szorstko. – Wybór należy do ciebie.

– Dotarłeś daleko od swej walki z piratami na południe od Wrót Baldura – odparł kapitan. – Choć kwestionuję twój kierunek.

Wulfgar przekrzywił głowę i baczniej przyjrzał się mężczyźnie. Iskra zrozumienia, ledwie iskra, przemknęła po jego brodatej twarzy.

– Zapomniałeś o naszej podróży na południe? – naciskał go Deudermont. – O walce z piratem Pinochetem i o latającym rydwanie?

Oczy Wulfgara rozszerzyły się.

– Skąd wiesz o tym wszystkim?

– Skąd wiem? – Deudermont powtórzył z niedowierzaniem. – Ależ, Wulfgarze, płynąłeś na moim żaglowcu do Memnon i z powrotem. Twój przyjaciele, Drizzt i Catti-brie, żeglowali znów ze mną nie tak dawno temu, choć byli pewni, że nie żyjesz!

Wielki mężczyzna zatoczył się do tyłu, jakby został uderzony w twarz. Beładna mieszanka emocji błysnęła w jego błękitnych oczach, wszystko od nostalgii do nienawiści. Spędził dłuższą chwilę starając się otrząsnąć z szoku.

– Pomyliłeś się, dobry człowieku – odparł w końcu, ku zaskoczeniu Deudermonta. – Co do mego imienia i mej przeszłości. A teraz czas, abyś wyszedł.

– Ależ, Wulfgarze – Deudermont zaczął protestować. Podskoczył zaskoczony, gdy zauważył innego mężczyznę, niskiego, ciemnego i złowieszczonego, stojącego tuż obok, choć nie słyszał ani kroku. Wulfgar zerknął na niskiego mężczyznę, a następnie wskazał na Arumna. Barman, po chwili wahania, sięgnął za bar i wyciągnął butelkę, rzucając ją tam, gdzie zwinne palce Morika z łatwością ją złapały.

– Wychodzisz czy wylatujesz? – Wulfgar znów spytał Deudermonta. Czysta pustka w jego tonie, nie lodowaty chłód, lecz czysta obojętność, ugodziła do głębi Deudermonta, powiedziała mu, że mężczyzna bez wahania dotrzyma obietnicy wyrzucenia go z tawerny, jeśli sam natychmiast nie wyjdzie.

– Duszek Morski będzie jeszcze w porcie przynajmniej przez tydzień – wyjaśnił Deudermont, wstając i kierując się do drzwi. – Jesteś tam mile widziany jako gość lub jeśli chcesz dołączyć do załogi, bowiem ja nie zapomniałem – dokończył stanowczo, a obietnica rozbrzmiała za nim w powietrzu, gdy wyslizgnął się z gospody.

– Kto to był – Morik spytał Wulfgara, gdy Deudermont zniknął w mroku Luskan.

– Głupiec – to było wszystko, co odpowiedział wielki mężczyzna. Podszedł do baru i wymownie ściągnął z półki kolejną butelkę. Odwróciwszy wzrok od Arumna na Delly, opryskliwy barbarzyńca wyszedł z Morikiem.

* * *

Kapitan Deudermont miał przed sobą długi spacer do doków. Zalały go obrazy i dźwięki nocnego życia Luskan – głośne, cedzące głosy zza otwartych okien tawern, szczekające psy, tajemnicze szepty w ciemnych zaułkach – lecz Deudermont ledwo je słyszał, pochłonięty własnymi myślami.

Wulfgar rzeczywiście żył, a jednak był w gorszym stanie, niż kapitan mógłby sobie kiedykolwiek wyobrazić bohaterskiego mężczyznę. Jego oferta, by barbarzyńca dołączył do załogi Duszka morskiego była szczerą, lecz z zachowania Wulfgara wiedział, że nigdy go na to nie złapie.

Co Deudermont miał zrobić?

Chciał pomóc Wulfgarowi, lecz Deudermont był dość doświadczony w kwestii kłopotów, by rozumieć, że nie można pomóc komuś, kto nie chce pomocy.

– Jeśli zamierzasz opuścić umówioną kolację, uprzejmie poinformuj nas dokąd się udajesz – dobiegło go pełne wyrzutu powitanie, gdy zbliżył się do okrętu. Podniósł wzrok i ujrzał Robillarda oraz Waillana Micanty'ego, spoglądających na niego zza burty.

– Nie powinien pan wychodzić sam – złajał go Waillan Micanty, lecz Deudermont jedynie machnął na to ręką.

Robillard zmarszczył brwi.

– Jak wielu wrogów zrobiliśmy sobie w ostatnich latach? – czarodziej zapytał z całą powagą. – Jak wielu zapłaciłoby workami złota za samą szansę na twoją głowę?

– I dlatego zatrudniam czarodzieja, żeby mnie pilnował – Deudermont odparł spokojnie, stając na trapie.

Robillard parsknął z powodu absurdalności tej uwagi.

– A jak mam cię pilnować, jeśli nie wiem nawet, gdzie jesteś? Deudermont zatrzymał się w pół drogi, a na jego twarzy wykwitł szeroki uśmiech, gdy kierował wzrok na czarodzieja.

– Jeśli nie potrafisz mnie zlokalizować za pomocą magii, jak mogę wierzyć, że potrafisz znaleźć tych, którzy źle mi życzą?

– Ale to prawda, kapitanie – Waillan wtrącił, gdy Robillard okrył się pąsem. – Wielu chciałoby się z tobą spotkać samotnie na ulicy.

– Mam więc założyć szlaban całej załodze? – spytał Deudermont. – Nikt nie powinien wychodzić, ze strachu przed odwetem przyjaciół piratów?

– Niewielu opuściłoby Duszka Morskiego w pojedynkę – spierał się Waillan.

– Jeszcze mniej byłoby wystarczająco znanych dla piratów, by wziąć ich na cel! – wypalił Robillard. – Nasi wrogowie nie zaatakowałiby drobnego marynarza, którego łatwo zastąpić, to bowiem wywołałoby gniew kapitana Deudermonta i lordów Waterdeep, lecz warto jest zapłacić cenę za szansę wyeliminowania kapitana Duszka Morskiego. – Czarodziej westchnął głęboko i przyjrzał się wymownie kapitanowi.

– Musiałem się spotkać ze starym przyjacielem – wyjaśnił Deudermont.

– Zwącam się Wulfgar? – spytał spostrzegawczy czarodziej.

– Tak sądziłem – odrzekł kwaśno Deudermont idąc dalej trapem, mijając obydwu mężczyzn i bez słowa kierując się do swojej kwajtery.

* * *

Miejsce to było zbyt małe i paskudne, by mieć w ogóle nazwę, było miejscem spotkań najgorszych luskańskich szumowin. Byli to głównie marynarze, poszukiwani przez lordów lub rozwścieczone rodziny za haniebne zbrodnie. Ich obawy, że idąc otwarcie ulicą w dowolnym porcie, do którego zawitał ich statek, zostaliby aresztowani lub zamordowani, były usprawiedliwione. Przychodzili więc do spelun takich jak ta, do położonych na zapleczu pomieszczeń w mordowniach wygodnie położonych w pobliżu doków.

Morik Łotr dobrze znał takie miejsca, ponieważ gdy był zaledwie młodym chłopcem, zaczynał od pracy na ulicy jako czujka jednego z najniebezpieczniejszych lokali. Nie chadzał już często do takich

spelun. W bardziej cywilizowanych miejscach był bardziej szanowany i poważany, a także bano się go, i właśnie z tego Morik był zapewne najbardziej zadowolony. Tutaj był jednak tylko kolejnym zbirem, małym złodziejem w gnieździe skrytobójców.

Nie mógł się jednak powstrzymać przed wejściem do mordowni tej nocy, nie po tym jak kapitan osławionego Duszka Morskiego pokazał się, by odbyć rozmowę z jego nowym przyjacielem, Wulfgarem.

– Jak wysoki? – spytał Creeps Sharky, jeden z dwóch zbirów przy stoliku Morika. Creeps był starym posiwiąłym wilkiem morskim z nierównymi kępkami brudnego zarostu na rumianych policzkach i bez jednego oka. Klienci nazywali go często „Tani Creeps”, bowiem był szybki ze swym zardzewiałym starym sztyletem, a wolny z sakiewką. Creeps tak pilnował swych łupów, że nie kupił sobie nawet odpowiedniej opaski dla ślepego oczodołu. Ciemna krawędź pustego otworu spoglądała na Morika spod dolnych fałdów bandany, którą Creeps obwiązywał sobie głowę.

– O półtorej głowy wyższy ode mnie – odpowiedział Morik. – Może dwie.

Creeps zerknął na swego pirackiego towarzysza, naprawdę egzotycznego osobnika. Mężczyzna miał uwiązaną na czubku głowy kity czarnych włosów i tatuaże na całej twarzy, szyi oraz praktycznie każdym kawałku widocznej skóry – a ponieważ miał na sobie jedynie kilt z tygrysiej skóry, widoczne było dość wiele ciała. Morikowi wystarczyło podążyć za wzrokiem Creepsa ku temu drugiemu, by poczuć przeszywające go dreszcze, bowiem choć nie wiedział wiele o towarzyszu Creepsa, z pewnością słyszał o nim plotki. Tee-a-nicknick. Ten pirat był tylko w połowie człowiekiem. W drugiej połowie był qullanem, jakąś rzadką i zaciekłą wojowniczą rasą.

– Duszek Morski jest w porcie – Creeps stwierdził do Morika. Łotrzyk skinął głową, bowiem w drodze do tej speluny widział trójmasztowy szkuner przy nabrzeżu.

– Miał brodę tuż wokół konturów zuchwy – dodał Morik, starając się dać jak najdokładniejszy opis.

– Siedział prosto? – spytał wytatuowany pirat.

Morik spojrzał na Tee-a-nicknicka, jakby nie rozumiejąc.

– Czy siedział prosto na krześle? – wyjaśnił Creeps, przybierając idealną postawę. – Wyglądał jakby ktoś wsadził mu w dupę deskę, sięgającą aż do gardła?

Morik uśmiechnął się i skinął głową.

– Prosty i wysoki.

Dwaj piraci znów wymienili spojrzenia.

– Wygląda na Deudermonta – uznał Creeps. – Ten pies. Dałbym sakwę złota, by przystawić mu nóż do gardła. Posłał wielu mych przyjaciół na dno i sporo nas wszystkich kosztował.

Wytatuowany pirat okazał swą zgodę wyciągając na stół nabrzmiałą sakwę monet. Morik zdał sobie sprawę, że wszystkie rozmowy w spełnie gwałtownie się urwały i że wszystkie oczy spoczęły na nim oraz na jego dwóch hulaszczych kompanach.

– Ano, Moriku, podoba ci się widok – stwierdził Creeps, wskazując na sakiewkę. – Cóż, jest twoja, i jeszcze dziesięć kolejnych, jak zgaduję. – Creeps podskoczył nagle, posyłając krzesło na podłogę. – Co powiecie, chłopaki? – krzyknął. – Kto da złotą monetę albo dziesięć za głowę Deudermonta z Duszka Morskiego!

W spełnie rozległy się radosne krzyki, a przeciwko Deudermontowi i jego zabijającej piratów załodze wypowiedziano wiele przekleństw.

Morik ledwo ich słyszał, tak był skupiony na sakiewce ze złotem. Deudermont przyszedł zobaczyć się z Wulfgarem. Każdy mężczyzna w tym miejscu, i jeszcze setka im podobnych, dorzuci bez wątpienia jeszcze parę monet. Deudermont znał dobrze Wulfgara i mu ufał. Tysiąc sztuk złota. Dziesięć tysięcy? Morik i Wulfgar mogli dotrzeć do Deudermonta, i to z łatwością. Chciwy, złodziejski umysł Morika zawirował od możliwości.

ROZDZIAŁ 2

UROK

Biegła w podskokach dróżką, tak bardzo przypominając małą dziewczynkę, a jednak zdecydowanie będąc już młodą kobietą. Lśniące czarne włosy wirowały jej wokół ramion, a zielone oczy błyszczały równie jasno jak promienisty uśmiech na pięknej twarzy.

Właśnie odezwała się do niego, do Jaki Sculi, do jego pełnych wyrazu niebieskich oczu i kręconych brązowych włosów, których jeden kosmyk zwisał na nasadę nosa. I samo odezwanie się do niego sprawiło, że podskakiwała, gdy mogła iść, zapomniała o błocie przedostającym się przez dziury w starych butach albo o pozbawionym smaku jedzeniu, jakie znajdzie wieczorem w drewnianej misce u stołu swych rodziców. Nic z tego nie miało znaczenia, ani pluskwy, ani brudna woda, nic. Mówiła do Jaki i samo to sprawiło, że jednocześnie było jej ciepło, podniecająco i strasznie.

Jedną z drobnych życiowych ironii, z których nikt nie zdawał sobie sprawy, stało się to, iż ten sam duch, który został uwolniony przez jej spotkanie z zamyślonym Jaką, zainspirował oczy kogoś innego, by spoczęły na jej szczęśliwej sylwetce.

Serce lorda Feringala Aucka wzdychało już do wielu różnych kobiet w ciągu dwudziestu czterech lat jego życia, głównie do kupieckich córek, których ojcowie szukali bezpiecznego schronienia na północny zachód od Luskan. Wioska leżała blisko najczęściej uczęszczanych przełęczy przez góry, gdzie mogli znaleźć zapasy i odpoczynek w niebezpiecznej drodze do i z Dekapolis w Dolinie Lodowego Wichru.

Nigdy wcześniej Feringalowi Auckowi nie było tak trudno uspokoić oddech, praktycznie zachłystywał się wisząc z okna swego ozdobnego powozu.

– Feri, pinie zaczęły rozsyłać swój żółty pył na wietrze – dobiegł głos Priscilli, starszej siostry Feringala. Tylko ona nazywała go Feri, ku jego wiecznej irytacji. – Wracaj do powozu! Wokół nas jest pył wywołujący kichanie. Wiesz jak strasznie...

Kobieta przerwała i przyjrzała się baczniej swemu bratu, a zwłaszcza zainteresowała ją sposób, w jaki się zagapił.

– Feri? – spytała, przesuwając się bliżej niego, chwytając go za łokieć i potrząsając. – Feri?

– Kim ona jest? – zapytał lord Auckney, nie słysząc w ogóle swej siostry. – Kim jest ta anielska istota, awatar bogini piękna, obraz najczystszych pragnień mężczyzny, uosobienie pokusy?

Priscilla odsunęła brata na bok i wychyliła głowę przez okno powozu.

– Co, ta chłopka? – spytała z niedowierzaniem, z wyraźną nutą pogardy w głosie.

– Muszę wiedzieć – lord Feringal bardziej zaśpiewał niż powiedział. Skraj jego twarzy wbił się w krawędź okna, a niemrugający wzrok utkwiał w pobrykującej młodej kobiecie. Wymknęła mu się z pola widzenia, gdy powóz okrążył zakręt drogi.

– Feri! – złajęła go Priscilla. Wykonała ruch jakby chciała klepnąć swego młodszego brata, lecz zatrzymała się niedaleko nad celem.

Lord Auckney otrząsnął się z wywołanego miłością letargu, by spojrzeć na swą siostrę. Jego wzrok wyrażał niebezpieczne zainteresowanie.

– Dowiem się, kim ona jest – powtórzył.

Priscilla Auck usiadła z powrotem na swoim miejscu i więcej się nie odzywała, choć naprawdę zaskoczył ją nietypowy dla brata wybuch emocji. Feringal zawsze był spokojną, cichą duszą, łatwo manipulowaną przez siostrę sekutnicę, piętnaście lat od niego starszą. Zbliżała się do czterdziestych urodzin, a nigdy nie wyszła za mąż. Tak naprawdę nigdy nie wykazywała żadnego zainteresowania mężczyznami, poza zaspokajaniem jej fizycznych potrzeb. Ich matka zmarła rodząc Feringala, a ich ojciec odszedł pięć lat później, co pozostawiło zarządzanie lennem w rękach Priscilli oraz Temigasta, doradcy ich ojca, dopóki Feringal nie był wystarczająco dorosły, by móc rządzić. Priscillę zawsze cieszył ten układ, bowiem nawet gdy Feringal osiągnął odpowiedni wiek, nawet teraz, niemal dekadę później, jej głos był kluczowy we władzy nad Auckney. Nigdy nie zamierzała wprowadzić nikogo innego do rodziny, więc zakładała, że tak samo jest z Ferim.

Krzywiąc się, Priscilla po raz ostatni zerknęła w ogólnym kierunku młodej dziewczyny, choć byli już zdecydowanie za daleko. Ich powóz toczył się po małym kamiennym mostku, który wznosił się przez osłoniętą zatoczkę ku malutkiej wyspie, na której stał Zamek Auck.

Jak samo Auckney, wioska z dwoma setkami ludzi, rzadko ukazywana na jakichkolwiek mapach, zamek był skromnie zaprojektowany. Był w nim tuzin pokoi dla rodziny, i oczywiście dla Temigasta, oraz kolejnych pięć dla służących tu pół tuzina sług i dziesięciu żołnierzy. Zamek zakotwiczony był solidnie parą niskich i przysadzistych wież, ledwo sięgających piętnastu metrów, bowiem w Auckney zawsze wiał silny wicher.

– Powiniennem częściej wychodzić z zamku – nalegał lord Feringal, idąc wraz z siostrą przez foyer i do bawialni, gdzie stary zarządca Temigast siedział, malując kolejny z nieskończonej serii swych morskich krajobrazów.

– Masz na myśli właściwą wioskę? – Priscilla powiedziała z wyraźnym sarkazmem. – Czy okoliczne torfowe farmy? Zresztą i tak jest tam tylko błoto, kamień i brud.

– I w tym błocie klejnot może tym jaśniej błyszczeć – ugodzony strzałą miłości lord upierał się, wzdychając głęboko.

Zarządca podniósł brew słysząc dziwną wymianę zdań i spojrzął znad swego malowidła. Temigast przez większość swych młodzińcych dni mieszkał w Waterdeep, do Auckney przybył jakieś trzydzieści lat temu będąc już w średnim wieku. W porównaniu z odizolowanymi mieszkańcami Auckney (wliczając w to rządzącą rodzinę) będąc światowcem, Temigast miał niewiele problemów z przypodobaniem się feudalnemu lordowi, Tristanowi Auckowi, i z osiągnięciem pozycji głównego doradcy, a następnie zarządcy. Owa światowość również teraz dobrze służyła Temigastowi, dostrzegał bowiem motywy kryjące się za westchnięciem Feringala i rozumiał jego implikacje.

– Była tylko dziewczyną – narzekła Priscilla. – Dzieckiem, i to brudnym. – Spojrzała na Temigasta szukając wsparcia, widząc że jest zainteresowany ich rozmową. – Feringal został oczarowany, obawiam się – wyjaśniła. – I to wieśniaczką. Lord Auckney pragnie brudnej, śmierdzącej chłopki.

– Istotnie – odparł Temigast, udając przerażenie. Zgodnie z jego szacunkami, szacunkami każdego, kto nie pochodził z Auckney, „lord Auckney” znajdował się niewiele nad samym chłopem. Tu była historia: zamek stał od ponad sześciuset lat, zbudowany przez Dorgenastów, którzy rządzą przez pierwsze dwa stulecia. Następnie, poprzez małżeństwo, został objęty przez Aucków.

Czym jednak tak naprawdę rządzą? Auckney leżało na samym skraju dróg handlowych, na południe od najbardziej wysuniętej na zachód odnogi Grzbietu Świata. Większość kupieckich karawan podróżujących pomiędzy Dekapolis a Luskan całkowicie unikała tego miejsca, wielu wybierało bardziej bezpośrednią drogę przez górską przełęcz wiele kilometrów na wschód. Nawet ci, którzy nie odważali się stawiać czoła dziczy tej niestrzeżonej przełęczy, przejeżdżali na wschód od Auckney, inną przełęczą obok miasteczka Hundelstone, liczącego sześć razy więcej mieszkańców niż Auckney i dysponującego znacznie cenniejszymi zapasami oraz rzemieślnikami.

Choć Auckney było nadbrzeżną wioską, leżało zbyt daleko na północ, by uczestniczyć w handlu morskim. Okazyjnie statek – często rybacki, porwany wichurą z Fireshear na południe – zapędzał się do małej przystani w Auckney, zwykle potrzebując naprawy. Niektórzy z tych rybaków pozostawali w lennie, lecz tutejsza populacja pozostawała na względnie niezmiennym poziomie od czasów założenia przez bandyckiego lorda Dorgenasta i jego następców, uchodźców z pomniejszej potęgi, która odniosła klęskę w walce o drugorzędne wpływy wśród rodzin Waterdeep. Teraz, krążąc w okolicach dwóch setek, populacja była równie duża jak zawsze (głównie z powodu napływu gnomów z Hundelstone), a przy wielu okazjach wynosiła połowę tego. Większość wieśniaków była spokrewniona, zwykle na więcej niż jeden sposób, poza oczywiście Auckami, którzy zazwyczaj brali sobie narzeczone czy mężów z zewnątrz.

– Nie możesz sobie znaleźć odpowiedniej żony pośród dobrze urodzonych rodzin z Luskan? – spytała Priscilla. – Albo zrobić korzystny interes z bogatym kupcem? W końcu przydałby się nam duży posag.

– Żony? – Temigast powiedział ze śmiechem. – Czy się zbytnio nie spieszymy?

– Ani trochę – pewnym głosem nalegał lord Feringal. – Kocham ją, wiem o tym.

– Głupiec! – zaskowyczała Priscilla, lecz Temigast poklepał ją po ramieniu, by ją uspokoić, cały czas chichocząc.

– Oczywiście że wiesz, mój lordzie – rzekł zarządca – lecz w małżeństwie szlachcica rzadko chodzi o miłość, obawiam się. Chodzi o pozycję, sojusz i bogactwo – spokojnie wyjaśnił Temigast.

Feringalowi rozszerzyły się oczy.

– Ja ją kocham! – upierał się młody lord.

– To weź ją jako kochankę – Temigast zasugerował rozsądnie. – Zabawkę. Z pewnością mężczyzna o twojej pozycji zasługuje na przynajmniej choć jedną taką.

Ledwo będąc w stanie mówić przez nabrzmiewającą w gardle gulę, Feringal tupnął piętą o kamienną podłogę i popędził do swej prywatnej komnaty.

* * *

– Pocałowałaś go? – spytała Tori, młodsza z sióstr Ganderlay, chichocząc na samą myśl o tym. Tori miała tylko jedenaście lat i dopiero zaczynała zdawać sobie sprawę z różnic między chłopcami a dziewczętami, zaś jej edukacja postępowała szybko, odkąd Meraldzie, jej starszej o sześć lat siostrze, przypadł do gustu Jaka Sculi, o delikatnych rysach, długich rzęsach i zamyślonych niebieskich oczach.

– Nie, pewnie że nie – odparła Meralda odsuwając długie czarne włosy z gładkiej twarzy, pięknej twarzy, twarzy która nieświadomie zawładnęła sercem lorda Auckney.

– Ale chciałaś – kusiła Tori, wybuchając śmiechem, a Meralda dołączyła do niej dając najlepszy jaki mogła powód do usprawiedliwienia tej tezy.

– Och tak – powiedziała starsza siostra.

– I chciałaś go dotknąć – drążyła dalej młodsza siostra. – Och, przytulić go i pocałować! Drogi, słodki Jako. – Tori skończyła wydając ckliwe odgłosy pocałunków, obejmując się ramionami i odwracając, tak by wyglądało na to, że ktoś ją ściska.

– Przestań – rzekła Meralda, w zabawie klepiąc japo plecach.

– Ale nawet go nie pocałowałaś – narzekała Tori. – Dlaczego nie, skoro chciałaś? On tego nie chciał?

– Żeby chciał jeszcze bardziej – wyjaśniła starsza dziewczyna. – Żeby przez cały czas myślał o mnie. Żeby o mnie śnił.

– Ale skoro ty tego chciałaś...

– Chcę czegoś więcej – wytłumaczyła Meralda – a jeśli sprawię, że poczeka, mogę sprawić, że będzie błagał. Jeśli sprawię, że będzie błagał, mogę mieć od niego wszystko, czego zechcę, i jeszcze więcej.

– Co więcej? – spytała Tori, wyraźnie zagubiona.

– Być jego żoną – bez ogródek stwierdziła Meralda.

Tori niemal zemdląca. Chwyciła swą poduszkę ze słomy i trzasnęła nią siostrę po głowie.

– Och, nigdy ci się nie uda! – krzyknęła. Zbyt głośno. Zasłona do ich sypialni odsunęła się i ich ojciec, Dohni Ganderlay, rumiany mężczyzna o silnych mięśniach od pracy na torfowiskach i skórze brązowej od słońca i kurzu, wsunął głowę do środka.

– Dawno już powinniście spać – złązał je Dohni. Dziewczyny jednocześnie zanurkowały w posłania, włączając pod szorstkie wypchane słomą okrycia i podciągając je pod brody, cały czas chichocząc.

– No, koniec już z tymi głupotami! – wrzasnął Dohni i rzucił się mocno, padając na nie jak wielka drapieżna bestia, zaczynając zapasy, które skończyły się uściskiem między dwoma dziewczynami a ich ukochanym ojcem.

– A teraz już śpijcie, obydwie – Dohni powiedział cicho chwilę później. – Z waszą mamą nie jest najlepiej, a przez wasz śmiech nie może spać. – Pocałował je obie i wyszedł. Dziewczyny, szanując swego ojca i troszcząc się o matkę, która rzeczywiście czuła się jeszcze gorzej niż zwykle, zagłębiły się we własnych myślach.

Wyznanie Meraldy było dla Tori dziwne i straszne. Choć nie była jednak pewna co do ożenku siostry i wyprowadzenia się przez nią z domu, ekscytowała ją bardzo myśl o wyrośnięciu jak ona na młodą kobietę.

Umysł leżącej obok siostry Meraldy pędził niecierpliwie. Całowała się już wcześniej z chłopcem, a wręcz z kilkoma chłopcami, lecz zawsze wynikało to z ciekawości czy z zachęty przyjaciół. Tym razem naprawdę chciała kogoś pocałować. I jakże mocno chciała pocałować Jakę

Sculiego. Pocałować go i przejechać palcami po jego kręconych brązowych włosach, i po delikatnym, bezwłosym policzku, i czuć jego dłonie pieszczące jej gęste włosy, jej twarz...

Meralda pogрузыła się w ciepłych snach.

* * *

W znacznie wygodniejszym łóżku w dalece mniej przewiewnym pokoju, niewiele dalej, lord Feringal spoczywał w swych miękkich pierzastych poduszkach. Pragnął ucieczki w sny, w których trzyma dziewczynę z wioski, w których może zrzucić z siebie ograniczającą go pozycję, w których może robić to, czego pragnie bez wtrącania się siostry czy starego Temigasta.

Chciał chyba uciec od zbyt wielu rzeczy, bowiem Feringal nie znalazł odpoczynku w swym wielkim, miękkim łóżu, wkrótce zaczął miętosić i kręcić wypchaną piórami pierzynę w węzły wokół nóg. Miał szczęście, że ścisnął jedną z poduszek, bowiem tylko ona złagodziła jego upadek, gdy stoczył się z łóżka na twardą podłogę.

Wydostawszy się w końcu z płataniny pościeli, Feringal zaczął nerwowo przemierzać pokój, drapiąc się po głowie, bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek dotąd. Co ta zaklinaczka mu zrobiła?

– Kubek ciepłego koziego mleka – mruknął na głos, sądząc że to go uspokoi i pozwoli zasnąć. Feringal wymknął się z pokoju i ruszył wąskimi schodami. W połowie drogi usłyszał głosy z dołu.

Przystanął, rozpoznając nosowy ton Priscilli, a następnie wybuch śmiechu ze strony siostry, a także starego, świszczącego Temigasta. Coś wydało się Feringalowi nie na miejscu, jakiś szósty zmysł powiedział mu, że to on był tematem żartu. Zszedł cicho dalej, poniżej poziomu stropu pierwszego piętra, i przykucnął w cieniach obok kamiennej balustrady.

Na otomanie siedziała Priscilla, robiąc na drutach, a stary Temigast, siedział w krześle o prostym oparciu naprzeciwko niej, z karafką whisky w dłoni.

– Och, ale jaja kocham! – zawyła Priscilla, przerywając robótkę, by dramatycznym gestem otrzeć skroń dłonią. – Nie mogę bez niej żyć!

– Dobrze sobie radziłeś przez te wszystkie lata – stwierdził Temigast, dołączając do gry.

– Ale jestem zmęczony, dobry zarządco – odparła Priscilla, wyraźnie szydząc ze swego brata. – Jakimż wysiłkiem jest kochanie się z samym sobą!

Temigast zakrzuszył się drinkiem, a Priscilla wybuchła śmiechem.

Feringal nie mógł już tego znieść. Popędził w dół schodów, pełen gniewu.

– Dość! Dość, mówię! – ryknął. Zaskoczeni, oboje obrócili się do niego i przygryźli wargi, choć Priscilla nie mogła powstrzymać ostatniego chichotu.

Lord Feringal zmierzył ją wzrokiem, zaciskając pięści u boków, a żadne z nich nigdy jeszcze nie widziało go tak bliskim szału.

– Jak śmiecie? – spytał przez zaciśnięte zęby i trzęsące się wargi. – Tak ze mnie kpić!

– Troszkę żartów, mój lordzie – słabo wyjaśnił Temigast, aby złagodzić sytuację – nic więcej.

Feringal zignorował wyjaśnienia zarządcy i skierował gniew na swą siostrę.

– Co ty wiesz o miłości? – wrzasnęła na Priscillę. – Nigdy nie miałaś pożądlivej myśli w swym żalonym życiu. Nawet sobie nie wyobrażasz jak to jest lec z mężczyzną, nieprawdaż, droga siostrze?

– Wiesz mniej niż ci się wydaje – zripostowała Priscilla, odrzucając robótkę i zaczynając wstawać. Jedyne dłoń Temigasta, chwytająca ją mocno za kolano, utrzymała ją w miejscu. Uspokoiło ją to, lecz mina starca była wyraźnym przypomnieniem, by zważała na słowa, by utrzymywała między nimi pewien sekret.

– Mój drogi lordzie Feringalu – zarządca zaczął cicho – nie ma nic złego w twych pragnieniach. Wręcz przeciwnie, powinienem je uważać za dobry znak, choć pojawia się dość późno. Nie wątpię, że serce rwie ci się do tej chłopki, ale zapewniam cię, że nie ma nic złego w tym, byś wziął ją za kochankę. Z pewnością taki czyn miał precedens wśród poprzednich lordów Auckney i w większości królestw, mogę powiedzieć.

Feringal wydał z siebie długie, głębokie westchnięcie i potrząsnął głową, gdy Temigast bełkotał dalej.

– Ja ją kocham – powtórzył. – Nie możecie tego zrozumieć?

– Nawet jej nie znasz – ośmieliła się wtrącić Priscilla. – Bez wątpienia wydobywa torf, brudnymi palcami.

Feringal wykonał groźny krok w jej stronę, lecz Temigast, zwinny i szybki jak na swój wiek, wszedł między nich i delikatnie popchnął młodego mężczyznę, na krzesło.

– Wierzę ci, Feringalu. Kochasz ją i chcesz ją ocalić.

To zaskoczyło Feringala.

– Ocalić? – powtórzył tępo.

– Oczywiście – uznał Temigast. – Jesteś lordem, wielkim człowiekiem z Auckney i masz moc, by wyciągnąć tę chłopkę z jej żalosego stanu.

Feringal przez chwilę stał jeszcze otumaniony, po czym pokiwał głową, mówiąc:

– Tak, tak.

– Widziałem już wcześniej takie rzeczy – rzekł Temigast, potrząsając głową. – Jest to częsta choroba wśród młodych lordów, ta potrzeba, by ocalić tę czy inną wieśniaczkę. To przejdzie, lordzie Feringalu, i bądź spokojny, że możesz się cieszyć całym towarzystwem, jakiego potrzebujesz od tej dziewczyny.

– Umniejszasz moje uczucia – oskarżył Feringal.

– Mówię prawdę – szybko odrzekł Temigast.

– Nie! – nalegał Feringal. – Co ty wiesz o uczuciach, starcze? Nigdy nie kochałeś kobiety, skoro sugerujesz coś takiego. Nie możesz wiedzieć, co we mnie płonie.

Stwierdzenie to wydawało się trafić zarządcę w czuły nerw, lecz z jakiegoś powodu Temigast ucichł i zacisnął wargi. Wrócił do swego krzesła i usiadł niezręcznie, spoglądając tępo na Feringala.

Młody lord, w którym płonęło więcej życiowego ognia niż kiedykolwiek wcześniej, nie ugiął się pod tym spojrzeniem.

– Nie wezmę jej za kochankę – powiedział z determinacją. – Nigdy. Jest kobietą, którą będę kochał zawsze, kobietą którą wezmę za żonę, za lady Zamku Auck.

– Feri! – wrzasnęła Priscilla.

Młody lord, zdecydowany nie poddać się jak zwykle pragnieniom swej nadopiekuńczej siostry, odwrócił się i gwałtownie ruszył z powrotem do zacisza swego pokoju. Uważał żeby nie biec, jak zwykle czynił po konfrontacjach ze swą siostrą złością, lecz pozwolił sobie na odrobinę godności, stanowczą i władczą aurę. Rozumiał, że stał się mężczyzną.

– On oszalał – Priscilla powiedziała do Temigasta, gdy wreszcie usłyszeli zamykające się drzwi Feringala. – Widział tę dziewczynę ledwie raz i to z oddali.

Jeśli Temigast w ogóle ją słyszał, nie okazał tego. Uparta Priscilla ześlizgnęła się z otomany na kolana i podeszła na nich do siedzącego mężczyzny.

– Widział ją ledwie raz – powtórzyła ściągając uwagę Temigasta.

– Czasami to wystarcza – cicho odparł zarządca.

Priscilla ucichła i spojrzała stanowczo na starca, którego łoże dzieliła w sekrecie od najwcześniejszych dni swej kobiecości. Pomimo całej ich fizycznej intymności, Temigast nie podzielił się jednak nigdy z Priscilla swym wewnętrznym ja, poza jedną okazją, i to jedynie przelotnie, kiedy mówił o swym życiu w Waterdeep przed wyruszeniem do Auckney. Szybko przerwał wtedy rozmowę, lecz dopiero po wspomnieniu kobiecego imienia. Priscilla zastanawiała się zawsze, czy ta kobieta znaczyła dla Temigasta więcej, niż się wygadał. Teraz widziała, że dostał się pod czar jakiegoś wspomnienia, pod wpływem słów jej brata o nieumierającej miłości.

Kobieta odwróciła się od niego, płonąc gniewem z zazdrości, co, jak zawsze, szybko jej minęło. Przypomniła sobie własny los i własne przyjemności w życiu. Przeszłość Temigasta mogła zmiękczyć jego opór przeciwko dążeniu Feringala do tej wieśniaczki, lecz Priscilla nie była tak gotowa, by zaakceptować porywczą decyzję brata. Od wielu lat dobrze się czuła w układzie panującym w Zamku Auck i ostatnią rzeczą, jakiej teraz chciała, była jakaś chłopka, a być może i jakaś śmierzcząca chłopka rodzina, wprowadzająca się wraz z nią.

* * *

Temigast odszedł chwilę później, odrzucając zaproszenie Priscilli do jej łoża. Myśli starego mężczyzny cofnęły się o dekady do kobiety, którą niegdyś znał, która skradła jego serce i która, umierając tak młodo, napełniła go utrzymującymi się po dziś dzień zgorzknieniem i cynizmem.

Temigast nie dostrzegał głębi tych uczuć, dopóki nie uświadomił sobie własnych wątpliwości i odrzucenia wyraźnych uczuć lorda Feringala. Za jakiegoż starego nędznika uważał się w tej chwili.

Siedział w fotelu przy wąskim oknie wychodzącym na Zatokę Auckney. Księżyc już dawno zaszedł, pozostawiając ciemne zimne wody i matowiejąc białe grzywy fal pod gwieździstym niebem. Temigast, jak Priscilla, nigdy nie widział młodzika tak ożywionego i podnieconego, tak pełnego ognia i życia. Zawsze uważano Feringala za nudziarza, pogrążonego w pewnym wiecznym letargu, lecz teraz nie było już żadnej ospałości w sposobie, w jaki młody mężczyzna zszedł gwałtownie po schodach, by obwieścić swą miłość do chłopki, żadnego letargu w sposobie, w jaki Feringal napadł na despotyczną starszą siostrę.

Obraz ten wywołał uśmiech na twarzy Temigasta. Być może Zamek Auck potrzebował teraz takiego ognia, być może nadszedł czas, by zatrząść tym miejscem i całym otaczającym je lennem. Może odrobina ducha ze strony lorda Auckney podniesie często ignorowaną wieś do rangi jej znaczniejszych sąsiadów, Hundelstone i Fireshear. Nigdy wcześniej lord Auckney nie poślubił

jednej z wieśniaczek. W tej dziurze było po prostu zbyt mało ludzi, głównie z rodzin, które mieszkały w wiosce od stuleci, i możliwość wprowadzenia tak wielu chłopów do rodziny rządzącej, nawet marginalnie, była kluczowym argumentem, by nie pozwolić Feringalowi na zrealizowanie planów.

Jednakże czysta energia, jaką okazał młody lord wydawała się w tej chwili równie poważnym argumentem na korzyść związku, uznał więc, że przyjrzy się dokładniej tej kwestii, dowie się, kim jest ta wieśniaczka i sprawdzi, czy nie da się czegoś zaaranżować.

KROPLA PRZEPEŁNIAJĄCA MIARĘ

– Znał cię – Morik ośmielił się powiedzieć po tym, jak dołączył do Wulfgara pod koniec tej samej nocy, której zawędrował do paskudnej pijackiej meliny. Do chwili, gdy łotrzyk znalazł swego przyjaciela w dokach, wielki mężczyzna wysączył już niemal całą drugą butelkę. – Ary znałeś jego.

– Myślał, że mnie zna – sprostował Wulfgar, cedząc każde słowo.

Ledwo był w stanie siedzieć nie chwiejąc się, najwyraźniej był bardziej pijany niż zwykle o tej wczesnej porze. On i Morik rozdzielili się przed Cutlassem, przy czym Wulfgar wziął obydwie butelki. Zamiast udać się prosto do doków, barbarzyńca wałęsał się po ulicach i wkrótce znalazł się w bardziej luksusowej dzielnicy Luskan, siedzibie szanowanych mieszkańców i kupców. Żaden strażnik miejski go nie wygnał, bowiem w tej części miasta miał miejsce Więzienny Karnawał, odkryta platforma, na której publicznie karano złoczyńców. Tej nocy na scenie był złodziej, raz za razem pytany przez kata, czy przyznaje się do swej zbrodni. Gdy tego nie zrobił, kat wziął parę ciężkich nożyc do strzyżenia owiec i obciął mu mały palec. Odpowiedź złodzieja na powtórzone pytanie wywołała ryki poparcia ze strony dziesiątek ludzi obserwujących codzienny spektakl.

Oczywiście przyznanie się do winy nie było łatwe dla biednego mężczyzny. Stracił całą dłoń, palec po palcu, a tłum cieszył się i pohukiwał radośnie.

Ale nie Wulfgar. Widok ten znaczył zbyt wiele dla barbarzyńcy, katapultował go w przeszłość, z powrotem do Otchłani Errtu i bezradnej agonii. Jakichże tortur tam zaznał! Był cięty, biczowany i tłuczony tak, że jego życie wisiało na włosku, jedynie po to, by któryś z obrzydliwych sług Errtu przywrócił mu je za pomocą leczącej magii. Odgryzano mu palce i przyprawiano, aby znów je obgryźć.

Widok nieszczęsnego złodzieja przywołał mu to wszystko wyraźnie z powrotem.

Kowadło. Tak, to było najgorsze ze wszystkiego, najboleśniejsza fizyczna tortura, jaką Errtu dla niego zaplanował, zarezerwowana dla tych chwil, gdy wielki demon był w takim ataku szału, że nie miał czasu na wymyślanie bardziej subtelnych, bardziej wyniszczających fizycznych tortur mentalnych.

Kowadło. Było zimne, niczym bryła lodu, tak zimne, że udom Wulfgara wydawało się niczym ogień, gdy potężni słudzy Errtu przeciągali go po nim, zmuszali, by je obejmował, nago i leżąc na plecach.

Wtedy Errtu przychodził do niego, powoli, złowroźnie, podchodził tuż obok, i jednym nagłym ruchem uderzał małym młotkiem, nabijanym drobnymi igiełkami, prosto w otwarte oczy Wulfgara, rozbijając je i zalewając barbarzyńcę falami mdłości i bólu.

I oczywiście słudzy Errtu go leczyli, znów składali go w całość, by można było powtórzyć zabawę.

Nawet teraz, dawno po ucieczce z otchłannego domu Errtu, Wulfgar często się budził, zwinięty jak dziecko, ściskając się za oczy, czując ból. Wulfgar znał tylko jeden sposób ucieczki z tego bólu. Wziął więc swoje butelki i odbiegł, potrafiąc zamazać wspomnienia jedynie poprzez wypijanie palącego płynu.

– Myślał, że cię zna? – Morik spytał z powątpiewaniem. Wulfgar popatrzył na niego beznamiętnie.

– Mężczyzna w Cutlassie – wyjaśnił Morik.

– Pomylił się – wycedził Wulfgar. Morik rzucił mu sceptyczne spojrzenie.

– Wiedział kim kiedyś byłem – przyznał wielki mężczyzna. – Nie wie, kim teraz jestem.

– Deudermont – stwierdził Morik.

Teraz to Wulfgar wyglądał na zaskoczonego. Morik znał oczywiście większość osób w Luskan – w końcu zdołał przetrwać dzięki temu, że dysponował informacjami – lecz zdumiało Wulfgara, iż wiedział o mało znanym żeglarzu (za którego Wulfgar uważał Deudermonta), ledwie odwiedzającym port.

– Kapitan Deudermont z Duszka Morskiego – wytłumaczył Morik. – Wielce znany postrach piratów z Wybrzeża Mieczy. Znał ciebie, a ty znałeś jego.

– Kiedyś z nim żeglowałem... całe życie temu – przyznał Wulfgar.

– Mam wielu przyjaciół, czerpiących zyski z morza, którzy szczerze zapłaciliby, aby go wyeliminować – stwierdził Morik, nachylając się nisko nad siedzącym Wulfgarem. – Być może moglibyśmy jakoś wykorzystać twoją znajomość z nim.

W chwili, gdy te słowa opuszczały usta Morika, Wulfgar podniósł się szybko i gwałtownie, sięgając ręką do gardła Morika. Chwiejąc się na niepewnych nogach, Wulfgar wciąż miał dość siły w tej jednej ręce, by podnieść łotrzyka z ziemi. Kilka szybkich kroków, trochę biegnąc, trochę upadając, doprowadziło ich do ściany magazynu, do której Wulfgar przyspilił Morika Łotra, dyndającego stopami kilkanaście centymetrów nad gruntem.

Dłoń Morika sięgnęła do głębokiej kieszeni, zaciskając się na paskudnym nożu. Wiedział, że

mógłby w jednej chwili zatopić go w sercu pijanego Wulfgara. Powstrzymał jednak pchnięcie, bo Wulfgar nie naciskał mocniej, nie próbował go zranić. Poza tym pozostawały jeszcze te dokuczliwe wspomnienia o drowach wykazujących zainteresowanie Wulfgarem. Jak Morik zdołałby im wyjaśnić zabicie mężczyzny? Co stałoby się z łotrzykiem, gdyby nie zdołał dokończyć zadania?

– Jeśli jeszcze raz mnie o to zapytasz, to... – Wulfgar pozwolił, by groźba pozostała niedokończona i opuścił Morika. Obrócił się z powrotem ku morzu, niemal tracąc równowagę i spadając z mola w pijanym pośpiechu.

Morik przejechał dłonią po posiniaczonym gardle, oszołomiony na chwilę tym gwałtownym wybuchem. Gdy się jednak nad nim zastanowił, jedynie skinął głową. Dotknął bolesnej rany, otwartej przez nieoczekiwane pojawienie się starego kompana Wulfgara, Deudermonta. Była to klasyczna walka przeszłości i terażniejszości, Morik to wiedział, widywał bowiem jak rozrywa to ludzi na strzępy w ich upadku na dno butelki. Uczucia wywołane widokiem kapitana, mężczyzny z którym żeglował, były dla Wulfgara zbyt świeże. Barbarzyńca nie potrafił pogodzić swego aktualnego stanu z tym, kim był kiedyś. Morik uśmiechnął się i dał spokój, widząc wyraźnie, że jego wielkiemu przyjacielowi daleko jest do porzucenia tej emocjonalnej walki przeszłości z terażniejszością.

Być może terażniejszość wygra i Wulfgar posłucha potencjalnie korzystnej propozycji Morika względem Deudermonta. Albo też, jeśli nie, może Morik zadziała niezależnie i wykorzysta znajomość Wulfgara z kapitanem bez wiedzy barbarzyńcy.

Morik przebaczył Wulfgarowi, że go zaatakował. Tym razem.

– Chciałbyś więc znów z nim popływać? – spytał Morik, celowo łagodząc ton.

Wulfgar opadł do pozycji siedzącej, a następnie przyjrzał się łotrzykowi niedowierzająco przez zamglone oczy.

– Musimy trzymać pełne sakiewki – przypomniał mu Morik. – Wygląda na to, że Arumn i Cutlass coraz bardziej cię nudzą. Może parę miesięcy na morzu...

Wulfgar zamachał mu, by się uciszył, po czym odwrócił się i splunął do morza. Chwilę później nachylił się nad dokiem i zwymiotował.

Morik popatrzył na niego z mieszaniną litości, niesmaku i złości. Tak, łotrzyk właśnie wtedy uznał, że musi się dostać do Deudermonta, czy to z Wulfgarem, czy bez niego. Wykorzysta swego przyjaciela, by znaleźć słaby punkt w okrytym złą sławą kapitanie Duszka Morskiego. Morik poczuł ukłucie winy, gdy doszedł do tego wniosku. Wulfgar był w końcu jego przyjacielem, lecz to była ulica, a rozsądny człowiek nie lekceważy tak oczywistej sposobności, by zdobyć garniec ze złotem.

– Śmierdzisz, że Morik to zrobi – spytał wytatuowany pirat Tee-a-nicknick. Była to pierwsza rzecz, jaką zrobił po obudzeniu się w zaułku.

Leżący tuż obok niego w śmieciach Creeps Sharky popatrzył z zaciekawieniem, po czym odcyfrował słowa.

– Twierdzisz, mój przyjacielu, nie śmierdzisz – sprostował.

– Śmierdzisz, że to zrobi?

Oparty na jednym łokciu Creeps parsknął i odwrócił wzrok, błakając się swym jednym okiem po cuchnącym zaułku.

Widząc, że wyraźnie nie zanosi się na odpowiedź, Tee-a-nicknick pacnął Creepsa Sharky'ego mocno w tył głowy.

– O co ci chodzi? – drugi pirat narzekał, starając się obrócić, lecz wylądował jedynie twarzą na ziemi. Po chwili obrócił się, by zmierzyć wzrokiem swego egzotycznego półqullańskiego kompana.

– Morik to zrobi? – dopytywał się Tee-a-nicknick. – Zabije Deudermonta?

Creeps wycharczał kulkę flegmy i zdołał, z wielkim wysiłkiem, przemieścić się do pozycji siedzącej.

– Ba – parsknął powątpiewająco. – Morik jest cwaniakiem, ale przy Deudermontcie jest poza swoją kałużą. Raczej kapitan jego załatwi.

– Dziesięć tysięcy – Tee-a-nicknick powiedział z wielkim żalem, bowiem on i Creeps, rozsiewając wieści, że Deudermonta może być trupem, zanim Duszek Morski opuści w ogóle Luskan, zebrali obietnice niemal dziesięciu tysięcy sztuk złota nagrody, fundusz który, jak wiedzieli, oferujący piraci chętnie zapłacą za zabójstwo. Creeps i Tee-a-nicknick już zdecydowali, że jeśli Morik wykona zadanie, zapłacą mu siedem z dziesięciu, zatrzymując trzy dla siebie.

– Myślałem, że może Morik podejdzie odpowiednio Deudermonta – ciągnął Creeps. – Może być, że ten mały szczur odegra swą rolę nie wiedząc nawet, że ją gra. Jeśli Deudermont lubi przyjaciela Morika, to może osłabić trochę za mocno jego czujność.

– Śmierdzisz, że to zrobimy? – spytał Tee-a-nicknick, brzmiąc na zaintrygowanego.

Creeps przyjrzał się swemu przyjacielowi. Zachichotał słysząc ciągłe utarczki półqullana z językiem, choć Tee-a-nicknick żeglował z ludźmi przez większość swego życia, odkąd został zgarnięty z wyspy jako młodzik. Jego lud, dzicy, niemal dwuipółmetrowi qullanie nie tolerowali

mieszanej krwi i porzucili go jako pośledniejszego.

Tee-a-nicknick wykonał szybkie dmuchnięcie, kończące się śmiechem, a Creeps Sharky nie przegapił, o co mu chodziło. Żaden pirat na żadnym morzu nie potrafił poradzić sobie z pewną bronią, długą wydrażoną tubą nazywaną przez wytatuowanego pirata dmuchawką, lepiej niż Tee-a-nicknick. Creeps widział, jak jego przyjaciel zestrzelił muchę z przeciwległej burty szerokiego pokładu. Tee-a-nicknick dysponował również sporą wiedzą o truciznach, co było dziedzictwem jego życia wśród egzotycznych qullanów. Creeps wiedział, że pokryte nimi kocie pazury były czasami używane jako pociski do dmuchawki. Ludzcy kapłani nie potrafili zrozumieć i odwrócić trucizn.

Jeden dobrze wykonany strzał mógłby uczynić Creepsa i Tee-a-nicknicka naprawdę bogatymi, być może nawet dość bogatymi, by mogli sobie pozwolić na własny statek.

– Masz szczególnie paskudną truciznę dla pana Deudermonta? – spytał Creeps.

Wytatuowany półqullan uśmiechnął się.

– Śmierdzisz, że to zrobimy – stwierdził.

Arumn Gardpeck westchnął, gdy zobaczył uszkodzenia wyrządzone drzwiom prowadzącym do gościnnego skrzydła Cutlassa. Zawiasy były tak skrzywione, że drzwi nie stały już prosto w węgarze. Kołysały się i nawet nie chciały się odpowiednio zamknąć.

– Znowu paskudny nastrój – zaobserwował Josi Puddles, stojąc obok właściciela tawerny. – Paskudny nastrój dzisiaj, paskudny nastrój jutro. Zawsze paskudny nastrój.

Arumn zignorował mężczyznę i przeszedł korytarzem do drzwi pokoju Delly Curtie. Przyłożył ucho do desek i usłyszał ze środka ciche łkanie.

– Znowu ją wyrzucił – splunął Josi. – Ach, to pies.

Arumn zmierzył niskiego mężczyznę wzrokiem, choć jego myśli niezbyt się różniły. Skamlanie Josiego nawet trochę nie wstrząsnęło barmanem. Zauważył, że mężczyzna wykształcił szczególnie czuły punkt w kwestii Wulfgara, oparty głównie na zazdrości, uczuciu które wydawało się zawsze rządzić działaniami Josiego. Łkanie Delly Curtie mocno poruszało Arumna, który myślał o niej jak o własnej córce. Z początku był podniecony dobrze się zapowiadającym związkiem pomiędzy Delly a Wulfgarem, pomimo protestów Josiego, który od lat kochał się w dziewczynie. Teraz owe protesty wydawały się mieć w sobie trochę racji, bowiem ostatnie zachowanie Wulfgara wobec Delly wywoływało w ustach Arumna gorzki posmak.

– On cię więcej kosztuje, niż z siebie daje – ciągnął Josi, podskakując, by dotrzymać kroku Arumnowi, gdy wielki mężczyzna zdecydowanym krokiem kierował się do drzwi Wulfgara na końcu korytarza. – Tak wiele niszczy, a uczciwi ludzie już nie przychodzą do Cutlassa. Za bardzo boją się o swoje głowy.

Arumn zatrzymał się przy drzwiach i obrócił wymownie do Josiego.

– Zamknij się – polecił bez ogródek i stanowczo. Odwrócił się z powrotem i podniósł rękę jakby chciał zapukać, lecz zmienił zdanie i po prostu wszedł przez drzwi. Wulfgar leżał rozwalony na łóżku, wciąż w ubraniu i śmierdząc alkoholem.

– Zawsze pije – narzekał Arumn. Smutek w jego głosie był naprawdę szczery, bowiem pomimo całej swej złości na Wulfgara nie mógł odrzucić własnej odpowiedzialności za tę sytuację. To on zaznajomił dręczonego barbarzyńcę z butelką, lecz nie dostrzegł głębi rozpaczyny wielkiego mężczyzny. Teraz barman ją rozumiał, czystą desperację Wulfgara, by uciekać od bólu niedawnej przeszłości.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Josi.

Arumn zignorował go i podszedł do łóżka, by ostro potrząsnąć Wulfgarem. Po sekundzie i trzecim potrząśnięciu barbarzyńca podniósł głowę i obrócił ją do Arumna, choć jego oczy były ledwo co otwarte.

– Jesteś tu skończony – Arumn rzekł spokojnie i bez ogródek, znów potrząsając Wulfgarem. – Nie mogę pozwolić, byś dłużej robił to memu lokalowi i moim przyjaciołom. Zbieraj dzisiaj swoje rzeczy i ruszaj w drogę, gdziekolwiek owa droga cię zaprowadzi, bo nie chcę cię już widzieć we wspólnej sali. Położę ci przy drzwiach sakwę monet, żeby pomóc ci urządzić się gdzieś indziej. Przynajmniej tyle jestem ci winien.

Wulfgar nie odpowiedział.

– Słyszysz mnie? – spytał Arumn.

Wulfgar przytaknął i wymruczał do Arumna, żeby sobie poszedł, wzmacniając tę prośbę machnięciem ręką, które, choć Wulfgar był ospały, wciąż z łatwością odepchnęło Arumna od łóżka.

Po kolejnym westchnięciu i kolejnym potrząśnięciu głową Arumn wyszedł, Josi Puddles poświęcił chwilę przyglądając się wielkiemu mężczyźnie na łóżku i otaczającemu go pokojowi, a szczególnie wspaniałemu młotowi bojowemu, spoczywającemu pod ścianą w przeciwległym rogu.

* * *

– Jestem mu to winien – kapitan Deudermont powiedział do Robillarda, gdy obydwoj stali przy relingu umieszczonego w doku, niemal zreperowanego Duszka Morskiego.

– Bo kiedyś z tobą żeglował? – czarodziej spyta sceptycznie.

– Więcej niż żeglował.

– Wykonał usługi dla twojego żaglowca, to prawda – uznał Robillard – ale czy ich nie odwzajemniłeś? Zabrałeś go wraz z jego przyjaciółmi do Memnon i z powrotem.

Deudermont pochylił w zamyśleniu głowę, po czym podniósł wzrok na czarodzieja.

– Jestem mu to winien nie z jakiejś finansowej umowy – wyjaśnił – lecz dlatego, że staliśmy się przyjaciółmi.

– Ledwo go znałeś.

– Ale znam Drizzta Do'Urdena i Catti-brie – spierał się Deudermont. – Jak wiele lat ze mną żeglowali? Zaprzeczasz naszej przyjaźni?

– Ale...

– Jak możesz tak szybko odmawiać mi odpowiedzialności? – zapytał Deudermont.

– On nie jest Drizztem ani Catti-brie – odparł Robillard.

– Nie, ale jest droгим przyjacielem obojga i człowiekiem w wielkiej potrzebie.

– Który nie potrzebuje twojej pomocy – dokończył czarodziej.

Deudermont znów pochylił głowę, rozważając te słowa. Wydawały się dość prawdziwe. Wulfgar istotnie odrzucił ofertę pomocy. Kapitan musiał przyznać, że zważywszy na stan barbarzyńcy, były niewielkie szanse na to, iż mógł powiedzieć lub zrobić coś, co wyciągnęłoby wielkiego mężczyznę z prowadzącej w dół spirali.

– Muszę spróbować – powiedział chwilę później, nie trując się, by podnieść wzrok.

Robillard nie próbował spierać się w tej kwestii. Czarodziej rozumiał ze zdecydowanego tonu kapitana, że nie miał do tego podstaw. Został wynajęty, by chronić Deudermonta, tak więc właśnie to będzie robił. Mimo to, według jego szacunków, im szybciej Duszek Morski opuści Luskan i oddali się daleko, daleko od tego całego Wulfgara, tym lepiej będzie dla nich wszystkich.

* * *

Był świadom odgłosów swego oddechu, wręcz zachłystywania się, bowiem bał się jak nigdy dotąd. Jedno potknięcie, jeden nadmierny hałas mogły obudzić giganta, a wątpił czy niezdarne wytłumaczenia, jakie przygotował, by go ocaliły.

Coś większego niż strach popychało Josiego Puddlesa dalej. Większego niż cokolwiek, zaczął nienawidzić tego mężczyzny. Wulfgar zabrał mu Delly Curtie – a przynajmniej z jego fantazji. Wulfgar rozkochał w sobie Arumna, zastępując Josiego u boku właściciela tawerny. Wulfgar mógł przynieść całkowitą ruinę Cutlassowi, jedynemu domowi, jaki miał Josi Puddles.

Josi nie wierzył, że wielki, gniewny barbarzyńca wypełni rozkaz Arumna i odejdzie bez walki, a Josi widział wystarczająco wielu zabijaków, by rozumieć jak niebezpieczną może stać się taka walka. Josi rozumiał również, że jeśli w Cutlassie dojdzie do wymiany ciosów, to on stanie się zapewne głównym celem gniewu Wulfgara.

Ze stuknięciem otworzył drzwi. Wulfgar leżał na łóżku w niemal dokładnie tej samej pozycji co wtedy, gdy Josi i Arumn przyszli dwie godziny wcześniej.

Aegis-fang leżał oparty o ścianę w przeciwległym rogu. Josi wzdrygnął się na jego widok, wyobrażając sobie jak potężny młot bojowy wiruje prosto na niego.

Mały mężczyzna zakradł się do pokoju i przystanął, by zastanowić się nad małą torbą pieniędzy, którą Arumn zostawił na lewo od drzwi, przy łóżku Wulfgara. Wyciągnawszy duży nóż, przyłożył czubek palca do pleców barbarzyńcy, tuż pod łopatką, po czym zastąpił go czubkiem noża. Wystarczyło jedynie mocno nacisnąć, mówił sobie. Wystarczyło wbić nóż w serce Wulfgara i jego kłopoty skończyłyby się. Cutlass trwałby, tak jak trwał, zanim ten demon przybył do Luskan, a Delly Curtie byłaby dla niego do wzięcia.

Nachylił się nad ostrzem. Wulfgar poruszył się, lecz tylko trochę, było mu bardzo daleko do przytomności.

A co, jeśli chybi? – Josi pomyślał z nagłą paniką. Co, jeśli tylko zrani wielkiego Wulfgara? Obraz ryczącego Wulfgara zeskakującego z łóżka, by osaczyć w rogu niedoszłego skrytobójcę pozbawił siły kolana Josiego, przez co niemal przewrócił się na śpiącego barbarzyńcę. Mały mężczyzna odsunął się gwałtownie od łóżka i skierował do drzwi, starając się nie krzyczeć z przerażenia.

Opanował się i przypomniał swoje obawy o wydarzenia spodziewane tej nocy, że Wulfgar wystąpi przeciwko Arumnowi, że barbarzyńca i ten straszliwy młot bojowy zniszczą Cutlassa oraz każdego, kto będzie wewnątrz.

Zanim zdążył zastanowić się w ogóle nad tym co robi, Josi przemknął przez pokój i, z wielkim wysiłkiem, podniósł ciężki młot, tuląc go jak dziecko. Wybiegł z pomieszczenia, a następnie przez tylne drzwi gospody.

* * *

– Nie powinieneś być ich przyprowadzać – Arumn znów złątał Josiego Puddlesa. W chwili gdy skończył, drzwi oddzielające wspólną salę od kwater prywatnych otworzyły się i wszedł niechlujnie wyglądający Wulfgar.

– Paskudny nastrój – stwierdził Josi, jakby miało go to zrehabilitować. Tego wieczora Josi zaprosił do Cutlassa paru przyjaciół: łotrzyka o grubych kończynach, nazywanego się Reef i jego równie krzepkich przyjaciół, w tym szczupłego mężczyznę o delikatnych dłoniach – zdecydowanie nie wojownika – o którym Arumn sądził, że widział go kiedyś w powłóczyznych szatach, a nie w bryczesach i tunice. Reef miał rachunek do wyrównania z Wulfgarem, ponieważ pierwszego dnia, gdy Wulfgar przybył do Cutlassa, Reef i paru jego przyjaciół pracowało jako ochrona Arumna. Gdy próbowali siłą wyrzucić Wulfgara z tawerny, barbarzyńca cisnął Reefem przez salę.

Twarde spojrzenie Arumna nie zelżało. Był dość zaskoczony widząc Wulfgara w tawernie, lecz wciąż chciał to załatwić za pomocą samych słów. Walka z rozwścieczonym Wulfgarem mogła wiele kosztować.

Tłum we wspólnej sali zbiorowo się uciszył, gdy Wulfgar podchodził do baru. Spoglądając podejrzliwie na Arumna, wielki mężczyzna upuścił torbę z monetami na kontuar.

– To wszystko, co mogę ci dać – stwierdził Arumn, rozpoznając torbę, którą zostawił u Wulfgara.

– Kto o to prosił? – odparł Wulfgar, brzmiąc tak jakby nie miał pojęcia, co się dzieje.

– No, powiedziałem ci – zaczął Arumn, lecz przerwał i wykonał dłońmi gest uspokajający Wulfgara, choć tak naprawdę potężny barbarzyńca nie wydawał się ani trochę poruszony.

– Już tu nie zostaniesz – wyjaśnił Arumn. – Nie mogę sobie na to pozwolić.

Wulfgar nie odpowiedział, za to wpatrywał się intensywnie w barmana.

– A teraz nie chcę żadnych kłopotów – wytłumaczył Arumn, znów klepiąc dłońmi powietrze.

Wulfgar nie chciał mu ich dawać, choć wielki mężczyzna zdecydowanie był w paskudnym nastroju. Zauważył ruch ze strony Josiego Puddlesa, wyraźny sygnał, i pół tuzina potężnych osobników, w tym paru, których Wulfgar rozpoznał jako starą ekipę Arumna, uformowało półokrąg wokół wielkiego mężczyzny.

– Żadnych kłopotów! – Arumn powiedział z większym naciskiem, kierując swą uwagę bardziej

do myśliwskiej sfory Josiego niż do Wulfgara.

– Aegis-fang – wymruczał Wulfgar.

Kilka siedzeń dalej przy barze Josi zeszywniał i zaczął modlić się o to, by miejsce umieszczenia młota okazało się poza zasięgiem magicznego przywoływania.

Minęła chwila i młot bojowy nie zmaterializował się w dłoni Wulfgara.

– Jest w twoim pokoju – zaproponował Arumn.

Nagłym, energicznym ruchem Wulfgar uderzył w torbę monet, posyłając jej zawartość na podłogę.

– Myślisz, że to słuszna zapłata?

– Więcej niż jestem ci winien – Arumn ośmielił się klócić.

– Kilka monet za Aegis-fanga? – Wulfgar spytał z niedowierzaniem.

– Nie za młot – wyjąkał Arumn, wyczuwając, że sytuacja bardzo szybko się pogarsza. – On jest w twoim pokoju.

– Gdyby był w moim pokoju, to bym go zobaczył – odparł Wulfgar, groźnie wychylając się do przodu. Myśliwska sfera Josiego przysunęła się lekko, dwóch z nich wyciągnęło małe pałki, a trzeci owinał łańcuch wokół pięści. – Nawet gdybym go nie widział, przybyłby stamtąd na moje wołanie – stwierdził Wulfgar i znów zawołał, tym razem wrzeszcząc: – Aegis-fang! Nic.

– Gdzie mój młot? – Wulfgar zażądał odpowiedzi od Arumna.

– Po prostu odejdz, Wulfgarze – poprosił oberżysta. – Po prostu zniknij. Jeśli znajdziemy twój młot, dostarczymy ci go, ale teraz już idź.

Wulfgar widział, co nadciąga, więc sam to przyciągnął. Wyciągnął przez bar rękę do gardła Arumna, po czym zatrzymał ją gwałtownie i cofnął ramię, uderzając napastnika zbliżającego się z prawej flanki, Reefa, pędzącym łokciem prosto w twarz. Reef zachwiał się i zakołysał, dopóki Wulfgar nie cofnął ręki i znów go nie uderzył, odrzucając daleko.

Kierując się czystym instynktem, barbarzyńca obrócił się i wyrzucił defensywnie lewe ramię w górę. Akurat na czas, bowiem jeden z przydupasów Reefa zaatakował go gwałtownie, wymachując krótką, grubą pałką, która uderzyła Wulfgara silnie w przedramię.

Wszelkie pozory strategii i pozy znikły w mgnieniu oka, gdy wszystkich pięciu zbirów zaszarżowało na Wulfgara. Barbarzyńca zaczął kopać i wymachiwać swymi potężnymi pięściami,

raz za razem bezowocnie wołając Aegis-fanga. Kilka razy uderzył nawet paskudnie głową, prosto w nos napastnika, po czym znowu, trafiając innego mężczyznę w bok głowy i odrzucając go, na chwiejnych nogach.

Delly Curtie wrzeszczała, a Arumn krzyczał bez przerwy „Nie!”

Ale Wulfgar ich nie słyszał. Nawet gdyby słyszał, nie mógłby poświęcić chwili, by podporządkować się poleceniu. Musiał kupić sobie trochę czasu i miejsca, otrzymywał bowiem trzy trafienia za każde jedno, jakie zadawał w tak bliskiej walce. Choć jego ciosy i kopniaki były zdecydowanie cięższe, dla przyjaciół Reefa bijatyka nie była pierwszozną.

Reszta klientów Cutlassa stała w rzędku, zdumiona i zakłopotana, wiedzieli bowiem, że Wulfgar pracował dla Arumna. Poruszali się jedynie ci, którzy uciekli przed wirującą kulą walczących. Jeden mężczyzna w odległym rogu wstał, wymachując dziko rękoma i obracając się dookoła.

– Atakują ekipę Cutlassa! – krzyczał mężczyzna. – Do broni, klienci i przyjaciele! Brońcie Arumna i Wulfgara! Z pewnością te zbiry zniszczą naszą tawernę!

– Na bogów – mruknął Arumn Gardpeck, znał bowiem mówiącego, wiedział że Morik Łotr skazał właśnie jego cenny przybytek na zagładę. Potrząsając głową i wydając z siebie pełen frustracji jęk, bezradny Arumn zanurkował nisko za bar.

Jak na dany znak, cały Cutlass eksplodował wielką bijatyką. Mężczyźni i kobiety, wyjąc i nie tracąc czasu na rozróżnianie przynależności, atakowali po prostu najbliższą potencjalną ofiarę.

Wciąż znajdujący się przy barze Wulfgar musiał odsłonić prawą flankę, przyjmując brutalną plombę w szczękę, skupiał się bowiem na lewej, gdzie mężczyzna z pałką znów go atakował. Podniósł ręce w górę, by odbić pierwszy i drugi cios, po czym wykonał krok w stronę mężczyzny, przyjmując uderzenie w zebra, lecz chwytając napastnika za przedramię. Trzymając mocno Wulfgar odepchnął mężczyznę, po czym potężnie szarpnął z powrotem, pochylając się i uderzając wolną ręką w krocze zataczającego się mężczyzny. Osilek wzniósł się wysoko w powietrze, wypychany przez Wulfgara najwyżej jak się dało. Następnie barbarzyńca wykonał szybki obrót, szukając celu.

Mężczyzna odleciał, trafiając innego, po czym obydwaj wpadli na biednego Reefa i na nowo rozłożyli go na podłodze.

Kolejny napastnik rzucił się gwałtownie na Wulfgara, z nadstawioną do ciosu pięścią. Barbarzyńca zmierzył go wzrokiem i napiął szczękę, gotów wymienić cios za cios, lecz ten zbój miał łańcuch nawinięty na pięść. Błysk palącego bólu eksplodował na twarzy Wulfgara, a w ustach poczuł smak krwi. Ramię oszołomionego Wulfgara wystrzeliło w przód, ledwie zahaczając pięścią bark napastnika.

Kolejny mężczyzna pochylił ramię w pełnej szarży, uderzając Wulfgara w bok, lecz solidnie stojący barbarzyńca nie ruszył się z miejsca. Drugi owinięty łańcuchem cios spadał na jego twarz –

ujrzał ogniwa błyszczące od jego własnej krwi – lecz zdołał się częściowo uchylić, choć mimo to zyskał sporą szramę na policzku.

Drugi mężczyzna, który odbił się od niego nieszkodliwie, skoczył na bok Wulfgara wykonując silny blok, lecz Wulfgar, ryknawszy butnie, ustał w miejscu. Obrócił się i wykręcił lewą rękę pod bark trzymającego się go mężczyzny, po czym złapał go za włosy z tyłu głowy.

Barbarzyńca ruszył w przód, rycząc, młóćąc raz za razem wolną prawą dłońią, a lewą ciągnąc cały czas, by powstrzymać trzymającego się go mężczyznę. Zbój o łańcuchowej pięści cofnął się defensywnie, używając lewej ręki, by odbijać ciosy. Ujrzał lukę i nie mógł się powstrzymać, rzucił się gwałtownie, by wykonać kolejny solidny cios, zahaczając obojczyk barbarzyńcy. Powinien był jednak kontynuować odwrót, ponieważ Wulfgar miał już stabilną pozycję, wystarczającą, by władować cały swój ciężar w potężny prawy sierpowy.

Blokująca ręka zbója z łańcuchem ledwo co odbiła ciężki cios. Pięść Wulfgara przebiła się przez osłonę i spadła na bok twarzy zbira, posyłając go spiralnym ruchem na podłogę.

* * *

Morik siedział przy swoim stoliku w przeciwległym rogu, co i rusz uchylając się przed lecącą butelką czy ciałem, niewzruszenie sącąc drinka. Pomimo swej spokojnej fasady, Łotrzyk martwił się o swego przyjaciela i o Cutlassa, nie mógł bowiem uwierzyć w brutalność dzisiejszej bijatyki. Wyglądało na to, że wszystkie zbiry z Luskan wykorzystały okazję, by tłuc się w tawernie, która była względnie wolna od walk, odkąd pojawił się Wulfgar, strasząc lub szybko pacyfikując wszelkich potencjalnych zbójów.

Morik skrzywił się, gdy łańcuch wbił się w twarz Wulfgara, rozchlapując krew. Łotrzyk zastanowił się, czy nie iść przyjacielowi na pomoc, lecz szybko odrzucił tę myśl. Morik był przebiegłym zbieraczem informacji, złodziejem żyjącym ze swych sztuczek i broni, a ani jedno ani drugie nie pomogłoby mu w zwyczajnej bijatyce w tawernie.

Siedział więc przy stoliku, obserwując otaczający go zamęt. Niemal każdy we wspólnej sali brał już w nim udział. Minał go jakiś mężczyzna, ciągnąc za sobą za długie czarne włosy kobietę i kierując się do drzwi. Ledwo zdążył jednak przejść za Morika, gdy inny mężczyzna rozbił mu na głowie krzesło, powalając go na podłogę.

Gdy ów wybawca odwrócił się do kobiety, szybko rozbiła mu butelkę na uśmiechniętej twarzy, po czym obróciła się i wbiegła z powrotem w walkę, wskakując na jakiegoś mężczyznę, powalając go na ziemię i drapiąc mu twarz paznokciami.

Morik przyjrzał się uważniej kobiecie, zapamiętując dobrze jej rysy i sądząc, że jej niespokojny duch może okazać się całkiem przyjemny w jakichś prywatnych spotkaniach w przyszłości.

Widząc poruszenie z prawej, Morik szybko przesunął swe krzesło w tył i uniósł kubek i butelkę, gdy dwóch mężczyzn przejechało się po jego stoliku, miażdżąc go i zabierając jego szczątki w swe kłębowisko.

Morik wzruszył jedynie ramionami, skrzyżował nogi, oparł się o ścianę i pociągnął kolejny łyk.

* * *

Wulfgar znalazł chwilę przerwy po tym, jak upuścił mężczyznę z łańcuchem, lecz inny szybko zajął jego miejsce, naciskając mocniej, wisząc u jego boku. W końcu zrezygnował z prób wykręcania ręki potężnemu barbarzyńcy. Zamiast tego wczepił się dwoma dłońmi w twarz Wulfgara, próbując przyciągnąć do siebie głowę barbarzyńcy i gryząc go w ucho.

Rycząc z bólu i wściekłości Wulfgar pociągnął mocno mężczyznę za włosy, odrywając jego głowę i mały kawałek własnego ucha. Barbarzyńca wsunął prawą dłoń pod lewą rękę mężczyzny, obrócił ją i wykręcał dopóki nie puściła koszuli Wulfgara. Złapał mocno wewnętrzną stronę bicepsa mężczyzny. Obrót skierował Wulfgara prosto na bar i barbarzyńca wysunął mocno obie ręce w jego stronę, uderzając głową mężczyzny o deski tak mocno, że pękły. Wulfgar pociągnął mężczyznę z powrotem. Niezbyt zauważając, że cała walka raptownie ustała, barbarzyńca znów uderzył twarzą zbira w deski. Z wielkim wysiłkiem, któremu towarzyszył jeszcze większy ryk, Wulfgar posłał nieprzytomnego zbója w lot. Obrócił się, szykując na następną rundę ataków.

Nabrzmiałe krwią oczy Wulfgara skupiły się na chwilę. Nie mógł uwierzyć w zamęt, jaki widział. Wyglądało na to, że cały świat oszalał. Stoliki i ciała latały. Praktycznie każdy w środku, czyli tej nocy niemal setka klientów, walczył. Po drugiej stronie Wulfgar zauważył Morika, który siedział cicho opierając się o ścianę, przesuwając nogi i starając się unikać tego, co przemykało obok. Morik dostrzegł go i zasalutował mu kuflem.

Wulfgar uchylił się i zaparł solidnie. Mężczyzna, upuszczający ciężką płytę na głowę Wulfgara, przetoczył się barbarzyńcy po grzbiecie.

Wtedy Wulfgar zauważył Delly, biegnącą przez salę – szukała osłony, gdzie tylko mogła i wołała go. Była w połowie drogi do niego, gdy lecące krzesło uderzyło ją w bok głowy, natychmiast powalając.

Wulfgar ruszył do niej, lecz inny mężczyzna rzucił się potężnie na rozproszonego barbarzyńcę, uderzając go w poprzek kolan. Barbarzyńca walczył, by utrzymać równowagę, raz się zachwiał, po

czym inny osobnik wskoczył mu na plecy. Mężczyzna w dole chwycił mu obręcz kostkę i przekreślił, wykręcając Wulfgarowi nogę. Trzeci wpadł na niego z pełną prędkością i wszyscy padli na podłogę, w plątaninie miotających się rąk i wierzgających nóg.

Wulfgar przetoczył się nad ostatniego napastnika, uderzając go przedramieniem w twarz i wykorzystując je w charakterze dźwigni, aby spróbować wstać, lecz ciężki but wylądował mu na plecach. Opadł natychmiast, pozbawiony tchu. Niewidoczny napastnik ponad nim starał się znów go przygnieść, lecz Wulfgar zachował na tyle przytomności umysłu, by odtoczyć się na bok i skończyło się na tym, że napastnik nadepnął na odsłonięty brzuch swego kompana.

Nagle przesunięcie przypomniało jedynie Wulfgarowi, że ktoś wciąż trzymał go mocno za kostkę. Barbarzyńca kopnął go wolną nogą, lecz leżąc na plecach nie miał odpowiedniej dźwigni, zaczął się więc szaleńczo miotać, desperacko próbując się uwolnić.

Mężczyzna trzymał się uparcie, głównie dlatego, że za bardzo bał się puścić. Wulfgar obrał inną taktykę, podnosząc nogę i ciągnąc mężczyznę na niej, a następnie prostując ją gwałtownie, dzięki temu umieszczając uwięzioną stopę trochę poniżej uchwytu przeciwnika. W tym samym czasie barbarzyńca owinał drugą nogę wokół pleców mężczyzny i zdołał skrzyżować kostki.

Drugi zbir wskoczył na barbarzyńcę, chwytając jedną rękę i powalając ją pod swym ciężarem, podczas gdy trzeci robił to samo z drugim ramieniem. Wulfgar walczył z nimi zaciekle, wykręcając ręce. Gdy to nie podziałało, po prostu warknął i wypchnął się w przód, blokując obie ręce pod odpowiednim kątem w łokciach, po czym podnosząc je obie nad swą masywną pierś. Jednocześnie Wulfgar zacisnął muskularne nogi. Mężczyzna miotał się szaleńczo w kleszczach i starał się wrzeszczeć, lecz jedynym odgłosem z jego strony było głośnie trzaśnięcie, gdy bark wyskoczył mu ze stawu.

Czując, że walka na dole się skończyła, Wulfgar oswobodził nogi i kopał nimi, dopóki jęczący mężczyzna nie odtoczył się. Barbarzyńca skierował uwagę na dwójkę na górze, która tłukła go pięściami i drapała. Z siłą szyszcząca ze śmiertelników Wulfgar wyciągnął ręce, podnosząc obydwu zbirów na długość ramienia, po czym cisnął ich nad swą głowę, jednocześnie gwałtownie podrywając nogi. Ruch ten posłał go w salto w tył. Obróciwszy się, zdołał odepchnąć się obręcz i wylądował niepewnie na nogach, stając przed dwoma podnoszącymi się mężczyznami.

Czysty instynkt obrócił barbarzyńcę, aby mógł powitać ostatnią szarżę, posyłając pięść. Trafił napastnika, mężczyznę z pięścią owiniętą łańcuchem, prosto w pierś. Była to straszliwa kolizja, lecz Wulfgar nie obrócił się dość szybko, by uzyskać jakąś osłonę przeciwko pięści mężczyzny, która w tym samym czasie trafiła go prosto w twarz. Obydwaj zatrzęśli się i mężczyzna z łańcuchem padł Wulfgarowi w ramiona. Barbarzyńca odepchnął go na bok i zbir wylądował twarzą do ziemi, całkowicie nieprzytomny.

Wulfgar wiedział, że ten cios go mocno zranił, bowiem miał zamglony i wirujący wzrok, musiał sobie przypominać, gdzie jest. Podniósł nagle rękę, lecz tylko częściowo odbił lecące krzesło, jedna z nóg obróciła się tak, że uderzyła go mocno w czoło, co jedynie wzmocniło otumanienie. Walka

wokół niego już zwalniała, bowiem więcej ludzi leżało na ziemi jęcząc niż stało wymierzając ciosy, lecz Wulfgar potrzebował kolejnego odpoczynku, przynajmniej tymczasowego. Obrął jedyną drogę, która wydawała mu się oczywista, podbiegł do baru i przetoczył się przez niego, lądując na stopach za barykadą.

Wylądował twarzą w twarz z Arumnem Gardpeckiem.

– Och, wspaniale się spisaliśmy tej nocy, nie sądzisz? – Arumn rzucił mu w twarz. – Wulfgar musi mieć walkę co noc, inaczej nie ma zabawy.

Wulfgar chwycił mężczyznę za przód tuniki. Pociągnął go raptownie z przykucu za barem, podniósł z łatwością i uderzył nim mocno o tylną ścianę z półkami na butelki, niszcząc tym samym sporą część drogich zapasów.

– Ciesz się, że twoja twarz nie jest na końcu mojej pięści – warknął nieskruszony barbarzyńca.

– A co więcej, ciesz się, że nie bawiłeś się z moimi uczuciami tak jak z biedną Delly – natychmiast odwarknął Arumn.

Jego słowa dotkliwie zraniły Wulfgara, nie miał bowiem odpowiedzi na oskarżenia Arumna, nie mógł się spierać, że w kwestii Delly Curtie nie było jego winy. Wulfgar potrząsnął lekko Arumnem, po czym posadził go i cofnął się o krok, wpatrując się w oberżystę i nie mrugając oczyma. Zauważył poruszenie z boku, a gdy tam zerknął, ujrzał wielką, pozbawioną ciała dłoń unoszącą się w powietrzu ponad barem.

Wulfgar został trafiony z boku głowy, mocniej niż chyba kiedykolwiek. Zatoczył się, chwytając kolejną półkę z mocną whisky i zrzucając ją, po czym zachwiał się i obrócił, chwytając kontuar, by się oprzeć.

Z drugiej strony baru Josi Puddles splunął mu w twarz. Zanim Wulfgar zdołał odpowiedzieć, dostrzegł unoszącą się magiczną dłoń nacierającą na niego gwałtownie z boku. Został znów trafiony i osłabły mu nogi. Trafiło go kolejny raz, podniosło z podłogi i rzuciło mocno na tylną ścianę. Cały świat się kręcił i czuł się tak, jakby zapadał się w podłogę.

Został na wpół wyniesiony, na wpół wyciągnięty zza baru i przez podłogę. Cała bijatyka zakończyła się nagle na widok potężnego Wulfgara, w końcu pokonanego.

– Dokończcie to na zewnątrz – powiedział Reef, kopnięciem otwierając drzwi. W chwili gdy obrócił się w stronę ulicy, znalazł przy swym gardle czubek sztyletu.

– To już jest skończone – niedbale wyjaśnił Morik, choć zdradził swój spokój zerkając do środka na czarodzieja, który pakował swe rzeczy, najwyraźniej nie przejmując się sceną przy drzwiach. Reef wynajął go dla zabezpieczenia. Ponieważ wyglądało na to, że czarodziej nie był osobiście zainteresowany sporem, łotrzyk uspokoił się trochę i wymruczał pod nosem: – Nienawidzę

czarodziejów. – Następnie skierował swą uwagę z powrotem na Reefa i wbił nóż trochę głębiej.

Reef spojrział na swojego towarzysza, trzymającego drugą rękę Wulfgara, i razem bezceremonialnie rzucili barbarzyńcę w błoto.

Wulfgar podniósł się na nogi, czysta siła woli zmusiła go do powrotu do stanu gotowości. Skierował się z powrotem ku zamkniętym drzwiom, lecz Morik chwycił go za rękę.

– Nie – nakazał łotrzyk. – Oni cię tam nie chcą. Czego chcesz dowieść?

Wulfgar zaczął się spierać, lecz popatrzył Morikowi w oczy i nie zobaczył ochoty na spory. Wiedział, że łotrzyk ma rację. Wiedział, że nie ma domu.

ROZDZIAŁ 4

ŻYCIE DAMY

– Ganderlay – obwieścił Temigast wchodząc do komnaty, aby dołączyć do Priscilli i Feringala. Oboje popatrzyli z zaciekawieniem na zarządcę, nie rozumiejąc.

– Ta kobieta, którą widziałeś, lordzie Feringalu – wyjaśnił Temigast. – Jej nazwisko to Ganderlay.

– Nie znam żadnych Ganderlayów w Auckney – spierała się Priscilla.

– W wiosce jest niewiele rodzin, których nazwiska są ci znane, moja droga lady – odparł Temigast, dość cierpkim tonem – jednak ta kobieta naprawdę jest z Ganderlayów. Mieszka ze swoją rodziną na południowym zboczu Góry Maerlon – wytłumaczył, mając na myśli dość zaludniony teren Auckney jakieś trzy kilometry od zamku, na tarasowatym zboczu górskim wychodzącym na przystań.

– Dziewczyna – Priscilla sprostowała protekcyjnie. – Jeszcze jej daleko do bycia kobietą.

Feringal nie wydawał się w ogóle usłyszeć tego komentarza, zbyt podekscytowany wieściami zarządcy.

– Jesteś pewien? – spytał Temigasta, podskakując i idąc zdecydowanym krokiem, by stanąć tuż przed mężczyzną. – Może tak być?

– Ta dziew... kobieta szła drogą w tym samym czasie, kiedy przejeżdżał wasz powóz – potwierdził zarządca. – Pasuje do opisu podanego przez kilka osób, które ją znają i widziały wtedy na drodze. Wszystkie wspomniały o jej wspaniałych, długich, czarnych włosach, które pasują do twojego opisu jej postaci, mój lordzie. Jestem pewien, że jest najstarszą córką niejakiego Dohniego Ganderlaya.

– Pójdę, do niej – oznajmił Feringal, chodząc niespokojnie w tę i z powrotem, stukając palcem o zęby i ciągle zawracając, jakby nie wiedział dokąd pójść i co zrobić. – Wezwę powóz.

– Mój lordzie Feringalu – Temigast powiedział cicho rozkazującym tonem, który wydawał się uspokoić młodego człowieka.

– To byłoby wielce niestosowne.

Feringal popatrzył na niego wielkimi oczyma.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ jest wieśniaczką i nie jest warta... – zaczęła Priscilla, lecz jej głos ucichł, było bowiem oczywiste, że nikt jej nie słucha.

– Nie chodzi się niezapowiedzianym do domu stosownej damy – wyjaśnił Temigast. – Droge muszą przygotować twój zarządca i jej ojciec.

– Ale ja jestem lordem Auckney – zaprotestował Feringal. – Ja mogę...

– Możesz zrobić czego sobie życzysz, jeśli pragniesz jej jako zabawki – szybko przerwał Temigast, przyciągając zmarszczone brwi zarówno Feringala, jak i Priscilli – jeśli jednak pragniesz jej jako stosownej żony, należy odpowiednio wszystko zaaranżować. Istnieje sposób, mój lordzie Feringalu, metoda, zgodnie z którą wszyscy winni się zachowywać. Wykroczenie przeciwko etykietce w takiej kwestii może okazać się wielce katastrofalne, zapewniam cię.

– Nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie – rzekł Temigast – jednak ja rozumiem, na szczęście dla nas wszystkich. Idź teraz i wykup się. Jeśli młoda Ganderlay stanęłaby z wiatrem od ciebie, uciekłaby. – Z tymi słowy odwrócił lorda Feringala do drzwi i popchnął go porządnie, by dać mu dobry start.

– Zdradziłeś mnie! – zaskowyczała Priscilla, gdy jej brat zniknął.

Temigast parsknął na to śmieszne twierdzenie.

– Jej noga nie stanie w tym domu – kobieta powiedziała z determinacją.

– Nie zdałaś sobie jeszcze sprawy, że nie licząc morderstwa niewiele możesz zrobić, by temu zapobiec? – Temigast odparł z całą powagą. – Morderstwa twojego brata, rzecz jasna, a nie dziewczyny, bo to by tylko ściągnęło na ciebie gniew Feringala.

– Ale pomogłeś mu w tych idiotycznych dążeniach.

– Zapewniłem mu tylko to, czego sam mógłby się dowiedzieć zadając pytania dowolnemu wieśniakowi, także trzem kobietom, które pracują w tym domu, a z których jedna była wczoraj na drodze.

– Jeśli ten głupiec je w ogóle zauważył – spierała się Priscilla.

– Sam by odkrył imię dziewczyny – nalegał Temigast – i zawstydziłby nas wszystkich podczas swego pozbawionego godności polowania. – Zarządca zachichotał i podszedł bardzo blisko Priscilli, obejmując ręką jej ramiona. – Rozumiem twoje troski, droga Priscillo – powiedział – i nie sprzeciwiam ci się całkowicie, bowiem również wolałbym, żeby twój brat zakochał się w jakiejś

bogatej córce kupca z innego miasta, zamiast w wieśniaczce z Auckney, albo też by zupełnie zapomniał o idei miłości i poddał się swej żądzy wtedy, gdy mu to odpowiada, nie biorąc żony. Być może jeszcze do tego dojdzie.

– Raczej nie, teraz gdy mu tak pomogłeś – Priscilla powiedziała ostro.

– Nie całkiem – Temigast wyjaśnił z szerokim uśmiechem, który przykuł uwagę Priscilli, bowiem jej mina zmieniła się na zaintrygowaną. – Być może będzie się silnie trzymał pomysłu kochania tej dziewczyny, czy ożenku z nią, jednak obiecuję, że będę obserwował każdy jego krok. Nie pozwolę mu ściągnąć hańby na rodzinę Auck, ani też nie pozwolę tej dziewczynie ani jej rodzinie zabrać od nas tego, na co nie zasługują. Nie możemy sprzeciwić się jego woli, zapewniam cię, a twoje oburzenie jedynie wzmacnia opór Feringala.

Priscilla parsknęła z powątpiewaniem.

– Czy nie słyszysz jego gniewu, gdy łajasz go za to? – zażądał odpowiedzi Temigast, a ona skrzywiła się na jego słowa. – Jeśli teraz odwrócimy się od twojego brata, ostrzegam cię, że uchwyt, w którym ta Ganderlay go trzyma – w którym trzyma całe Auckney – jedynie się wzmocni.

Priscilla nie parsknęła, nie potrząsnęła głową, nie okazała żadnego znaku sprzeciwu. Wpatrywała się jedynie w Temigastę długo i stanowczo. Pocałował ją w policzek i odszedł, uważając, że powinien natychmiast wezwać zamkowy powóz i rozpocząć swe obowiązki emisariusza lorda Feringala.

* * *

Jaka Sculi podniósł wzrok znad pola błota wraz z wszystkimi innymi robotnikami, ludźmi i gnomami, gdy ozdobny powóz przedzierał się po pokrytej kurzem drodze. Zatrzymał się przed małym domem Dohniego Ganderlaya. Z drzwi wygramolił się starzec i chwiejącym się krokiem ruszył w stronę domu. Oczy Jaki zmrużyły się lekko. Przypomniawszy sobie nagle, że inni mogą go obserwować, przybrał swą typową pełną dystansu postawę. Był w końcu Jaką Sculim, wymarzoną kochanką każdej młodej damy w Auckney, zwłaszcza kobiety żyjącej w domu, przed którym zatrzymał się pański powóz. Myśl, że piękna Meralda go pragnęła, nie była dla niego błahostką – choć nie mógł oczywiście pozwolić nikomu się domyślić, że go to obchodziło.

– Dohni! – zawołał jeden z pozostałych robotników na polu, powykrzywiany mały gnom o długim i spiczastym nosie. – Dohni Ganderlay, masz gości!

– A może się domyślili, jakim żeś jest łajdakiem! – krzyknął jakiś gnom i wszyscy głośno się roześmiali.

Poza oczywiście Jaka. Jaka nie mógł pozwolić, by widzieli jak się śmieje.

Dohni Ganderlay podszedł do miedzy za polem torfu. Popatrzył na tych, którzy krzyczeli szukając jakiegoś wyjaśnienia, lecz oni jedynie skinęli podbródkami w kierunku jego domu. Dohni podążył wzrokiem w tamtą stronę, dostrzegł powóz i rzucił się do szaleńczego biegu.

Jaka Sculi obserwował go przez całą drogę do domu.

– Może byś se tak trochę pokopał, chłopcze? – dobiegło pytanie obok Jaki. Gdy obejrzał się w stronę bezzębnego starca, głupiec przejechał ręką po jego kręconych brązowych włosach.

Młodzieniec potrząsnął z odrazą głową, zauważając czarny torf oblepiający palce starego kopacza. Znów potrząsnął głową i rozczochrał energicznie włosy, po czym odtrącił dłoń mężczyzny, gdy ten wyciągnął ją, by znów go pogłaskać.

– Hi hi hi – zachichotał starzec. – Widno, że twoja dziewczynka ma zalotnika – zakpił.

– I to starego – zauważył inny, również wielce pragnąc dołączyć się do zabawy kosztem Jaki.

– A ja sędzę, że sam mógłbym spróbować z dziewczyną – stwierdził brudny stary niezdara u boku Jaki. Przyciągnęło to grymas młodzieńca, tak więc starzec jedynie jeszcze bardziej się roześmiał, wywołując w końcu jakąś reakcję chłopaka.

Jaka obrócił powoli głowę, przyglądając się polu i pracującym, paru domom rozrzuconym na zboczach, Zamkowi Auck w oddali i ciemnym, zimnym wodom rozciągającym się za nim. Owe wody zawiodły jego samego, jego matkę i jego wuja w to żalosne miejsce zaledwie cztery lata temu. Jaka nie wiedział, dlaczego przybyli do Auckney – był dość zadowolony z życia w Luskan – tyle że to miało coś wspólnego z jego ojcem, który zwykł bić bezlitośnie jego matkę. Podejrzewał, że uciekali, albo przed nim, albo przed katem. Wydawało się to typową taktyką dla rodziny Sculi, bowiem zrobili to samo, gdy Jaka był szkrabem, uciekając z domu swych przodków w Królestwach Klingi aż do Luskan. Z pewnością jego ojciec, nienawistny człowiek, którego Jaka ledwo znał, znajdzie ich i zabije jego matkę oraz jej brata za ucieczkę.. Albo też być może ojciec Jaki już nie żył, pozostawiony we własnej krwi przez Remoiniego, wujka Jaki.

W każdym razie nie miało to dla Jaki znaczenia. Wiedział tylko, że był w tym miejscu, w przerażającym, wietrznym, zimnym i jałowym lennie. Do niedawna jedyną dobrą rzeczą w tym wszystkim była według niego wieczna melancholia okolicy, wzmocniona jego poetycką naturą. Pomimo tego, że wyobrażał sobie siebie jako romantycznego bohatera, Jaka skończył już siedemnaście lat i wielokrotnie rozważał, czy nie zaczepić się z którymś z nielicznych kupców, którzy tędy przejeżdżali, jadąc w szeroki świat, może do Luskan, a może nawet lepiej, aż do Waterdeep. Planował zrobić tam pewnego dnia fortunę, w jakiś sposób, i być może wrócić aż do Królestw Klingi.

Wszystkie te plany uległy jednak zawieszeniu, bowiem młodzieńcowi ukazał się kolejny

pozytywny aspekt Auckney. Jaka nie mógł zaprzeczyć zauroczeniu, jakie czuł do pewnej młodej Ganderlay.

Nie mógł oczywiście pozwolić, by ona lub ktokolwiek inny o tym wiedział, dopóki nie będzie pewien, że odda mu się całkowicie.

* * *

Pędząc obok powozu, Dohni Ganderlay rozpoznał woźnicę, siwobrodego gнома, którego znał jako Liama Woodgate. Liam uśmiechnął się i pomachał mu, co mocno uspokoiło Dohniego, choć przechodząc przez drzwi wciąż utrzymywał spieszny krok. Przy jego małym kuchennym stole siedział zarządca Zamku Auck, a naprzeciwko niego chora żona Dohniego, Biaste, u której kopacz torfu od dawna nie widział tak rozpromienionej twarzy.

– Gospodarzu Ganderlay – Temigast rzekł grzecznie. – Jestem Temigast, zarządca Zamku Auck, emisariusz lorda Feringala.

– Wiem o tym – Dohni powiedział ostrożnie. Nie spuszczać oczu ze starca, Dohni Ganderlay okrążył stół, omijając pozostałe dwa krzesła i stając za swą żoną, położywszy dłonie na jej ramionach.

– Właśnie wyjaśniałem twojej żonie, że mój lord, oraz twój, życzy sobie obecności twojej najstarszej córki w zamku podczas dzisiejszej kolacji – rzekł zarządca.

Zaskakująca wieść ugodziła Dohniego Ganderlaya równie silnie jak mogłaby to zrobić pałka, lecz utrzymał równowagę, i miną, pozwalając, by to do niego dotarło.

– Oczywiście mam w powozie odpowiedni strój dla panny Meraldy, jeśli się zgodzisz – Temigast dokończył z uspokajającym uśmiechem.

Dumny Dohni Ganderlay spojrział za tę uśmiechniętą fasadę, poza grzeczny i pełen szacunku ton. Ujrzał tam protekcyjność oraz pewność siebie. Temigast wierzył, że oczywiście nie mogli odmówić, ponieważ byli zaledwie brudnymi wieśniakami. Lord Auckney wystosował polecenie, a Ganderlayowie się do niego ochoczo i łakomie zastosują.

– Gdzie jest Meralda? – mężczyzna spytał żonę.

– Poszła razem z Tori na targ – wyjaśniła kobieta. Dohni nie mógł nie zauważyć lekkiego drżenia w jej głosie. – Po kilka jajek na kolację.

– Meralda może tego wieczoru znaleźć się na bankiecie, a także zapewne w wiele innych wieczorów – zauważył Temigast.

Dohni znów to wyraźnie ujrzał, paskudną protekcyjność, która przypominała mu o jego losie, o losie jego dzieci, wszystkich jego przyjaciół, a także ich dzieci.

– A więc przyjdzie? – Temigast spytał po długiej, niezręcznej ciszy.

– Wybór należy do Meraldy – Dohni Ganderlay odparł ostrzej niż zamierzał.

– Ach – powiedział zarządca, skinąwszy głową i uśmiechając się, zawsze się uśmiechał. Wstał z krzesła i gestem wskazał Biaste, by dalej siedziała.

– Oczywiście, oczywiście, ale chodź i weź suknię, gospodarzu Ganderlayu. Jeśli zdecydujecie się posłać młodą damę, będzie lepiej i łatwiej mieć ją tutaj.

– A jeśli nie zechce pójść?

Temigast podniósł brew, sugerując, że absurdem była według niego ewentualność odmowy.

– Wtedy oczywiście mój woźnica wróci jutro po suknię – rzekł. Dohni popatrzył na swą chorą żonę, na błagalną minę na jej aż nazbyt delikatnych rysach.

– Gospodarzu Ganderlayu? – spytał Temigast, wskazując na drzwi. Dohni poklepał Biaste po ramionach i ruszył przy zarządcy do powozu. Gnomi woźnica czekał na nich, z suknią w podniesionych wysoko rękach, by delikatny materiał nie ciągnął się po zakurzonej drodze.

– Dobrze zrobisz zachęcając swą córkę, by przyszła – poradził Temigast, podając suknię, na co rysy Dohniego Ganderlaya jeszcze bardziej stwardniały.

– Twoja żona jest chora – stwierdził Temigast. – Bez wątplenia nędzna egzystencja w tej ruderze nie zrobi jej dobrze podczas nadchodzącej zimy.

– Mówisz tak, jakbyśmy mieli jakiś wybór w tej kwestii – odrzekł Dohni.

– Lord Feringal jest mężczyzną o wielkich możliwościach – wyjaśnił Temigast. – Ma łatwy dostęp do wspaniałych ziół, ciepłych łóżek i potężnych kapłanów. Byłoby szkoda, żeby twoja żona cierpiała bez potrzeby. – Zarządca poklepał suknię. – Będziemy wieczerzać zaraz po zachodzie słońca – wytłumaczył. – Polecę, by powóz przyjechał pod twój dom o zmierzchu. – Z tymi słowami, Temigast wsiadł do karety i zamknął drzwi. Woźnica nie tracąc czasu smagnął konie, by je popędzić.

Dohni Ganderlay stał przez dłuższą chwilę w chmurze kurzu pozostawionej przez odjeżdżający powóz, z suknią w dłoni, wpatrując się w pustkę przed sobą. Chciał wrzasnąć, że jeśli lord Feringal był człowiekiem o takich powiązaniach i takim dobroczynnym, to powinien dobrowolnie

wykorzystywać swe środki dla dobra swego ludu. Ludzie tacy jak Biaste Ganderlay powinni być w stanie otrzymywać potrzebną im pomoc bez potrzeby sprzedawania swych córek. To, co właśnie zaoferował mu Temigast było tożsame ze sprzedażą córki dla dobra rodziny. Sprzedażą córki!

A mimo to, mimo całej swej dumy, Dohni Ganderlay nie mógł zaprzeczyć, że leżały przed nim możliwości.

* * *

– Był tu powóz lorda – Jaka Sculi przekonywał Meraldę, kiedy później tego samego dnia wyszedł jej naprzeciw, gdy wracała do domu. – U twoich własnych drzwi – dodał ze swym egzotycznym akcentem, dialektem pełnym westchnień i dramatycznych dyszeń.

Tori Ganderlay zachichotała. Meralda stuknęła ją w ramię i wskazała gestem, by szła dalej.

– Ale ja chcę się dowiedzieć – pożałowała się.

– Dowiesz się, jak smakuje kurz – obiecała jej Meralda. Ruszyła ku siostrze, lecz zatrzymała się nagle i uspokoiła, przypominając sobie, kto jej słucha. Odwróciła się do Jaki malując na twarzy słodki uśmiech, jednocześnie obserwując Tori kątem oka.

Tori zaczęła w podskokach podążać dalej drogą.

– Ale chciałam zobaczyć, jak się z nim całujesz – pisnęła radośnie biegnąc.

– Jesteś pewny co do tego powozu? – Meralda spytała Jakę, bardzo się starając zignorować zawstydzające uwagi Tori.

Młodzieniec westchnął jedynie z dramatyczną przesadą.

– Ale jakie sprawy lord Feringal mógłby mieć do moich bliskich? – spytała młoda kobieta.

Jaka przekrzywił głowę na bok, wsunął ręce w kieszenie i wzruszył ramionami.

– Cóż, będę więc się zbierać – powiedziała Meralda i wykonała krok, lecz Jaka przesunął się, by zagrozić jej drogę. – O co ci chodzi?

Jaka popatrzył na nią tymi jasnymi błękitnymi oczyma, przebiegając dłonią po swej kręconej czuprynie i nachylając twarz w jej stronę.

Meralda poczuła się jakby chciała połknąć kulę, która wezbrała w jej gardle, albo jakby jej serce biło tak mocno, że chciałoby wyrwać jej się z piersi.

– O co ci chodzi? – powtórzyła, znacznie ciszej i bez większego przekonania.

Jaka przysunął się do niej. Przypomniała sobie własną uwagę wygłoszoną do Tori, o tym jak trzeba zmusić chłopaka, by błagał. Przypomniała sobie, że nie powinna tego robić, jeszcze nie. Powiedziała to sobie wyraźnie, a jednak wcale się nie wycofywała. Podeszedł bliżej, a gdy poczuła ciepło jego oddechu, ona również się zbliżyła. Jaka ledwo musnął jej wargi swymi, po czym wycofał się, nagle wyglądając na zawstydzonego.

– Co? – jeszcze raz spytała Meralda, tym razem z wyraźną ochotą.

Jaka westchnął, a kobieta ponownie zbliżyła się do niego, aby go pocałować, całe jej ciało drżało, mówiło mu, błagało go, aby oddał pocałunek. Oddał, długi i miękki, a potem się cofnął.

– Będę na ciebie czekał po kolacji – powiedział, po czym odwrócił się wzruszając ramionami i zaczął powoli iść.

Meralda ledwo mogła złapać oddech, bowiem pocałunek ten był wszystkim, o czym marzyła, i jeszcze czymś więcej. Czuła ciepło w żołądku i słabość w kolanach, a także mrowienie na całym ciele. Nieważne że Jaka, zawahawszy się na chwilę, zrobił z nią dokładnie to samo, co ona powiedziała Tori, że kobieta powinna zrobić mężczyźnie. Meralda nie była nawet w stanie o tym myśleć, zbyt pochłonięta rzeczywistością tego, co się właśnie stało i obietnicą, co może stać się dalej.

Ruszyła tą samą ścieżką, co wcześniej Tori, a jej podskoki były nie mniej pełne dziewczynskiej radości, jakby pocałunek Jaki uwolnił ją od więzów powściągliwości i godności, jakie niosło ze sobą bycie kobietą.

Meralda weszła do domu rozpromieniona. Rozszerzyła oczy widząc swą chorą matkę stojącą przy stole, radośniejszą niż widziała od tygodni. Biaste trzymała piękną suknię, w kolorze ciemnej szmaragdowej zieleni, z błyszczącymi klejnotami wszytymi w fastrygi.

– Och, będziesz najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziało Auckney, gdy to włożysz – powiedziała Biaste Ganderlay, a stojąca obok niej Tori wybuchła chichotem.

Meralda wpatrywała się w suknię wielkimi oczyma, po czym obróciła się, by popatrzeć na ojca, który stał z boku pomieszczenia, również się uśmiechając. Meralda zauważyła, że jego mina była jakoś bardziej napięta niż u Biaste.

– Ale mam, nie mamy pieniędzy – stwierdziła Meralda, choć była naprawdę zachwycona suknią. Podeszła, by pogładzić miękki materiał, myśląc jak bardzo Jaka chciałby ją w tym zobaczyć.

– Dar, nie kupiona – wyjaśniła Biaste, a Tori zachichotała jeszcze bardziej.

Mina Meraldy zmieniła się na zaciekawioną i popatrzyła na ojca w poszukiwaniu wyjaśnienia, lecz on, co dziwne, odwrócił wzrok.

– O co chodzi, mamó? – spytała dziewczyna.

– Masz zalotnika, moja dziewczynko – rzekła radośnie Biaste, odkładając suknię, by móc wyściskać swą córkę. – Och, sam lord chce cię gościć!

Meralda zawsze szanowała uczucia swej matki, zwłaszcza teraz, gdy kobieta była chora, cieszyła się więc, że głowa Biaste leżała na jej ramieniu i matka nie mogła widzieć oszołomionej i niezadowolonej miny, która przemknęła po twarzy jej córki. Tori widziała, lecz jedynie podniosła twarz ku Meraldzie i kilkakrotnie wydeła wargi w parodii pocałunku. Meralda popatrzyła na ojca, który spoglądał teraz na nią, lecz jedynie pokiwał uroczyście głową.

Biaste odsunęła ją na długość ramion.

– Och, moja mała dziewczynko – powiedziała. – Kiedy stałaś się taka piękna? Pomyśleć, że schwytałaś serce lorda Feringala.

Lorda Feringala. Meralda ledwo mogła złapać oddech, i to nie z radości. Ledwo знаła lorda Zamku Auck, choć widziała go przy wielu okazjach z oddali, zwykle gdy czyścił sobie paznokcie i wyglądał na znudzonego podczas uroczystych zgromadzeń na rynku miasteczka.

– On jest w tobie zakochany, dziewczyno – ciągnęła Biaste – i to mocno, według słów zarządcy.

Meralda zmusiła się do uśmiechu dla dobra matki.

– Niedługo po ciebie przyjadą – wyjaśniła Biaste. – Tak więc umyj się szybko. Później – dodała, przerywając, by przyłożyć dłoń do ust – później włożymy na ciebie tę suknię, i och, wszyscy mężczyźni będą ci padać u stóp.

Meralda poruszała się metodycznie, biorąc suknię i kierując się do swego pokoju z Tori następującą jej na pięty. Wszystko to wydawało się młodej kobiecie snem, i to nieprzyjemnym. Jej ojciec minął ją, idąc do jej matki. Usłyszała jak zaczynają rozmowę, lecz wszystkie słowa wydawały się jej przeinaczone i jedynym, co naprawdę usłyszała, był zachwyty Biaste: – Lord dla mojej dziewczynki!

* * *

Auckney nie było dużym miejscem i choć jego domy nie były skupione blisko siebie, ludzie zdecydowanie pozostawali w zasięgu krzyku. Nie potrzeba było wiele czasu, aby rozniosła się wieść o umowie między lordem Feringalem a Meralda Ganderlay.

Jaka Sculi dowiedział się prawdy o wizycie zarządcy lorda Feringala, zanim jeszcze zdążył zjeść owego wieczora kolację, zanim słońce dotknęło zachodniego horyzontu.

– Pomyśleć, że ktoś o jego pozycji zniży się na tyle, by dotknąć kogoś takiego jak ta chłopka – zauważyła wiecznie pesymistyczna matka Jaki głosem o wciąż silnym chłopskim akcencie dawno opuszczonej ojczyzny w Królestwach Klingi. – Ach na zgubę świata!

– Złe wieści – zgodził się wujek Jaki, osiwiwały starzec, który wydawał się widzieć zbyt wiele świata.

Jaka również uważał to za okropny bieg wypadków, choć ze zdecydowanie odmiennego powodu – przynajmniej sądził, że jego gniew pochodzi z innego źródła, nie był bowiem pewien powodu, dla którego jego matka i wujek byli tak zdenerwowani informacją, a jego mina wyraźnie ujawniała jego zmieszanie.

– Każdy ma swoją pozycję – wyjaśnił jego wujek. – Jasno wytyczoną linię, której się nie przekracza.

– Lord Feringal sprowadzi hańbę na swoją rodzinę – powiedziała jego matka.

– Meralda jest wspaniałą kobietą – Jaka sprzeciwił się, zanim zdołał utrzymać słowa w sekrecie.

– Jest chłopką, jak my wszyscy – szybko wytłumaczyła jego matka. – Mamy swoje miejsce, a lord Feringal ma swoje. Och, ludzie cieszą się z wieści, bez wątplenia, myślą że zaczerpną własnej nadziei z dobrego losu Meraldy, ale nie znają prawdy.

– Jakiej prawdy?

– Wykorzystają do niedobrych celów – przepowiedziała jego matka. – Z siebie zrobi głupca, a z dziewczyny wszetecznicę.

– A po wszystkim będzie załamana albo martwa, zaś lord Feringal straci wszelkie łaski sobie równych – dodał jego wujek. – Złe wieści.

– Dlaczego sądzą, że mu się podda? – spytał młodzieniec, starając się mocno, by w jego ton nie wkradła się desperacja.

Jego matka i wujek jedynie się roześmieli, słysząc to pytanie. Jaka aż nazbyt dobrze rozumiał, co mają na myśli. Feringal był lordem Auckney. Jakże Meralda mogła mu odmówić?

To było więcej niż biedny, wrażliwy Jaka mógł znieść. Walnął mocno pięścią w stół i odsunął krzesło. Wstając, szybko skontrolował zdumiony wzrok matki i wujka spojrzeniem pełnym czystej wściekłości. Następnie Jaka odwrócił się na pięcie i wypadł z pomieszczenia, trzaskając za sobą drzwiami.

Zanim zdał sobie w ogóle z tego sprawę, biegł, a jego myśli wirowały. Jaka szybko dotarł na wzniesienie, małą stertę głązów tuż nad błotnistym polem, na którym pracował wcześniej tego dnia, miejscem dającym mu wspaniały widok na zachód słońca, a także na dom Meraldy. W oddali, na południowym zachodzie, ujrzał zamek i wyobraził sobie wspaniały powóz posuwający się miarowo drogą z Meralda w środku.

Jaka poczuł jakby wielki ciężar uciskał mu pierś, jakby wszelkie ograniczenia jego nędznej egzystencji stały się nagle namacalnymi ścianami, zbliżającymi się coraz bardziej. Przez ostatnie kilka lat Jaka usilnie starał się zyskać odpowiednią osobowość, odpowiednią pozę i odpowiednie zachowanie, by zdobyć serce każdej młodej damy. Teraz zjawił się ten głupi szlachcic, ten ślicznie umalowany i uperfumowany fircyk bez żadnych praw do reputacji poza stanem, w którym się urodził, żeby zabrać Jace sprzed nosa wszystko, co sobie wyhodował.

Jaka nie widział oczywiście sytuacji w tak jasny sposób. Dla niego wydawało się to dość oczywistą prawdą: straszliwą niesprawiedliwością wyrządzoną mu po prostu z powodu jego stanu, czy też jego braku, z powodu jego urodzenia. Ponieważ ci żałośni wieśniacy z Auckney nie znali prawdy o nim, wielkości, jaka leżała w jego wnętrzu, ukryta pod brudem pól i torfowych bagien.

Oszalały młodzieniec przejechał dłońmi po brązowych lokach i westchnął głęboko.

* * *

– Najlepiej wszystko wymyj, bo nie wiesz, co lord Feringal będzie oglądał – drażniła się Tori. Przejechała szorstkim ręcznikiem po plecach Meraldy, gdy jej siostra siedziała skulona jak kot w parującej gorącej kąpieli.

Meralda odwróciła się na te słowa i prysnęła Tori wodą w twarz. Chichot młodszej dziewczyny ucichł nagle, gdy ujrzała ponurą minę na twarzy Meraldy.

– Ja wiem, co lord Feringal będzie oglądał, nie martw się – Meralda upewniła swą siostrę. – Jeśli chce tej sukni z powrotem, będzie musiał się tu zjawić, by ją zabrać.

– Odmówisz mu?

– Nawet go nie pocałuję – nalegała Meralda i uniosła w górę ociekającą pięść. – Jeśli spróbuje

mnie pocałować, ja...

– Będziesz grać rolę damy – dobiegł głos jej ojca. Obydwie dziewczyny popatrzyły na zasłonę i ujrzały, że mężczyzna wchodzi do pokoju. – Wyjdź – polecił Tori. Dziewczyna wystarczająco dobrze знаła ten ton, by posłuchać bez pytania.

Dohni Ganderlay postął w drzwiach chwilę dłużej, by upewnić się, że nazbyt ciekawska Tori rzeczywiście się oddaliła, po czym przeszedł na bok kadzi i podał Meraldzie suchy ręcznik, by mogła się wytrzeć. Mieszkali w małym domu, w którym skromność była bezcelowa, tak więc Meralda nie była ani trochę zawstydzona wychodząc z kąpieli, choć owinęła się ręcznikiem, zanim usiadła na stołku obok.

– Nie cieszy cię obrót wydarzeń – zauważył Dohni.

Wargi Meraldy zwęziły się i pochyliła się, by nerwowo zatrzepać dłonią w zimnej wodzie.

– Nie podoba ci się lord Feringal?

– Nie znam go – odparła młoda kobieta – a on nie zna mnie. Ani trochę!

– Ale chce cię poznać – spierał się Dohni. – Powinnaś wziąć to za największy komplement.

– A wzięcie czegoś za komplement oznacza poddanie się komplementującemu? – Meralda spytała ze zgryźliwym sarkazmem. – Nie mam wyboru w tej kwestii? Lord Feringal cię chce, więc idź?!

Jej nerwowe rozpryskiwanie wody stało się pełne gniewu i przypadkowo posłana mała fala wylała się na Dohniego Ganderlaya. Młoda kobieta zrozumiała, że to nie wilgoć, lecz jej zachowanie sprowokowało jego nieoczekiwaną, gwałtowną reakcję. Chwytał ją silną dłonią za nadgarstek i pociągnął, obracając Meraldę do siebie.

– Nie – odpowiedział bezceremonialnie. – Nie masz wyboru. Feringal jest lordem Auckney, człowiekiem o wielkich możliwościach, człowiekiem, który może nas wyciągnąć z kurzu.

– Może wolę być zakurzona – zaczęła mówić Meralda, lecz Dohni Ganderlay szybko jej przerwał.

– Człowiekiem, który może wyleczyć twoją matkę.

Bardziej ją oszołomił tymi sześcioma słowami niż gdyby zwinął swą wielką pięść w ciasną kulę i uderzył Meraldę mocno w twarz. Wpatrywała się w ojca z niedowierzaniem, na zdesperowaną, niemal dziką minę na jego zwykle stoickiej twarzy, i była naprawdę, naprawdę wystraszona.

– Nie masz wyboru – powtórzył z wymuszoną monotonią. – Twoja matka choruje na wędnicie i zapewne nie ujrzy następnej wiosny. Pójdiesz do lorda Feringala i odegrasz rolę damy. Będziesz się śmiać z jego dowcipów i wychwalać jego wielkość. Zrobisz to dla swojej mamy – skończył po

prostu, głosem pełnym poczucia klęski. Gdy odwrócił się i wstał, Meralda dostrzegła błysk wilgoci w kąćniku jego oka i zrozumiała.

Wiedza, jak straszliwą rzeczą było to wszystko dla jej ojca, pomogła młodej kobiecie przygotować się na wieczór, pomogła pogodzić się z tym zgoła okrutnym biegiem wydarzeń, w jaki wtłoczył ją los.

Słońce wisiało nisko, a niebo stawało się granatowe. Powóz sunął pod nim w drodze do nędznego domu Meraldy. Wyszła przez drzwi i nawet z tej odległości Jaka widział, jak pięknie wyglądała, jak jakiś lśniący klejnot szydzący sobie z mroku zmierzchu.

Jego klejnot. Sprawiedliwa nagroda za piękno, które było w nim, nie kupiony prezent dla zepsutego lorda Auckney.

Wyobraził sobie lorda Feringala wyciągającego dłoń z powozu, dotykającego jej i pieszczącego, gdy wsiadała do środka, by do niego dołączyć. Obraz ten sprawiał, że chciał wrzeszczeć na niesprawiedliwość tego wszystkiego. Powóz potoczył się drogą w stronę odległego zamku z Meraldą wewnątrz, dokładnie tak jak wyobrażał sobie wcześniej. Jaka nie mógłby się czuć bardziej obrabowany nawet gdyby lord Feringal sięgnął mu do kieszeni i zabrał ostatnią monetę.

Siedział pogrążony w rozpacz na torfowym wzgórzu przez długi, długi czas, co i rusz przejeżdżając dłońmi po włosach i przeklinając nierówności w tym nędznym życiu. Był tak zajęty sobą, że całkowicie zaskoczył go nagły dźwięk głosu młodej dziewczyny.

– Wiedziałam, że gdzieś tu będziesz.

Jaka otworzył swe rozmarzone, wilgotne oczy i ujrzał wpatrującą się w niego Tori Ganderlay.

– Wiedziałam – droczyła się dziewczynka.

– Co wiedziałaś?

– Usłyszałeś o kolacji mojej siostry i musiałeś sam sprawdzić – stwierdziła Tori. – I wciąż czekasz i obserwujesz.

– Twojej siostry? – powtórzył tępo Jaka. – Przychodzę tu każdego wieczora – wyjaśnił.

Tori odwróciła wzrok od niego, by spojrzeć na domy, na swój własny dom, na światło ognia przeświecające jasno przez okno.

– W nadziei, że zobaczysz przez okno Meraldę nago? – spytała chichocząc.

– Przychodzę tu sam w nocy, aby odejść od ognia i światła – odparł stanowczo Jaka. – Odejść od męczących ludzi, którzy nie potrafią zrozumieć.

– Zrozumieć czego?

– Prawdy – młodzieniec odpowiedział zagadkowo, w nadziei, że zabrzmie to głęboko.

– Prawdy o czym?

– Prawdy o życiu – odrzekł Jaka.

Tori spoglądała na niego długo i stanowczo, wykrzywiając twarz, gdy starała się odcyfrować jego słowa. Popatrzyła z powrotem na swój dom.

– Ba, sądzę, że chcesz jedynie zobaczyć Meraldę nago – powtórzyła, po czym w podskokach ruszyła ścieżką z powrotem do domu.

Czyż nie zabawiałaby się z Meraldą jego kosztem, pomyślał Jaka. Wydobył z siebie kolejne głębokie westchnięcie, po czym odwrócił się i odszedł ku jeszcze ciemniejszym polom, wyżej na zboczu.

– Paskudne życie! – wykrzyknął, podnosząc ręce do wschodzącego księżyca w pełni. – Paskudne, paskudne, opuść mnie teraz, śmiertelna doło! Jakimż okrutnym losem jest żyć i patrzeć jak nie zasługujący na to me łupy zabiera. Gdy sprawiedliwość w wilczym dole spoczywa. Gdy miarą wartości dziedzictwo jest. Och, lord Feringal karmi się z szyi Meraldy. Paskudne życie, opuść mnie!

Zakończył improwizowany poemat padając na kolana i ściskając zapłakaną twarz. Tak rozpacział przez długą, długą chwilę.

Gniew zastąpił litość wobec samego siebie i Jaka wstał z nową linijką na zakończenie swego wiersza.

– Gdy sprawiedliwość w wilczym dole spoczywa – wyrecytował głosem drżącym z wściekłości. – Gdy miarą wartości dziedzictwo jest – teraz uśmiech wpełzł na jego niezaprzeczalnie przystojne rysy. – Paskudny Feringal karmi się z szyi Meraldy, lecz nie zdobędzie dziewictwa jej!

Jaka podniósł się niezgrabnie i spojrział znów w księżyc.

– Przysięgam – powiedział z warkotem, po czym wymruczał dramatycznie: – Paskudne życie – po raz ostatni i ruszył do domu.

Meralda spędziła wieczór ze stoickim spokojem, grzecznie odpowiadając na pytania i uważając, by unikać bezpośredniego spojrzenia wyraźnie niezadowolonej lady Priscilli Auck. Odkryła, że trochę, lubi zarządcę. Temigasta, głównie dlatego, że starzec podtrzymywał konwersacje, opowiadając wiele ciekawych historii ze swej przeszłości i o poprzednim lordzie zamku, ojcu Feringala. Temigast ustalił nawet system znaków z Meraldą, aby pomóc jej zrozumieć jakiego elementu srebrnej zastawy powinna użyć do różnych dań.

Choć wciąż nie robił na niej wrażenia młody lord Auckney, siedzący naprzeciwko niej i nieustannie się w nią wpatrujący, młoda kobieta nie mogła zaprzeczyć swemu podziwowi dla wspaniałej uczy, jaką ułożyli przed nią słudzy. Czy w ten sposób jadano codziennie w zamku Auck – młode gołębie i ryby, ziemniaki i algi morskie – smakołyki, których Meralda nigdy dotąd nie próbowała?

Za namową lorda Feringala, po kolacji cała grupa przeniosła się do salonu, wygodnej, pozbawionej okien, kwadratowej komnaty pośrodku parterowej kondygnacji zamku. Grube ściany zatrzymywały chłodny oceaniczny wicher, a masywny kominek, płonący ogniem wielkim jak wioskowe ognisko, dodawał przytulności temu miejscu.

– Może chciałabyś więcej zjeść – zaproponowała Priscilla, lecz w jej głosie nie było śladu szczodrości. – Służąca może coś przynieść.

– Och nie, moja pani – odparła Meralda. – Nie zjadłabym już nawet kęska.

– W istocie – powiedziała Priscilla – lecz na właściwej kolacji sobie pofolgowałaś, czyż nie? – spytała, a na jej brzydkiej twarzy malował się słodki, fałszywy uśmiech. Meraldzie się wydawało, że w porównaniu ze swą siostrą lord Feringal był niemal czarujący. Niemal.

Wtedy weszła służąca, niosąc tacę zwięzających się do góry kieliszków wypełnionych brązowym płynem, którego Meralda nie rozpoznawała. Wzięła swój kielich, zbytnio bojąc się odmówić, i po toaście oraz zachęcającym geście Temigasta podniosła go, wypijając porządny łyk. Młoda kobieta niemal zakrzuszyła się od palącego uczucia, które podążyło jej przełykiem w ślad za płynem.

– Nie połykamy tu takich ilości brandy – zauważyła cierpko Priscilla. – To chłopski zwyczaj.

Meralda poczuła się jakby chciała wpełznąć pod gruby dywan. Marszcząc w jej stronę nos lord Feringal nie był zbyt pomocny.

– Bardziej zwyczaj kogoś, kto nie jest przyzwyczajony do mocnego napitku – wtrącił Temigast, idąc Meraldzie na pomoc. – Malutkie łyeczki, moja droga. Nauczysz się, choć możesz nigdy nie polubić tego wyjątkowego trunku. Ja sam jeszcze nie polubiłem.

Meralda uśmiechnęła się i skinieniem głowy podziękowała w milczeniu starcowi, który znów rozładował napięcie, i nie ostatni raz. Czując się lekko podchmielona, Meralda wyłączyła się z rozmowy, nieświadoma obosiecznych uwag Priscilli i spojrzeń lorda Feringala. Jej umysł odpłynął i znalazła się obok Jaki Sculi – być może na zalanym światłem księżycy polu, albo wręcz w tym pokoju. Jakże wspaniałym miejscem by było, z tym gęstym dywanem, wielkim ogniem i tym rozgrzewającym trunkiem, gdyby zamiast tego okropnego rodzeństwa Auck miała tu towarzystwo swego drogiego Jaki.

Głos Temigasta przeniknął jej mgłę, przypominając lordowi Feringalowi, że obiecali odwiedzić

młoda damą o pewnej porze, i że owa godzina szybko się zbliżała.

– A więc kilka chwil na osobności – odparł Feringal. Meralda próbowała nie wpaść w panikę.

– Niezbyt stosowna prośba – wtrąciła się Priscilla. Popatrzyła na Meraldę i zachichotała nieprzyzwoicie. – Oczywiście coś złego mogłoby się stać?

Siostra Feringala wyszła, podobnie jak Temigast. Idąc do drzwi stary zarządca poklepał Meraldę uspokajająco po ramieniu.

– Ufam, że będziesz się zachowywał jak dżentelmen, mój lordzie – powiedział do Feringala – jak nakazuje twoja pozycja. Niewiele jest na tym szerokim świecie kobiet równie pięknych jak lady Meralda. – Uśmiechnął się do kobiety. – Każę postawić powóz pod drzwi frontowe.

Meralda dostrzegła, że starzec był jej sojusznikiem, bardzo mile widzianym sojusznikiem.

– To był wspaniały posiłek, czyż nie? – spytał lord Feringal, przemieszczając się szybko na fotel obok Meraldy.

– Och tak, mój lordzie – odparła, opuszczając wzrok.

– Nie, nie – skarcił ją Feringal. – Musisz mnie nazywać lordem Feringalem, nie „moim lordem”.

– Tak, mój... lordzie Feringalu. – Meralda starała się trzymać odwrócony wzrok, lecz mężczyzna był zbyt blisko, zbyt imponujący. Popatrzyła na niego i trzeba mu przyznać, że oderwał wzrok od jej piersi i spojrzał jej w oczy.

– Ujrzałem cię na drodze – wyjaśnił. – Musiałem cię poznać. Musiałem cię znów zobaczyć. Nigdy nie istniała piękniejsza kobieta.

– Och, mój... lordzie Feringalu – powiedziała i znów odwróciła wzrok, bowiem przysuwał się jeszcze bliżej, zdecydowanie za blisko, jak na gust Meraldy.

– Musiałem cię zobaczyć – powtórzył, głosem cichym jak szept, lecz był wystarczająco blisko, by Meralda usłyszała go wyraźnie i poczuła jego gorący oddech na swym uchu.

Meralda walczyła usilnie, by zdusić panikę, gdy grzbiet dłoni Feringala gładził ją delikatnie po policzku. Następnie ujął jej podbródek i obrócił jej twarz w swoją stronę. Z początku pocałował ją delikatnie, a następnie, pomimo faktu, że niezbyt odwzajemniała pocałunek, bardziej natarczywie, nawet wstając z fotela, by nachylić się nad nią. Gdy naciskał i całował, Meralda myślała o Jace oraz swej chorej matce i tolerowała to, nawet gdy jego dłoń nakryła miękki materiał na jej piersi.

– Przepraszam, lordzie Feringalu – dobiegł od drzwi głos Temigasta. Czerwieniejąc, młodzieniec odsunął się i wstał, by spojrzeć na zarządcę.

– Powóz czeka – wyjaśnił Temigast. – Nadszedł czas, by lady Meralda wróciła do swego domu. – Meralda niemal wybiegła z pomieszczenia.

– Znow po ciebie poślę – lord Feringal powiedział za nią. – I to wkrótce, bądź pewna.

Gdy powóz przejechał przez most oddzielający Zamek Auck od kontynentu, Meralda zdołała zwolnić trochę bicie serca. Rozumiała swój obowiązek wobec rodziny, wobec chorej matki, lecz czuła się jakby chciała zemdleć, albo zwymiotować. Czy ta okropna Priscilla nie bawiłaby się świetnie, gdyby odkryła, że ta wieśniaczka zwymiotowała w złoconym powozie?

Kilometr później, wciąż źle się czując i pragnąc pozbyć się tego stroju, Meralda wychyliła się przez okno karety.

– Zatrzymaj się! Och proszę, zatrzymaj się! – wrzasnęła do woźnicy. Powóz zaczął zwalniać, lecz jeszcze zanim zdołał się całkowicie zatrzymać, młoda kobieta otworzyła gwałtownie drzwi i wy dostała się na zewnątrz.

– Moja pani, mam zawieźć cię do twego domu – powiedział Liam Woodgate, zeskakując obok Meraldy.

– I zawiozłeś – odparła młoda kobieta. – Wystarczająco blisko.

– Ale przed tobą długa ciemna droga – zaprotestował gnom. – Zarządca Temigast wyrwałby mi serce gdyby...

– Nigdy się nie dowie – obiecała Meralda. – Nie bój się o mnie. Chodzę tą drogą co wieczór i znam każdy krzak, każdy kamień i każdą osobę w każdym domu między tym miejscem a moim własnym.

– Ale... – gnom zaczął się spierać, lecz Meralda minęła go, rzuciła mu wyrażający pewność siebie uśmiech i pomknęła w ciemność.

Powóz podążał za nią krótko, lecz po chwili, najwyraźniej przekonawszy się, że kobieta rzeczywiście zna ten teren na tyle dobrze, by być bezpieczna, Liam zawrócił i pomknął z powrotem.

Noc była zimna, lecz nie za bardzo. Meralda zboczyła z drogi, przechodząc na ciemne, leżące wyżej pola. Miała nadzieję znaleźć tam Jakę, czekającego na nią tak jak się umówili, lecz miejsce było puste. Sama w ciemnościach Meralda czuła się jakby była jedyną osobą na całym świecie. Pragnąc zapomnieć o dzisiejszym wieczorze, zapomnieć o lordzie Feringalu i jego okropnej siostrze, zdarła z siebie suknię, chcąc pozbyć się tej zbytkownej rzeczy. Dziś wieczorem wieszczyła ze szlachtą, i nie licząc jedzenia oraz być może ciepłego napitku, nie była pod wrażeniem. Ani trochę.

Mając na sobie jedynie prostą bieliznę, młoda kobieta przemieszczała się przez zalane światłem

księżycą pole, z początku idąc, lecz gdy myśli o Jace Sculim wymazały aż nazbyt świeży obraz lorda Feringala, jej krok zelżał najpierw do podskoków, a później do tańca. Meralda wyciągała ręce, by chwycić spadającą gwiazdę, wirowała podążając za jej ogonem, przewracając się następnie na pośladki w miękką trawę i błoto, śmiejąc się przez cały czas i myśląc o Jace.

Nie wiedziała, że była niemal dokładnie w tym samym miejscu, co wcześniej Jaka. Miejscu, w którym Jaka wypluwał swe protesty do niesłyszającego boga, w którym krzychał przeciwko niesprawiedliwości tego wszystkiego, w którym wołał do swego życia, by go opuściło i w którym przysiągł skraść Meraldzie dziewictwo, jedynie po to, by się upewnić, że nie dostanie go lord Feringal.

W CIASNYCH RAMACH

– Gdzie położyłeś to cholerstwo? – sfrustrowany Arumn Gardpeck spytał Josiego Puddlesa następnego poranka. – Wiem że to ty go wzięłeś, więc mnie nie okłamuj.

– Ciesz się, że go wzięłem – odparł nie skruszony Josi, kiwając Arumnowi palcem przed twarzą. – Wulfgar rozwaliliby to miejsce w drzazgi, gdyby miał młot w rękach.

– Ba, jesteś głupcem, Josi Puddlesie – odrzekł Arumn. – Wyszędłby bez walki.

– Tak mówisz – zripostował Josi. – Zawsze tak mówisz, zawsze bierzesz jego stronę, choć sprawiał jedynie same kłopoty, tobie i wszystkim, którzy byli ci lojalni. Co dobrego zrobił dla ciebie Wulfgar, Arumnie Gardpecku? Co dobrego kiedykolwiek?

Arumn zmrużył oczy i przyjrzał się stanowczo mężczyźnie.

– I każda walka, jaką zatrzymywał była tą, którą zaczął – dodał Josi. – Ba, nie ma go i dobrze dla niego, oraz dobrze dla nas wszystkich.

– Gdzie wsadziłeś młot? – znów naciskał Arumn.

Josi rozłożył ręce i odwrócił się, lecz Arumn nie pozwolił mu tak łatwo się wywinąć. Chwytał niskiego mężczyznę za bark i obrócił go gwałtownie.

– Już cię dwa razy pytałem – powiedział ponuro. – Nie zmuszaj mnie, bym to zrobił po raz trzeci.

– Nie ma go – odrzekł Josi. – Po prostu nie ma, jest tak daleko, że Wulfgar nie mógł go przywołać.

– Nie ma? – powtórzył Arumn. Jego twarz przybrała chytry wyraz, znał bowiem Josiego na tyle, by wiedzieć, że nie wyrzucił po prostu cudownej broni do oceanu. – A jak wiele za niego dostałeś?

Josi wyjąkał coś w proteście, zamachał ręką i znów się zająknął, co jedynie wzmocniło podejrzenia Arumna.

– Idź po niego, Josi Puddlesie – polecił oberżysta. Oczy Josiego rozszerzyły się.

– Nie mogę... – zaczął mówić, lecz Arumn chwycił go za bark oraz tylną część spodni i

pospieszył z nim do drzwi.

– Idź po niego – powtórzył Arumn, jego stanowczy ton nie pozostawiał miejsca na dyskusje – i nie wracaj do mnie, dopóki nie będziesz miał młota w rękę.

– Ale ja nie mogę – zaprotestował Josi. – Nie z tą załogą.

– Więcej nie jesteś tu już mile widziany – powiedział Arumn, wypychając Josiego przez drzwi na ulicę. – Ani trochę, Josi Puddlesie. Wróć z młotem albo nie wracaj wcale! – Zatrzęsł drzwi, zostawiając oszołomionego Josiego na ulicy.

Oczy chudego mężczyzny błysnęły dookoła, jakby spodziewał się, że pojawią się jakieś zbiry, żeby go obrabować. Miał poważne powody do zmartwienia. Cutlass Arumna był głównym miejscem powiązań Josiego, a w pewnym sensie jego źródłem ochrony na ulicach. Niewielu kłopotalo się Josim, głównie dlatego, że nie był wart, by się nim kłopotać, lecz częściowo także dlatego, że nękany Josi zamknąłby drogi do Cutlassa, cenionego miejsca.

Josi zrobił sobie wielu wrogów na ulicy, a gdy rozniesie się wieść, że on i Arumn się poróżnili...

Musiał wrócić do łask Arumna, lecz gdy rozważył stojące przed nim niezbędne do tego zadanie, ugięły mu się kolana. Aegis-fanga sprzedał tanio paskudnej piratce w nędznej spelunie, miejscu, które odwiedzał tak rzadko, jak to możliwe. Oczy Josiego wciąż błyskały naokoło, rozglądając się po Ulicy Półksiężycy i zaułkach prowadzących do prywatnej i sekretnej meliny przy dokach. Wiedział, że Sheeli Kree jeszcze tam nie będzie. Będzie na swoim statku, Skaczącej Damie. Nazwa odnosiła się do wizerunku Sheeli Kree skaczącej ze swego okrętu na nieszczęsne ofiary, z zakrwawioną szablą w dłoni. Josi zadrzał na myśl o spotykaniu się z nią na tym samym pokładzie, na którym podobno torturowała dziesiątki niewinnych osób, doprowadzając ich do straszliwej śmierci. Nie, uznał, zaczeka, by spotkać się z nią w spelunie, miejscu trochę bardziej publicznym.

Mały mężczyzna przeszukał kieszenie. Wciąż miał całe złoto, którym Sheela zapłaciła mu za Aegis-fanga oraz kilka własnych monet.

Długo nad tym myślał, może nie wystarczająco, lecz gdy przyjaźń z Arumnem wisiała na włosku, musiał spróbować.

* * *

– Wspaniale jest być z tobą – powiedziała Delly Curtie, przesuwając dłonią po wielkim, nagim barku Wulfgara, co wywołało grymas wielkiego mężczyzny. Ów bark, podobnie jak każda inna część

jego ciała, nie uciekła przed poobijaniem w Cutlassie.

Wulfgar wymamrotał coś niezrozumiałego i wstał z łóżka, a choć dłonie Delly wciąż go pieściły, dalej ignorował jej dotyk.

– Jesteś pewien, że chcesz już iść? – kobieta spytała uwodzicielsko.

Wulfgar odwrócił się, by na nią popatrzeć, rozciągniętą ospale na wymiętym łóżku.

– Taa, jestem pewien – mruknął wciągając ubranie i skierował się do drzwi.

Delly zaczęła za nim wołać, lecz przerwała błagania. Chciała go złajać, lecz to też powstrzymała, rozumiejąc bezowocność tego, co chciała zrobić, i wiedząc, że ostre słowa nie zdołają osłonić jej rany. Nie tym razem. Poszła do Wulfgara poprzedniej nocy, zaraz gdy Arumn zamknął drzwi, co miało miejsce niedługo po tym, jak walka zniszczyła Cutlassa. Delly wiedziała, gdzie znaleźć bezdomnego teraz mężczyznę, bowiem Morik miał niedaleko pokój.

Jakże była podekscytowana, gdy Wulfgar wziął ją do środka, pomimo protestów Morika. Pozwoliła sobie znów opuścić osłony, spędziła bowiem noc w ramionach Wulfgara, marząc o ucieczce ze swego żalosego życia z tym bohaterskim mężczyzną. Mogli, być może, uciec z Luskan i wrócić do dzikiej Doliny Lodowego Wichru, gdzie mogła mu wychowywać dzieci jako jego prawdziwa żona.

Oczywiście poranek – czy raczej wczesne popołudnie – pokazało jej prawdę tych marzeń w formie mrukliwego odrzucenia.

Leżała teraz na łóżku, czując się pusta i samotna, bezbronna i bezradna. Choć sytuacja między nią a Wulfgarem była ostatnio bolesna, sam fakt że wciąż był w pobliżu pozwalał jej trzymać się marzeń. Gdyby Wulfgara nie było już blisko niej, Delly zostałaby bez jakichkolwiek szans na ucieczkę.

– Spodziewałaś się czegoś innego? – dobiegło pytanie od Morika, jakby łotrzyk czytał w jej myślach.

Delly rzuciła mu smutne, kwaśne spojrzenie.

– Powinnaś już do tej pory nauczyć się, czego się po nim spodziewać – stwierdził Morik, podchodząc, by usiąść na łóżku. Delly zaczęła naciągać okrycia, lecz przypomniała sobie, że to tylko Morik, a on dość dobrze wiedział, jak ona wygląda.

– Nigdy nie da ci tego, czego naprawdę pragniesz – dodał Morik. – Zbyt wiele brzemion zaciemnia mu umysł, zbyt wiele zapamiętanego bólu. Gdyby otworzył się przed tobą tak, jak masz nadzieję, zapewne zabiłby cię przez pomyłkę.

Delly popatrzyła na niego jakby nie rozumiejąc. Niezbyt zdziwiony, Morik jedynie uśmiechnął się i powtórzył:

– Nigdy nie da ci tego, czego naprawdę pragniesz.

– A Morik da? – Delly zapytała z wyraźnym sarkazmem. Łotrzyk roześmiał się na tę myśl.

– Nie bardzo – przyznał – ale przynajmniej mogę ci to powiedzieć otwarcie. Poza moim słowem, bo nie jestem szczerym mężczyzną i nie chcę szczerzej kobiety. Moje życie należy do mnie, nie chcę, by kłopotowało mnie dziecko albo żona.

– Brzmi samotnie.

– Brzmi swobodnie – Morik sprostował ze śmiechem. – Ach, Delly – powiedział, wyciągając rękę, by przejechać dłonią po jej włosach. – Życie byłoby dla ciebie przyjemniejsze, gdybyś pławiła się w obecnych radościach, nie obawiając się o przyszłość.

Delly Curtie oparła się o ramę łóżka, zastanawiając się nad tymi słowami i nie znajdując żadnej rozsądnej odpowiedzi.

Morik wziął to za przyzwolenie i usiadł na łóżku obok niej.

* * *

– Dam ci tyle, mój piszczący mały przyjacielu, za proponowane monety – powiedziała awanturница Sheela Kree, stukając płazem głowicy Aegis-fanga. Zerwała się do gwałtownego ruchu, który posłał młot bojowy łukiem nad jej głową, by uderzyć w środek stolika oddzielającego ją od Josiego Puddlesa.

Nagle Josi zdał sobie sprawę, że pomiędzy nim a okrutną piratką jest tylko puste powietrze, bowiem stół rozsypał się w drzazgi na podłodze.

Sheela Kree uśmiechnęła się paskudnie i uniosła Aegis-fanga. Wydawszy z siebie pisk, Josi zerwał się i wybiegł przez drzwi, na wilgotne, słone nocne powietrze. Usłyszał za sobą eksplozję, gdy ciśnięty młot zetknął się potężnie z węgiem, a później usłyszał wycie ze śmiechu licznych zgromadzonych w środku podrzynaczy gardeł.

Josi nie oglądał się za siebie. Tak naprawdę, gdy skończył biec, opierał się już o ścianę Cutlassa, zastanawiając się, jak, na Dziewięć Piekieł, ma wyjaśnić sytuację Arumnowi.

Wciąż dyszał, by odzyskać miarowy oddech, gdy dostrzegł Delly Curtie idącą szybko ulicą, owinąwszy się ciasno szalem. Normalnie nie wracałaby do Cutlassa tak późno, bowiem lokal roiłby się już od klientów, chyba że miała jakieś polecenie od Arumna. Jej dłonie były puste, nie licząc fałd szala, więc Josi nie miał większych problemów z odgadnięciem, skąd wracała, a przynajmniej kogo odwiedziła.

Gdy się zbliżyła, niski mężczyzna usłyszał jej łkanie, co jedynie potwierdziło, że Delly poszła zobaczyć się z Wulfgarem, że barbarzyńca jeszcze bardziej zranił jej serce.

– Dobrze się czujesz? – mężczyzna zapytał, wchodząc jej w drogę. Delly podskoczyła zaskoczona, nieświadoma że Josi tam stał. – Co cię boli? – Josi spytał delikatnie, podchodząc bliżej i podnosząc dłonie, by poklepać Delly po ramionach, uważając, że może wykorzystać tę chwilę bólu i wrażliwości na własną korzyść, by w końcu zaciągnąć do łóżka kobietę, o której fantazjował od lat.

Delly, pomimo płaczu i przybitej miny, gwałtownie się od niego odsunęła. Spojrzenie, jakim odpowiedziała nie miało w sobie pożądania, ani nawet przyjaźni.

– On cię rani, Delly – Josi odezwał się cicho i uspokajająco. – On cię rani, a ja mogę ci pomóc lepiej się poczuć.

Delly zaśmiała się otwarcie.

– To ty to wszystko ustawiłeś, czyż nie, Josi Puddlesie? – oskarżyła. – Jakże jesteś szczęśliwy, że wygnałeś Wulfgara.

Zanim Josi mógł zacząć odpowiadać, kobieta przemknęła obok niego i znikła w Cutlassie, miejscu do którego Josi nie mógł za nią podążyć. Stał na pustej ulicy, w mroku nocy, nie mając dokąd pójść i z kim porozmawiać. Za wszystko to winił Wulfgara.

Josi Puddles spędził tę noc wałęsając się po zaułkach i melinach najgorszych części Luskan. Nie wypowiedział do nikogo słowa podczas ciemnych godzin, lecz nasłuchiwał bacznie, zawsze zachowując czujność. Ku swemu zaskoczeniu, usłyszał coś ważnego i niegroźnego. Była to interesująca opowieść związana z Morikiem Łotrem i jego wielkim barbarzyńskim przyjacielem, a także z pokaznym kontraktem za wyeliminowanie kapitana pewnego statku.

ROZDZIAŁ 6

ALTRUIZM

O, lordzie Dohni, będę się skłaniać, póki twarz nie pokryje mi się ziemią – stary dziwak powiedział do Dohniego Ganderlaya następnego poranka na polu. Wszyscy ludzie i gnomy zebrani wokół Dohniego wybuchnęli kpiącym śmiechem.

– Winienem teraz tobie bezpośrednio płacić dziesięcinę? – spytał inny. – Trochę tego i tamtego jadło dla świniaka i świniaka samego?

– Tylko tylną część świniaka – rzekł pierwszy. – Ty możesz zatrzymać przód.

– Zatrzymujesz część, która zjada ziarno, a nie napęczniałą część, która je trzyma na posiłek – powiedział gnom o spiczastym nosie. – Czy to nie brzmi jak myślenie szlachcica?!

Znów wybuchnęli śmiechem. Dohni Ganderlay mocno choć nieskutecznie starał się dołączyć. Rozumiał oczywiście ich radość. Ci chłopcy nie mieli większej szansy na podniesienie się z wykopywanego przez siebie błota, lecz teraz, nagle i nieoczekiwanie, wydało się, że los rodziny Ganderlayów mógł się zmienić, jakby jeden spośród ich grona mógł się wspiąć po tej niemożliwej drabinie.

Dohni mógłby zaakceptować ich droczenie, mógłby dołączyć się ze szczerym śmiechem, a nawet dodać parę własnych złośliwości, gdyby nie jeden niewygodny fakt, jedna prawda, która dręczyła go przez całą bezsenność i cały poranek: Meralda nie chciała pójść. Gdyby dziewczyna wyraziła jakieś uczucia, pozytywne uczucia, wobec lorda Feringala, to Dohni byłby jednym z najszcześliwszych ludzi na ziemiach północy. Znał prawdę i nie mógł pozbyć się poczucia winy. Z tego powodu dokuczliwe uwagi silnie się w niego wgryzały tego deszczowego poranka na błotnistym polu, uderzając w odsłonięte nerwy, których jego przyjaciele zupełnie nie byli w stanie zrozumieć.

– A więc, kiedy przeprowadzasz się z rodziną do zamku, lordzie Dohni? – spytał inny mężczyzna, podchodząc przed Dohniego i pochylając się w niezdarnym ukłonie.

Kierując się czystym instynktem, zanim zdołał w ogóle zastanowić się nad tym co robi, Dohni pchnął mężczyznę w bark, posyłając go w błoto. Tamten podniósł się śmiejąc, podobnie jak wszyscy pozostali.

– Och, czyż nie zachowuje się już jak szlachcic! – krzyknął pierwszy, stary dziwak. – W błoto wszyscy, albo lord Dohni nas w nie wgniecie!

Jak na dany sygnał, wszyscy robotnicy padli na kolana w błoto i zaczęli pochylać się przed Dohnim.

Powstrzymując wściekłość i przypominając sobie, że to jego przyjaciele, Dohni Ganderlay przedarł się przez ich szeregi i odszedł, zaciskając pięści tak mocno, że pobieleły mu knykcie, zaciskając zęby dopóki nie zaczęły go boleć szczęki, i wylewając z ust strumień mamrotanych przekleństw.

* * *

– Czułam się jak głupia – Meralda powiedziała szczerze do Tori, gdy siedziały obie w swym pokoju w małym kamiennym domku.

Ich matka wyszła po raz pierwszy od ponad dwóch tygodni, tak bardzo pragnąc pospieszyć opowiedzieć swym przyjaciółkom z sąsiedztwa o wieczorze swej córki z lordem Feringalem.

– Ale byłaś taka piękna w tej sukni – spierała się Tori. Meralda zdobyła się na słaby, lecz pełen wdzięczności uśmiech dla siostry.

– Nie mógł przestać na ciebie patrzeć, jestem pewna – dodała Tori. Wyglądało na to, że młoda dziewczyna zatoneła w krainie marzeń i romantycznych fantazji.

– A jego siostra, lady Priscilla, nie mogła przestać mnie obłocać – odparła Meralda, używając chłopskiego określenia na obelgi.

– E tam, ona jest grubą krową – zripostowała Tori – a twoje piękno jedynie jej o tym przypominało.

Obydwie dziewczyny zachichotały z tego, lecz śmiech Meraldy okazał się krótkotrwały, zaraz na nowo zmarszczyła brwi.

– Jak możesz się nie uśmiechać? – spytała Tori. – On jest lordem Auckney i może dać ci wszystko, co można by zechcieć.

– Naprawdę? – Meralda odrzekła z sarkazmem. – Może mi dać moją wolność? Może mi dać mojego Jakę?

– Może ci dać buziaka? – Tori zapytała z diabelskim uśmiechem.

– Nie mogłam go powstrzymać przed pocałunkiem – odparła Meralda – lecz więcej już nie

dostanie, nie martw się. Oddaję moje serce Jace, a nie jakiemuś wypachnionemu lordowi.

Jej deklaracja straciła swą parę, a jej głos ucichł do szeptu, gdy zasłona odsunęła się na bok i do pokoju wpadł rozszalały Dohni Ganderlay.

– Zostaw nas – polecił Tori. Gdy się zawahała, kierując na siostrę zatroskane spojrzenie, ryknął jeszcze głośniejsze. – Idź stąd, ty mała karmicielko świń!

Tori wydostała się z pokoju i odwróciła, by popatrzeć na ojca, lecz jego spojrzenie zmusiło ją do całkowitego opuszczenia domu.

Dohni Ganderlay skierował tę straszliwą minę na Meraldę, a ona nie wiedziała, co z tym zrobić, nie był to bowiem obraz, który zwykła oglądać na twarzy ojca.

– Tato – zaczęła z wahaniem.

– Pozwoliłaś mu się pocałować? – odparł Dohni Ganderlay, drżącym głosem. – A on chciał więcej?

– Nie mogłam go powstrzymać – nalegała Meralda. – Rzucił się na mnie szybko.

– Ale chciałaś go powstrzymać.

– Oczywiście że tak!

Ledwo te słowa opuściły jej usta, gdy wielka, bezlitosna dłoń Dohniego Ganderlaya uderzyła ją w twarz.

– A ty zamiast tego chcesz oddać swoje serce i wszystkie kobiece wdzięki temu chłopskiemu synowi, tak? – ryknął mężczyzna.

– Ale ta...

Kolejny policzek zrzucił Meraldę z łóżka na podłogę. Dohni Ganderlay, wylewając z siebie całą frustrację, rzucił się na nią, tłukąc ją swymi wielkimi, twardymi dłońmi, policzkując ją, bijąc po głowie i ramionach, przez cały czas krzycząc, że się „kurwi” i „puszcza”, nie myśląc w ogóle o matce, nie myśląc o tych, którzy ją karmią i ubierają.

Próbowała protestować, wyjaśniać, że kocha Jakę, a nie lorda Feringala, że nie zrobiła nic złego, ale jej ojciec niczego nie słuchał. Wymierzał jedynie dalsze ciosy i przekleństwa, raz za razem, dopóki nie leżała płasko na ziemi, skrzyżowawszy ręce na głowie w bezowocnej próbie obrony.

Bicie skończyło się równie gwałtownie, jak się zaczęło. Po chwili Meralda ośmieliła się podnieść z podłogi posiniaczoną twarz i obrócić ją powoli, by popatrzeć na ojca. Dohni Ganderlay

leżał na łóżku, z głową w dłoniach, płacząc otwarcie. Meralda nigdy go takim dotąd nie widziała. Podniosła się do niego powoli, spokojnie, szepcząc że wszystko jest w porządku. Nagły gniew zastąpił jego łzy i chwycił dziewczynę za włosy, podnosząc ją całkowicie.

– A teraz mnie posłuchaj, dziewczyno – powiedział przez zaciśnięte zęby – i to dobrze. Nie do ciebie należy wybór. Ani trochę. Dasz lordowi Feringalowi wszystko, czego chce i jeszcze więcej, z uśmiechem na twarzy. Twoja matka jest blisko śmierci, głupia dziewczyno, i tylko lord Feringal może ją uratować. Nie pozwolę jej umrzeć, nie z powodu twojej samolubności. – Potrzasnął nią ostro i puścił ją. Wpatrywała się w niego jakby był kimś obcym i to chyba było najboleśniejszą rzeczą ze wszystkich dla sfrustrowanego Dohniego Ganderlaya.

– Albo lepiej – rzekł spokojnie – zajmę się tym, żeby Jaka Sculi zginął, żeby jego ciało leżało na skałach, by dziobały je mewy i rybołówki.

– Tato... – zaprotestowała młoda kobieta, ledwie szeptem, do tego drżącym.

– Trzymaj się od niego z dala – nakazał Dohni Ganderlay. – Pójdiesz do lorda Feringala i nie chcę słyszeć słowa sprzeciwu.

Meralda nie poruszyła się, nawet nie otarła łez, które zaczęły płynąć z jej delikatnych zielonych oczu.

– Wyczyść się – polecił Dohni Ganderlay. – Twoja matka wróci wkrótce do domu, a nie może cię zobaczyć w takim stanie. To wszystko to jej nadzieje i marzenia, dziewczyno, a jeśli je zabierzesz, z pewnością trafi pod ziemię.

Z tymi słowy, Dohni wstał z łóżka i ruszył w stronę Meraldy, jakby chciał ją uścisnąć, lecz gdy przysunął ręce bliżej, napięła się w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Przeszedł obok, pochylając ramiona w obliczu prawdziwej klęski.

Pozostawił ją samą w domu, a następnie ruszył miarowo na północno-zachodnie zbocze góry, skalisty stok, gdzie nikt nie pracował, gdzie mógł być sam ze swymi myślami. I swymi koszmarami.

* * *

– Co chcesz zrobić? – Tori spytała Meraldę po tym, jak wróciła do domu zaraz po zniknięciu ojca z pola widzenia. Meralda, zajęta wycieraniem resztek krwi z kącika ust, nie odpowiedziała.

– Powinnaś uciec z Jaką – Tori powiedziała nagle, promieniejąc na twarzy, jakby znalazła rozwiązanie na wszystkie problemy świata. Meralda popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

– Och, to byłby szczyt miłości – jaśniała młoda dziewczyna. – Ucieczka przed lordem Feringalem. Nie mogę uwierzyć, że nasz tata cię pobił.

Meralda popatrzyła znów w srebrnym lustrze na swe siniaki, tak wyraźną pamiątkę strasznego wybuchu. W przeciwieństwie do Ton, mogła w to uwierzyć, w każdą cząstkę. Nie była już dzieckiem i widziała ból na twarzy ojca, gdy ją bił. Bał się, bardzo się bał, o matkę i o nich wszystkich.

Wtedy zrozumiała swój obowiązek. Meralda uświadomiła sobie, że obowiązek wobec rodziny jest najważniejszy i nie z powodu gróźb, lecz z powodu jej miłości dla matki, ojca i natrętej małej siostry. Dopiero wtedy, spoglądając w lustrze na swą posiniaczoną twarz, Meralda Ganderlay zrozumiała odpowiedzialność, jaka spadła na jej delikatne ramiona i możliwość, jaka stanęła przed jej rodziną.

Mimo to, gdy pomyślała o wargach lorda Feringala dotykających jej usta, o jego dłoni na swej piersi, nie mogła się nie wzdrygnąć.

* * *

Dohni Ganderlay ledwo był świadom tego, że słońce zapada się w odległej wodzie, albo że komary odkryły go siedzącego nieruchomo i żywiły się z jego rąk i szyi. Niewygoda nie miała znaczenia. Jak mógł uderzyć swą ukochaną córkę? Skąd przyszedł ten gniew? Jak mógł być na nią zły, skoro nie zrobiła nic złego i mu się nie sprzeciwiła?

Odgrywał te straszne chwile raz za razem w swych myślach, widział Meraldę, jego piękną, cudowną Meraldę, padającą na podłogę, by się przed nim uchylić, by osłonić się przed jego okrutnymi ciosami. W swych myślach Dohni Ganderlay rozumiał, że nie był zły na nią, że jego frustracja i gniew były wymierzone przeciwko lordowi Feringalowi. Jego złość pochodziła z jego nędznego miejsca na tym świecie, miejsca które uczyniło jego rodzinę chłopami, które pozwoliło jego żonie zachorować i które pozwoli jej umrzeć, chyba że nastąpi interwencja lorda Feringala.

Dohni Ganderlay wiedział o tym wszystkim, lecz w sercu wiedział jedynie, że z własnych samolubnych powodów posłał swą ukochaną córkę w ramiona i do łóżka człowieka, którego nie kochała. Dohni Ganderlay wiedział w tym momencie, że jest tchórzem, głównie dlatego, że nie mógł zdobyć się na odwagę, by rzucić się z górskiej iglicy, aby roztrzaskać się na poszarpanych skałach leżących daleko w dole.

NA CIEMNEJ DRODZE

Byłem w wielu społecznościach, od Menzoberranzan drowów, poprzez Blingdenstone głębinowych gnomów, Dekapolis władane jak najpowszechniejsze ludzkie osiedle i barbarzyńskie plemiona oraz ich własne ciekawe zwyczaje, do Mithrilowej Hali krasnoludów z klanu Battlehammer. Żyłem na pokładzie statku, w zupełnie innym rodzaju społeczności. Wszystkie te miejsca miały odmienne zwyczaje, a także zróżnicowane struktury rządów, siły społeczne, kościoły i stowarzyszenia.

Jaki jest najlepszy system? Można by usłyszeć wiele argumentów w tej kwestii, opartych głównie na dobrobycie, prawie o boskim pochodzeniu czy po prostu na przeznaczeniu. Dla drowów jest to zwyczajnie sprawa religii – kształtują swe społeczeństwo zgodnie z pragnieniami chaotycznej Pajęcznej Królowej, a następnie toczą bezustannie wojnę, by zmieniać szczegóły owej struktury, choć nie nią samą. Dla głębinowych gnomów jest to kwestia składania hołdu i należnego szacunku starszyźnie ich rasy, akceptowania mądrości tych, którzy przeżyli tak wiele lat. W ludzkim osiedlu Dekapolis przywództwo pochodzi głównie z popularności, podczas gdy barbarzyńcy wybierają swych wodzów wyłącznie na podstawie męstwa fizycznego. Dla krasnoludów władza jest sprawą rodowodu. Bruenor stał się królem, bowiem jego ojciec był królem, a przed nim ojciec jego ojca i ojciec ojca jego ojca.

Ja natomiast mierzę nadrzędność jakiegoś społeczeństwa w inny sposób, opierając się całkowicie na wolności jednostki. Ze wszystkich miejsc, w których mieszkałem, najbardziej sobie cenię Mithrilową Halę, lecz rozumiem, że jest to kwestią roztropności Bruenora, udzielającego swej trzódce wolności, a nie wynika z politycznej struktury krasnoludów. Bruenor nie jest aktywnym królem. Służy za rzecznika swego klanu w sprawach politycznych, za dowódcę w sprawach wojennych i za mediatora w dysputach między swymi poddanymi, lecz tylko wtedy, gdy się go o to poprosi. Bruenor pozostaje zaciekle niezależny i zapewnia tę radość członkom klanu Battlehammer.

Słyszałem o wielu królowych i królach, matkach opiekunkach i kapłanach, którzy usprawiedliwiają władzę i odpuszczają sobie wszelkie zło twierdząc, że służący im plebejusze potrzebują przewodnictwa. Może być to prawdą w wielu trwających od dawna społecznościach, lecz jeśli tak jest, to tylko dlatego, że wiele pokoleń uwarunkowań skradło coś istotnego z serc i dusz poddanych, dlatego że wiele pokoleń subordynacji odarło zwykły lud z pewności siebie w ustalaniu własnego losu. Wszystkie systemy rządów mają jako cechę wspólną pozbawianie jednostki wolności, czy też narzucanie pewnych warunków na życie każdego obywatela w imię „społeczności”.

Owa idea, „społeczność”, jest mi bliska i z pewnością jednostki w każdej takiej grupie muszą dokonywać ofiar i akceptować pewne niedogodności w imię wspólnego dobra, aby owa społeczność mogła trwać. Jakże silniejsza mogłaby być społeczność, gdyby owe ofiary pochodziły z serca każdego obywatela, a nie z edyktów starszyny czy matek opiekunek lub królów bądź królowych?

Kluczem do tego wszystkiego jest wolność. Wolność, by zostać lub odejść, by pracować w harmonii z innymi lub wybrać bardziej indywidualną drogę. Wolność, by pomagać w większych kwestiach lub by się wstrzymać. Wolność, by budować dobre życie albo by żyć w nędzy. Wolność, by próbować wszystkiego lub po prostu nic nie robić.

Niewielu chciałoby dyskutować nad pragnieniem wolności – każdy kogo kiedykolwiek spotkałem pragnie wolnej woli, lub tak mu się wydaje. Jakże ciekawym więc jest, że tak wielu odmawia akceptacji odwrotnej ceny wolności: odpowiedzialności.

Idealna społeczność działa dobrze, ponieważ jej poszczególni członkowie akceptują swą odpowiedzialność dla dobrobytu każdego z nich i społeczności jako całości, nie dlatego, że im się tak nakazuje, ale dlatego, że rozumieją i akceptują korzyści takiego wyboru. Istnieją bowiem konsekwencje każdego dokonywanego przez nas wyboru, wszystkiego co robimy lub postanawiamy nie robić. Owe konsekwencje nie są oczywiste, obawiam się. Samolubny człowiek może sądzić, że zyskuje, lecz gdy będzie potrzebował przyjaciół, najprawdopodobniej ich nie będzie i w końcu w dziedzictwie, jakie samolubna osoba pozostawi za sobą, nie będzie dobrze zapamiętana. Chciwość samolubnej osoby może dać materialne luksusy, lecz nie może dać prawdziwej radości, nienamacalnych przyjemności miłości.

Podobnie jest z osobą nienawistną, leniwą, zawistną, złodziejem i zbirą, pijakiem i plotkarzem. Wolność pozwala każdemu wybierać swe życie, lecz wymaga także, by każdy akceptował odpowiedzialność za swe wybory, dobre i złe.

Często słyszałem opowieści o tych, którzy uważając że umierają, odgrywali na nowo wydarzenia swego życia, nawet dawne, zagrzebane głęboko w ich wspomnieniach. W końcu, jak sądzę, w tych ostatnich chwilach tej egzystencji, zanim ukażą nam się tajemnice tego, co czeka dalej, dostajemy błogosławieństwo, bądź przekleństwo, przejrzenia naszych wyborów, ujżenia ich nagimi przed naszą świadomością, bez przeszkód codziennego życia, bez mglistych usprawiedliwień czy potencjalnych pustych obietnic poprawy.

Zastanawiam się, jak wielu kapłanów zawarłoby ów najbardziej nagi moment w swych opisach nieba i piekła?

Drizzt Do'Urden

GDY WYPUŚCIĆ STAREGO PRZYJACIELA

Wielki mężczyzna był zaledwie o krok. Josi Puddles zbyt późno go dostrzegł. Przeczulony Josi oparł się o ścianę, starając się osłonić, lecz Wulfgar dopadł go natychmiast, podnosząc jedną ręką, a drugą niweczając słabe próby obrony.

A następnie plask, Josi uderzył mocno o ścianę.

– Chcę go z powrotem – barbarzyńca powiedział spokojnie. Dla biednego Josiego doza spokoju w głosie Wulfgara oraz w jego minie była chyba najstraszniejszą rzeczą z tego wszystkiego.

– A c-co chcesz z-z-naleźć? – wyjąkał w odpowiedzi niski mężczyzna.

Wciąż zaledwie jedną ręką, Wulfgar odsunął Josiego od ściany, po czym z powrotem o nią trzasnął.

– Wiesz, o co mi chodzi – powiedział – a ja wiem, że ty to zabrałeś.

Josi wzruszył ramionami i potrząsnął głową, to zaś zapewniło mu kolejne trzaśnięcie o ścianę..

– Wziąłeś Aegis-fanga – wyjaśnił Wulfgar, podsuwając wykrzywioną twarz tuż do Josiego – i jeśli mi go nie zwrócisz, połamię cię na kawałki i z twoich kości złożę sobie następną broń.

– J-ja... ja... ja go pożyczyłem... – zaczął mówić Josi, lecz jego bełkot przerwało kolejne uderzenie. – Myślałem, że zabijesz Arumna – krzyknął niski mężczyzna. – Myślałem, że zabijesz nas wszystkich.

Wulfgar uspokoił się trochę, słysząc te zagadkowe słowa.

– Zabiję Arumna? – powtórzył z niedowierzaniem.

– Gdy cię wykopał – wyjaśnił Josi. – Widziałem, jak cię wyrzuca. Powiedział mi o tym, gdy spałeś. Sądziłem, że zabijesz go z wściekłości.

– Więc wziąłeś mój młot?

– Tak – przyznał Josi – ale zamierzałem go zwrócić. Próbowałem go zwrócić.

– Gdzie jest? – zażądał odpowiedzi Wulfgar.

– Dałem go przyjacielowi – odrzekł Josi. – On dał go na przechowanie żeglarczy, żeby był poza zasięgiem twojego przywołania. Staralem się go odzyskać, ale żeglarka nie oddała. Starala się nawet rozbić mi głowę!

– Kto? – spytał Wulfgar.

– Sheela Kree ze Skaczącej Damy – wypalił Josi. – Ona go ma i zamierza go zatrzymać.

Wulfgar milczał przez długą chwilę, przetrawiając tę informację, szacując jej prawdziwość. Popatrzył znów na Josiego, a jego grymas powrócił w zwielokrotnionej postaci.

– Nie przepadam za złodziejami – powiedział. Szarpnął Josim, a gdy niski mężczyzna starał się opierać, nawet uderzył Wulfgara, barbarzyńca zdjął go ze ściany i spoliczkował go mocno raz, a potem drugi.

– W mojej ojczyźnie kamieniujemy złodziei – Wulfgar warknął uderzając Josim tak mocno o ścianę, że budynek się zatrzęsł.

– A w Luskan zakuwamy w kajdany zbójów – dobiegi głos z boku. Wulfgar i Josi obrócili głowy, by zobaczyć jak ze środka wychodzi Arumn Gardpeck, wraz z paroma innymi mężczyznami. Ci pozostali trzymali się jednak daleko z tyłu, wyraźnie nie chcąc mieć nic wspólnego z Wulfgarem, podczas gdy Arumn zbliżał się ostrożnie z pałką w dłoni. – Postaw go – powiedział oberżysta.

Wulfgar uderzył Josiego po raz ostatni, po czym postawił go na ziemi, lecz potrząsnął nim mocno i nie puścił.

– On ukradł mój młot i zamierzam go odzyskać – barbarzyńca rzekł z determinacją.

Arumn zmierzył Josiego wzrokiem.

– Próbowałem – zaskowyczał Josi – ale Sheela Kree... tak, to ona. Ona go ma i nie chce oddać.

Wulfgar znów nim potrząsnął, że aż zagrzechotały mu zęby.

– Ona go ma, ponieważ jej go dałeś – przypomniał Josiemu.

– Ale on próbował go odzyskać – powiedział Arumn. – Zrobił, co mógł. Teraz zamierzasz go za to roztrzaskać? Zrobi ci to lepiej, Wulfgarze osiłku? Z pewnością nie pomoże odzyskać młota.

Wulfgar zmierzył wzrokiem Arumna, po czym pozwolił spojrzeniu opaść na biednego Josiego.

– Istotnie, zrobiliby mi to lepiej – przyznał, a Josi wydawał się kurczyć, trzęsąc się tak, że było

to widać.

– A więc będziesz musiał też mnie pobić – powiedział Arumn. – Josi jest moim przyjacielem, za którego uważałem także ciebie, i będę za niego walczył.

Wulfgar skrzywił się na tę myśl. Ledwie lekkim machnięciem potężnej ręki posłał Josiego na ziemię u stóp Arumna.

– Powiedział ci, gdzie możesz znaleźć swój młot – rzekł Arumn. Wulfgar zrozumiał aluzję i zaczął odchodzić, lecz zerknął przez ramię i ujrzał jak Arumn pomaga Josiemu się podnieść, po czym otacza ręką ramiona trzęsącego się mężczyzny, wprowadzając go do Cutlassa.

Ten ostatni obraz, scena prawdziwej przyjaźni, wielce zatroskał barbarzyńcę. Zznał takiej przyjaźni, był niegdyś pobłogosławiony przyjaciółmi, którzy przybyliby mu na pomoc nawet w obliczu katastrofalnej sytuacji. Wizerunki Drizzta, Bruenora, Regisa, Guenhwyvar, a szczególnie Catti-brie przemknęły przez jego myśli.

Ale to wszystko było kłamstwem, przypomniawszy Wulfgarowi mroczniejsza część jego najgłębszych myśli. Barbarzyńca zamknął oczy i zachwiał się, niemal upadając. Istniały miejsca, w które nie mogli za nim pójść żadni przyjaciele, koszmary których nie mogła usunąć żadna ilość przyjaźni. Cała przyjaźń była kłamstwem, fasadą stworzoną przez tak bardzo ludzką i niesłychanie dziecięcą potrzebę bezpieczeństwa, owinięta się fałszywą nadzieją. Wiedział o tym, ponieważ widział bezowocność, widział prawdę, i była to niezwykle mroczna prawda.

Ledwo świadom tego co robi, Wulfgar podbiegł do drzwi Cutlassa i otworzył je tak energicznie, że hałas przyciągnął uwagę wszystkich znajdujących się w środku. Pojedynczy krok zaprowadził barbarzyńcę przed Arumna i Josiego, gdzie niedbałym gestem odtrącił na bok pałkę Arumna, po czym uderzył Josiego w twarz, posyłając go kilka kroków dalej na podłogę.

Arumn rzucił się zaraz na niego, wymachując pałką, lecz Wulfgar chwycił ją jedną dłonią, wyszarpnął oberżyscie, po czym odepchnął Arumna. Wysunął pałkę przed siebie, trzymając ją oburącz na końcach, po czym, warknąwszy i napiąwszy silnie wielki kark oraz barki, przełamał twarde drewno na pół.

– Dlaczego to robisz? – spytał go Arumn.

Wulfgar nie miał odpowiedzi, nie kłopotał się nawet jej szukaniem. W swych wirujących myślach odniósł tu zwycięstwo, drobne, nad Errtu i jego demonami. To tutaj zaprzeczył kłamstwu przyjaźni, a robiąc to pozbawił Errtu jednej broni, najostrzejszej, której mógł używać przeciwko niemu. Cisnął połamane drewno na podłogę i ciężko wyszedł z Cutlassa, wiedząc że żaden z jego dręczycieli nie ośmielił się za nim podążyć.

Wciąż powarkiwał, wciąż mamrotał przekleństwa, na Errtu, na Arumna, na Josiego Puddlesa, gdy przybył do doków. Przemierzał ciężkimi krokami długi pomost, stukając podszewkami o drewno.

– Hej, czego szukasz? – spytała go stara kobieta.

– Skaczącej Damy – odparł Wulfgar. – Gdzie ona jest?

– Łajba Kree? – zapytała kobieta, bardziej siebie niż Wulfgara. – Och, wypłynęła. Wypłynęła i bez wątpienia ucieka, obawiając się tamtego – kończąc wskazała na ciemną sylwetkę smukłego żaglowca, przycumowanego z drugiej strony długiej przystani.

Wulfgar, zaciekawiony, podszedł bliżej, zauważając trzy żagle, przynajmniej jeden trójkątny, wzór którego nigdy dotąd nie widział. Gdy przeszedł promenadę, przypomniał sobie opowieści przytaczane mu przez Drizzta oraz Catti-brie i zrozumiał. Duszek Morski.

Wulfgar wyprostował się mocno, nazwa ta otrzeźwiła jego poplątane myśli. Jego oczy podążyły w górę na pokład, od nazwy ku burcie, za którą stał marynarz, odpowiadający mu spojrzeniem.

– Wulfgar! – krzyknął Waillan Micanty. – Miło cię spotkać!

Barbarzyńca odwrócił się na pięcie i spiesznie odszedł.

* * *

– Może chciał się z nami skontaktować – stwierdził kapitan Deudermont.

– Raczej po prostu się zgubił – odparł sceptyczny Robillard. Zgodnie z opisem Micanty'ego, reakcja barbarzyńcy, gdy zobaczył Duszka Morskiego była pełna zaskoczenia.

– Nie możemy mieć pewności – nalegał Deudermont, ruszając do drzwi kabiny.

– Nie musimy mieć pewności – zripostował Robillard i chwycił kapitana za rękę, by go zatrzymać. Deudermont rzeczywiście się zatrzymał i zmierzył spojrzeniem dłoni czarodzieja, a następnie jego niewzruszone oczy.

– On nie jest twoim dzieckiem – Robillard przypomniał kapitanowi. – Ledwo go znasz i nie jesteś mu winien żadnej odpowiedzialności.

– Drizzt i Catti-brie są moimi przyjaciółmi – odrzekł Deudermont. – Są naszymi przyjaciółmi, a Wulfgar jest ich przyjacielem. Mamy zignorować ten fakt, bo tak jest wygodniej?

Sfrustrowany czarodziej puścił rękę kapitana.

– Bezpieczniej, kapitanie – sprostował – a nie wygodniej.

- Pójdę do niego.
- Już próbowałeś i zostałeś odrzucony – czarodziej przypomniał mu bezceremonialnie.
- A jednak przyszedł do nas zeszłej nocy, być może przemyślawszy tę odmowę.
- Albo zgubiwszy się w dokach.

Deudermont skinął głowę, przyjmując tę możliwość.

– Nigdy się nie dowiemy, jeśli nie wrócę do Wulfgara i go nie zapytam – uznał i ruszył do drzwi.

– Poślij kogoś innego – powiedział nagle Robillard, gdy ta myśl zaświtała mu w umyśle. – Poślij może pana Micanty'ego. Albo ja pój de.

– Wulfgar nie zna ciebie ani Micanty'ego.

– Z pewnością na pokładzie są marynarze, którzy byli z Wulfgarem podczas tamtej podróży, dawno temu – nalegał uparty czarodziej. – Ludzie, którzy go znają.

Deudermont potrząsnął głową, napiąwszy z determinacją szczękę.

– Na pokładzie Duszka Morskiego jest tylko jeden człowiek, który może porozumieć się z Wulfgarem – rzekł. – Wrócę do niego, a później jeszcze raz, jeśli będzie to konieczne, zanim wyruszymy w morze.

Robillard zaczął odpowiadać, lecz w końcu dostrzegł daremność tego wszystkiego i rozłożył ręce w geście klęski.

– Ulice luskańskiej dzielnicy doków nie są schronieniem dla twych przyjaciół, kapitanie – przypomniał. – Uważaj, każdy cień może kryć niebezpieczeństwo.

– Zawsze uważam i zawsze będę – Deudermont powiedział z paskudnym uśmiechem, uśmiechem, który się poszerzył, gdy Robillard podszedł do niego i obłożył go kilkoma zaklęciami, czarami powstrzymującymi ciosy czy odbijającymi pociski, a nawet jednym takim, który rozpraszał pewne magiczne ataki.

– Pamiętaj, że nie trwają wiecznie – ostrzegł czarodziej.

Deudermont skinął głową, dziękując swemu przyjacielowi za środki ostrożności, po czym skierował się z powrotem do drzwi.

Zaraz gdy mężczyzna wyszedł, Robillard osunął się w fotel. Rozmyślał nad swą kryształową kulą

i energią, jakiej będzie potrzebował, by jej używać.

– Niepotrzebna robota – powiedział z przesadzonym westchnięciem. – Dla kapitana i dla mnie. Bezużyteczny wysiłek dla niezasługującego na to szczura rynsztokowego.

To będzie długa noc.

* * *

– Aż tak bardzo go potrzebujesz? – ośmielił się zapytać Morik. Zważywszy na paskudny nastrój Wulfgara, wiedział że podejmuje naprawdę wielkie ryzyko jedynie stawiając to pytanie.

Wulfgar nie kłopotał się odpowiedzią na absurdalne pytanie, lecz spojrzenie jakie skierował na Morika powiedziało niskiemu złodziejowi wystarczająco wiele.

– A więc to musi być cudowna broń – powiedział Morik, nagle zmieniając temat, by usprawiedliwić swój wyraźnie bluźnierczy tok myślenia. Oczywiście Morik dobrze wiedział, jak wspaniałą bronią był naprawdę Aegis-fang, jak wspaniale wykonaną i jak dobrze dopasowaną do silnych rąk Wulfgara. W umyśle pragmatycznego złodzieja nawet to nie usprawiedliwiało wyprawy na otwarte morze w pogoni za bandą podrzynaczy gardeł Sheeli Kree.

Być może uczucia sięgały głębiej, zastanawiał się Morik. Być może Wulfgar był z młotem związany emocjonalnie. W końcu wykuł go dla niego jego przybrany ojciec. Być może Aegis-fang był ostatnią częścią jego dawnego życia, jedynym przypomnieniem, kim niegdyś był. Było to pytanie, którego Morik nie śmiał zadać na głos, bowiem nawet jeśli Wulfgar zgadzał się z nim, nigdy by się do tego nie przyznał, choć mógłby cisnąć Morikiem w powietrze za samo pytanie.

– Możesz zawrzeć umowę? – niecierpliwy Wulfgar powtórzył pytanie. Chciał, by Morik wystarczająco szybko wyczarterował statek, z kapitanem dość doświadczonego, by dogonić Sheelę Kree, by płynąć za nią być może do następnej przystani, albo być może zbliżyć się na tyle, by Wulfgar mógł w mroku nocy wsiaść w małą łódkę i cicho wejść na statek. Nie spodziewał się żadnej pomocy w odzyskaniu młota, gdy już dotrze do Kree. Nie sądził, by jakiegokolwiek potrzebował.

– A co z twoim przyjacielem kapitanem? – odparł Morik. Wulfgar popatrzył na niego niedowierzająco.

– Duszek Morski Deudermonta jest najbardziej znanym łowcą piratów na Wybrzeżu Mieczy – Morik stwierdził bezceremonialnie. – Jeśli w Luskan jest łajba potrafiąca dogonić Sheelę Kree, jest nią Duszek Morski, a ze sposobu, w jaki kapitan Deudermont cię powitał, szacuję że wzięłby cię na tę wyprawę.

Wulfgar nie miał na twierdzenia Morika odpowiedzi innej niż:

– Załatw inną łajbę.

Morik przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.

– Spróbuję – obiecał.

– Teraz – polecił Wulfgar. – Zanim Skacząca Dama za bardzo się oddali.

– Mamy robotę – przypomniał mu Morik. Jadąc na resztkach funduszy, para zgodziła się pomóc właścicielowi gospody rozładować tej nocy statek pełen zarżniętego bydła.

– Ja rozładuję mięso – zaproponował Wulfgar i słowa te wydały się muzyką Morikowi, który nigdy nie lubił uczciwej pracy. Niski złodziej nie miał pojęcia, gdzie zacząć szukać statku, który mógłby dogonić Sheelę Kree, lecz zdecydowanie wolał szukać tej odpowiedzi, być może znajdując po drodze parę kieszeni do opróżnienia, niż zmoczyć się i zaśmierdnąć pod tonami solonego mięsa.

* * *

Robillard wpatrywał się w kryształową kulę, obserwując Deudermonta, gdy kapitan posuwał się szerokim i dobrze oświetlonym bulwarem, silnie patrolowanym przez straż miejską. Większość z nich przystawała, by przywitać kapitana i przekazać mu podziękowania. Robillard rozumiał ich intencje, choć nie mógł słyszeć przez kryształową kulę ich słów – dawała ona jedynie obraz, bez dźwięku.

Pukanie do drzwi przerwało czarodziejowi koncentrację i posłało obraz w kuli z powrotem w wir mglistej szarości. Mógł natychmiast przywołać wizję z powrotem, lecz uznał, że Deudermont nie był w tej chwili w niebezpieczeństwie, zwłaszcza w związku z mnogością czarów, jakie na niego rzucił. Mimo to, zawsze przedkładając sobie prywatność, krzyknął mrukliwie: – Odejdź! – po czym wstał, by nalać sobie silnego drinka.

Rozległo się kolejne pukanie, tym razem bardziej natarczywe.

– Musisz to zobaczyć, mistrzu Robillardzie – dobiegło wołanie, głosem znanym Robillardowi. Mruknąwszy w proteście Robillard z drinkiem w dłoni otworzył drzwi i znalazł za nimi członka załogi, zerkającego przez ramię na burtę przy pomocy cumowniczym.

Stali tam Waillan Micanty i inny marynarz, spoglądając na molo i najwyraźniej z kimś rozmawiając.

– Mamy gościa – domyślił się żeglarz przy drzwiach Robillarda, a czarodziej uznał natychmiast, że to musi być Wulfgar. Niepewny, czy to dobrze czy źle, Robillard ruszył przez pokład, przystając jedynie, by zawrócić i zatrzaskać drzwi przed twarzą nadmiernie ciekawskiego marynarza.

– Nie wejdiesz na górę, dopóki mistrz Robillard tak nie powie – Micanty zawołał w dół, otrzymując w odpowiedzi prośbę o ciszę.

Robillard podszedł do Micanty'ego. Czarodziej zerknął w dół i ujrzał mizerną figurkę okrytą opończę, co było wymownym znakiem, jako że noc zdecydowanie nie była zimna.

– Chce mówić z kapitanem Deudermontem – wyjaśnił Waillan Micanty.

– Istotnie – odparł Robillard. Do człowieka na przystani powiedział zaś: – Mamy wpuszczać każdego włóczęgę, który postanowi wejść na pokład i porozmawiać z kapitanem Deudermontem?

– Nie rozumiesz – odpowiedział mężczyzna poniżej, zniżając głos i rozglądając się nerwowo dookoła jakby spodziewał się, że w każdej chwili może go dopaść morderca. – Mam wieści, które musicie usłyszeć. Ale nie tutaj – ciągnął, znów się rozglądając. – Nie tu, gdzie każdy może podsłuchać.

– Daj mu wejść – Robillard polecił Micanty'emu. Gdy marynarz popatrzył na niego sceptycznie, czarodziej odwzajemnił spojrzenie miną przypominającą Micanty'emu, kim jest. Ukazała również, że Robillard uważał za absurdalne, iż ten żałosny mały człowieczek mógłby nabroić w obliczu potężnej czarodziejskiej mocy Robillarda.

– Zobaczę się z nim w mojej kwaterze – czarodziej poinstruował odchodząc.

Kilka chwil później Waillan Micanty wprowadził drżącego niskiego mężczyznę przez drzwi kabiny Robillarda. Kilku innych ciekawskich marynarzy wsadziło głowy do pomieszczenia, lecz Micanty, nie czekając na pozwolenie Robillarda, podszedł i zamknął drzwi.

– Ty jesteś Deudermont? – spytał niski mężczyzna.

– Nie – przyznał czarodziej – ale bądź spokojny, że bliżej niego już się nie dostaniesz.

– Muszę zobaczyć się z Deudermontem – wyjaśnił niski mężczyzna.

– Jak się nazywasz? – zapytał czarodziej. Mały mężczyzna potrząsnął głową.

– Mogę powiedzieć tylko Deudermontowi – rzekł. – Ale to nie ode mnie pochodzi, jeśli rozumiesz.

Nigdy nie będąc cierpliwy, Robillard zdecydowanie nie rozumiał. Kiwnął palcem i posłał w niskiego mężczyznę strumień energii, który odrzucił go w tył.

– Jak się nazywasz? – spytał ponownie, a gdy człowiek się zawahał, trafił go kolejnym pociskiem. – Mam ich jeszcze wiele, zapewniam cię – powiedział Robillard.

Niski mężczyzna odwrócił się do drzwi, lecz został trafiony straszliwym magicznym podmuchem wiatru, który go niemal przewrócił i obrócił na powrót w stronę czarodzieja.

– Jak się nazywasz? – Robillard zapytał spokojnie.

– Josi Puddles – wypalił Josi, zanim zdążył pomyśleć o stworzeniu przydomku.

Robillard zastanawiał się przez chwilę nad tym mianem, przykładając palec do podbródka. Odchylił się do tyłu na swym krześle i przybrał zamyśloną pozę.

– A więc poproszę o wieści, panie Puddles.

– Dla kapitana Deudermonta – odparł wyraźnie przytłoczony Josi. – Chcą go zabić. Dużo złota za jego głowę.

– Kto?

– Wielki mężczyzna – odrzekł Josi. – Wielki mężczyzna o imieniu Wulfgar i jego przyjaciel Morik Łotr.

Robillard dobrze ukrył swe zaskoczenie.

– A skąd o tym wiesz? – zapytał.

– Wszyscy na ulicach wiedzą – odpowiedział Josi. – Chcą zabić Deudermonta za dziesięć tysięcy sztuk złota, tak powiadają.

– Co jeszcze? – zażądał odpowiedzi Robillard, w jego głosie pojawiła się groźna nuta.

Josi wzruszył ramionami, błyskając naokoło oczyma.

– Dlaczego przyszedłeś? – naciskał Robillard.

– Sądziłem, że powinniście wiedzieć – odrzekł Josi. – Ja chciałbym wiedzieć, czy ludzie o reputacji Wulfgara i Morika mnie ścigają.

Robillard przytaknął, a potem zachichotał.

– Przyszedłeś na okręt – łowcę piratów, okrytego złą sławą pośród najniebezpieczniejszych mieszkańców doków, aby ostrzec człowieka, którego nigdy wcześniej nie poznałeś, wiedząc dobrze, że może cię to wtrącić w śmiertelne niebezpieczeństwo. Proszę o wybaczenie, panie Puddles, ale

wyczuwam tu niespójność.

– Sądziłem, że powinniście wiedzieć – powtórzył Josi, opuszczając wzrok. – To wszystko.

– Nie sędzę – Robillard powiedział spokojnie. Josi popatrzył na niego z powrotem, z przestachem w twarzy. – Ile chcesz?

Mina Josiego przeszła w zaciekawienie.

– Rozsądniejszy człowiek potargowałby się przed przekazaniem takiej informacji – wyjaśnił Robillard – ale my nie jesteśmy niewdzięczni. Pięćdziesiąt sztuk złota wystarczy?

– C-cóż, tak – wyjąkał Josi, po czym rzekł: – Cóż, nie. Nie całkiem, znaczy się. Myślałem o stu.

– Dobrze się pan targujesz, panie Puddles – powiedział Robillard i skinął głową Micanty'emu, by uspokoić coraz bardziej podekscytowanego żeglarza. – Twoje informacje mogą okazać się dość cenne, oczywiście jeśli nie kłamiesz.

– Nie, proszę pana, co to to nie!

– A więc sto złotych – rzekł Robillard. – Wróc jutro, by porozmawiać z kapitanem Deudermontem, a wtedy otrzymasz zapłatę.

Josi rozejrzał się dookoła.

– Nie wrócę, jeśli pozwolisz, mistrzu Robillardzie – powiedział.

Robillard znów zachichotał.

– Oczywiście – odparł, sięgając do sakiewki na szyi. Wyciągnął klucz i rzucił go Waillanowi Micanty'emu.

– Zajmij się tym – powiedział mężczyźnie. – Znajdziesz odpowiednią sumę w lewej szafce na dole. Zapłać mu w dziesiątakach. Później sprowadź pana Puddlesa z naszego dobrego statku i poślij z nim dwóch marynarzy, by wyprowadzili go bezpiecznie z doków.

Micanty ledwo mógł uwierzyć w to, co słyszy, lecz nie zamierzał spierać się z niebezpiecznym czarodziejem. Wziął Josiego Puddlesa za ramię i opuścili pomieszczenie.

Gdy wrócił chwilę później, znalazł czarodzieja Robillarda pochylonego nad swą kryształową kulą, wpatrującego się bacznie w obraz.

– Wierzysz mi – stwierdził Micanty. – Wystarczająco, by zapłacić mi bez dowodów.

– Sto sztuk miedzi nie jest tak wielką sumą – odparł Robillard.

– Miedzi? – odrzekł Micanty. – Na własne oczy widziałem, że to złoto.

– Tak wyglądały – wyjaśnił czarodziej – ale to była miedź, zapewniam cię, i są to monety które mogą łatwo wyśledzić, by odnaleźć naszego pana Puddlesa – aby ukarać go, jeśli będzie to konieczne, albo by go odpowiednio nagrodzić, jeśli informacje okażą się prawdziwe.

– Nie przyszedł tu po żadną nagrodę – zauważył spostrzegawczy Micanty. – Ani też nie jest żadnym przyjacielem dla kapitana Deudermonta, to na pewno. Nie, wydaje mi się, że nasz przyjaciel Puddles nie przepada zbyt za Wulfgarem czy tym gościem Morikiem.

Robillard znów zerknął w swą kryształową kulę, po czym odchylił się w fotelu, myśląc.

– Znalazłeś kapitana? – ośmielił się zapytać Micanty.

– Owszem – odpowiedział czarodziej. – Choć, popatrz.

Gdy Micanty zbliżył się do Robillarda, ujrzał jak scena w kryształowej kuli przechodzi z laskańskiej ulicy do statku gdzieś na otwartym oceanie.

– Kapitan? – powiedział z troską.

– Nie, nie – odparł Robillard. – Wulfgar, zapewne, a przynajmniej jego magiczny młot bojowy. Znam tę broń. Została mi dokładnie opisana. Myślałem, że pokaże mi Wulfgara, i moje magiczne poszukiwania zawiodły mnie na ten statek, nazywa się Skacząca Dama.

– Pirat?

– Raczej tak – odrzekł czarodziej. – Jeśli Wulfgar rzeczywiście na niej jest, zapewne znów się z nim spotkamy. Choć jeśli tak jest, opowieść naszego przyjaciela Puddlesa wydaje się trochę nieprawdopodobna.

– Możesz wezwać kapitana? – zapytał Micanty, wciąż zatroskany. – Sprowadzić go z powrotem?

– Nie posłucha – Robillard powiedział z uśmiechem. – O niektórych rzeczach nasz uparty kapitan Deudermont musi przekonać się sam. Będę go bacznie obserwował. Idź zabezpieczyć statek. Podwój strażę, potrój nawet, i powiedz każdemu człowiekowi, by bacznie obserwował cienie. Jeśli rzeczywiście są tacy, którzy są zdecydowani zamordować kapitana Deudermonta, mogą uważać, że jest tutaj.

Robillard znów został sam i odwrócił się do kryształowej kuli, powracając do obrazu kapitana Deudermonta. Westchnął z rozczarowaniem. Spodziewał się tego, lecz mimo to ze smutkiem odkrył, że kapitan znów zawędrował do paskudniejszej części miasta. Gdy Robillard znów się na nim skupił, Deudermont minął znak Ulicy Półksiężyca.

* * *

Gdyby Robillard był w stanie lepiej przejrzeć większy obszar, mógłby zauważyć dwie sylwetki, wślizgujące się do alejki równoległej do tej, w którą wszedł właśnie Deudermont.

Creeps Sharky i Tee-a-nicknick ruszyli dalej, a następnie przecięli alejkę, wychodząc na ulicę Półksiężycza tuż przy Cutlassie. Weszli do środka, bowiem Sharky był przekonany, że Deudermont właśnie tam się kierował. Zajęli miejsce przy stoliku w rogu na prawo od drzwi, eksmitując dwóch siedzących tam klientów groźnymi warkotami. Siedli, zamawiając drinki od Delly Curtie. Ich gładkie uśmiešky powiększyły się jeszcze bardziej gdy ujrzeli, że kapitan Deudermont wszedł przez drzwi, kierując się do baru.

– Nie stanie tu długo bez Wulfgara – stwierdził Tee-a-nicknick. Creeps zastanowił się nad tym, najpierw rozważając słowa, następnie kryjącą się za nimi myśl, po czym skinął głową. Miał niezłe pojęcie o tym, gdzie mogli być Wulfgar i Morik. Znajomy zauważył ich po zapadnięciu zmierzchu w okolicy doków.

– Uważaj na niego – polecił Creeps. Podniósł sakiewkę, którą naszykował wcześniej, po czym zaczął wychodzić.

– Za prosto – zauważył Tee-a-nicknick, powtarzając krytyczne uwagi wobec planu, który Creeps uformował wcześniej tego dnia.

– Ano, ale w tym całe piękno, mój przyjacielu – powiedział Creeps. – Morik jest zbyt czupurny i zbyt ciekawski, by to odrzucić. Nie, będzie to miał, będzie, a dzięki temu jeszcze szybciej do nas przyleci.

Creeps wyszedł w mrok i przyjrzał się ulicy. Nie miał większych problemów ze zlokalizowaniem jednego z licznych dzieci ulicy, które czały się w pobliżu, służąc za czujki lub posłańców.

– Ej, chłopcze – zawołał do jednego. Dzieciak, nie liczący więcej niż dziesięć wiosen, przyjrzał mu się podejrzliwie, lecz zbliżył się. – Mam dla ciebie robotę – wyjaśnił Creeps, trzymając torbę.

Chłopiec podszedł z wahaniem do niebezpiecznie wyglądającego pirata.

– Weź to – polecił Creeps, podając małą torbę. – I nie zaglądamy do środka! – rozkazał, gdy chłopak zaczął poluzniać wiązanie, by zerknąć do wewnątrz.

Creeps zmienił nagle zdanie, uświadamiając sobie, że dzieciak może sądzić, iż w torbie jest coś

wyjątkowego – złoto czy magia – i może z nią po prostu uciec. Zabrał ją od chłopca i otworzył, odsłaniając zawartość: kilka małych pazurów, jakby kocich, małą fiołkę z jasnym płynem i wydawałoby się nie robiący większego wrażenia kawałek kamienia.

– No, widzisz, więc wiesz, że to nic wartego kradzieży – rzekł Creeps.

– Ja nie kradnę – spierał się chłopiec.

– Pewnie że nie – powiedział Creeps z porozumiewawczym chichotem. – Jesteś dobrym chłopcem, co nie? No, znasz takiego, co nazywa się Wulfgar? Duży koleś z żółtymi włosami, który bił ludzi dla Arumna w Cutlassie.

Chłopiec przytaknął.

– A znasz jego przyjaciela?

– Morik Łotr – wyrecytował chłopak. – Każdy zna Morika.

– To dobrze – rzekł Creeps. – Są w dokach, albo gdzieś po drodze stąd do doków, jak sądzę. Chcę żebyś ich znalazł i dał to Morikowi. Powiedz jemu i Wulfgarowi, że kapitan Deudermont chce się z nimi spotkać przy Cutlassie. Coś mówi o wielkim młocie. Możesz to zrobić?

Chłopiec parsknął jakby to pytanie wydawało się śmieszne.

– A zrobisz to? – zapytał Creeps. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął sztukę srebra. Creeps zaczął ją podawać, lecz zmienił zdanie i jego dłoń znów się zagłębiła, wracając z jeszcze kilkoma błyszczącymi srebrnikami. – Niech twoi mali przyjaciele rozejrzą się po Luskan – polecił, podając monety chłopakowi o powiększonych ze zdumienia oczach. – Będzie jeszcze więcej, jeśli sprowadzisz Wulfgara i Morika do Cutlassa.

Zanim Creeps zdążył powiedzieć choć słowo więcej, chłopiec porwał monety, obrócił się i zniknął w zaułku.

Creeps uśmiechał się, dołączając kilka chwil później do Tee-a-nicknicka, pewien że chłopak i rozległa sieć miejskich wyrostków, którą wykorzysta, szybko wykonają zadanie.

– On tylko czeka – wyjaśnił Tee-a-nicknick, wskazując na Deudermonta, który stał opierając się o bar, sącząc kielich wina.

– Cierpliwy jest – powiedział Creeps, błyskając zielono – i żółtozębnym uśmiechem, – jeśli wiedziałby, ile chwil życia mu zostało, mogłoby mu się trochę bardziej spieszyć. – Wskazał Tee-a-nicknickowi, by wyszli z Cutlassa. Wkrótce znaleźli odpowiedni niski dach, wystarczająco blisko, by dobrze widzieć frontowe drzwi tawerny.

Tee-a-nicknick wyciągnął zza swej koszuli długą wydrażoną tubę, po czym z kieszeni wyjął koci pazur, z przywiązaną małą kępką piór. Klękając nisko i poruszając się bardzo ostrożnie, wytatuowany półqullański dzikus podniósł otwartą prawą dłoń, do lewej wziął koci pazur, i wcisnął sekretny przycisk na bransolecie na prawym nadgarstku. Bardzo powoli wytatuowany mężczyzna zwiększał nacisk dopóki zbiorniczek się nie otworzył i nie wyciekła z niego kropla przypominającego melasę syropu. Chwycił jego większość na koci pazur, po czym wsunął strzałkę do swej dmuchawki.

– Tee-a-nicknick cierpliwy jest też – powiedział z paskudnym uśmiechem.

CIEPŁE UCZUCIA

– Ach, popatrz na siebie! – Biaste Ganderlay wyrzuciła z siebie, gdy podeszła pomóc Meraldzie zakładać nową suknię, którą lord Feringal przysłał jej na dzisiejszą kolację. Dopiero wtedy, dopiero gdy Meralda zdjęła plisowaną koszulę z kołnierzem, którą nosiła cały dzień, jej matka ujrzała zasięg siniaków, wyraźnych purpurowych krwiaków pokrywających jej szyję i ramiona, większych niż dwa widoczne na jej twarzy. Nie możesz się zobaczyć z lordem Feringalem, gdy tak wyglądasz – zawyła Biaste. – Co on o tobie pomyśli? – A więc nie pójdę – odrzekła podekscytowana Meralda, lecz to wywołało jeszcze większą panikę Biaste. Odpowiedź Meraldy wywołała grymas na szarej i zmęczonej twarzy kobiety, wymownie przypominający Meraldzie o chorobie jej matki i o jedynej możliwej metodzie, by ją uleczyć.

Dziewczyna spuściła oczy i trzymała wzrok w dole, podczas gdy Biaste podeszła do kredensu, grzebiąc w pudełkach i słoikach. Znalazła воск pszczeli i lawendę, korzeń żywokostu i oliwę, po czym pospieszyła na zewnątrz i zgarnęła trochę miękkiej gliny, by dorzucić do mikstury. Niedługo później wróciła do pokoju Meraldy, trzymając moździerz, w którym energicznie utłukła zioła, oliwę i glinę.

– Powiem mu, że to był wypadek – zaproponowała Meralda, gdy Biaste podeszła, by zacząć nakładać maskującą i łagodzącą maść. – Gdyby spadł ze schodów w Zamku Auck, z pewnością miałby siniaki, przy których te byłyby niczym.

– To tak ci się to stało? – spytała Biaste, choć Meralda przekonywała ją już, że zraniła się wpadając w roztargnieniu na drzewo.

Ukłucie bólu ugodziło w dziewczynę, nie chciała bowiem ujawniać prawdy, nie chciała mówić matce, że pobił ją jej kochający, drogi ojciec.

– Co ty mówisz? – spytała w obronie. – Myślisz że jestem taka głupia, by celowo wpadać na drzewo, mamó?

– Nie, oczywiście że nie – powiedziała Biaste, zmuszając się do śmiechu. Meralda również się uśmiechnęła, zadowolona że jej wybieg podziałał. Biaste wzięła kawałek flaneli, którą nacierała siniaki i żartobliwie walnęła nią Meraldę po głowie. – Nie wygląda tak źle. Lord Feringal nawet nie zobaczy.

– Lord Feringal patrzy na mnie baczniej niż myślisz – odparła Meralda, co wywołało wielki śmiech Biaste, która następnie zamknęła córkę w uścisku. Meraldzie wydawało się, że dziś jej matka

była trochę silniejsza.

– Zarządca Temigast powiedział, że dzisiaj będziecie się przechadzać w ogrodach – powiedziała Biaste. – Och, a na niebie będzie wielki księżyc. Moja dziewczynko, czy mogłabym sobie w ogóle wymarzyć dla ciebie coś takiego?

Meralda zmusiła się do kolejnego uśmiechu, obawiała się bowiem, że gdyby otworzyła usta, wylałaby się z niej cała złość na tę niesprawiedliwość i wtrąciła matkę z powrotem do łóżka.

Biaste wzięła Meraldę za rękę i zaprowadziła ją do głównego pokoju chaty, gdzie stół był już zastawiony do kolacji. Tori siedziała, wierząc się niespokojnie. W tym momencie Dohni Ganderlay wszedł przez drzwi frontowe i popatrzył bezpośrednio na obydwie kobiety.

– Wpadła na drzewo – stwierdziła Biaste. – Możesz uwierzyć w głupotę tej dziewczyny? Wpada na drzewo, gdy wzywają lord Feringal! – Znów się roześmiała, podobnie jak Meralda, choć nawet nie mrugnęła patrząc na ojca.

Dohni i Tori wymienili niewygodne spojrzenia i minęła chwila. Rodzina Ganderlay zasiadła razem do cichego wieczornego posiłku. Przynajmniej byłby cichy, gdyby nie gadatliwy entuzjizm wyraźnie podekscytowanej Biaste Ganderlay.

Niedługo potem, na długo przed tym, jak słońce dotknęło w ogóle krawędzi zachodniego horyzontu, Ganderlayowie stanęli przed swym domem, obserwując jak Meralda wspina się do złoczonego powozu. Biaste była tak poruszona, że wybiegła na środek pokrytej kurzem drogi, by pomachać na pożegnanie. Wysilek ten musiał jednak pozbawić ją prawie wszystkich sił, bowiem niemal zemdląca i przewróciłaby się, gdyby Dohni Ganderlay nie złapał jej i nie podtrzymał.

– A teraz wracaj do łóżka – polecił. Dohni czule przekazał żonę Tori, która pomogła jej wejść do domu.

Dohni czekał na zewnątrz, obserwując oddalający się powóz i piaskową drogę. Mężczyzna był rozdarty w duszy i w sercu. Nie żałował lekcji, jaką dał Meraldzie – dziewczynie trzeba było uzmysłwić priorytety – lecz uderzenie Meraldy bolało Dohniego Ganderlaya równie mocno jak dziewczynę.

– Dlaczego mama niemal upadła, tato? – Tori spytała chwilę później, a dźwięk głosu dziewczynki zaskoczył zamyślonego Dohniego. – Była taka silna, uśmiechała się i w ogóle.

– Dała z siebie zbyt wiele – wyjaśnił Dohni, za bardzo się nie przejmując. Znał prawdę o stanie Biaste, „więdnięciu”, jak to potocznie nazywano, i rozumiał, że trzeba wiele więcej niż dobry nastrój, by ją uleczyć. Dobry nastrój wzmocni ją czasowo, lecz choroba sobie z nią w końcu poradzi. Trzeba wysiłków ze strony powiązań lorda Feringala, by umożliwić prawdziwe leczenie.

Popatrzył wtedy na Tori i ujrzał w niej szczery strach.

– Ona po prostu potrzebuje odpoczynku – wyjaśnił, otaczając ręką ramiona dziewczynki.

– Meralda powiedziała mamie, że wpadła na drzewo – Tori ośmieliła się powiedzieć, wywołując u Dohniego zmarszczenie brwi.

– Tak zrobiła – Dohni zgodził się ze spokojem i smutkiem. – Dlaczego ona się opiera? – spytał pod wpływem impulsu swą młodszą córkę. – Sam lord o nią zabiega. Na lepszy świat nie mogłaby liczyć.

Tori odwróciła wzrok, co powiedziało Dohniemu, że młodszą dziewczyną wie więcej niż mówi. Przeszedł przed Tori, a gdy próbowała dalej odwracać spojrzenie, chwycił ją za podbródek i zmusił do kontaktu wzrokowego.

– Co wiesz?

Tori nie odpowiedziała.

– Powiedz mi, dziewczyno – zażądał Dohni, potrząsając gwałtownie Tori. – Co jest z twoją siostrą?

– Ona kocha innego – Tori rzekła z wahaniem.

– Jaka Sculi – stwierdził na głos. Dohni Ganderlay zwolnił uchwyt, lecz oczy mu się zmrużyły. Podejrzewał to, uznał że uczucia Meraldy wobec Jaki Sculiego mogły sięgać głębiej, albo przynajmniej Meralda sądziła, iż sięgają głębiej. Dohni znał Jakę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że było w nim więcej fasady niż głębi. Mimo to Dohni nie był ślepy na fakt, że niemal wszystkie dziewczyny w wiosce były zauroczone humorzastym młodzieńcem.

– Ona mnie zabije, jeśli pomyśli, że ci powiedziałam – błagała Tori, lecz przerwało jej kolejne gwałtowne potrząśnięcie. Nigdy dotąd nie widziała na twarzy ojca takiego wyrazu, lecz była pewna, że Meralda widziała go wcześniej tego dnia.

– Myślisz, że to wszystko jest grą? – zlął ją Dohni. Tori wybuchnęła płaczem, a Dohni ją puścił.

– Trzymaj buzię na kłódkę przed matką i siostrą – polecił.

– Co chcesz zrobić?

– Zrobię to, co trzeba zrobić i nie będę się tłumaczył moim córkom! – odpalił Dohni. Obrócił Tori i popchnął ją w stronę domu. Młoda dziewczyna chętnie odeszła, wpadła przez frontowe drzwi nie oglądając się za siebie.

Dohni wpatrywał się w pustą drogę prowadzącą do zamku, dokąd jechała jego starsza córka,

jego piękna Meralda, handlując swym sercem i ciałem dla dobra rodziny. Chciał w tej chwili pobiec do Zamku Auck i udusić lorda Feringala, lecz odrzucił tę myśl, przypominając sobie, że inny rozochocony młodzieniec potrzebował jego uwagi.

* * *

Stojąc na skalistej plaży nieopodal Zamku Auck, Jaka Sculi obserwował jak zbytkowna karoca toczy się po moście i wjeżdża do zamku lorda Feringala. Wiedział, kto jest w powozie, zanim jeszcze ujrzał, jak Meralda znika w domenie młodego lorda. Krew zagotowała mu się na ten widok, wywołując mdłości w żołądku.

– Bądź przeklęty! – warknął, potrząsając pięścią w kierunku zamku. – Przeklęty, przeklęty, przeklęty! Powiniennem znaleźć, znajdę miecz i wytnę ci serce, jak ty wyciąłeś moje, zły Feringalu! Ostatecznie do mnie, nie do ciebie, będzie należała radość obserwowania jak twoja krew zastyga na ziemi u twych stóp, będę szeptać ci w umierające ucho.

– Ale nie mogę! – zawył młodzieniec i przetoczył się po mokrych skałach, tłukąc się ręką po czole.

– Ale zaczekaj! – krzyknął, siadając prosto i odwracając dłoń tak, by wyczuwać palcami czoło. – Gorączka na mnie. Gorączka wywołana przez Meraldę. Niegodziwa zaklinaczka! Gorączka wywołana przez Meraldę i przez Feringala, który łaskawie postanowił zabrać to, co prawnie mi się należy. Odmów mu, Meraldo! – zawołał głośno i padł na ziemię, kopiąc stopą kamień i zgrzytając zębami. Szybko odzyskał nad sobą kontrolę, przypominając sobie, że tylko jego sztuczki pozwolą mu pokonać lorda Feringala, że tylko jego spryt pozwoli mu przełamać niesprawiedliwą przewagę przeciwnika, należną z racji urodzenia, a nie jakości charakteru. Tak więc Jaka zaczął spiskować, myśląc o wykorzystaniu śmiertelnej choroby, jaką czuł wykluwającą się w swym sercu, aby odnieść zwycięstwo nad siłą woli upartej dziewczyny.

Meralda nie mogła zaprzeczyć, że w małym ogrodzie z południowej strony Zamku Auck panują piękne aromaty i widoki. Wysokie róże, białe i różowe, zmieszane z przewrotnikiem pospolitym i lawendą, formowały główny ogród, tworząc mnogość kształtów oraz kolorów, które od góry do dołu przyciągały wzrok Meraldy. Bratki wypełniały niższy poziom, a chabry wyglądały z ukrycia pomiędzy wyższymi roślinami niczym sekretne nagrody dla sprytnego badacza. Nawet w wiecznej ponurej mgle Auckney, a zapewne w dużej części dzięki niej, ogród lśnił jasno, mówiąc o narodzinach i odnowie, o wiosnie i samym życiu.

Choć Meralda była oczarowana, nie mogła zaprzeczyć, że żałuje, iż to lord Feringal jest jej eskortą tego późnego popołudnia, a nie jej Jaka. Czy nie pragnęłaby do niego mówić i całować się z nim pośród kwiatowych zapachów oraz widoków, pośród brzęczenia radosnych pszczoł?

– Głównie Priscilla zajmuje się tym miejscem – zauważył lord Feringal, idąc grzecznie o krok za Meraldą, gdy przesuwała się wzdłuż muru ogrodu.

Wieść ta dość zaskoczyła Meraldę i zmusiła do przemyślenia jej pierwszego wrażenia na temat lady Zamku Auck. Każdy kto potrafił tak starannie i z uczuciem zajmować się ogrodem, musiał mieć jakieś zalety.

– A ty tutaj w ogóle nie przychodzisz? – spytała młoda kobieta, obracając się, by spojrzeć na młodego lorda.

Feringal wzruszył ramionami i uśmiechnął się nieśmiało, jakby zawstydzony, że rzadko się tu zapuszczał.

– Nie sądzisz więc, że jest piękny? – zapytała Meralda. Lord Feringal zbliżył się do niej szybko i ujął jej dłoń.

– Z pewnością nie piękniejszy od ciebie – wypalił. Zdecydowanie bardziej ośmielona niż podczas ich pierwszego spotkania, Meralda cofnęła dłoń.

– Ogród – nalegała. – Kwiaty, wszystkie ich kształty i zapachy. Nie sądzisz, że jest piękny?

– Oczywiście – lord Feringal odpowiedział natychmiast, posłusznie, jak sobie uświadomiła Meralda.

– Ale, spójrz na niego! – krzyknęła do niego Meralda. – Nie patrz się jedynie na mnie. Popatrz na kwiaty, na plon świetnej pracy twojej siostry. Widzisz jak żyją razem? Jak jeden kwiat robi miejsce dla innego, wszystkie są w gromadzie, lecz nie blokują sobie słońca?

Lord Feringal rzeczywiście zdjął wzrok z Meraldy, by popatrzeć na miriady kwiatów, i na jego twarzy ukazał się dziwny wyraz objawienia.

– No i widzisz – Meralda stwierdziła po długim, długim milczeniu. Lord Feringal wciąż przyglądał się otaczającym ich kolorom.

Odwrócił się z powrotem do Meraldy, z wyrazem podziwu w oczach.

– Żyłem tu przez całe swe życie – powiedział. – I podczas tych lat, nie, dziesięcioleci, ten ogród był tutaj, ja jednak nigdy dotąd go nie widziałem. Potrzeba było ciebie, aby ukazać mi jego piękno. – Zbliżył się do Meraldy i ujął jej dłoń w swoją, po czym nachylił się i delikatnie ją pocałował, nie nachalnie i pożądliwie jak podczas ich poprzedniego spotkania. Był subtelny i wdzięczny. – Dziękuję ci – rzekł, odsuwając się od niej.

Meralda zdobyła się na słaby uśmiech w odpowiedzi.

– Cóż, powinieneś podziękować swojej siostrze – odparła. – Trzeba było włożyć w to wiele pracy, aby tak wyglądał.

– Zrobię to – lord Feringal odrzekł bez przekonania.

Meralda uśmiechnęła się porozumiewawczo i skierowała uwagę z powrotem na ogród, znów myśląc, jak wspaniale byłoby chodzić po nim z Jaką u boku. Zakochany młody lord znów był przy niej, tak blisko, trzymając ją, a ona nie mogła utrzymać marzeń. Zamiast tego skupiła się na kwiatach, sądząc że mogłaby zatracić się po prostu w ich pięknie, wpatrywać się tylko w nie dopóki słońce by nie zaszło, a nawet później, w delikatnym blasku księżyca mogłaby spędzić całą noc.

Należy przyznać lordowi Feringalowi, że pozwolił jej długo, długo stać po prostu w milczeniu i wpatrywać się. Słońce zaszło i wzeszedł księżyc, a choć była pełnia, ogród stracił część swego połysku i uroku, poza utrzymującym się aromatem, mieszającym się słodko ze słonym powietrzem.

– Czy przez całą noc na mnie nie spojrzysz? – spytał Feringal, delikatnie ją obracając.

– Tylko myślałam – odparła Meralda.

– Opowiedz mi o swych myślach – ochoczo ją ponaglił. Kobieta wzruszyła ramionami.

– Tylko błahostki – odrzekła.

Twarz lorda Feringala rozjaśniła się szerokim uśmiechem.

– Idę o zakład, że myślałaś, jak wspaniale byłoby przechadzać się wśród tych kwiatów codziennie – mówił nieśmiało. – Przychodzi tu, kiedy tylko chcesz, przy słońcu lub księżycu, nawet zimą, aby wpatrywać się w zimne wody i góry lodowe budujące się na północy?

Meralda była wystarczająco rozsądna, by nie zaprzeczyć otwarcie przypuszczeniom lub dodać, że mogłaby o takich rzeczach myśleć tylko wtedy, gdyby zamiast lorda Feringala był tu inny mężczyzna, jej Jaka.

– Ponieważ możesz mieć to wszystko – Feringal powiedział z ekscytacją. – Możesz, wiesz o tym. To wszystko i jeszcze więcej.

– Ledwo mnie znasz – wyrzuciła z siebie dziewczyna, niemal w panice, ledwo wierząc w to, co słyszy.

– Och, ależ znam, moja Meraldo – oznajmił Feringal i padł na jedno kolano, trzymając jej dłoń w swojej i delikatnie gładząc ją drugą. – Znam cię, ponieważ szukałem cię przez całe moje życie.

– Mówisz głupstwa – mruknęła Meralda, lecz Feringal naciskał dalej.

– Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek znajdę kobietę, która potrafiłaby tak skraść me serce – powiedział, a Meraldzie wydawało się, że w równym stopniu mówi do niej, co do siebie. – Oczywiście przyprowadzano do mnie inne. Wielu kupców pragnęłoby stworzyć sobie bezpieczne schronienie w Auckney sprzedając mi swe córki za żonę, lecz żadna nie zwróciła mojej uwagi. – Wstał dramatycznie, podchodząc do muru od strony morza.

– Żadna – powtórzył Feringal odwrócił się, wwiercając się oczyma w jej twarz. – Dopóki nie ujrzałem Meraldy. Całym moim sercem wiem, że żadnej innej kobiety na całym świecie nie chciałbym za żonę.

Meralda zająknęła się, oszołomiona bezpośredniością mężczyzny, szybkością, z jaką starał się napędzać te zaloty. Nawet gdy stała starając się wymyślić jakąś odpowiedź, objął ją, całując raz za razem, teraz nie delikatnie, przyciskając mocno swe wargi do jej ust, przejeżdżając dłońmi po jej plecach.

– Muszę cię mieć – powiedział, niemal pozbawiając ją równowagi.

Meralda wsunęła rękę pomiędzy nich, uderzając lorda Feringala mocno dłonią w twarz i odpychając go o krok. Odsunęła się, lecz on znów naciskał.

– Proszę, Meraldo! – krzyknął. – Krew się we mnie gotuje!

– Mówisz, że chcesz mnie za żonę, ale traktujesz mnie jak ladacznicę! – krzyknęła. – Żaden mężczyzna nie bierze żony, z którą już spał – argumentowała Meralda.

Lord Feringal przerwał.

– Ale dlaczego? – spytał naiwny młodzieniec. – W końcu to jest miłość, a więc wszystko w porządku. Krew się we mnie gotuje, serce dudni mi w piersi z pragnienia wobec ciebie.

Meralda rozejrzała się dookoła z desperacją szukając drogi ucieczki i natrafiła na nią z nieoczekiwanego źródła.

– Wybacz, mój lordzie – dobiegł głos od drzwi, a gdy para obróciła się, ujrzeli zarządcę Temigasta wychodzącego z zamku. – Usłyszałem krzyk i obawiałem się, że jedno z was mogło spaść za barierkę.

– Cóż, widzisz że tak nie jest, więc odejdz – odparł podekscytowany Feringal, machając ręką, po czym odwrócił się do Meraldy.

Zarządca Temigast przez długą chwilę wpatrywał się w jej wystraszoną, białą twarz, z wyrazem sympatii i współczucia.

– Mój lordzie – odważył się cicho. – Jeśli rzeczywiście poważnie myślisz o poślubieniu tej

kobiety, musisz traktować ją jak damę. Godzina staje się późna – oznajmił. – Rodzina Ganderlay będzie się spodziewać powrotu swej córki. Wezwę powóz.

– Jeszcze nie – odparł natychmiast lord Feringal, zanim Temigast zdążył się w ogóle odwrócić. – Proszę – powiedział cicho i spokojnie do Temigasta, lecz głównie do Meraldy. – Jeszcze krótką chwilę?

Temigast popatrzył na Meraldę, która z wahaniem skinęła twierdząco głową.

– Wrócę po ciebie wkrótce – rzekł Temigast i wrócił do zamku.

– Nie chcę już więcej twoich głupstw – Meralda ostrzegła swego rozochoczonego zalotnika, nabierając pewności po jego nieśmiałej prośbie.

– To dla mnie trudne, Meraldo – szczerze starał się wytłumaczyć. – Bardziej niż możesz zrozumieć. Myślę o tobie w dzień i w nocy. Nie mogę się doczekać dnia, w którym się pobierzemy, dnia w którym całkowicie mi się oddasz.

Meralda nie miała odpowiedzi, lecz musiała się bardzo starać, by na jej pięknej twarzy nie pojawił się gniew. Pomyślała wtedy o swej matce, przypomniała sobie rozmowę, jaką podsłuchiwała pomiędzy swym ojcem a przyjaciółką rodziny, jak to kobieta żałowała, że Biaste najpewniej nie przeżyje zimy, jeśli nie zdołają znaleźć lepszego schronienia albo kapłana czy uzdolnionego uzdrowiciela, by się nią zajął.

– Nie będę czekał długo, zapewniam cię – ciągnął lord Feringal. – Powiem Priscilli, żeby jeszcze tego wieczora zajęła się przygotowaniami.

– Jeszcze nawet nie powiedziałam, że za ciebie wyjdę – Meralda pisnęła w słabym proteście.

– Ależ oczywiście, że za mnie wyjdiesz – Feringal powiedział pewnie. – Będzie obecna cała wieś, a uroczystość pozostanie w sercach i pamięci przez całe życie wszystkich, którzy będą jej świadkami. Tego dnia to toba, Meraldo, będą się najbardziej zachwycać – rzekł, podchodząc i znów ujmując jej dłoń, lecz tym razem delikatnie i z szacunkiem. – Po latach, nie, dekadach od teraz, kobiety z wioski wciąż będą mówić o pięknie narzeczonej lorda Feringala.

Meralda nie mogła zaprzeczyć, że wzruszyła ją szczerść mężczyzny i była dość poruszona perspektywą takiego dnia, o jakim mówił Feringal, wesela o którym w Auckney będzie się mówić przez całe lata. Jakaż kobieta nie pragnęłaby czegoś takiego?

Mimo to Meralda nie mogła również zaprzeczyć, że choć wspaniałe wesele było kuszące, jej serce pragnęło innego. Zaczęła teraz zauważać inną stronę lorda Feringala, przyzwoitą i troskliwą naturę, zagrzebaną pod naleciałościami jego chronionego wychowania. Pomimo tego Meralda nie mogła zapomnieć, nawet na jedną chwilę, że lord Feringal nie był po prostu jej Jaką.

Zarządca. Temigast wrócił i oznajmił, że powóz jest gotowy, a Meralda poszła prosto do niego, lecz mimo to nie była dość szybka, by uchylić się przed ostatnią próbą kradzieży buziaka przez młodzieńca.

Niewiele to znaczyło. Meralda zaczęła jasno dostrzegać sprawy i rozumiała swą odpowiedzialność wobec rodziny, postawiłaby ową odpowiedzialność ponad wszystko inne. Mimo to droga przez most i dalej była długa i smutna, a głowa młodej kobiety wirowała od tak wielu sprzecznych myśli oraz emocji.

Znów poprosiła gnomiego woźnicę, by wysadził ją kawałek od domu. Zdjąwszy niewygodne buty, które Temigast przysłał razem z suknią, Meralda ruszyła bosą drogą pod światłem księżyca. Zbyt oszołomiona wydarzeniami – pomyśleć, że miała wyjść za mąż! – Meralda była ledwo świadoma swego otoczenia i nawet nie żywiła nadziei, jak po ich pierwszym spotkaniu, że Jaka spotka się z nią na drodze. Całkowicie ją zaskoczyło, gdy przed nią pojawił się młodzieniec.

– Co on ci zrobił? – spytał, zanim Meralda zdołała wypowiedzieć w ogóle jego imię.

– Zrobił? – powtórzyła.

– Co zrobił? – zażądał Jaka. – Byłaś tam przez długi czas.

– Chodziliśmy po ogrodzie – odpowiedziała młoda kobieta.

– Po prostu chodziliście? – głos Jaki przybrał w tej chwili groźny ton, który zaniepokoił Meraldę.

– A co myślisz? – ośmieliła się zapytać. Jaka odetchnął głęboko i obrócił się.

– Ja nie myślę i w tym jest problem – zawył. – Jakie zakłęcie na mnie rzuciłaś, Meraldo? Och, czary! Wiem, że nędzny Feringal musi czuć to samo – dodał, obracając się z powrotem do niej. – Jaki mężczyzna by nie czuł?

Na twarzy młodej kobiety wykwitł szeroki uśmiech, lecz nie utrzymał się długo. Dlaczego Jaka zachowywał się tak osobliwie, tak nagle ugodzony miłością? – zastanawiała się.. Dlaczego nie zachowywał się tak wcześniej?

– Miał cię? – spytał Jaka, podchodząc bardzo blisko. – Pozwoliłaś mu?

Pytania te ugodziły Meraldę niczym uderzenie mokrym ręcznikiem w twarz.

– Jak możesz pytać mnie o coś takiego? – zaprotestowała. Jaka padł przed nią na kolana, ujmując obie jej dłonie i przyciskając je do swego policzka.

– Ponieważ umarłbym, gdybym pomyślał o tobie z nim – wyjaśnił.

Meralda poczuła słabość w kolanach i nieprzyjemne uczucie w żołądku. Była zbyt młoda i zbyt mało doświadczona, uświadomiła sobie, i nie mogła pojąć nic z tego wszystkiego, ani małżeństwa, ani grzecznych i niemal zwierzęcych przeciwieństw lorda Feringala, ani nagłego przeobrażenia Jaki w chorego z miłości zalotnika.

– Ja... – zaczęła. – Nic nie robiliśmy. Och, skradł mi pocałunek, ale go nie odwzajemniłam.

Jaka popatrzył na nią, a uśmiech na jego twarzy wydał się Meraldzie dość niepokojący. Wtedy podszedł bliżej, przysuwając wargi, by otarły się o jej i rozpalając ogień w całym jej ciele, jak jej się wydawało. Poczuła jego dłonie przemierzające jej ciało i nie obawiała się ich – przynajmniej nie w ten sam sposób, w jaki obawiała się swego szlacheckiego zalotnika. Nie, tym razem to było ekscytujące, lecz mimo to odepchnęła mężczyznę od siebie.

– Czy zaprzeczasz miłości, jaką do siebie nawzajem czujemy? – spytał zraniony Jaka.

– Ale to nie chodzi o to, co czujemy – starała się wyjaśnić Meralda.

– Oczywiście że tak – młodzieniec powiedział cicho i znów się zbliżył. – Tylko to się liczy.

Pocałował ją znów delikatnie, a Meralda zauważyła, że mu wierzy. Jediną rzeczą, jaka miała w tej chwili znaczenie było to, co ona i Jaka czuli do siebie. Odwzajemniła pocałunek, zapadając się głębiej i głębiej, wpadając w otchłań radości.

Nagle zniknął, zbyt nagle. Meralda otworzyła oczy i ujrzała Jakę turlającego się po ziemi i stojącego przed nią rozszalałego Dohniego Ganderlaya.

– A więc jesteś głupia? – spytał mężczyzna i podniósł rękę, jakby chciał uderzyć Meraldę. Wyraz bólu przeszył wtedy jego zniszczoną twarz. Szybko opuścił rękę, lecz za chwilę znów ją podniósł, chwytając Meraldę szorstko za ramię i obracając ją w stronę domu. Dohni popchnął córkę w tamtą stronę, po czym odwrócił się do Jaki, który uniósł w obronnym geście dłonie przed twarzą i miotał się, starając się uciec.

– Nie bij go, tato! – młoda kobieta krzyknęła i sama ta prośba powstrzymała Dohniego.

– Trzymaj się z dala od mojej córki – Dohni ostrzegł Jakę.

– Ja kocham... – zaczął odpowiadać Jaka.

– Znajdą twoje ciało na plaży – rzekł Dohni.

Gdy Meralda znów krzyknęła, wielki mężczyzna odwrócił się do niej gwałtownie.

– Do domu! – rozkazał. Meralda pobiegła najszybciej jak mogła, nie kłopotząc się nawet podniesieniem buta, który jej spadł, gdy ojciec ją pchnął.

Dohni obrócił się do Jaki, a jego oczy, czerwone od gniewu i bezsennych nocy, były najgroźniejszym widokiem, jakiego młodzieniec kiedykolwiek doświadczył. Jaka odwrócił się na pięcie i uciekł. Przynajmniej zaczął, ponieważ zanim przebył trzy kroki Dohni trafił go ciśniętym kamieniem w tylną część kolan, powalając go twarzą do ziemi.

– Meralda cię błagała, żebyś mnie nie bił – prosił przerażony młodzieniec.

Dohni wspiął się do niego, szorstko odwracając młodego mężczyznę.

– Meralda nie wie, co jest najlepsze dla Meraldy – Dohni odpowiedział z warknięciem i z ciosem, który szarpnął głowę Jaki na bok.

Młodzieniec zaczął płakać i machać szaleńczo rękoma, starając się bronić przed Dohnim. Ciosy przedostawały się jednak, jeden za drugim, podbijając piękne oczy Jaki i wywołując spuchnięcie obydwu warg, wybijając jeden ząb z jego doskonałego uśmiechu i malując siniaki na jego zwykłe różowych policzkach. Jaka pomyślał w końcu, by osłonić sponiewieraną twarz rękoma, lecz Dohni, którego złość jeszcze nie osłabła, jedynie wymierzał ciosy niżej, tłukąc, bijąc Jakę w pierś. Za każdym razem, gdy Jaka opuszczał jedną z rąk, by blokować razy, Dohni sprytnie ładował znów cios w jego twarz.

W końcu Dohni zeskoczył z młodzieńca, chwycił go za przód koszuli i nagłym, gwałtownym szarpnięciem postawił na nogi. Jaka wysunął przed siebie otwarte dłonie na znak poddania się. Ten akt tchórzostwa sprawił jedynie, że Dohni uderzył go raz jeszcze, brutalnym sierpowym w szczękę, który posłał go znów na ziemię. Dohni podniósł go i znów nadstawił pięść. Skamlanie Jaki sprawiło, że Dohni pomyślał o Meraldzie, o nieuniknionej minie na jej twarzy, gdy wejdzie do domu. Dohni obrócił chłopaka, pchając, aby poszedł w swoją stronę.

– Zniknij! – mężczyzna warknął za Jaką. – I nie wiesz już koło mojej córki!

Jaka zawył donośnie i pokuśtykał w mrok.

ROZDZIAŁ 9

DNO BARYŁKI

Robillard podrapał się po podbródku, gdy zobaczył jak Wulfgar i Morik idą alejką ku drzwiom frontowym Cutlassa. Deudermont wciąż był w środku, a fakt ten nie odpowiadał zbytnio wieszczącemu czarodziejowi, zważywszy na całą aktywność, jaką widział przy drzwiach. Robillard widział jak zapuszczony osobnik wychodzi ze środka i płaci ulicznemu wyrostkowi. Czarodziej rozumiał zastosowanie takich dzieci. Ten sam osobnik, zaprawdę niezwykła postać, znów wyszedł z Cutlassa i odszedł w cienie.

Wulfgar pojawił się z małym, ogorzałym mężczyzną. Robillard nie był zdziwiony, gdy ten sam ulicznik wyrżał z zaułka jakiś kawałek dalej, bez wątpienia czekając na okazję, by wrócić na swoje miejsce pracy.

Po dopasowaniu do siebie faktów i dodaniu sporej dozy usprawiedliwionych podejrzeń, Robillard uświadomił sobie prawdę. Odwrócił się do drzwi i zainkantował prosty czar, chwytając powietrze i używając go, by rozewrzeć wrota.

– Panie Micanty! – zawołał, kolejnym zaklęciem wzmacniając swój głos.

– Weź dwóch marynarzy i ostrzeż straż miejską – polecił Robillard. – Niech idą najszybciej jak mogą do Cutlassa na Ulicę Półksiężycy.

Warknąwszy, czarodziej odwrócił pierwszy czar i z powrotem zatrzęsął drzwi, po czym wpatrzył się znów bacznie w obrazy w kryształowej kuli, skupiając się na frontowym wejściu do Cutlassa. Wszedł do środka i ujrzał Deudermonta opartego spokojnie o bar.

Minęło kilka minut, podczas których nic się nie wydarzyło. Robillard cofnął wzrok na zewnątrz na wystarczająco długo, by ujrzeć, że Wulfgar i jego mały przyjaciel czają się w cieniu, jakby na coś czekali.

W chwili gdy magiczne oko czarodzieja zawędrowało z powrotem za drzwi tawerny, Deudermont zbliżał się do wyjścia.

– Pospiesz się, Micanty – Robillard mruknął cicho pod nosem, lecz wiedział, że straż miejska, choć dobrze wyćwiczona, nie zdąży zapewne na czas i że będzie musiał podjąć jakieś działania. Czarodziej szybko naszkicował swe plany: wymiarowe drzwi na drugim końcu doków i drugie w alejce biegnącej obok Cutlassa. Ostatnie spojrzenie w kryształową kulę powiedziało Robillardowi, że Wulfgar i drugi mężczyzna idą w stronę kapitana. Robillard zwolnił mentalne połączenie z kulą

i przywołał pierwsze wymiarowe drzwi.

* * *

Creeps Sharky i Tee-a-nicknick przycupnęli w cieniu na dachu. Wytatuowany mężczyzna podniósł dmuchawkę do ust w chwili, w której Deudermont wyszedł z tawerny.

– Jeszcze nie – polecił Creeps, chwytając za rurkę i opuszczając broń. – Niech porozmawia z Wulfgarem i Morikiem i zbliży się do mojego kamienia, który usunie magiczne osłony, jeśli jakieś nosi. I niech inni zobaczą ich razem, a także potem, gdy Deudermont już padnie trupem.

Obszarpany pirat oblizwał ze zniecierpliwieniem wargi.

– Im przypadnie wina, a nam nagroda – powiedział.

* * *

– Wulfgarze – kapitan Deudermont powitał go, gdy barbarzyńca i jego kolega wychynęli się z cieni i zbliżyli powoli. – Moi ludzie mówili, że przyszedłeś na Duszka Morskiego.

– Wcale nie chciałem – mruknął Wulfgar, co wywołało kuksańca łokciem ze strony Morika.

– Powiedziałeś, że chcesz odzyskać swój młot bojowy – przypomniał mu niski mężczyzna.

Tak naprawdę Morik myślał jednak o tym, że może to być idealny moment, by dowiedzieć się czegoś o Deudermontcie, o jego osłonach oraz, co ważniejsze, o słabościach. Ulicznik znalazł barbarzyńcę i łotrzyka w dokach, podał im małą torebkę o zagadkowej zawartości i wyjaśnił, że kapitan Deudermont życzy sobie ich obecności przed Cutlassem na Ulicy Półksiężycy. Morik znów odezwał się do Wulfgara na temat potencjalnych zysków, lecz wycofał się natychmiast rozpoznając ten niebezpieczny grymas. Jeśli Wulfgar nie zamierzał asystować w morderstwie, to Morik musiał znaleźć sposób, by zrobić to po swojemu. Nie miał oczywiście nic przeciwko Deudermontowi i zwykle nie był mordercą, lecz zapłata była po prostu zbyt wielka, by można ją było zignorować. Wystarczająco wysoka, uznał Morik, by Wulfgar mógł żyć w luksusie, w najlepszych pokojach, z najlepszym jadłem, z najlepszymi napitkami i najlepszymi dziewczynkami.

Wulfgar skinął głową i podszedł, by stanąć tuż przed Deudermontem, choć nie kłopotał się, by

uściskać jego wyciągniętą dłoń.

– O czym wiesz? – spytał.

– Tylko o tym, że przyszedłeś do doków i popatrzyłeś na Waillana Micanty'ego – odparł Deudermont. – Założyłem, że chciałeś ze mną rozmawiać.

– Jedynym, czego chcę od ciebie jest informacja dotycząca Aegis-fanga – rzekł cierpko.

– Twojego młota? – zapytał Deudermont i popatrzył z ciekawością na Wulfgara, jakby dopiero teraz zauważając, że barbarzyńca nie miał swojej broni.

– Chłopak powiedział, że masz informacje – wyjaśnił Morik.

– Chłopak? – spytał zakłopotany kapitan.

– Chłopak, który mi to dał – wytłumaczył Morik, pokazując torbę.

Deudermont podszedł, by ją chwycić, lecz zatrzymał się, widząc jak Robillard wypada z bocznej alejki.

– Stój! – krzyknął czarodziej.

Deudermont poczuł silne ukłucie z boku szyi. Sięgnął tam instynktownie ręką, lecz zanim jego palce zdołały zacisnąć się wokół kociego pazura, ogarnęła go ciemność i ugięły mu się kolana. Wulfgar podskoczył, by go złapać.

Robillard wrzasnął i sięgnął w stronę Wulfgara magią, wyciągając przed siebie różdżkę i uderzając wielkiego barbarzyńcę w środek piersi kulą kleistej galarety, która odrzuciła go z powrotem na Cutlassa i tam przytrzymała. Morik odwrócił się i zaczął uciekać.

– Kapitanie! Kapitanie! – krzyknął Robillard i wypuścił kolejną kulę w Morika, lecz złodziej był zbyt zwinny i zdążył uchylić się, umykając w kolejny zaułek. Musiał niemal natychmiast odwrócić kierunek, bowiem z drugiego końca wyszła para strażników miejskich, dzierżących płonące pochodnie i lśniące miecze. Zachował dość przytomności umysłu, by odrzucić na bok otrzymaną od chłopca sakiewkę, zanim skręcił.

Po chwili wydawało się już jakby cała Ulica Półksiężycy wybuchła aktywnością, strażnicy i marynarze Duszka Morskiego wychodzili z każdej widocznej strony.

Pod ścianą Cutlassa Wulfgar starał się usilnie chwycić oddech. Jego umysł powirował z powrotem do szarości Otchłani, z powrotem do licznych podobnych demonów, które posyłał na niego Errtu, by trzymały go w podobny sposób, bezradnego w obliczu diabolicznych sług. Wizja ta użyczyła mu złości, a złość użyczyła mu siły. Rozszalały barbarzyńca odzyskał równowagę i

szarpnął mocno, odrywając deskę ze ściany budynku.

Robillard, wyjąc z frustracji i strachu, gdy klękał przy ledwo oddychającym Deudermoncie, trafił Wulfgara kolejną kulą, przyklejając go na powrót do ściany.

– Zabili go! – czarodziej wrzasnął do strażników. – Złapcie tego małego szczura!

* * *

– Idziemy – Tee-a-nicknick powiedział zaraz, gdy pod Deudermontem ugięły się nogi.

– Strzel jeszcze raz – poprosił Creeps. Wytatuowany mężczyzna potrząsnął głową.

– Raz wystarczy. Idziemy.

Gdy wraz z Creepsem zaczęli się podnosić, strażnicy wylegli na Ulicę Półksiężyca i wszystkie okoliczne alejki. Creeps poprowadził swego przyjaciela przez okienko mansardowe do budynku, gdzie złożyli dmuchawkę oraz truciznę. Następnie wyszli kolejnym oknem i usiedli pod mansardą. Creeps wyjął butelkę i zaczęli pić, udając nieświadomych niczego, zadowolonych pijaków.

Po kilku minutach przez krawędź dachu wdrapało się kilku strażników, podchodząc do nich. Po pobieżnej inspekcji i okrzyku z dołu obwieszczającym, że jeden ze skrytobójców został złapany, a drugi ucieka ulicami, strażnicy odwrócili się z niesmakiem.

* * *

Morik obrócił się i pomknął w jedną stronę, a potem w następną, lecz pętla wokół niego zaciskała się coraz bardziej. Znalazł cień we wnętrzu budynku i pomyślał, że może przeczekać pościg, kiedy zaczął jaśnieć magicznym światłem.

– Czarodzieje – wymruczał łotrzyk. – Nienawidzę czarodziejów!

Podbiegł do budynku i zaczął się wspinać, lecz został złapany za nogi i ściągnięty, a następnie pobity i skopany, dopóki nie przestał się wyrywać.

– Nic nie zrobiłem! – zaprotestował, plując krwią przy każdym słowie, gdy stawiali go szorstko

na nogi.

– Zamknij pysk! – zażądał jeden ze strażników, wbijając Morikowi w brzuch rękojeść swojego miecza, wskutek czego łotrzyk zgiął się z bólu. Na wpół przeszedł, a na wpół został zaciągnięty z powrotem do miejsca, w którym Robillard uwijał się gorączkowo nad Deudermontem.

– Biegnijcie po uzdrowiciela – polecił czarodziej, i strażnik oraz dwóch marynarzy spełniło polecenie.

– Jaka trucizna? – czarodziej zażądał odpowiedzi od Morika. Morik wzruszył ramionami jakby nie rozumiał.

– Torba – powiedział Robillard. – Trzymałeś torbę.

– Nie mam żadnej... – zaczął Morik, lecz przerwał, gdy strażnik obok niego znów uderzył go silnie w trzewia.

– Wróćcie się po jego śladach – Robillard poinstruował pozostałych strażników. – Niósł małą sakwę. Chcę, żeby ją znaleziono.

– Co z nim? – spytał jeden ze strażników, wskazując na stertę ciała, jaką stał się Wulfgar. – Raczej nie może pod tym oddychać.

– Więc wytnijcie mu miejsce na twarz – wysyczał Robillard. – Nie powinien tak łatwo umrzeć.

– Kapitanie! – Waillan Micanty krzyknął widząc Deudermonta. Podbiegł, by przyklęknąć przy swym leżącym kapitanie. Robillard położył mu uspokajająco rękę na ramieniu i skierował gwałtowne spojrzenie na Morika.

– Jestem niewinny – oznajmił niski złodziej, lecz z zaułka dobiegł okrzyk. Chwilę później przybiegł strażnik z sakiewką w dłoni.

Robillard otworzył torbę, najpierw wyjmując z niej kamień i wyczuwając natychmiast, czym może on być. Przeżył w końcu Trudne Czasy i wiedział wszystko o regionach martwej magii oraz o tym, jak kamienie z takich miejsc potrafią rozpraszać wszelką magię, która znajduje się w ich pobliżu. Jeśli dobrze zgadywał, wyjaśniałoby to, w jaki sposób Morik i Wulfgar z taką łatwością przebili osłony, które umieścił na kapitanie.

Następnie Robillard wyjął z torby koci pazur. Poprowadził spojrzenie Morika oraz wszystkich pozostałych z owego zagadkowego przedmiotu na szyję Deudermonta, a następnie pokazał podobny szpon, który wyciągnął z rany kapitana.

– W istocie – Robillard powiedział cierpko, podnosząc brwi.

– Nienawidzę czarodziejów – Morik mruknął pod nosem. Charknięcie Wulfgara sprawiło, że wszyscy się obrócili. Wielki mężczyzna wypluwał kawałki kleistej substancji. Niemal natychmiast zaczął ryczeć z wściekłości i szarpać się z taką zaciekłością, że cały Cutlass się od tego trząsał.

Robillard zauważył wtedy, że Arumn Gardpeck i kilku innych wyszło ze środka i wpatrywało się z niedowierzaniem w rozciągającą się przed nimi scenę. Oberżysta podszedł, by przyjrzeć się Wulfgarowi, po czym potrząsnął głową.

– Co zrobiłeś? – spytał.

– Nic dobrego, jak zazwyczaj – zauważył Josi Puddles. Robillard podszedł do nich.

– Znasz tego mężczyznę? – spytał Arumna, wskazując głową Wulfgara.

– Pracował dla mnie, odkąd przybył do Luskan zeszłej wiosny – wyjaśnił Arumn. – Dopóki... – oberżysta zawahał się i znów przyjrzał wielkiemu mężczyźnie, potrząsając głową.

– Dopóki? – ponaglił Robillard.

– Dopóki nie rozłościł się za bardzo na cały świat – chętnie wtrącił Josi Puddles.

– Zostaniecie wezwani, by zeznawać przeciwko niemu w magistracie – wytłumaczył Robillard. – Obydwaj.

Arumn przytaknął posłusznie głową, lecz głowa Josiego pokiwała ochoczo. Być może zbyt ochoczo, zaobserwował Robillard, lecz sam przed sobą musiał przyznać się do wdzięczności wobec małego łajdaka.

Niedługo później przybiegła gromadka kapłanów, sama ich liczba oraz pośpiech były świadectwem wielkiej reputacji Deudermonta jako łowcy piratów. Po niewielu minutach ranny poszkodowany mężczyzna został odniesiony na noszach.

Na pobliskim dachu Creeps Sharky uśmiechnął się podając Tee-a-nicknickowi pustą butelkę.

Luskańskie więzienie składało się z szeregu jaskiń w pobliżu przystani, krętych i błotnistych, o twardych i nierównych kamiennych ścianach. Wiecznie podsycane płomienie sprawiały, że miejsce to było brutalnie gorące i zaparowane. Grube całuny wilgoci pojawiały się wszędzie, gdzie gorące powietrze stykało się z zimnymi wodami Morza Mieczy. Było tu niewiele cel, zarezerwowanych głównie dla więźniów politycznych, stanowiących zagrożenie dla rządzących rodzin oraz kupców, którzy mogliby stać się silniejsi, gdyby uczyniono z nich męczenników. Większość więźniów nie dożywała jednak dość długo, by otrzymać celę, szybko stawała się ofiarą makabrycznego i brutalnie skutecznego Więziennego Karnawału.

Cela mieściła w sobie parę kajdan, osadzonych dość wysoko na ścianie, by więźniowie musieli

stać na palcach, zwisając boleśnie za ramiona. Torturę uzupełniali bezmyślni klawisze, wielkie i paskudne zbiry, głównie półogry, przechadzające się powoli i metodycznie po kompleksie z rozszarżonymi pogrzebaczami w dłoniach.

– To wszystko jest jedną wielką pomyłką, rozumiesz – Morik skarżył się najświeższemu klawiszowi, który zbliżał się powoli do niego i do Wulfgara.

Wielki osiłek wydobył z siebie powolny chichot, brzmiący jakby kamienie zgrzytały o siebie, i niedbale dźgnął pomarańczowym końcem pogrzebacza w brzuch Morika. Zwinny złodziej odskoczył na bok, szarpnąwszy mocno zakutą ręką, lecz mimo to został boleśnie oparzony w bok. Ogr klawisz poszedł po prostu dalej, zbliżając się do Wulfgara i chichocząc powoli.

– A co z tobom? – spytał osiłek, podsuwając swój smrodliwy oddech blisko barbarzyńcy. – Ty też, he? Nigdy żeś nie zrobił niczego coby cię uwięzić?

Wulfgar wpatrywał się przed siebie, z beznamiętną twarzą. Ledwo się skrzywił, gdy potężny osiłek uderzył go w brzuch albo gdy ten paskudny pogrzebacz dotknął jego pachy, podnosząc znad skóry smugę dymu.

– Silnyś – osiłek powiedział i znów zachichotał. – Wincej zabawy. – Podniósł pogrzebacz na wysokość twarzy Wulfgara i zaczął go powoli zbliżać do oka wielkiego mężczyzny.

– Och, tera to zawyjesz – rzekł.

– Ale nie zostaliśmy jeszcze osądzeni! – poskarżył się Morik.

– Sundzisz, że to ma znaczenie? – odparł klawisz, zatrzymując się na wystarczająco długo, by uśmiechnąć się paskudnie do Morika. – Wszyscyście winni dla zabawy, jeśli nie dla prawdy.

Ugodziło to Wulfgara jako głębokie stwierdzenie. Taka była sprawiedliwość. Popatrzył na klawisza jakby po raz pierwszy dostrzegł paskudne stworzenie, widząc w tym prostą mądrość, światopogląd wynikający z obserwacji. Z ust idiotów, pomyślał.

Pogrzebacz się zbliżył, lecz Wulfgar uraczył klawisza tak spokojnym i wyniszczającym spojrzeniem, zrodzonym z najwyższego przekonania barbarzyńcy, że ten mężczyzna – że wszyscy ci głupi śmiertelnicy – nie mogli mu zrobić nic, co równałoby się z bólem, jaki cierpiał z opazurzonych dłoni demona Errtu.

Klawisz najwyraźniej zrozumiał ten przekaz, albo podobny, zawahał się bowiem, a nawet cofnął pogrzebacz, by lepiej widzieć stanowczy wyraz twarzy Wulfgara.

– Sundzisz, że byś to wytrzymał? – brutalny oprawca zapytał Wulfgara. – Sundzisz, że byś trzymał takom spokojnom twarz, gdybym ci wyłupił oko? – I znów się zbliżył.

Wulfgar wydał z siebie warkot, zrodzony gdzieś głęboko, bardzo głęboko w jego wnętrzu, pierwotny odgłos, który pozbawił Morika słów, gdy niski złodziej zamierzał zaprotestować. Warkot wywodzący się z jego udreki w jamach Otchłani.

Barbarzyńca napiął potężnie pierś, zebrał siły i wyrzucił jedno ramię w przód z taką zaciekłością i szybkością, że łańcuch wyrwał się ze ściany, a oszołomiony klawisz wycofał się pospiesznie.

– Och, za to cię zabiję! – krzyknął klawisz i zbliżył się, trzymając pogrzebacz jak pałkę.

Wulfgar był na to przygotowany. Barbarzyńca obrócił się, niemal kierując twarz do ściany, po czym machnął potężnie wolną ręką, posyłając łańcuch oraz przytwierdzoną do niego klamrę i kawałek skały na gorejący pogrzebacz, wytrącając go klawiszowi z dłoni. Osilek znów się wycofał, a Wulfgar obrócił się całkowicie do ściany, przesuwając nogi tak, że mógł oprzeć solidnie stopy po obu stronach pozostającego łańcucha.

– Rozwal wszystkie ściany! – zakrzyknął Morik. Klawisz odwrócił się i uciekł.

Z Wulfgara wydobył się kolejny warkot i barbarzyńca szarpnął z całej siły, napinając każdy mięsień w swym potężnym ciele. Ta klamra była porządniej zamocowana niż pierwsza, i to w solidnej skale, lecz Wulfgar ciągnął tak mocno, że ogniwo ciężkiego łańcucha zaczęło się rozginać.

– Ciągnij! – krzyknął Morik.

Wulfgar ciągnął i oderwał się od ściany, wywijając salto do tyłu. Potoczył się po ziemi, nie poszkodowany, lecz nagle go to trafiło, fala cierpienia silniejszego niż dowolna tortura, jaką mógłby mu zadać sadystyczny klawisz. W myślach nie przebywał już w lochu w Luskan, lecz był z powrotem w Otchłani, i choć nie trzymały go już kajdany, wiedział że nie ma ucieczki, że nie da się zwyciężyć nad nazbyt potężnymi ciemieczkami. Jakże wiele razy Errtu się z nim w to zabawiał, sprawiał że czuł się wolny, by móc go pochwycić i zaciągnąć z powrotem w brud oraz smród, jedynie po to, by go skatować, uleczyć i znów skatować?

– Wulfgarze? – Morik odzywał się błagalnie raz za razem, szarpiąc za własne kajdany, choć bez żadnych rezultatów. – Wulfgarze!

Barbarzyńca nie mógł go słyszeć, nie mógł go nawet widzieć, tak był zagubiony w wirującej mgłę własnych myśli. Wulfgar zwinął się na podłodze, trzęsąc się jak dziecko, gdy klawisz wrócił z tuzinem kamratów.

Krótką chwilę później pobity Wulfgar znów zwisał ze ściany, tym razem w kajdanach pomyślanych dla giganta, w grubych i solidnych łańcuchach, w których stopy zwisały mu wysoko nad ziemią, a ręce miał mocno rozciągnięte na boki. Jako dodatkowy środek ostrożności za barbarzyńcą ustawiono klocek z zaostrzonymi kolcami, tak więc gdyby mocno pociągnął, raczej by się na nie nabił niż wyrwał łańcuchy. Był teraz w innej komnacie, daleko od Morika. Był zupełnie

sam ze swymi wspomnieniami o Otcłani, bez miejsca, w którym mógłby się ukryć czy butelki, która mogłaby go zabrać gdzieś indziej.

* * *

– Winno działać – wymamrotała stara kobieta. – Dobre zioła na truciznę.

Trzech kapłanów przechadzało się w tę i z powrotem po pomieszczeniu, jeden mrucał modlitwy, inny przechodził z jednej strony kapitana Deudermonta na drugą, słuchając oddechu, bicia serca, sprawdzając puls, trzeci zaś jeździł dłonią po ciasno zebranych włosach.

– Ale nie działa – spierał się Robillard, spoglądając na kapłanów w poszukiwaniu jakiejś pomocy.

– Nie rozumiem – powiedział Camerbunne, najwyższy rangą kapłan z całej trójki. – Opiera się naszym czarom i nawet potężnemu ziołowemu antidotum.

– A jeśli się mo trochę trucizny w renku, winno działać – rzekła starucha.

– Jeśli to istotnie jest trochę tej trucizny – zauważył Robillard.

– Sam to wzięłeś od tego małego o imieniu Morik – wyjaśnił Camerbunne.

– To niekoniecznie znaczy... – zaczął odpowiadać Robillard. Pozwolił tej myśli zwisnąć w powietrzu. Miny na twarzach czworga jego towarzyszy wystarczająco wyraźnie powiedziały mu, że zrozumieli. – Co więc robimy? – spytał czarodziej.

– Nie mogie niczego obiecać – stwierdziła stara kobieta, rozkładając dramatycznie ręce. – Nie majone trucizny moje zioła robiom to, co robiom.

Przeszła na bok pomieszczenia, gdzie umieścili mały stolik służący jej za pulpit do pracy, i zaczęła gmerać w rozmaitych fiolkach, słoiczkach oraz butelkach. Robillard popatrzył na Camerbunne'a. Mężczyzna odpowiedział bezradną miną. Kapłani pracowali niestrudzenie nad Deudermontem przez cały dzień, kiedy to był pod ich opieką, rzucając czary, które powinny zneutralizować płynącą przez niego paskudną truciznę. Owe zaklęcia dawały jedynie tymczasową ulgę, przynajmniej spowalniając toksynę i pozwalając kapitanowi łatwiej oddychać oraz obniżając trochę gorączkę. Deudermont nie otworzył oczu od napaści. Niedługo potem oddech kapitana stał się urywany i znów zaczął krwawić z dziąseł i oczu. Robillard nie był uzdrowicielem, lecz widział wystarczająco wiele zgonów, by rozumieć, że jeśli szybko czegoś nie wymyślą, jego ukochany kapitan Deudermont zgaśnie.

– Zła trucizna – stwierdził Camerbunne.

– To zioło, bez wątpienia – rzekł Robillard. – Ani złe, ani złośliwe. Po prostu takie, jakie jest.

Camberbunne potrząsnął głową.

– Jest w tym ślad magii, nie wątp w to, dobry czarodzieju – oznajmił. – Nasze czary pokonałyby każdą naturalną truciznę. Nie, ta została specjalnie przygotowana przez mistrza i to z pomocą mrocznej magii.

– Co więc możemy zrobić? – zapytał czarodziej.

– Możemy dalej rzucać na niego nasze czary, by dać mu ile się tylko da wytchnienia i mieć nadzieję, że trucizna się z niego wydostanie – wyjaśnił Camerbunne. – Możemy mieć nadzieję, że stara Gretchen znajdzie odpowiednią mieszaninę ziół.

– Łatwiej by było, gdybym trochę trucizny miała – narzekła stara Gretchen.

– I możemy się modlić – dokończył Camerbunne.

To ostatnie stwierdzenie wywołało podniesienie brwi u ateistycznie nastawionego Robillarda. Był człowiekiem logicznym i o ustalonych zasadach, nie oddającym się modlitwie.

– Pójdę do Morika Łotra i dowiem się więcej o truciźnie – warknął Robillard.

– Już był torturowany – Camerbunne zapewnił czarodzieja. – Wątpię czy cokolwiek wie. Bez wątpienia to jedynie coś, co kupił na ulicy.

– Torturowany? – Robillard odparł sceptycznie. – Zgniatanie kciuków, rozciąganie? Nie, to nie jest tortura. Sztuka tortur staje się piękniejsza, gdy zastosować magię. – Ruszył do drzwi, lecz Camerbunne chwycił go za ramię.

– Morik nie będzie wiedział – powtórzył, wpatrując się trzeźwo w zapadnięte oczy rozwścieczonego czarodzieja. – Zostań z nami. Zostań ze swoim kapitanem. Może nie przetrwać nocy, a jeśli przed śmiercią się obudzi, lepiej by zobaczył, że czeka na niego przyjaciel.

Robillard nie miał argumentów przeciwko temu bezceremonialnemu stwierdzeniu, tak więc westchnął i wrócił do swego krzesła, siadając w nim ciężko.

Krótką chwilę później strażnik miejski zapukał i wszedł do pomieszczenia na rutynowe wezwanie z magistratu.

– Powiedz Jeremowi Bollowi i staremu Jharkheldowi, że Wulfgar i Morik zostaną najprawdopodobniej oskarżeni o haniebne morderstwo – cicho wyjaśnił Camerbunne.

Robillard usłyszał kapłana i jego słowa jeszcze bardziej go pogrążyły. Dla Wulfgara i Morika nie miało większego znaczenia, jakie będzie przeciwko nim wystawione oskarżenie. Nieważne, czy będzie to haniebne morderstwo, czy morderstwo z premedytacją, zostaną straceni, choć w pierwszym przypadku proces potrwa dłużej, ku uciesze tłumu na Więziennym Karnawale.

Obserwowanie ich śmierci da jednak Robillardowi niewielką satysfakcję, jeśli jego ukochany kapitan nie przeżyje. Złożył głowę na rękach, znów rozważając, czy nie powinien iść do Morika i karać go jednym czarem za drugim, dopóki by się nie załamał i nie ujawnił, jakiego rodzaju trucizny użyto.

Robillard wiedział, że Camerbunne ma rację, znał bowiem miejskich złodziei, takich jak Morik Łotr. Z pewnością Morik nie uwarzył sam trucizny, lecz zdobył ją z dobrze opłaconego źródła.

Czarodziej podniósł głowę z wyrazem olśnienia na wymizerowanej twarzy. Przypomniawszy sobie dwóch mężczyzn, którzy byli w Cutlassie, zanim zjawili się Wulfgar i Morik, oraz dwóch mężczyzn, podchodzących do chłopca, który potem pobiegł, by znaleźć Wulfgara i Morika: brudnego marynarza i jego egzotycznego, wytatuowanego towarzysza. Przypomniawszy sobie Skaczącą Damę, wypływającą szybko z przystani Luskan. Czy Wulfgar i Morik przehandlowali wspianiały młot bojowy barbarzyńcy za truciznę, by zabić Deudermonta?

Robillard zerwał się z krzesła, nie wiedząc, gdzie zacząć, lecz myśląc, że był na drodze do czegoś ważnego. Ktoś, albo para, która zasygnalizowała przybycie Deudermonta, albo ulicznik, któremu zapłacili, by poszedł po Wulfgara oraz Morika, albo ktoś na Skaczącej Damie, musiał znać tajemnicę trucizny.

Robillard popatrzył raz jeszcze na swego biednego, wymizerowanego kapitana, znajdującego się tak blisko śmierci. Wypadł z pomieszczenia, zdecydowany zdobyć odpowiedź.

PRZEJŚCIE

Następnego poranka Meralda weszła z wahaniem do kuchni, świadoma spojrzenia, jakim obrzucił ją ojciec. Popatrzyła także na matkę, szukając jakiejś wskazówki, że ojciec opowiedział kobiecie o jej wczorajszym spotkaniu z Jaką. Biaste promieniała jednak, nieświadoma.

– Och, ogród! – krzyknęła Biaste, cała uśmiechnięta. – Opowiedz mi o ogrodzie. Jest tak piękny, jak mówi Gurdy Harkins?

Meralda zerknęła na ojca. Poczawszy ulgę widząc, że on też się uśmiecha, wzięła krzesło i podsunęła je do Biaste.

– Piękniejszy – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Wszystkie kolory, nawet gdy słońce jest nisko! A pod księżycem, nawet jeśli nie świeci tak mocno, zapachy cię chwytają i trzymają.

– To nie wszystko, co mi się spodobało – rzekła Meralda, zmuszając się do radosnego głosu, gdy przekazywała wieść, na którą wszyscy czekali. – Lord Feringal poprosił mnie o rękę.

Biaste pisnęła z radości. Tori wyrzuciła z siebie okrzyk zaskoczenia, a także sporą część zawartości ust. Dohni Ganderlay pacnął wesoło dłońmi o stół.

Biaste, która tydzień wcześniej ledwo mogła wyjść z łóżka, zaczęła się krzątać, szykując się i nalegając, że musi natychmiast wyjść, by o wszystkim opowiedzieć swym przyjaciółkom, zwłaszcza Gurdy Harkins, która zawsze się wywyższała, ponieważ czasami szła sukienki dla lady Priscilli.

– Dlaczego zeszłej nocy przyszłaś taka zaczerwieniona i zapłakana? – Tori spytała Meraldę zaraz po tym, jak znalazły się same w swym pokoju.

– Nie wtrącaj się do tego, co cię nie dotyczy – odparła Meralda.

– Będiesz żyła w zamku i podróżowała do Hundelstone oraz Fireshear, a nawet do Luskan i wszystkich wspaniałych miejsc – naciskała Tori. – Ale płakałaś. Słyszałam.

Znów czując wilgoć w oczach, Meralda zmierzyła dziewczynkę spojrzeniem i wróciła do swych obowiązków.

– To Jaka – uznała Tori, malując uśmiech na twarzy. – Wciąż o nim myślisz.

Meralda przestała na chwilę układać poduszkę, przysunęła ją na moment do siebie – gestem, który ukazał Tori, że jej przypuszczenie było prawdziwe – po czym obróciła się nagle i cisnęła Tori poduszką w twarz, po czym rzucając się zaraz za nią i łaskocząc, przewracając siostrę na małe łóżko.

– Powiedz, że jestem królową! – zażądała starsza dziewczyna.

– Niech ci będzie – zripostowała uparta Tori, co wywołało kolejną falę łaskotek. Wkrótce Tori nie mogła już wytrzymać i zawołała: – Królowa! Królowa! – raz za razem.

– Ale smucisz się o Jakę – Tori powiedziała trzeźwo kilka chwil później, gdy Meralda zajęła się cerowaniem narzuty na łóżko.

– Widziałam go zeszłej nocy – przyznała Meralda. – Gdy wracałam do domu. Zglupiał, myśląc o mnie i o lordzie Feringalu.

Tori chwyciła raptownie powietrze i zakołysała się, po czym nachyliła bliżej, chłonąc każde słowo. – I mnie pocałował.

– Lepiej niż lord Feringal?

Meralda westchnęła i przytaknęła, zamykając oczy, gdy zanurzyła się we wspomnieniu tej krótkiej, czulej chwili z Jaką.

– Och, Meraldo, i co zrobisz? – spytała Tori.

– Jaka chce, żebym z nim uciekła – odpowiedziała. Tori jęknęła i przycisnęła do siebie swoją poduszkę.

– A zrobisz to?

Meralda wyprostowała się i błysnęła dziewczynce dzielnym uśmiechem.

– Moje miejsce jest przy lordzie Feringalu – wyjaśniła. – Ale Jaka...

– Jaka nie może nic zrobić dla mamy ani dla was – ciągnęła Meralda. – Można oddać serce komu się tylko chce, ale życie oddajesz tym, którzy sadła ciebie najlepsi i tym, których kochasz.

Tori znów zaczęła protestować, lecz do pokoju wszedł Dohni Ganderlay.

– Macie robotę – przypomniał im i popatrzył na Meraldę w sposób, który powiedział młodej kobiecie, że słyszał ich rozmowę. Nawet skinął lekko głową wychodząc z pokoju.

Meralda przeszła ten dzień jak we mgle, starając się pogodzić swe serce z akceptacją swej

odpowiedzialności. Chciała zrobić to, co było dobre dla rodziny, naprawdę chciała, lecz nie mogła zignorować porywów serca, pragnienia poznania miłości w ramionach mężczyzny, którego naprawdę kochała.

Na polu na wyrzeżanych tarasach góry Dohni Ganderlay był nie mniej rozdarty. Widział tego poranka Jakę Sculiego i wymienili zaledwie krótkie spojrzenie – jednookie ze strony Jaki, bowiem jego lewa powieka spuchła przysłaniając całkowicie oko. Chciał udusić młodzieńca za narażanie jego rodziny, lecz nie mógł odrzucić własnych wspomnień o miłości, wspomnień, które wzbudzały w nim winę, gdy spoglądał na pobitego Jakę. Coś bardziej uporczywego niż odpowiedzialność popchnęło Meraldę i Jakę do siebie zeszłej nocy i Dohni przypomniał sobie wymownie, by nie czuć urazy, ani wobec swej córki, ani wobec Jaki, bowiem jego jedynym przewinieniem, co Dohni dobrze wiedział, była miłość do Meraldy.

* * *

Krótko po zmierzchu dom wciąż był cichy i całkowicie pogrążony w ciemnościach, co jedynie wzmocniało hałas czyniony przez każdy ruch Meraldy. Rodzina położyła się wcześniej po długim dniu pracy i ekscytacji wywołanej kolejnym zaproszeniem Meraldy do zamku, za trzy dni, któremu towarzyszyła najpiękniejsza zielona, jedwabna suknia, jaką kiedykolwiek widziały kobiety Ganderlay. Meralda próbowała założyć ją cicho i powoli, lecz materiał szeleścił i marszczył się.

– Co robisz? – dobiegł zaspany szept Tori.

– Ćśś! – odparła Meralda, podchodząc tuż do łóżka dziewczynki i klękając, by Tori mogła usłyszeć jej wyszeptaną odpowiedź. – Wracaj do snu i nic nie mów – poleciła.

– Idziesz do Jaki – wypaliła Tori, a Meralda nakryła jej usta dłonią.

– Nic takiego – zaprotestowała Meralda. – Tylko przymierzam.

– Wcale nie! – powiedziała Tori, całkowicie się rozbudzając i siadając. – Idziesz zobaczyć się z Jaką. Powiedz mi prawdę albo zawołam tatę.

– Obiecay mi, że nikomu nie powiesz – rzekła Meralda, siadając na łóżku obok siostry. Tori pokiwała energicznie głową. – Mam nadzieję znaleźć Jakę w ciemnościach – wyjaśnił Meralda. – Wychodzi co noc, by obserwować księżyc i gwiazdy.

– A ty uciekasz przed ślubem? Meralda zachichotała smutno.

– Nie, nie tak – odparła. – Oddaję me życie lordowi Feringalowi dla dobra mamy, taty oraz

twojego – wytłumaczyła. – I nie żalem – dodała szybko, widząc że siostra zamierza zaprotestować. – Nie, on da mi dobre życie w zamku, tego jestem pewna. Nie jest złym człowiekiem, choć wiele musi się nauczyć. Ta noc należy jednak do mojego serca. Jedna noc z Jaką, by się pożegnać. – Meralda poklepała Tori po rękę wstając do wyjścia. – A teraz wracaj spać.

– Tylko jeśli obiecasz mi wszystko jutro opowiedzieć – odrzekła Tori. – Obiecaj, albo naskarzę.

– Nie naskarżysz – Meralda powiedziała z przekonaniem, rozumiała bowiem, że Tori była zauroczona tym wszystkim równie mocno jak ona. Być może nawet bardziej, bowiem młoda dziewczyna nie rozumiała, w takim stopniu jak Meralda, że konsekwencje podejmowanych teraz decyzji jej siostra będzie ponosić całe życie.

– Idź spać – Meralda powtórzyła cicho całując Tori w czoło. Poprawiwszy sukienkę i zerknąwszy nerwowo na zasłonę, Meralda skierowała się do małego okna i wyszła przez nie w mrok.

* * *

Dohni Ganderlay obserwował jak jego starsza córka znika w mroku, dobrze znając jej zamiary. Wielka jego część chciała podążyć za nią, złapać ją z Jaką i zabić raz na dobre tego kłopotliwego chłopaka, lecz Dohni wierzył także, że jego córka wróci, że zrobi to, co jest dobre dla rodziny, jak powiedziała rankiem siostrze.

Rozrywało mu to serce, rozumiał bowiem powab i upór młodej miłości. Postanowił dać jej tę jedną noc, bez pytania i bez osądzania.

* * *

Meralda szła przez mrok w strachu. Nie przed jakimiś potworami, które mogłyby na nią wyskoczyć – nie, to był jej dom i młoda kobieta nigdy nie obawiała się takich rzeczy – lecz przed reakcją rodziców, zwłaszcza ojca, jeśli odkryją jej zniknięcie.

Wkrótce jednak kobieta zostawiła dom za sobą i poddała się urokowi migoczącego gwiazdzistego nieba. Doszła do pola i zaczęła obracać się i tańczyć, ciesząc się dotykiem mokrej trawy na bosych stopach, czując się jakby sięgała do rozpościerających się w górze niebios, by połączyć się z tymi magicznymi światełkami. Śpiewała cicho do siebie, cichą melodię, która

brzmiała duchowo i z pewnością pasowała do jej uczuć, gdy przebywała tu sama, w spokoju, w jedności z gwiazdami.

Ledwo myślała o lordzie Feringalu, o swych rodzicach, o swej odpowiedzialności, nawet o swym ukochanym Jace. O niczym nie myślała, istniała jedynie w chwale nocy i tańca.

– Dlaczego tu jesteś? – dobiegło zza niej pytanie, sepleniącym głosem Jaki.

Magia znikła i Meralda odwróciła się powoli do młodzieńca. Stał z rękoma z kieszeni i z opuszczoną głową, brązowe włosy opadały mu tak, by nie mogła widzieć jego oczu. Nagle inny strach pochwyił młodą kobietę, strach przed tym, co jak się spodziewała może stać się tej nocy z tym mężczyzną.

– Lord Feringal pozwolił ci wyjść? – Jaka spytał sarkastycznie.

– Nie jestem jego zabawką – odparła Meralda.

– Nie masz zostać jego żoną? – zażądał odpowiedzi Jaka. Podniósł wzrok i popatrzył stanowczo na kobietę, odczuwając pewną satysfakcję, gdy ujrzał wilgoć błyszczącą w jej oczach. – Tak mówią wieśniacy – ciągnął, po czym zmienił głos. – Meralda Ganderlay – zaskrzeczał, brzmiąc jak stara gnomka. – Och, ależ ona jest szczęściarą, czyż nie? Pomyśleć, że sam lord Feringal o nią zabiega.

– Przestań – Meralda poprosiła cicho.

Jaka ciągnął z jeszcze większym naciskiem, zmieniając tembr głosu.

– A co sobie myśli ten głupiec, Feringal? – powiedział, opryskliwym tonem wieśniaka. – Sprowadzi hańbę na nas wszystkich, żeniąc się tak nisko. A co, sto pięknych i bogatych kupieckich córek kupieckich błaga o jego rękę. Ach, głupiec!

Meralda odwróciła się i nagle poczuła się bardziej głupia niż piękna w swej zielonej sukni. Poczuła też dłoń na swym ramieniu. Jaka tam był, za nią.

– Musisz wiedzieć – powiedział cicho. – Połowa z nich uważa lorda Feringala za głupca, a druga połowa jest zbyt zaślepiona fałszywymi obietnicami tego wszystkiego, jakby na nowo przeżywali własne zaloty poprzez ciebie, żałując, że ich żalosne życie nie jest takie jak twoje.

– A ty co myślisz? – Meralda rzekła stanowczo, obracając się w jego stronę. Oszłołomił ją wyraźny widok siniaków na jego twarzy, nabrzmiałych warg i zapuchniętego oka. Oprzytomniała jednak natychmiast, dobrze rozumiejąc, gdzie Jaka został tak pobity.

– Myślę, że lord Feringal uważa, iż jest ponad tobą – Jaka odparł bezceremonialnie.

– I jest.

– Nie! – dobiegła ostra odpowiedź, na którą Meralda aż podskoczyła z zaskoczenia. – Nie, on nie jest od ciebie lepszy – Jaka ciągnął cicho i podniósł dłoń, by delikatnie pogłodzić mokry policzek Meraldy. – Raczej ty jesteś dla niego zbyt dobra, ale on nie będzie tego widział w ten sposób. Nie, wykorzysta cię dla swego kaprysu, a później odrzuci.

Meralda chciała się spierać, lecz nie była pewna, czy młodzieniec się myli. Nie miało to jednak znaczenia, bowiem nieważne, co lord Feringal planował względem niej, najważniejsze pozostawało to, co mogła zrobić dla swej rodziny.

– Dlaczego tu przyszłaś? – zapytał znów Jaka, a Meraldzie wydało się, jakby dopiero teraz zauważył jej suknię, chwycił bowiem materiał bufiastego rękawa kciukiem i palcem wskazującym, wyczuwając jego jakość.

– Wysłałam dla nocy dla Meraldy – wyjaśniła młoda kobieta. – Dla nocy, podczas której moje pragnienia będą ważniejsze niż moja odpowiedzialność. Jednej nocy...

Przerwała, gdy Jaka położył jej palec na ustach, trzymając go tam przez dłuższą chwilę.

– Pragnienia? – spytał filuternie. – A wliczam się do nich? Czy przyszłaś tutaj, tak wspaniale ubrana, tylko po to, by się ze mną zobaczyć?

Meralda pokiwała powoli głową i zanim zdołała w ogóle skończyć, Jaka był już przy niej, przyciskając swe wargi do jej, całując ją żarłocznie, namiętnie. Poczwała się jakby unosiła się w powietrzu, i nagle uświadomiła sobie, że Jaka kieruje ją na miękką trawę, przez cały czas utrzymując pocałunek. Jego dłonie błędziły po niej, a ona ich nie powstrzymywała, nawet gdy pogłodziły ją po intymnych miejscach. Nie, to była jej noc, noc podczas której stanie się kobietą z wybranym przez siebie mężczyzną, mężczyzną swych pragnień, a nie odpowiedzialności.

Jaka sięgnął w dół i podwinął jej suknię do połowy nóg, po czym nie tracąc czasu wsunął swe nogi pomiędzy jej uda.

– Wolniej, proszę – Meralda powiedziała cicho, ujmując oburącz jego twarz i trzymając ją bardzo blisko swej, tak że musiał patrzeć jej w oczy. – Chcę, żeby było idealnie – wyjaśniła.

– Meraldo – wydyszał młodzieniec, wyglądając na zdesperowanego. – Nie mogę już dłużej czekać.

– Nie musisz – zapewniła go młoda kobieta, po czym przyciągnęła go bliżej i pocałowała delikatnie.

Niedługo potem leżeli obok siebie, nadzy, na mokrej trawie, a chłodne oceaniczne powietrze muskało ich ciała, gdy wpatrywali się w gwiazdzisty baldachim. Meralda czuła się inaczej, upojona i niemal pijana, a także w pewnym stopniu uduchowiona, jakby przeżyła właśnie coś magicznego, jakiś rytuał przejścia. W jej umyśle wirowały setki myśli. Jakże mogła wrócić do lorda Feringala po

tych cudownych chwilach z Jaka? Jakże mogła odwrócić się plecami do tych uczuć czystej radości i ciepła? Czowała się w tej chwili wspaniale i chciała, by ta chwila trwała przez resztę jej życia. Resztę jej życia z Jaka.

Ale wiedziała, że tak się nie stanie. Odejdzie z nastaniem świtu i nigdy nie wróci. Miała swą jedną chwilę. W gardle nabrzmiała jej gula.

Dla Jaki Sculiego chwila ta była trochę odmienna, choć nie mniej satysfakcjonująca. Zabrał Meraldzie dziewictwo, pokonał samego lorda Auckney w tym wyjątkowym miejscu. On, w oczach lorda Feringala zwykły wieśniak, zabrał Feringalowi coś, czego nigdy nie da się odzyskać, coś cenniejszego niż całe złoto i klejnoty w Zamku Auck.

Jace podobało się to uczucie, lecz obawiał się, podobnie jak Meralda, że nie przetrwa ono długo.

– Wyjdiesz za niego? – spytał nagle.

Meralda, piękna w świetle księżyca, obróciła do niego rozmarzone oko.

– Nie rozmawiajmy teraz o takich rzeczach – poprosiła go. – O lordzie Feringalu, czy kimkolwiek innym.

– Muszę wiedzieć, Meraldo – Jaka rzekł stanowczo, siadając, by popatrzeć na nią z góry. – Powiedz mi.

Meralda obrzuciła młodzieńca najbardziej błagalnym spojrzeniem, jakie kiedykolwiek widział.

– Może pomóc mojej mamie i ojcu – próbowała wyjaśnić. – Musisz zrozumieć, że ten wybór nie należy do mnie – nieprzekonująco skończyła coraz bardziej zdesperowana Meralda.

– Zrozumieć? – Jaka powtórzył niedowierzająco, zrywając się gwałtownie i odchodząc. – Zrozumieć! Jak mogę po tym, co właśnie zrobiliśmy? Och, dlaczego przyszedł do mnie, jeśli zamierzasz poślubić lorda Feringala?

Meralda podeszła do niego i chwyciła go za barki.

– Przyszedłam tu dla jednej nocy, podczas której mogłam wybrać – wytłumaczyła. – Przyszedłam ponieważ cię kocham i z całego serca żałuję, że nie może się inaczej ułożyć.

– Mieliśmy tylko jedną krótką chwilę – skarżył się Jaka, obracając się w jej stronę.

Meralda stanęła na palcach i pocałowała go delikatnie.

– Mamy więcej czasu – wyjaśniła, a Jaka nie mógł się oprzeć tej propozycji. Krótką chwilę później Jaka znów leżał na trawie, a Meralda stała obok niego, ubierając się.

– Odrzuć go – Jaka powiedział nieoczekiwanie, a młoda kobieta przerwała i popatrzyła na niego. – Odrzuć lorda Feringala – Jaka powtórzył, tak niedbale, jakby to była najprostsza decyzja.

– Zapomnij o nim i ucieknij ze mną. Do Luskan, a może nawet aż do Waterdeep.

Meralda westchnęła i potrząsnęła głową.

– Błagam cię, nie prosz mnie o to – zaczęła mówić, lecz Jaka był nieubłagany.

– Pomyśl o życiu, jakie moglibyśmy wieść we dwoje – rzekł.

– Biegać po ulicach Waterdeep, magicznego Waterdeep! Biegać, śmiać i kochać się. Wychowywać razem rodzinę. Jakże piękne byłyby nasze dzieci.

– Przestań! – Meralda wyrzuciła z siebie tak nagle, że pozbawiła Jakę słów. – Wiesz, że chciałabym i wiesz także, że nie mogę.

– Meralda znów westchnęła głęboko. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką zrobiła w całym swym życiu, pochyliła się, by po raz ostatni pocałować wygłodniałe usta Jaki, po czym ruszyła w stronę domu.

Jaka leżał na polu przez długą chwilę, a jego myśli pędziły. Osiągnął swój cel i było tak słodko, jak się spodziewał. Mimo to nie mogło to trwać. Lord Feringal poślubi Meraldę, w końcu go pokona. Myśl o tym sprawiła, że zrobiło mu się niedobrze. Popatrzył na księżyc, osłonięty teraz smugami przelewających się szybko chmur.

– Paskudne życie – wymamrotał.

Musiało istnieć coś, co mógł zrobić, by pokonać lorda Feringala, by przyciągnąć Meraldę z powrotem do siebie.

Uśmiech pewności siebie rozlał się po niezaprzeczalnie przystojnej twarzy Jaki. Przypomniawsobie odgłosy, jakie wydawała z siebie Meralda, sposób, w jaki jej ciało poruszało się w harmonii z jego ciałem.

Nie przegra.

ZŁĄCZONE RĘCE

– Opowiesz mi o truciźnie – powiedział prałat Yohltin, zastępca Camerbunne'a. Siedział w wygodnym fotelu na środku brutalnie gorącego pomieszczenia, a jego sylwetkę obrysowywał blask wielkiego kominka płonącego z tyłu.

– Nigdy nie jest dobra – odparł Morik, prowokując kolejny obrót śruby na kciuku, obsługiwanej przez osiłkowatego, sadystycznego, jednookiego (i nawet nie kłopotał się tym, by nosić opaskę) klawisza. Ten tutaj miał więcej krwi orczej niż ludzkiej. – To znaczy trucizna – wyjaśnił łotrzyk ściśniętym głosem, bowiem przez rękę przepływały mu fale bólu.

– Nie była taka sama jak trucizna w fiołce – wytłumaczył Yohltin i skinął głową klawiszowi, który obszedł Morika od tyłu. Łotrzyk starał się podążać za ruchami półorka, lecz obydwie jego ręce były rozciągnięte, skute mocno w nadgarstkach. Jedna dłoń znajdowała się w prasie, druga w otwartym pudełku o dziwnej konstrukcji. Przegródki w środku sprawiały, że palce były rozłożone, tak by klawisz mógł „bawić się” każdym z osobna.

Prałat wzruszył ramionami i podniósł ręce, a gdy Morik nie odpowiedział natychmiast, bicz o dziewięciu odgałęzieniach smagnął po nagim grzbiecie łotrzyka, pozostawiając głębokie szramy, które bolały jeszcze bardziej z powodu potu.

– Miałeś truciznę – logicznie stwierdził Yohltin – i podstępną broń, lecz w odzyskanej przez nas fiołce nie było tej samej trucizny. Sprytny podstęp, podejrzewam, odsunąć nas z prawidłowej ścieżki, gdy próbujemy uleczyć rany kapitana Deudermonta.

– Podstęp, istotnie – Morik powiedział cierpko. Klawisz znów uderzył go biczem i podniósł rękę do trzeciego smgnięcia. Yohltin uniósł jednak dłoń, by powstrzymać brutalnego zbira.

– Przyznajesz się do tego? – spytał Yohltin.

– Do tego wszystkiego – odrzekł Morik. – Do podstępu popełnionego przez kogoś innego, dostarczenia mi i Wulfgarowi tego, co uważacie za dowody przeciwko nam, a następnie do zaatakowania Deudermonta, gdy podszedł, by porozmawiać...

– Dość! – powiedział wyraźnie zdenerwowany Yohltin, bowiem on i wszyscy inni śledczy słyszeli za każdym razem te same nonsensy i od Morika, i od Wulfgara. Prałat wstał i odwrócił się do wyjścia, potrząsając głową. Morik wiedział, co to znaczy.

– Mogę ci opowiedzieć o innych rzeczach – poprosił łotrzyk, lecz Yohltin podniósł jedynie rękę i zamachał nią lekceważąco.

Morik zaczął znów mówić, lecz stracił słowa i dech, gdy klawisz uderzył go mocno w nerkę. Morik zaskomlał i podskoczył, co jedynie wzmogło ból w dłoni i kciuku. Mimo to, pomimo całej swej samokontroli, znów podskoczył, gdy klawisz wymierzył następny cios, bowiem zbir nosił na knykciach metalową opaskę, wysadzaną kilkoma małymi guzami.

Morik pomyślał o swych drowich gościach, z nocy tak dawno temu w małym pokoju, który wynajmował niedaleko Cutlassa. Czy wiedzieli, co się działo? Czy przyjdą uwolnić Wulfgara, a jeśli tak, czy uratują także Morika? Niemal opowiedział o nich Wulfgarowi, podczas tych pierwszych godzin, kiedy byli skuci w tym samym pomieszczeniu. Zawahał się tylko dlatego, że obawiał się, iż Wulfgar, tak wyraźnie zagubiony w bolesnych wspomnieniach, nie usłyszałby go, a ktoś inny mógłby.

Czy nie byłoby wspaniale, gdyby sędziowie mogli go również przycisnąć oskarżeniem, że współpracuje z mrocznymi elfami? Nie miało to jednak znaczenia. Kolejny cios wbił się w niego, po czym klawisz zabrał się znowu za bicz, by wyciąć kilka kolejnych szram na jego plecach.

Morik wiedział, że jeśli te drowy nie przyjdą, jego los zostanie przypieczętowany w najboleśniejszy sposób.

* * *

Robillarda nie było zaledwie przez kilka minut, lecz gdy wrócił do pomieszczenia z Deudermontem znalazł pół tuzina kapłanów pracujących zażarcie nad kapitanem. Camerbunne stał z boku, kierując grupą.

– Płonie w środku – wyjaśnił kapłan, a Robillard nawet z tej odległości mógł dostrzec prawdę tego stwierdzenia, w odcieniu skóry pogrążonego w gorączce Deudermonta i w wielkich strugach potu płynących mu po twarzy. Robillard zauważył także, że w pomieszczeniu robiło się zimniej i że dwóch z sześciu kapłanów pracujących nad Deudermontem rzucała czary nie po to, by leczyć, lecz by tworzyć chłód.

– Mam czary, które robią to samo – zaproponował Robillard. – Potężne czary na zwojach, na Duszku Morskim. Być może lepiej by się przysłużyło mojemu kapitanowi, gdyby twoi kapłani mogli się skupić na leczeniu.

– Biegnij – powiedział Camerbunne, a Robillard zrobił coś lepszego, użył szeregu wymiarowych drzwi, by wrócić na okręt w przeciągu chwili. Czarodziej przerzucał liczne komponenty i tuby ze

zwojami, magiczne przedmioty i wspaniałe wykonane obiekty, które zamierzał zakląć, jeśli tylko znajdzie na to czas, znajdując w końcu zwój z trzema czarami tworzącymi lód, razem z koniecznymi komponentami. Przeklinając się za to, że się lepiej nie przygotował i przysięgając, że następnego dnia poświęci całą swą magiczną energię, by zapamiętać takie czary, Robillard wrócił do komnaty w kaplicy. Kapłani wciąż pracowali zażarcie, była tam też stara zielarka, smarując mokrą pierś Deudermonta tłustą, białą maścią.

Robillard przygotował komponenty – fiolkę krwi lodowego trolla, kawałek futra wielkiego białego niedźwiedzia – i rozwinął zwój, rozkładając go na małym stoliku. Oderwał wzrok od umierającego Deudermonta, skupiając się na aktualnym zadaniu, i z dyscypliną znaną jedynie czarodziejom zabrał się do pracy, wykonując cichy zaśpiew i machając palcami oraz dłońmi. Wylał zimną krew lodowego trolla na swój kciuk i palec wskazujący, po czym umieścił między nimi futro i dmuchnął w nie, raz, drugi i trzeci, a następnie rzucił futro na podłogę pod nagą ścianę z boku pomieszczenia. W tym momencie rozległ się stukot, grad wyskakiwał z podłogi, głośniejszy, gdy kawałki stawały się coraz większe, dopóki, po ledwie sekundach, kapitan Deudermont nie został położony na nowym łożu, bryle lodu.

– Ta godzina jest krytyczna – wyjaśnił Camerbunne. – Jego gorączka jest zbyt wielka i obawiam się, że może umrzeć z jej powodu. Z jego uszu płynie krew tak rzadka jak woda. Więcej kapłanów czeka, by tu wejść, gdy ta grupa wyczerpie swe czary lecznicze i posłałem paru do innych kaplic, nawet rywalizujących bóstw, błagając o pomoc. – Camerbunne uśmiechnął się na zaskoczoną minę czarodzieja. – Przyjdą – zapewnił Robillarda. – Wszyscy.

Robillard nie był religijny, głównie dlatego, że gdy próbował znaleźć boga pasującego do jego serca, zniechęciły go nieustanne waśnie oraz rywalizacje między różnymi kościołami. Rozumiał więc komplement, jaki Camerbunne sprawił właśnie kapitanowi. Jakąż wielką reputację Deudermont zdobył wśród szczerych mieszkańców północnego Wybrzeża Mieczy, że wszyscy odkładali na bok rywalizacje oraz niesnaski, by działać dla jego dobra.

Przyszli, tak jak Camerbunne obiecał, kapłani niemal każdego wyznania w Luskan, pojawiając się po sześciu na raz, by wykorzystywać swą leczniczą energię dla wymizerowanego kapitana.

Gorączka Deudermonta załamała się około północy. Otworzył zmęczone oko i ujrzał Robillarda śpiącego obok. Głowa czarodzieja spoczywała na jego złożonych rękach na małym łóżku, przy Deudermencie.

– Ile dni? – spytał osłabiony kapitan, rozpoznał bowiem, że coś tu było zdecydowanie nie tak, coś tu było bardzo dziwne, jakby właśnie obudził się z długiego i koszmarnego snu. Poza tym, choć był owinięty w prześcieradło, wiedział że nie leży na normalnym łóżku, było bowiem zbyt twarde i było mu mokro w plecy.

Robillard zerwał się na ten dźwięk, otwierając szeroko oczy. Położył dłoń na czole Deudermonta, a jego uśmiech powiększył się znacznie, gdy poczuł, że mężczyzna jest chłodny w dotyku.

– Camerbunne! – zawołał, przyciągając zdziwione spojrzenie skonfundowanego kapitana.

Był to najpiękniejszy widok, jaki Robillard kiedykolwiek ujrzał.

* * *

– Trzy okrążenia – dobiegł nosowy głos Sędziego Jharkhelda, chudego starego łajdaka, który jak na gust Morika za bardzo lubił swe obowiązki.

Każdego dnia mężczyzna przechadzał się po jaskiniach lochów, wskazując tych, którzy mieli iść na Więzienny Karnawał i określając, w oparciu o wagę ich zbrodni, czy też być może zaledwie o własny nastrój, okres przygotowawczy dla każdego. „Okrążenie”, według klawisza, który regularnie bił Morika, było czasem potrzebnym na powolny obchód placu, na którym miał miejsce Więzienny Karnawał, mniej więcej dziesięć minut. Tak więc mężczyzna, którego Jharkheld określił właśnie na trzy okrążenia zostanie wzięty na karnawał i torturowany rozmaitymi niezabójczymi środkami przez około pół godziny, zanim Jharkheld rozpocznie w ogóle publiczne przesłuchanie. Morik rozumiał, że robiło się tak, by pobudzić tłum, a ten stary łajdak Jharkheld lubił serdeczne wiwaty.

– A więc przyszedłeś znów mnie bić – powiedział Morik, gdy osiłkowany klawisz wszedł do kamiennej komnaty, w której łotrzyk był przykuty do ściany. – Przyprowadziłeś ze sobą świętoszka? Albo może sędziego? Dołącz do nas, żeby mnie wyznaczyć na karnawał?

– Dzisiaj nie będzie bicia, Moriku Łotrze – powiedział klawisz. – Nic już od ciebie nie chcę. Kapitan Deudermont już cię niepoczebuję.

– Umarł? – spytał Morik, nie mogąc zamaskować nuty troski w głosie. Jeśli Deudermont umarł, on i Wulfgar zostaną oskarżeni o haniebne morderstwo, a Morik był w Luskan wystarczająco długo, by widzieć więcej niż tylko kilka egzekucji skazanych w ten sposób osób, egzekucji poprzez tortury, trwające przynajmniej większość dnia.

– Nie – klawisz rzekł z wyraźnym smutkiem w głosie. – Nie, nie mamy takiego szczyńścia. Deudermont żyje i dobrze, wygląda wienc na to, że ty i Wulfgar zostaniecie zabici szybko i łatwo.

– Och, radości – powiedział Morik.

Osiłek przystanął na chwilę i rozejrzał się, po czym podszedł bliżej Morika i uraczył go serią paskudnych ciosów w brzuch oraz pierś.

– Sundze, że Sędzia Jharkheld wezwie cię wkrótce na karnawał – wyjaśnił klawisz. – Chciołech

się pożegnać, to wszystko.

– Ależ dziękuję – odparł wiecznie sarkastyczny łotrzyk, za co oberwał w szczękę lewym sierpowym, ciosem, który pozbawił go zęba i wypełnił usta ciepłą krwią.

* * *

Deudermontowi szybko wracały siły, tak szybko, że kapłanom ciężko było utrzymać go w łóżku. Wciąż się nad nim modlili, rzucając czary lecznicze, a stara zielarka przychodziła z kubkami herbaty oraz inną łagodzącą maścią.

– To nie mógł być Wulfgar – Deudermont zaprotestował do Robillarda, gdy ten opowiedział mu całą historię od tragicznych wydarzeń przed Cutlassem.

– Wulfgar i Morik – Robillard powiedział stanowczo. – Obserwowałem to, kapitanie, i ciesz się, że to robiłem!

– To nie ma dla mnie sensu – odrzekł Deudermont. – Znam Wulfgara.

– Znałeś – sprostował Robillard.

– Ale on jest przyjacielem Drizzta i Catti-brie, a obaj wiemy, że nie mieliby nic wspólnego ze, skrytobójcą – przynajmniej nic dobrego.

– Był przyjacielem – uparcie sprostował Robillard. – Teraz Wulfgar przyjaźni się z takimi, jak Morik Łotr, okrytym złą sławą ulicznym zbirem, i kolejną parą, jak sądzę zdecydowanie gorszą.

– Kolejną parą? – spytał Deudermont, i w tej samej chwili do pokoju wszedł Waillan Micanty i inny marynarz z Duszka Morskiego. Podeszli najpierw do kapitana, ukłonili się i zaszalutowali, uśmiechając się szeroko, bowiem Deudermont wyglądał jeszcze lepiej niż wcześniej tego dnia, gdy cała załoga przybiegła na radosny okrzyk Robillarda.

– Znaleźliście ich? – czarodziej spytał niecierpliwie.

– Sądzę, że tak – odparł wyglądający na zadowolonego z siebie Waillan. – Ukrywają się w ładowni statku ledwie dwa mola od Duszka Morskiego.

– Nie wychodzili wiele ostatnio – dodał drugi marynarz – ale rozmawialiśmy z pewnymi ludźmi w Cutlassie, którzy znali tę parę i twierdzili, że jednooki żeglarz beztróska rzucał złotymi monetami.

Robillard pokiwał porozumiewawczo głową. Tak więc był to umówiony atak i ci dwaj byli częścią planu.

– Za twoim pozwoleniem, kapitanie – powiedział czarodziej – chciałbym wyprowadzić Duszka Morskiego z doku.

Deudermont popatrzył na niego z zaciekawieniem, bowiem nie miał pojęcia, czego może dotyczyć ta rozmowa.

– Posłałem pana Micanty'ego w poszukiwaniu dwóch innych współników w ataku na twoją osobę – wyjaśnił Robillard. – Wygląda na to, że ich zlokalizowaliśmy.

– Ale pan Micanty powiedział właśnie, że są w porcie – stwierdził Deudermont.

– Są na pokładzie Krzywonogiej damy, jako płacący pasażerowie. Gdy ustawię za nimi Duszka Morskiego, z przygotowanym całym uzbrojeniem, prawdopodobnie wydadzą ich bez walki – uznał Robillard, z rozpromienionymi oczyma.

Deudermont zdołał zachichotać.

– Żałuję tylko, że nie mogę płynąć z wami – rzekł. Wszyscy trzej wzięli to za pozwolenie i skierowali się natychmiast do drzwi.

– A co z Sędzią Jharkheldem? – Deudermont zapytał szybko, zanim zdążyli umknąć.

– Poprosiłem go, by wstrzymał wymierzanie sprawiedliwości dla tych dwóch – odparł Robillard – jak poprosiłeś. Będziemy ich potrzebować do potwierdzenia, że ci dwaj nowi też brali udział w ataku.

Deudermont skinął głową i machnięciem ręki odesłał ich trzech, zapadając się we własne myśli. Wciąż nie wierzył, że Wulfgar mógł być w to wszystko wmieszany, choć nie miał pojęcia, jak mógłby to udowodnić. W Luskan, jak w większości miast Faerunu, nawet pozory działalności kryminalnej mogły doprowadzać do powieszenia, rozciągania końmi, ćwiartowania czy jakiegokolwiek innej nieprzyjemnej metody uśmiercania, o jakiej mógłby pomyśleć urzędujący sędzia.

* * *

– Jestem uczciwym handlarzem i nie macie żadnych dowodów – oznajmił kapitan Pinnickers z Krzywonogiej damy, wychylając się przez reling rufowy i wykrzykując protesty przeciwko pojawieniu się robiącego wrażenie Duszka Morskiego, z katapultą, balistą i szeregami łuczników na

pokładzie.

– Jak już ci powiedziałem, kapitanie Pinnickers, przybyliśmy nie po twój statek, nie po ciebie, lecz po parę, która znajduje się na twoim pokładzie – Robillard odpowiedział z całym należnym szacunkiem.

– Ba, zmykajcie, albo zawołam straż miejską! – obwieścił krzepki, stary wilk morski.

– A to nietrudne – Robillard odparł zadowolony z siebie i wskazał na pomost obok Krzywonogiej damy. Kapitan Pinnickers obrócił się i ujrzał setkę lub więcej żołnierzy miasta, z ponurymi twarzami i gotowych do walki.

– Nie masz dokąd uciec ani gdzie się skryć – wyjaśnił Robillard. – Jeszcze raz proszę cię o pozwolenie, z grzeczności wobec ciebie. Dla swego własnego dobra, pozwól mi oraz mojej załodze wejść na twój statek i odnaleźć parę, której szukamy.

– Mój statek – rzekł Pinnickers, wskazując palcem na swą pierś.

– Albo każę moim działowym, by się nie krępowali – wytłumaczył Robillard, stojąc wyprostowany i imponujący przy relingu Duszka Morskiego, pozbywszy się wszelkich pretensji do grzeczności. – Dołączę do nich z niszczącymi czarami, których nie jesteś sobie nawet w stanie wyobrazić. Następnie sami przeszukamy szczątki, aby odnaleźć wspomnianą parę.

Pinnickers wydawał się troszkę skurczyć, lecz utrzymał ponurą i zdeterminowaną minę.

– Ostatni raz daję ci wybór – powiedział Robillard, wracając do kpiącej grzeczności.

– Dobry wybór – mruknął Pinnickers. Machnął lekko ręką, bezradnie, wskazując, że Robillard i pozostali mogą przejść na jego pokład.

Szybko odnaleźli Creepsa Sharky'ego i Tee-a-nicknicka, a Robillard z łatwością ich zidentyfikował. Znaleźli także interesujący przedmiot na belce obok wytatuowanego stworzenia: wydrążoną tubę.

– Dmuchawka – wyjaśnił Waillan Micanty, pokazując ją Robillardowi.

– Istotnie – powiedział czarodziej, przyglądając się egzotycznej broni i szybko potwierdzając jej zastosowanie w oparciu o wygląd. – Czym można by z tego strzelać?

– Czymś małym z końcem ukształtowanym tak, by pasował do tuby – wyjaśnił Micanty. Wziął broń z powrotem, wydał wargi i dmuchnął przez tubę. – Nie działałoby dobrze gdyby zbyt wiele powietrza uciekało wokół pocisku.

– Małym, powiadasz. Na przykład kocim pazurem? – zapytał Robillard, przyglądając się

schwytej parze. – Z giętkim, opierzonym końcem?

Podążając za wzrokiem Robillarda ku żalosnym więźniom, Waillan Micanty pokiwał ponuro głową.

Wulfgar był zagubiony gdzieś dalej niż ból, zwiślał bezwładnie na zakutych nadgarstkach, okrwawionych i poszarpanych. Mięśnie na jego karku i barkach już dawno temu stężały i nawet gdyby został uwolniony i upuszczony na ziemię, jedynie grawitacja zmieniłaby jego pozycję.

Ból naciskał zbyt mocno i uwolnił Wulfgara z jego aktualnego więzienia. Niestety, owa ucieczka zabrała go jedynie do innego więzienia, zdecydowanie mroczniejszego, z udrękami przekraczającymi wszystko, co ci śmiertelni ludzie mogli mu wyrządzić. Kuszące, nagie i niegodziwie piękne sukuby latały wokół niego. Wielki glabrezu o opazurzonych ramionach rzucał się na niego raz za razem, chwytając, odrywając kawałki jego ciała. Przez cały czas słyszał demoniczny śmiech Errtu, zdobywcy. Errtu, wielkiego balora, który nienawidził Drizzta Do'Urdena ponad wszystkich śmiertelników i bezustannie odgrywał tę złość na Wulfgarze.

– Wulfgarze? – to wołanie dobiegło z niedaleka, nie gardłowym, demonicznym głosem jak u Errtu, lecz delikatnym i cichym.

Wulfgar znał pułapkę, fałszywe nadzieje, udawaną przyjaźń. Errtu bawił się tak z nim niezliczoną ilość razy, odnajdując go w chwilach rozpacz, unosząc go z emocjonalnych dolin, a następnie upuszczając jeszcze głębiej w jamy czarnej beznadziei.

– Rozmawiałem z Morikiem – ciągnął głos, lecz Wulfgar już nie słuchał.

– Twierdzi, że jest niewinny – uparcie kontynuował kapitan Deudermont, pomimo wąpiących prychnięć Robillarda z boku.

– Jednak ten pies Sharky wskazał was obu.

Starając się zignorować te słowa, Wulfgar wydał z siebie niski warkot, pewien że Errtu wrócił, by go dręczyć.

– Wulfgarze? – spytał Deudermont.

– Jest bezużyteczny – powiedział beznamiętnie Robillard.

– Daj mi coś, mój przyjacielu – ciągnął Deudermont, opierając się na lasce, ponieważ nie wróciły mu jeszcze całkowicie siły.

– Jakieś słowo, że jesteś niewinny, abym mógł powiedzieć Sędziemu Jharkheldowi, by cię wypuścił.

Nie dobiegła żadna odpowiedź, poza trwającym warkotem.

– Powiedz mi tylko prawdę – naciskał Deudermont. – Nie wierzę, że byłeś w to wmieszany, ale muszę to usłyszeć od ciebie, jeśli mam się domagać odpowiedniego procesu.

– On nie może ci odpowiedzieć, kapitanie – powiedział Robillard – ponieważ nie ma prawdy, która mogłaby go usprawiedliwić.

– Słyszałeś Morika – odrzekł Deudermont, ponieważ dopiero co wyszli z celi Morika, gdzie mały złodziej żarliwie mówił o niewinności swojej i Wulfgara. Wyjaśnił, że Creeps Sharky zaoferował sporą nagrodę za głowę Deudermonta, ale on i Wulfgar stanowczo odmówili.

– Słyszałem jak zdesperowany człowiek plecie desperacką opowieść – odparł Robillard.

– Mogliśmy znaleźć kapłana, by go przesłuchać – powiedział Deudermont. – Wielu z nich ma czary wykrywające takie kłamstwa.

– Nie pozwala na to luskańskie prawo – odrzekł Robillard. – Zbyt wielu kapłanów wprowadzało własne porządki do przesłuchań. Sędzia radzi sobie na swój własny, raczej udany sposób.

– Torturuje ich dopóki nie przyznają się do winy, nieważne czy prawdziwej – podsunął Deudermont.

– Uzyskuje rezultaty – wzruszył ramionami Robillard.

– Zapełnia swój karnawał.

– Jak wielu z tych, którzy uczestniczą w karnawale, uważasz za niewinnych, kapitanie? – Robillard spytał bez ogródek. – Nawet ci niewinni w zbrodni, za którą są karani, bez wątpienia popełnili wiele innych występków.

– To dość cyniczne postrzeżenie sprawiedliwości, mój przyjacielu – powiedział Deudermont.

– To rzeczywistość – odrzekł Robillard.

Deudermont westchnął i popatrzył z powrotem na Wulfgara, wiszącego i warczącego, nie przyznającego się do niewinności, nie przyznającego się do niczego. Deudermont znów do niego zawołał, a nawet podszedł i poklepał go po boku.

– Musisz dać mi powód, bym uwierzył Morikowi – powiedział.

Wulfgar poczuł delikatny dotyk sukkuba kuszącego go, by wszedł do emocjonalnego piekła. Ryknąwszy, zakolysał biodrami i wierzgnął, ledwo muskając nogą zaskoczony kapitana, lecz mimo to było to wystarczająco mocno, by zachwiać nim i przewrócić na podłogę.

Robillard wystrzelił ze swej różdżki kule kleistej galarety, celując nisko, by przyszpilić nogi Wulfgara do ściany. Wielki mężczyzna miotał się szaleńczo, lecz ponieważ miał solidnie zakute nadgarstki, a nogi przylegały mocno do ściany, ruch ten wzmocnił jedynie ból w barkach.

Robillard znalazł się przed nim, sycząc i parszkając, gwizdząc jakąś inwokację. Czarodziej wyciągnął rękę, złapał Wulfgara za pachwinę i posłał w wielkiego mężczyznę ładunek elektryczności, wywołując pełne bólu wycie.

– Nie! – powiedział Deudermont, wstając z trudem. – Już nie. Robillard obrócił się gwałtownie, z twarzą wykrzywioną wściekłością.

– Potrzebujesz więcej dowodów, kapitanie? – zażądał odpowiedzi.

Deudermont chciał zripostować, lecz nie wiedział jak.

– Opuśćmy to miejsce – powiedział.

– Szkoda że w ogóle tu przyszliśmy – mruknął Robillard. Wulfgar znów był sam, wisiał lżej dopóki materiał z różdżki Robillarda się nie rozpuścił, bowiem galareta utrzymywała jego ciężar. Niedługo później znów wisiał jednak na kajdanach, mięśnie napinały się na nowo z bólu. Czuł się dalej, głębiej i mroczniej niż kiedykolwiek dotąd.

Pragnął butelki, do której mógłby wpełznąć, potrzebował palącego płynu, by uwolnić umysł od cierpień.

WIERNA SWEJ RODZINIE

Gupiec Banci chce z tobą rozmawiać – oznajmił zarządca Temigast wchodząc do ogrodu. Lord Feringal i Meralda stali w milczeniu, radując się zapachami i pięknym widokiem kwiatów i błyszczącego pomarańczowego zachodu słońca nad ciemnymi wodami.

– Przeprowadź go – odparł młodzieniec, pragnąc pochwalić się swym najnowszym trofeum.

– Lepiej, żebyś ty poszedł do niego – powiedział Temigast. – Banci jest nerwowy i się spieszy. Nie będzie najlepszym towarzystwem dla drogiej Meraldy. Podejrzewam, że zniszczy nastrój w ogrodzie.

– Cóż, na to nie możemy pozwolić – stwierdził lord Feringal. Uśmiechnąwszy się do Meraldy i klepnąwszy ją w dłoń, ruszył w stronę Temigasta.

Feringal przeszedł obok zarządcy, a Temigast mrugnął do Meraldy, by dać jej znać, że właśnie uchronił ją przed długą chwilą nudy. Młoda kobieta zdecydowanie nie obraziła się tym, że ją pominięto. Zdumiała ją także łatwość, z jaką Feringal zgodził się iść.

Teraz mogła swobodnie cieszyć się w pojedynkę wspaniałym ogrodem, mogła dotykać kwiatów i czuć ich jedwabistość, mogła pławić się w ich aromatach bez nieustannego napięcia związanego z adorującym ją mężczyzną, śledzącym każdy jej ruch oczyma i dłońmi. Delektowała się tą chwilą, przysięgając sobie, że gdy zostanie panią na zamku będzie spędzać wiele takich momentów w ogrodzie, sama.

Nie była jednak sama. Obróciła się i ujrzała, że obserwuje ją Priscilla.

– To w końcu mój ogród – kobieta powiedziała chłodno, podchodząc, by podlać rządęk jasnoniebieskich chabrów.

– Tak powiedział mi zarządca Temigast – odrzekła Meralda. Priscilla nie odpowiedziała, nie podniosła nawet wzroku znad kwiatów.

– Zaskoczyło mnie to, gdy się dowiedziałam – ciągnęła Meralda, mrużąc oczy. – W końcu tak tu pięknie.

To sprawiło, że Priscilla momentalnie podniosła oczy. Była bardzo wyczulona na obelgi. Krzywiąc się mocno, ruszyła w stronę Meraldy. Przez chwilę młodsza kobieta sądziła, że Priscilla

może próbować ją uderzyć, albo oblać wiadrem wody.

– No tak, czyż ty nie jesteś piękna? – stwierdziła Priscilla. – I tylko ktoś tak piękny jak ty mógłby stworzyć oczywiście tak piękny ogród.

– Chodzi o piękno wewnętrzne – odparła Meralda, nie cofając się nawet o centymetr. Zauważyła, że jej postawa zdołała zbić Priscillę z tropu. – I owszem, wiem wystarczająco wiele o kwiatach, by rozumieć, że to sposób w jaki do nich mówisz i ich dotykasz sprawia, że rosną. Proszę o wybaczenie, pani Priscillo, ale nie okazujesz mi żadnej ze stron twojej osoby, którymi obdarzasz kwiaty.

– Proszę o wybaczenie? – powtórzyła Priscilla. Stała wyprostowana, z szeroko otwartymi oczyma, oszołomiona bezceremonialnością chłopki. Wyjąkała kilka odpowiedzi, zanim Meralda jej przerwała.

– Widzę na własne oczy, że jest to najpiękniejszy ogród w całym Auckney – powiedziała, przerywając kontakt wzrokowy z Priscillą, by objąć wzrokiem kwiaty, podkreślając słowa zachwyconą miną pełną aprobaty. – Uważałam, że jesteś całkowicie przesycona nienawiścią.

Obróciła się, by popatrzeć bezpośrednio na kobietę, nie miała jednak skrzywionej miny. Zmarszczone brwi Priscilli również trochę opadły.

– Teraz wiem już lepiej, bowiem każdy kto potrafi stworzyć tak piękny ogród kryje własne piękno. – Zakończyła rozbijającym uśmiechem, przed którym nawet Priscilla nie mogła się obronić.

– Pracuję nad tym ogrodem od lat – wyjaśniła starsza kobieta. – Sadzę i pielęgnuję, znajduję kwiaty kwitnące w każdym tygodniu każdego lata.

– I widać tę pracę – szczerze pogratulowała jej Meralda. – Założę się, że temu ogrodowi nie może dorównać żaden w Luskan, a nawet w Waterdeep.

Meralda nie mogła powstrzymać uśmiechu widząc rumieniec na twarzy Priscilli. Znalazła jej słaby punkt.

– To piękny ogród – rzekła kobieta – lecz w Waterdeep są ogrody wielkości Zamku Auck.

– A więc są większe, lecz z pewnością nie piękniejsze – niestrudzenie stwierdziła Meralda.

Priscilla znów się zająknęła, wyraźnie zbита z tropu niespodziewanymi pochlebstwami tej chłopki.

– Dziękuję ci – zdołała z siebie wydobyć, a jej puciołowata twarz rozjaśniła się uśmiechem szerszym, niż Meralda byłaby sobie w stanie wyobrazić. – Chciałabyś zobaczyć coś wyjątkowego?

Meralda była z początku ostrożna, bowiem zdecydowanie ciężko jej było zaufać Priscilli, lecz zdecydowała się zaryzykować. Priscilla chwyciła ją za rękę i zaciągnęła z powrotem do zamku, poprzez kilka małych komnat, w dół krytymi schodami, a następnie na mały otwarty dziedziniec, wydający się niczym więcej jak dziurą w projekcie zamku, pustą przestrzenią szeroką zaledwie na tyle, by obie mogły stać ramie przy ramieniu. Meralda roześmiała się na ten widok, choć bowiem ściany były jedynie popękany i zniszczony pogodą szarym kamieniem, w środku dziedzińca stał rząd maków, w większości w zwyczajowym ciemnoczerwonym kolorze, lecz kilka było odmiany jasnorożowej, której Meralda nie rozpoznawała.

– Tutaj pracuję nad roślinami – wyjaśniła Priscilla, prowadząc Meraldę do doniczek. Przyklękła najpierw przy czerwonych makach, jedną dłonią gładząc łodyżkę, a drugą rozsuwając płatki, by ukazać ciemne wnętrze kwiatu.

– Widzisz jak szorstka jest łodyżka? – spytała.

Meralda skinęła głową wyciągając rękę, by dotknąć krzepkiej roślinki.

Priscilla wstała nagle i pokierowała Meraldę do pozostałych doniczek, zawierających jaśniejsze maki. Znów odsłoniła wnętrze kwiatu, tym razem ukazując, że jest białe, nie ciemne. Gdy Meralda dotknęła łodyżki kwiatu, zauważyła, że jest znacznie delikatniejsza.

– Przez lata używałam coraz lżejszych roślin – wyjaśniła Priscilla. – Dopóki nie osiągnęłam tego, maku tak odmiennego od pierwotnego gatunku.

– Maki Priscilli! – zakrzyknęła Meralda. Uradowało ją, jak zobaczyła, że opryskliwa Priscilla Auck wybucha śmiechem.

– Ależ zasłużyłaś sobie na tę nazwę – ciągnęła Meralda. – Powinnaś je pokazywać kupcom, gdy przybywają tu w podróży między Hundelstone a Luskan. Czy damy z Luskan nie zapłaciłyby wielkiej ceny za tak delikatne maki?

– Kupcy, którzy przybywają do Auckney są zainteresowani jedynie handlem praktycznymi rzeczami – odparła Priscilla. – Narzędziami i bronią, jedzeniem i napitkami, wiecznie napitkami, może trochę rzeźbioną kością z Dekapolis. Lord Feri ma tego sporą kolekcję.

– Chciałabym ją zobaczyć.

Priscilla rzuciła jej dość dziwne spojrzenie.

– Zobaczysz, przypuszczam – powiedziała dość cierpko, jakby dopiero teraz sobie przypomniała, że nie jest to zwyczajna chłopska służąca, lecz kobieta, która wkrótce zostanie panią Auckney.

– Ale powinnaś sprzedawać swe kwiaty – ciągnęła zachęcająco Meralda. – Zabierz je może do Luskan, słyszałam, że bazy pod otwartym niebem są wspaniałe.

Uśmiech wrócił na twarz Priscilli, przynajmniej częściowo.

– Tak, dobrze, zobaczymy – odrzekła, do jej tonu powróciła wyniosła nuta. – Oczywiście tylko wioskowi chłopcy obnoszą się ze swymi towarami.

Meralda nie zniechęciła się zbyt. Tego dnia osiągnęła większe postępy z Priscillą, niż spodziewała się osiągnąć przez całe życie.

– Ach, tu jesteście. – Zarządca Temigast stanął w drzwiach prowadzących do zamku. Jak zwykle, ciężko byłoby mu wybrać lepszą chwilę.

– Wybacz nam proszę, droga Meraldo, ale lord Feringal będzie pochłonięty spotkaniem przez cały wieczór, obawiam się, bowiem Banci może być istnym demonem, jeśli chodzi o targowanie się, a przyniósł parę rzeczy, które zwróciły uwagę lorda Feringala. Poprosił mnie, bym cię spytał, czy zechciałabyś zajrzeć z wizytą jutro w ciągu dnia.

Meralda popatrzyła na Priscillę, w nadziei na jakąś wskazówkę, lecz kobieta znów zajmowała się swymi kwiatami, jakby Meraldy i Temigasta w ogóle tam nie było.

– Powiedz mu, że z pewnością przyjdę – odparła Meralda.

– Mam nadzieję, że nie jesteś na nas zbyt rozgniewana – powiedział Temigast. Meralda roześmiała się na tę absurdalną myśl. – A więc bardzo dobrze. Chyba powinnaś się zbierać, bowiem powóz już czeka, a obawiam się, że tej nocy przyjdzie sztorm – Temigast rzekł, odsuwając się na bok.

– Twoje maki Priscilli są najpiękniejszymi kwiatami, jakie kiedykolwiek widziałam – Meralda powiedziała do kobiety, z którą wkrótce będzie stanowić rodzinę. Priscillą złapała ją za Plisę sukni, a gdy dziewczyna się obróciła, zaskoczona, zdumiała się jeszcze bardziej, bowiem Priscilla podawała jej mały różowy mak.

Wymieniły uśmiechy i Meralda przemknęła obok Temigasta do właściwego zamku. Zarządca zawahał się, jednak zanim ruszył za nią, skierował swą uwagę na lady Priscillę.

– Przyjaciółka? – spytał.

– Nie bardzo – dobiega chłodna odpowiedź. – Może jeśli będzie miała własny kwiat, zostawi moje w spokoju.

Temigast zachichotał, przyciągając lodowaty wzrok Priscilli.

– Przyjaciółka, lady przyjaciółka, może nie być taką złą rzeczą, jak ci się wydaje – stwierdził zarządca. Obrócił się i pospieszył, by dogonić Meraldę, pozostawiając Priscillę klęczącą w swym prywatnym ogrodzie z pewnymi bardzo zagadkowymi i niespodziewanymi myślami.

* * *

Wiele ciepłych myśli towarzyszyło Meraldzie w drodze powrotnej z Zamku Auck do domu. Uznała, że dobrze poradziła sobie z Priscilla, a nawet ośmieliła się mieć nadzieję, że pewnego dnia zostaną prawdziwymi przyjaciółkami.

W chwili, gdy ta myśl przemknęła jej przez umysł, spomiędzy warg młodej kobiety wydostał się śmiech. Tak naprawdę nie mogła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek przyjaźniłaby się naprawdę z Priscilla, która zawsze, zawsze będzie się uważać za lepszą od Meraldy.

Meralda wiedziała jednak już więcej, i to nie z powodu dzisiejszego kontaktu z kobietą, lecz raczej z zesłonocnego kontaktu z Jaką Sculim. Jakże lepiej Meralda rozumiała teraz świat, a przynajmniej własny jego zakątek. Wykorzystała poprzednią noc jako punkt zwrotny. Potrzebna była ta chwila kontroli, ze strony Meraldy i dla Meraldy, aby zaakceptować szerszą i mniej zachęcającą odpowiedzialność, jaką na nią narzucono. Tak, będzie się teraz bawić z lordem Feringalem, sprawi, że pójdzie przy jej nodze do kaplicy na zamku Auck. W ten sposób ona, a co ważniejsze jej rodzina, dostaną od niego to, czego potrzebują. Choć takie korzyści będą dla Meraldy kosztowne, była to cena, którą ta nowa kobieta, już nie dziewczyna, zapłaci z chęcią i z pewną dozą kontroli.

Cieszyła się jednak, że nie widziała dziś długo lorda Feringala. Bez wątpienia chciałby się jej narzucać, a Meralda wątpiła, czy zdołałaby się zmusić do samokontroli niezbędnej, by się z niego nie roześmiać.

Uśmiechnięta i usatysfakcjonowana młoda kobieta wpatrywała się w okno powozu, za którym przetaczała się kręta droga. Ujrzała go i nagle jej uśmiech zniknął. Jaka Sculi stał na skalnym urwisku, samotna figurka wpatrująca się w miejsce, w którym woźnica zwykle zostawiał Meraldę.

Meralda wychyliła się przez przeciwległe okno, tak, by Jaka jej nie dostrzegł.

– Dobry woźnico, zabierz mnie proszę tego wieczoru aż pod drzwi.

– Och, miałem nadzieję, że poprosisz mnie o to, panienko Meraldo – odrzekł Liam Woodgate. – Wygląda na to, że jeden z moich koni ma jakiś problem z podkową. Może twój ojciec ma jakąś prostą sztabę i młot?

– Oczywiście, że ma – odparła Meralda. – Zabierz mnie do domu, a jestem pewna, że mój tata pomoże ci naprawić tę podkowę.

– Dobrze więc! – powiedział woźnica. Pociągnął za lejce i konie potruchtały szybciej.

Meralda wróciła na siedzenie i wpatrywała się przez okno w sylwetkę szczupłego mężczyzny, w której po żalostnej postawie rozpoznawała Jakę. Niemal rozważyła na nowo swą drogę i powiedziała woźnicy, by ją wypuścił. Może powinna znów iść do Jaki i kochać się z nim jeszcze raz pod gwiazdami, być wolną przez jeszcze jedną noc. Może powinna uciec z nim i wieść swe życie dla siebie samej, dla nikogo innego.

Nie, nie mogła tego zrobić swej matce, swemu ojcu czy Tori. Meralda była córką, na której jej rodzice mogli polegać, że robi to, co słuszne. Meralda wiedziała, że słuszne było odrzucenie uczuć do Jaki Sculiego.

Powóz zajechał przed dom Ganderlayów. Liam Woodgate, zwinny osobnik, zeskoczył z kozła i otworzył Meraldzie drzwi, zanim zdążyła sięgnąć do zasuwki.

– Nie musisz tego robić – stwierdziła młoda kobieta, gdy gnom pomógł jej wyjść z karocy.

– Ale masz zostać panią Auckney – wesóły starzec odparł z uśmiechem, mrugając do niej okiem.
– Nie mogę traktować cię jak chłopki, czyż nie?

– To nie jest takie złe – odrzekła Meralda, po czym dodała: – To znaczy być chłopką. – Liam zaśmiał się szczerze. – Wypuszczają cię z zamku na noc.

– I pozwalają wrócić, kiedy tylko chcesz – odparł Liam. – Zarządca Temigast powiedział, że jestem do twojej dyspozycji, panienko Meraldo. Mam zabierać cię i twoją rodzinę, jeśli sobie tego życzysz, dokąd tylko chcecie się udać.

Meralda uśmiechnęła się szeroko i skinęła głową w podziękowaniu. Wtedy zauważyła, że jej ojciec otworzył drzwi i stał z ponurą miną na progu.

– Tato! – zawołała Meralda. – Mógłbyś pomóc mojemu przyjacielowi... – kobieta przerwała i popatrzyła na woźnicę. – Ale nie znam nawet twojego imienia – zauważyła.

– Większość szlachetnych dam nie traci czasu by o nie zapytać – odparł i znów roześmieli się razem z Meraldą. – Poza tym, dla was dużych ludzi wszyscy wyglądamy tak samo. – Mrugnął łobuzersko okiem, po czym skłonił się nisko. – Liam Woodgate, do twoich usług.

Dohni Ganderlay podszedł do nich.

– Krótka byłaś dziś w zamku – stwierdził podejrzliwie.

– Lord Feringal był zajęty kupcem – odrzekła Meralda. – Mam wrócić rankiem. Liam ma trochę problemów z podkową. Mógłbyś mu pomóc?

Dohni popatrzył na zaprzęg i skinął głową.

– Jasne – odpowiedział. – Wchodź do środka, dziewczyno – polecił Meraldzie. – Twoja mama znów jest chora.

Meralda pomknęła do domu. Znalazła matkę w łóżku, znów rozpaloną gorączką, z głęboko zapadniętymi oczyma. Tori klęczała przy łóżku, z kubkiem wody w jednej ręce i mokrym ręcznikiem w drugiej.

– Dostała ataku wkrótce po tym, jak wyszłaś – wyjaśniła Tori. Ta paskudna przypadłość nękała Biaste co i rusz od kilku miesięcy.

Spoglądając na swą matkę Meralda chciała paść na ziemię i płakać. Jakże krucho wyglądała, jak nieprzewidywalny był jej stan. Było tak jakby Biaste Ganderlay każdego dnia stąpała po cienkiej krawędzi własnego grobu. Meralda wiedziała, że podczas ostatnich dni, odkąd zainteresował się nią lord Feringal, matkę podtrzymywał dobry stan ducha. Zdesperowana młoda kobieta chwyciła się jedyne lekarstwa jakie miała pod ręką.

– Och, mamó – powiedziała, udając podekscytowaną. – Czy nie wybrałaś złej chwili, by znów zachorować?

– Meraldo – wydyszała Biaste Ganderlay i nawet to wydawało się dla niej wysiłkiem.

– Musimy poprawić twój stan i to szybko – Meralda powiedziała stanowczo.

– Meraldo! – narzekała Tori.

– Mówiłam ci o ogrodzie pani Priscilli – ciągnęła Meralda, ignorując protesty siostry. – Wydobrzej i to szybko, bo jutro dołączysz do mnie w zamku. Razem pochodzimy po ogrodzie.

– A ja? – poprosiła Tori. Meralda obróciła się w jej stronę i zauważyła, że słucha jej jeszcze ktoś. Dohni Ganderlay stanął w drzwiach, opierając się na framudze, ze zdumioną miną na silnej, lecz znużonej twarzy.

– Tak, Tori, możesz się do nas przyłączyć – powiedziała Meralda, usilnie starając się ignorować ojca – ale musisz obiecać, że będziesz się dobrze zachowywać.

– Och, mamó, wydobrzej szybko, proszę! – Tori błagała Biaste, trzymając mocno dłoń kobiety. Wydawało się, że chora okazała w tym momencie trochę więcej życia.

– Idź, Tori – poleciła Meralda. – Biegnij do woźnicy powozu, nazywa się Liam, i powiedz mu, że nasza trójka będzie potrzebowała pojechać do zamku jutro w południe. Mama nie może iść całą drogę.

Tori pobiegła jak jej polecono, a Meralda pochyliła się nisko nad matką.

– Wydobrzej – wyszeptła, całując kobietę w czoło. Biaste uśmiechnęła się i skinęła głową na znak, że spróbuje.

Meralda wyszła z pokoju pod baczny spojrzeniem Dohniego Ganderlaya. Usłyszała jak mężczyzna zaciąga zasłonę do pokoju rodziców, po czym idzie za nią na środek wspólnego pomieszczenia.

– Pozwoli ci zabrać je obie? – spytał Dohni cicho, tak by Biaste nie usłyszała.

Wzruszyła ramionami.

– Mam zostać jego żoną, a to jego pomysł. Byłby głupcem nie wyrządzając mi tej jednej przysługi.

Twarz Dohniego Ganderlaya roztopiła się w pełnym wdzięczności uśmiechu i podszedł do córki, ściskając ją mocno. Choć Meralda nie widziała jego twarzy, wiedziała że płacze.

Odwzajemniła ten uścisk dziesięciokrotnie mocniej, chowając twarz w silnym barku ojca, co niezbyt subtelnie jej przypomniało, że choć była odważnym żołnierzem walczącym dla dobra rodziny, wciąż była także, w wielu aspektach, wystraszoną małą dziewczynką.

Jakże ciepło się poczuła, upewniona że czyni dobrze, gdy ojciec pocałował ją w czubek głowy.

* * *

Ze wzgórza niewiele dalej Jaka Sculi obserwował jak Dohni Ganderlay pomaga woźnicy naprawić podkowę, obydwaj rozmawiali i chichotali jakby byli starymi przyjaciółmi. Zważywszy na to, jak Dohni Ganderlay potraktował go poprzedniej nocy, widok ten niemal zrównał biednego, zazdrosnego Jakę z ziemią. Czy Dohni nie rozumiał, że lord Feringal chciał tego samego, za co Dohni jego ukarał? Czy nie widział, że intencje Jaki były lepsze niż lorda Feringala, że bardziej pasował do klasy i otoczenia Meraldy, a w związku z tym był dla niej lepszym wyborem?

Wtedy Dohni wrócił do domu, a wkrótce potem ukazała się siostra Meraldy, podskakując radośnie, gdy szła porozmawiać z woźnicą.

– Czy nie mam sojuszników? – Jaka spytał cicho, z nadąsaniem żując dolną wargę. – Czy oni wszyscy są przeciwko mnie, zaślepieni niezarobionym bogactwem i prestiżem Feringala Aucka? Bądź przekłeta, Meraldo! Jak mogłaś tak mnie zdradzić? – krzyknął, nie zważając na to, że jego okrzyk mógł się ponieść do Tori i woźnicy.

Nie mógł już na nich dłużej patrzeć. Jaka zacisnął pięści i uderzył się nimi mocno w oczy, padając plecami na twardą ziemię.

– Jakaż sprawiedliwość jest w tym życiu – krzyczał. – O biada, urodzić się chłopem, gdy pelerynę króla winieniem nosić! Jakaż sprawiedliwość pozwala temu głupcowi Feringalowi zawłaszczać sobie nagrodę? Jaki ogólny porządek nakazuje, że sakiewka jest mocniejsza niż lędźwie? Przeklęte życie! I przeklęta Meralda!

Leżał tam, mamrocząc przekleństwa i miauczając jak schwytyany w potrzask kot, długo po tym, jak Liam Woodgate naprawił podkowę, napił się z Dohnim Ganderlayem i odjechał. Na długo po tym, jak matka Meraldy zapadła w końcu w spokojny sen, na długo po tym, jak Meralda zwierzyła się Tori ze wszystkiego, co stało się z Jaką, z Feringalem, oraz z Priscillą i Temigastem. Na długo po sztormie, który, jak Temigast przewidywał, pojawił się z całą furją, zalewając leżącego Jakę strugami deszczu i smagając zimnym oceanicznym wichrem.

Wciąż leżał na wzgórzu, gdy wiatr rozwiał chmury, robiąc miejsce dla wspaniałego świtu, gdy robotnicy szli na pola. Jeden z nich, jedyny krasnolud w grupie, podszedł do młodzieńca i stuknął go czubkiem buta.

– Jesteś trupem, czy spiłeś się w trupa? – spytała sękata istota. Jaka odtoczył się od niego, dusząc jęk, jaki wywołały zeszywniałe mięśnie oraz stawy. Mając zbyt zranioną dumę, by odpowiedzieć, będąc zbyt rozzłoszczonym, by popatrzeć komukolwiek w twarz, młodzieniec podniósł się i odbiegł.

– Dziwny ptaszek – stwierdził krasnolud, a otaczający go pokiwali twierdząco głowami.

Dużo później tego poranka, gdy wyschło mu ubranie, a chłód nocnego wichru oraz deszczu wciąż pozostawał głęboko pod jego skórą, Jaka wrócił na pola, by odrobić swą dniówkę, narażając się na reprimendę nadzorcy pola i docinki innych robotników. Starał się, by dobrze pracować, lecz była to walka, bowiem jego myśli pozostawały w nieładzie, był upadły na duchu, a skóra wydawała się lepka pod nieugiętym słońcem.

Jedynie mu się pogorszyło, gdy ujrzał jak powóz lorda Feringala toczy się po drodze poniżej, najpierw kierując się do domu Meraldy, a następnie z powrotem, załadowany więcej niż jednym pasażerem.

Wszyscy oni byli przeciwko niemu.

* * *

Ten dzień w Zamku Auck ucieszył Meraldę bardziej niż każda z poprzednich wizyt, choć lord

Feringal niezbyt krył swe rozczarowanie, że nie będzie miał Meraldy dla siebie. Priscilla zagotowała się na myśl o trzech chłopkach w jej cudownym ogrodzie.

Mimo to Feringal dość szybko to przewyciężył, a Priscilla, po paru chrząkliwych przypomnieniach ze strony zarządcy Temigasta, pozostawała na pozór uprzejma. Dla Meraldy ważne było jedynie to, że jej matka uśmiechała się i wystawiała kruchą twarz do słońca, kąpiąc się w ciepłe i słodkich zapachach. Widok ten wzmocnił jedynie upór Meraldy i dał jej nadzieję na przyszłość.

Nie pozostały w zamku długo, jedynie godzinę w ogrodzie, lekki lunch, a następnie kolejny krótki spacer pośród kwiatów. Na prośbę Meraldy, swoiste przeprosiny wobec lorda Feringala za nieoczekiwanych dodatkowych gości, młody lord pojechał z nimi powozem z powrotem do domu Ganderlayów, pozostawiając zniesmaczoną Priscillę i Temigasta u wrót zamku.

– Chłopki – mruknęła Priscilla. – Powinam stłuc tego mojego brata po głowie za sprowadzanie takich ludzi do Zamku Auck.

Temigast zachichotał z powodu jej przewidywalności.

– Istotnie, są niekulturalne – przyznał zarządca. – Jednak nie nieprzyjemne.

– Błotojady – powiedziała Priscilla.

– Być możesz postrzegasz sytuację z błędnej perspektywy – rzekł Temigast, uśmiechając się z lekką drwiną do kobiety.

– Jest tylko jeden sposób, w jaki można postrzegać chłopów – odparła Priscilla. – Trzeba na nich patrzeć z góry.

– Ale Ganderlayowie już nie będą chłopami – Temigast nie mógł się oprzeć aby jej tego nie przypomnieć.

Priscilla parsknęła z powątpiewaniem.

– Być może powinnaś to postrzegać jako wyzwanie – zasugerował Temigast. Milczał, dopóki Priscilla nie zwróciła na niego zaciekawionego spojrzenia. – Jak namawianie delikatnego kwiatu, by wyszedł z cebulki.

– Ganderlayowie? Delikatni? – Priscilla stwierdziła z niedowierzaniem.

– Być może mogą tacy być z pomocą lady Priscilli Auck – rzekł Temigast. – Jakim wielkim osiągnięciem byłoby dla Priscilli oświecić ich, wyczynem, którym jej brat przechwalałby się przed każdym przejeżdżającym kupcem. Wspaniałym osiągnięciem, które bez wątplenia dotarłoby do uszu luskańskiego towarzystwa. Piórem w kapeluszu Priscilli.

Priscilla znów parsknęła, z nieprzekonaną miną, lecz już się nie odezwała, nie wymruczała nawet jak zwykle pod nosem obelg. Gdy odchodziła, jej wyraz twarzy zmienił się na zamyśloną ciekawość, być może w trakcie jakiegoś planowania.

Temigast zauważył, że chwyciła przynętę, a przynajmniej ją skubnęła. Stary zarządca potrząsnął głową. Nigdy go nie przestawało zadziwiać, że większość szlachciców uważała się za o tyle lepszych od ludu, którym władali, nawet jeśli owa władza wynikała jedynie z przypadku przy narodzinach.

WIĘZIENNY KARNAWAŁ

Była to godzina bicia i szyderstw, rozochoconych wieśniaków ciskających zepsutym jedzeniem i plujących im w twarz.

Była to godzina, której Wulfgar nawet nie zarejestrował. Mężczyzna był tak oddalony od Więziennego Karnawału, tak dobrze ukryty w swym prywatnym, emocjonalnym miejscu, stworzonym dzięki mentalnej dyscyplinie, która pozwoliła mu przetrwać udrękę u Errtu, że nawet nie widział wykrzywionych, zdeprawowanych twarzy wieśniaków ani nie słyszał asystenta sędziego podjudzającego zgraję do prawdziwego przedstawienia, kiedy to Jharkheld dołączył do nich na dużej scenie. Barbarzyńca był związany, podobnie jak pozostała trójka, dłonie miał za plecami, przymocowane do solidnego drewnianego kołka. Ciężarki były przymocowane łańcuchami do jego kostek oraz wokół szyi, na tyle ciężkie, że zmuszały potężnego barbarzyńcę do pochylenia głowy.

Rozpoznawał tłum z krystaliczną czystością. Zapłuci wieśniacy, krzyczący o krew i tortury, podekscytowani, niemal rozradowani ogrzy strażnicy obsługujący motłoch, oraz nieszczęśni więźniowie. Widział kim byli, a jego umysł przemieniał ich w coś innego, coś demonicznego, w wypaczone twarze sług Errtu, śliniących się nad nim swą kwasową plwociną, szarpiących go ostrymi szponami i smagające straszliwym oddechem. Czuł znów mgłę domu Errtu, siarkowe opary Otchłani w nozdrzach i gardle, jeszcze bardziej drażniące liczne, liczne rany. Czuł swędzenie stonóg i pajaków chodzących po jego skórze i pod nią. Zawsze na skraju śmierci. Zawsze jej pragnąc.

Gdy te udręki się ciągnęły, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, Wulfgar znalazł ucieczkę w małym zakątku swej świadomości. Zamknięty wewnątrz, był nieświadomy swego otoczenia i podczas karnawału uciekł do tego właśnie miejsca.

Jeden po drugim więźniowie byli odwiązywani od kołków i prowadzani, czasami na tyle blisko, by nękali ich wieśniacy, innym razem kierowano ich do instrumentów tortur. Zaliczały się do nich dyby do biczowania, klocek z kołowrotkiem przeznaczony do tego, by podnosić ofiary w powietrze za tyczkę wsuniętą pod związane z tyłu ramiona, dyby nożne, by wieszać więźniów głową do dołu w kublach z brudną wodą, albo też, w przypadku nieszczęsnego Creepsa Sharky'ego, w kuble z uryną. Creeps krzyczał niemal przez cały czas, zaś Tee-a-nicknick i Wulfgar stoicko akceptowali każdą karę, jaką mógł ich obdarzyć pomocnik sędziego, nie wydając z siebie żadnego innego dźwięku niż okazyjne, nie dające się uniknąć zachłyśnięcie powietrzem wysączonym z płuc. Morik podchodził do wszystkiego spokojnie, protestując że jest niewinny i rzucając naokoło dowcipne komentarze, na skutek czego był jeszcze mocniej bity.

Pojawił się Sędzia Jharkheld, przy wtórze wyc i radosnych okrzyków, mając na sobie grubą

czarną szatę i czapkę oraz niosąc srebrną tubę na zwoje. Przeszedł na środek sceny, stając pomiędzy więźniami, by zmierzyć ich starannie po kolei wzrokiem.

Jharkheld wystąpił do przodu. Dramatycznym gestem zaprezentował tubę na zwoje, zawierającą obwiniające dokumenty, wywołując ochocze okrzyki i wiwaty. Robiąc pauzy po każdym ruchu i jeszcze bardziej wzmacniając tym odzew tłumu, Jharkheld zdjął zatyczkę z końca tuby i wyjął dokumenty. Rozwijając je sędzia pokazywał papiery motłochowi, po kolei odczytując imię każdego z więźniów.

Sędzia z pewnością nosił podobieństwo do Errtu. Był karnawałowym podżegaczem, skazującym na cierpienia. Nawet jego głos przypominał barbarzyńcy balora: szorstki, gardłowy, niehumaniczny.

– Opowiem wam historię – zaczął Jharkheld – o podstępie i oszustwie, o nadużytej przyjaźni i próbie morderstwa dla zysku. Ten człowiek! – powiedział donośnie, wskazując na Creepsa Sharky'ego – ten człowiek opowiedział mi ją w całości, a jej koszmar nie pozwalał mi odtąd każdej nocy usnąć. – Sędzia przeszedł do opisywania szczegółów zbrodni, tak jak to przedstawił Sharky. Wszystko to było, według łajdaka, pomysłem Morika. Morik i Wulfgar wyciągnęli Deudermonta na otwartą przestrzeń, tak by Tee-a-nicknick mógł do niego strzelić zatrutą strzałką. Morik również miał uzadlić szanowanego kapitana, używając innego rodzaju trucizny, by upewnić się, że kapłani nie zdołają go uratować, lecz straż miejska przybyła zbyt szybko, by drugi atak mógł się udać. Podczas planowania wszystkiego Creeps próbował ich przekonać, by się wycofali, ale nie powiedział nikomu innemu z obawy przed Wulfgarem. Wielki mężczyzna obiecał, że zerwie mu głowę z ramion i będzie ją kopał po każdej ulicy Luskan.

Wystarczająco wielu spośród zgromadzonych padło ofiarą ochroniarskich zapędów Wulfgara w Cutlassie, by ta ostatnia część wydawała się wiarygodna.

– Wasza czwórka jest oskarżona o spiskowanie i zamiar haniebnego morderstwa dobrego kapitana Deudermonta, gościa bardzo mile widzianego w naszym pięknym mieście – powiedział Jharkheld, gdy skończył opowieść i pozwolił uciszyć się wyciom i okrzykom. – Wasza czwórka jest oskarżona o zadanie poważnej szkody temuż. W interesie sprawiedliwości i uczciwości usłyszycie swoje odpowiedzi na te zarzuty. Podszedł do Creepsa Sharky'ego.

– Czy przytoczyłem historię tak, jak mi ją opowiedziałeś? – spytał.

– Tak, panie – ochoczo odparł Creeps Sharky. – Zrobili to, to wszystko!

Wielu w tłumie wykrzyknęło względem tego swe wątpliwości, podczas gdy inni jedynie się z niego zaśmiali, tak żałośnie zabrzmiało.

– Panie Sharky – ciągnął Jharkheld – czy przyznajesz się, że jesteś winny pierwszego zarzutu?

– Niewinny! – zaprotestował Sharky, pewien że współpraca pozwoli, by uciec najgorszej części karnawału, lecz szyderstwa tłumu zagłuszyły go.

– Czy przyznajesz się, że jesteś winny drugiego zarzutu przeciwko tobie?

– Niewinny! – mężczyzna powiedział butnie i uśmiechnął się szczerbate do sędziego.

– Winny! – krzyknęła stara kobieta. – Winny jest i zasługuje na straszliwą śmierć za próbę zwaleni winy na innych!

Uniosła się setka okrzyków zgadzających się z kobietą, lecz Creeps Sharky utrzymał uśmiech i wyraźną pewność siebie. Jharkheld przeszedł na przód platformy i poklepał dłońmi powietrze, starając się uciszyć tłum. Gdy w końcu zamilkli, powiedział:

– Opowieść Creepsa Sharky'ego pozwoliła nam przekonać pozostałych. Tak więc obiecaliśmy mu pobłażliwość za jego współpracę. – Wywołało to pohukiwania i szydercze gwizdy. – Za jego szczerłość i za fakt, że według swoich słów, czemu nie sprzeciwili się pozostali, nie był bezpośrednio wmieszany.

– Ja się temu sprzeciwiam – krzyknął Morik, a tłum zawył. Jharkheld jedynie wykonał gest w stronę jednego ze strażników i Morik został uderzony pałką w brzuch.

Więcej pohukiwań rozległo się w tłumie, lecz Jharkheld nie zważał na wołania i uśmiech na twarzy przebiegłego Creepsa Sharky'ego poszerzył się.

– Obiecaliśmy mu pobłażliwość – powiedział Jharkheld, rozkładając ręce jakby nie mógł nic na to poradzić. – Tak więc zabijemy go szybko.

Słowa te starły uśmiech z twarzy Creepsa Sharky'ego i przemieniły chór pohukiwań w ryki aprobaty.

Wypluwając z siebie protesty, na załamujących się nogach, Creeps Sharky został zaciągnięty do pnia i zmuszony, by przed nim klęknąć.

– Jestem niewinny! – krzyknął, lecz jego protest skończył się raptownie, gdy jeden ze strażników położył go siłą na pniu, przyciskając mu twarz do drewna. Podszedł do niego wielki kat trzymający potworny topór.

– Cios nie spadnie czysto, jeśli będziesz się szarpał – poradził mu strażnik.

Creeps Sharky uniósł głowę.

– Ale mi obiecaliście!

Strażnicy przycisnęli go z powrotem do pnia.

– Przystań się miotać! – rozkazał jeden z nich. Przerażony Creeps wyszarpnął się i upadł na

platformę, odtaczając się desperacko. Nastąpiło pandemonium, gdy strażnicy rzucili się na niego. Wierzgał dziko, a tłum wył i śmiał się. Z każdego zakątka placu dobiegały okrzyki „Powiesić go!”, „Przeciągnąć pod kilem!” i inne straszliwe propozycje egzekucji.

* * *

– Cudne zgromadzenie – kapitan Deudermont powiedział sarkastycznie do Robillarda. Stali wraz z kilkoma innymi członkami załogi Duszka Morskiego pośród skaczącego i wrzeszczącego tłumu.

– Sprawiedliwość – stwierdził stanowczo czarodziej.

– Zastanawiam się – powiedział w zadumie kapitan – czy to sprawiedliwość, czy rozrywka. Granica jest cienka, mój przyjacielu, a zważywszy, że jest to niemal codzienny spektakl, sądzę, że władze Luskan już ją dawno przekroczyły.

– To ty chciałeś tu przybyć – przypomniał mu Robillard.

– Moim obowiązkiem jest tu być jako świadek – odrzekł Deudermont.

– Chodzi mi o to, że tutaj do Luskan – wyjaśnił Robillard. – Ty chciałeś przyplłynąć do tego miasta, kapitanie. Ja wolałem Waterdeep.

Deudermont zmierzył swego przyjaciela czarodzieja stanowczym spojrzeniem, lecz nie miał na to riposty.

* * *

– Przestań się miotać! – strażnik wrzasnął na Creepsa, lecz brudny mężczyzna walczył jeszcze mocniej, wierzgając i piszcząc desperacko. Zdołał uchylać się przed ich rękoma przez jakiś czas, ku uciesze gapiów, którzy byli zachwyceni spektaklem. Dzięki ruchy Creepsa skrzyżowały jego wzrok z Jharkheldem. Sędzia zmierzył go spojrzeniem tak bacznym i karzącym, że Creeps przestał się ruszać.

– Ciągnąć go końmi i poćwiartować – Jharkheld powiedział powoli i starannie.

Motłoch osiągnął nowy poziom radosnego wycia.

Creeps widział za swego życia jedynie dwa razy tę formę ostatecznej egzekucji i wystarczyło to, by krew odpłynęła mu z twarzy, by wpadł w atak drgawek, a następnie, przed tysiącem gapiów, zmoczył się.

– Obiecałeś – wydyszał, ledwo będąc w stanie złapać oddech, lecz wystarczająco głośno, by sędzia usłyszał i podszedł do niego.

– Obiecałem pobłażliwość – Jharkheld powiedział cicho – i dotrzymam słowa, jakie ci złożyłem, lecz tylko wtedy, jeśli będziesz współpracować. Wybór należy do ciebie.

Ci z tłumu, którzy stali dość blisko, by słyszeć, zaczęli jęczeć w proteście, lecz Jharkheld ich zignorował.

– Cztery konie już czekają – ostrzegł Jharkheld. Creeps zaczął płakać.

– Zabrać go do pnia – sędzia polecił strażnikom. Tym razem Creeps nie wykonał żadnego ruchu przeciwko nim, nie opierał się wcale, gdy ciągnęli go z powrotem, zmusili do klęknienia i opuścili mu głowę.

– Obiecałeś – Creeps wyłkał cicho swe ostatnie słowa, lecz chłodny sędzia jedynie się uśmiechnął i skinął głową. Nie do Creepsa, lecz do wielkiego mężczyzny stojącego obok niego.

Ogromny topór opadł, a tłum jak jeden mąż wciągnął gwałtownie powietrze, po czym wybuchnął wyciem. Głowa Creepsa Sharky'ego spadła na platformę i potoczyła się kawałek. Jeden ze strażników podbiegł do niej i podniósł, obracając w stronę bezgłowego ciała. Legenda głosiła, że przy idealnym, szybkim cięciu oraz szybkim strażniku pozbawiona głowy osoba może wciąż być świadoma przez ułamek sekundy, wystarczająco długo, by ujrzeć własne ciało i wykrzywić twarz w wyrazie najczystszej, największej przerażenia.

Nie tym razem jednak, bowiem Creeps Sharky miał tę samą smutną minę.

* * *

– Pięknie – Morik mruknął sarkastycznie na drugim końcu platformy. – Tak, to zdecydowanie lepszy los niż spotka naszą resztę tego dnia.

Otoczający go z obu stron Wulfgar i Tee-a-nicknick nic nie odpowiedzieli.

– Po prostu pięknie – powtórzył zgubiony łotrzyk. Morik nawykł do tego, że znajdował się w dość desperackich sytuacjach, jednak teraz po raz pierwszy czuł się całkowicie pozbawiony

możliwości. Rzucił Tee-a-nicknickowi spojrzenie pełne całkowitej pogardy, po czym skierował uwagę na Wulfgara. Wielki mężczyzna wydawał się tak beznamienny i zdystansowany wobec otaczającego ich zamętu, że Morik mu tego zazdrościł.

Łotrzyk słyszał bezustanne paplanie Jharkhelda. Przepraszał za niezbyt rozrywkową egzekucję Creepsa Sharky'ego, wyjaśniając, że czasami potrzeba takiego miłosierdzia. Inaczej jak ktokolwiek mógłby się przyznać?

Morik wynurzył się z gładzenia sędziego i skierował umysł w miejsce, w którym był bezpieczny i szczęśliwy. Pomyślał o Wulfgarze, o tym jak wbrew wszelkim przeciwnościom stali się przyjaciółmi. Kiedyś byli rywalami, gdy nowy barbarzyńca zyskiwał reputację na Ulicy Półksiężycy, szczególnie po tym jak zabił osiłka Wyrwidęba. Pozostając jako jedyny z reputacją wartą ochrony, Morik zastanawiał się nad wyeliminowaniem Wulfgara, choć morderstwo nigdy nie było tak naprawdę ulubioną metodą łotrzyka.

Wtedy miało miejsce najdziwniejsze ze spotkań. Mroczny elf – przeklęty drow! – przyszedł do Morika w jego wynajętym pokoju, po prostu wszedł bez ostrzeżenia i poprosił Morika, by obserwował bacznie Wulfgara, lecz go nie krzywdził. Mroczny elf zapłacił dobrze Morikowi. Zdając sobie sprawę, że złote monety są lepszą zapłatą niż ostre klingi drowiej broni, łotrzyk postąpił zgodnie z planem, obserwując Wulfgara coraz uważniej wraz z mijającymi dniami. Stali się nawet kompanami do butelki, spędzając razem w dokach późne noce, często aż do świtu.

Morik nigdy później nie zetknął się już z tym mrocznym elfem. Gdyby nadszedł od niego rozkaz wyeliminowania Wulfgara, wątpił czy przyjąłby kontrakt. Zdawał sobie teraz sprawę, że gdyby usłyszał, iż mroczne elfy zamierzają zabić barbarzyńcę, stanąłby u boku Wulfgara.

Cóż, bardziej realistycznie przyznał łotrzyk, mógłby nie stanąć u boku Wulfgara, lecz ostrzegłby barbarzyńcę, a następnie uciekł, gdzie pieprz rośnie.

Teraz nie było dokąd uciec. Morik znów zastanowił się przelotnie, czy mroczne elfy pojawią się, by uratować tego człowieka, którym tak się zainteresowały. Być może legion drowich wojowników przypuści szturm na Więzienny Karnawał, ich doskonałe klingi potną widzów masakry, gdy będą się przedzierać do platformy.

Wizja ta nie utrzymała się, bowiem Morik wiedział, że nie przyjdą po Wulfgara. Nie tym razem.

– Naprawdę mi przykro, mój przyjacielu – przeprosił Wulfgara, nie mógł bowiem pozbyć się myśli, że cała ta sytuacja wynikała głównie z jego winy.

Wulfgar nie odpowiedział. Morik zrozumiał, że wielki mężczyzna nie słyszał nawet jego słów, że odszedł już stąd, zapadł się głęboko w siebie.

Być może była to najlepsza droga. Spoglądając na wyszczerzony motłoch, słysząc trwającą przemowę Jharkhelda, obserwując bezgłowe ciało Creepsa Sharky'ego ciągnięte po platformie,

Morik żałował, że nie potrafi się również tak zdystansować.

* * *

Sędzia znów przytaczał opowieść Creepsa Sharky'ego, o tym jak ta pozostała trójka spiskowała, by zamordować tak wspaniałego człowieka, kapitana Deudermonta. Jharkheld podszedł do Wulfgara, popatrzył na zgubionego mężczyznę, potrząsnął głową, po czym odwrócił się z powrotem do tłumu, zachęcając do odpowiedzi.

Dobiegła fala szyderstw i przekleństw.

– Ty jesteś najgorszy z nich wszystkich! – Jharkheld wrzasnął barbarzyńcy w twarz. – Był twoim przyjacielem, a ty go zdradziłeś!

– Przeciągnąć go pod kilem okrętu Deudermonta! – dobiegło anonimowe żądanie.

– Ciągać końmi, poćwiartować i nakarmić nim ryby! – wrzasnął ktoś inny.

Jharkheld obrócił się do tłumu i uniósł dłoń, żądając ciszy i po chwili szemrania usłuchali.

– Tego tutaj – powiedział sędzia – zostawimy jak sądzę na koniec.

Wywołało to kolejny chór okrzyków.

– Jakże piękny dzień mamy – powiedział oratorsko Jharkheld. – Zostało trzech i żaden nie chce się przyznać.

– Sprawiedliwości – Morik wyszeptał pod nosem. Wulfgar wpatrywał się prosto przed siebie, nie mrugając, i jedynie myśli o biednym Moriku powstrzymywały go przed roześmianiem się Jharkheldowi w brzydką starą twarz. Czy sędzia naprawdę wierzył, że może zrobić Wulfgarowi coś gorszego niż cierpienia u Errtu? Czy Jharkheld mógł wyciągnąć na scenę Catti-brie i zgwałcić ją, a następnie rozczłonkować przed oczyma Wulfgara, tak jak to wielokrotnie zrobił Errtu? Czy mógł sprowadzić iluzyjnego Bruenora i rozgryźć krasnoludowi czaszkę, a następnie wykorzystać resztę głowy jako miskę do potrawy z mózgu? Czy mógł zadać Wulfgarowi więcej fizycznego bólu niż demon, który ćwiczył sztukę tortur od tysiącleci? I ostatecznie, czy Jharkheld mógł powrócić Wulfgara z krawędzi śmierci raz za razem, by wszystko mogło się zacząć od początku?

Wulfgar uświadomił sobie coś dogłębnego i naprawdę się rozpromienił. W tej kwestii Jharkheld i jego scena bledli przy Otchłani. Umrze tutaj. Nareszcie się uwolni.

* * *

Jharkheld odbiegł od barbarzyńcy i zatrzymał się przed Morikiem. Chwycił szczupłą twarz mężczyzny swą silną dłonią i obrócił ją gwałtownie w swoją stronę.

– Przyznajesz się do swojej winy? – wrzasnął.

Morik niemal to zrobił. Niemał przyznał, że istotnie spiskował, by zabić Deudermonta. Tak, pomyślał, a w jego umyśle formułował się szybki plan. Przyzna się do spisku, lecz jedynie z wytatuowanym piratem, starając się jakoś ocalić swego niewinnego przyjaciela.

Wahanie kosztowało go tym razem okazję, bowiem Jharkheld wydał z siebie zdegustowane parsknięcie i smagnął Morika w twarz ciosem na odlew, zahaczając o spodnią część jego nosa, która to metoda rozlała za oczyma Morika fale bólu. Gdy mrugający mężczyzna otrząsnął się z zaskoczenia i bólu, Jharkheld ruszył dalej, mając przed Tee-a-nicknickiem.

– Tee-a-nicknick – sędzia powiedział powoli, akcentując każdą sylabę i w ten sposób przypominając zgromadzeniu jak dziwny, jak obcy był ten półczłowiek. – Powiedz mi, Tee-a-nicknicku, jaką rolę odegrałeś?

Wytatuowany półqullański pirat wpatrywał się prosto przed siebie, nie mrugając i nic nie mówiąc.

Jharkheld strzelił palcami w powietrze i jego asystent przybiegł z boku platformy, podając mu drewnianą tubę.

Jharkheld publicznie przyjrzał się jej, pokazując ją tłumowi.

– Za pomocą tego wydawałoby się niewinnego patyka nasz wymalowany przyjaciel może wypuścić strzałkę, równie pewnie jak łucznik wypuszcza strzałę – wyjaśnił. – Tę zaś strzałkę, na przykład pazur małego kota, nasz wymalowany przyjaciel może pokryć najbardziej wyszukaną trucizną. Miksturą, która sprawi, że będzie wam płynąć krew z oczu, dostaniecie gorączki takiej, że wasza skóra przybierze kolor ognia, a nos i gardło wypełnią się taką ilością flegmy, że każdy oddech będzie wymuszonym i okropnym wysiłkiem. To ledwie próbka z jego niegodziwego repertuaru.

Tłum chłonał każde słowo, stając się coraz bardziej zniesmaczony i rozżłoszczony. Mistrz ceremonii, Jharkheld, oceniał odzew i grał do nich, czekając na odpowiednią chwilę.

– Czy przyznajesz się do winy? – Jharkheld wrzasnął nagle Tee-a-nicknickowi w twarz.

Wytatuowany pirat wpatrywał się prosto przed siebie, nie mrugając i nic nie mówiąc. Gdyby był quillanem czystej krwi, mógłby w tym momencie rzucić czar zakłopotania, dzięki któremu sędzia odtoczyłby się na bok, zdumiony i nieświadomy, lecz Tee-a-nicknick nie był czystej krwi i nie posiadał żadnych wrodzonych umiejętności magicznych swej rasy. Posiadał jednak quillańską koncentrację, podobny jak u Wulfgara sposób izolowania się od otoczenia.

– Przyznasz się do wszystkiego – obiecał Jharkheld, machając pożądliwie palcem przed twarzą mężczyzny, nieświadomy dziedzictwa i dyscypliny pirata – ale wtedy będzie już za późno.

Tłum wpadł w szal, gdy strażnicy zdjęli pirata z jego kołka i ciągnęli od jednego instrumentu tortur do drugiego. Po około półgodzinie bicia i biczowania, sypaniu soli na rany, a nawet wyłupieniu Tee-a-nicknickowi oka gorącym pogrzebaczem, pirat wciąż nie przemówił. Żadnego przyznania się, żadnej prośby czy błagania, nawet żadnego krzyku.

Sfrustrowany ponad swą wytrzymałość, Jharkheld przeszedł do Morika, by wszystko toczyło się dalej. Nie zapytał go nawet czy się przyznaje. Uderzał wręcz Morika za każdym razem, gdy ten próbował wypowiedzieć choć słowo. Wkrótce Morik znalazł się na ramie do rozciągania, a oprawca co kilka minut wykonywał lekki, niemal niezauważalny (nie licząc pogrążonego w bólu Morika) obrót kołem.

W międzyczasie Tee-a-nicknick dalej znosił udrękę. Gdy Jharkheld znów do niego podszedł, pirat nie mógł już stać, więc strażnicy postawili go na nogi i trzymali.

– Gotów powiedzieć mi prawdę? – spytał Jharkheld. Tee-a-nicknick splunął mu w twarz.

– Przeprowadzić konie! – wrzasnął sędzia, trzęsąc się z wściekłości. Motłoch oszalał. Nieczęsto sędzia kłopotał się ciągnięciem końmi i ćwiartowaniem. Ci którzy byli tego świadkami wychwalali to jako najwspanialsze przedstawienie.

Na plac wprowadzono cztery białe konie, każdy ciągnął za sobą solidną linę. Tłum został rozepchnięty przez strażników miejskich, gdy konie zbliżyły się do platformy. Sędzia Jharkheld prowadził swych ludzi przez precyzyjne etapy przedstawienia. Wkrótce Tee-a-nicknick był dobrze przymocowany, każdy nadgarstek i kostka do innego konia.

Na sygnał sędziego, jeźdźcy szturchnęli swe silne bestie, w cztery strony świata. Wytatuowany pirat instynktownie napiął mięśnie, opierając się, lecz opór był bezużyteczny. Tee-a-nicknick został rozciągnięty do swych fizycznych granic. Jęczał i dyszał gwałtownie, a jeźdźcy i ich dobrze wytresowane wierzchowce utrzymywały go na krawędzi. Po chwili dobiegł głośny trzask barku wyskakującego ze stawu. Niedługo później eksplodowało jedno z kolan Tee-a-nicknicka.

Jharkheld wskazał gestem jeźdźcom, by stali spokojnie, po czym podszedł do mężczyzny, z nożem w jednej dłoni i biczem w drugiej. Pokazał jęczącemu Tee-a-nicknickowi lśniące ostrze, wywijając nim przed oczyma mężczyzny.

– Mogę zakończyć ból – obiecał sędzia. – Przyznaj się do winy, a zabiję cię szybko.

Wytatuowany półqullański pirat jęknął i odwrócił wzrok. Na znak Jharkhelda, jeźdźcy postąpili kawałek dalej swymi końmi.

Miednica mężczyzny pękła i w końcu zawył! Jakże tłum wrzasnął doceniając rozrywającą się skórę!

– Przyznaj się! – wrzasnął Jharkheld.

– Strzeliłem do niego! – krzyknął Tee-a-nicknick. Zanim motłoch zdążył jęknąć z rozczarowania, Jharkheld wrzasnął: – Za późno! – i trzasnął z bicia.

Konie odskoczyły, odrywając Tee-a-nicknickowi nogi od tułowia. Następnie rozciągnęły go konie przywiązane do nadgarstków mężczyzny. Twarz wykrzywiła mu się z palącego bólu i na myśl o nadciągającej śmierci na chwilę przed rozerwaniem również tych członków.

Niektórzy złapali gwałtownie powietrze, inni zwymiotowali, a większość wiwatowała dziko.

* * *

– Sprawiedliwość – Robillard powiedział do powarkującego, zde gustowanego Deudermonta. – Takie pokazy sprawiają, że morderstwo jest niepopularnym zajęciem.

Deudermont parsknął.

– To jedynie zaspokaja najprymitywniejsze ludzkie emocje – spierał się.

– Nie przeczę – odparł Robillard. – Nie stanowią praw, lecz w przeciwieństwie do twojego barbarzyńskiego przyjaciela przestrzegam ich. Czy jesteśmy sympatyczniejsi dla piratów, których chwytny na pełnym morzu?

– Robimy to, co musimy – sprzeciwiał się Deudermont. – Nie torturujemy ich, by nasycić nasz wypaczony głód.

– Ale odczuwamy satysfakcję zatapiając ich – skontrował Robillard. – Nie płaczemy po ich śmierci i często, gdy ścigamy drugiego pirata, nie zatrzymujemy się, by wyciągnąć rozbitków rekinom. Nawet gdy bierzemy jeńców, wyrzucamy ich następnie w najbliższym porcie, często w Luskan, gdzie czeka ich taka właśnie sprawiedliwość.

Deudermontowi skończyły się argumenty, więc wpatrywał się jedynie przed siebie. Mimo to, jak na gust cywilizowanego i kulturalnego kapitana, takie pokazy w żaden sposób nie przypominały sprawiedliwości.

* * *

Jharkheld wrócił, by zająć się Morikiem i Wulfgarem, zanim liczni pomocnicy zdążyli w ogóle wyczyścić krew z przedniej części platformy.

– Widziałeś jak dużo jemu zajęło przyznanie się do prawdy? – sędzia powiedział do Morika. – Za późno, cierpiał więc do końca. Będziesz równie głupi?

Morik, którego kończyny zaczynały się już rozciągać do punktu wyłamania, zaczął odpowiadać, zaczął się przyznawać, lecz Jharkheld położył mu palec na ustach.

– To nie jest dobry czas – wyjaśnił.

Morik zaczął znów mówić, więc Jharkheld zakneblował go mocno, wsuwając mu brudną szmatę do ust, a drugą owijając wokół głowy, by knebel się nie wysunął.

Sędzia przeszedł na tył ramy i wyciągnął małą drewnianą skrzynkę, nazywaną szczurzym pudełkiem. Tłum zawył z rozkoszy. Rozpoznawszy straszliwy instrument, oczy Morika otworzyły się szeroko i zaczął na próżno szarpać się w nieugiętych więzach. Nienawidził szczurów, bał się ich przez całe życie.

Jego najstraszniejszy koszmar się spełniał.

Jharkheld przeszedł na powrót na przód platformy i podniósł wysoko pudełko, obracając je powoli, by motłoch mógł zobaczyć jego pomysłową budo we. Przód był metalową siatką, pozostałe trzy ściany i strop solidnym drewnem. Dno również było drewniane, lecz miało zasuwany otwór, stanowiący drogę wyjścia. Do pudełka zostanie wpuszczony szczur, a następnie położy się skrzynkę na nagim brzuchu Morika i odsunie dolne drzwiczki. Później pudełko się podpali.

Szczur ucieknie jedyną możliwą drogą – przez Morika.

Mężczyzna w rękawiczkach podszedł trzymając szczura i szybko postawił klatkę ze zwierzęciem na obnażonym brzuchu Morika. Nie zapalił jej, lecz pozwolił stworzeniu poprzehadzać się, dotykać łapkami ciała, skubać co jakiś czas. Morik szarpał się bezowocnie.

Jharkheld przeszedł do Wulfgara. Zważywszy na poziom podniecenia i rozradowania tłumu,

sędzia zastanawiał się, jak ukoronuje to wszystko, co może zrobić, by ten stoicki behemot dał większy spektakl niż dwie poprzednie egzekucje.

– Podoba ci się to, co robimy z twoim przyjacielem Morikiem? – spytał sędzia.

Wulfgar, który widział trzewia domeny Errtu, który był pożerany przez stworzenia mogące przerazić całą armię szczurów, nie odpowiedział.

* * *

– Mają cię w najwyższym poważaniu – Robillard stwierdził do Deudermonta. – Rzadko w Luskan widuje się tak ekstrawagancką wielokrotną egzekucję.

Słowa te odbiły się echem w umyśle kapitana Deudermonta, zwłaszcza pierwsze zdanie. Pomyśleć, że to wszystko wywołała jego pozycja w Luskan. Nie, dała temu sadyście Jharkheldowi wymówkę do takiego traktowania innych istot ludzkich, nawet winnych. Deudermont pozostawał nieprzekonany, że Wulfgar i Morik byli wmieszani. Uświadomienie sobie, że to wszystko dzieje się z szacunku do niego, dogłębnie zniesmaczyło Deudermonta.

– Panie Micanty! – rozkazał, szybko zapisując kartkę, którą podał mężczyźnie.

– Nie! – nalegał Robillard, rozumiejąc, co Deudermont ma na myśli i wiedząc, jak wiele taki czyn będzie kosztował Duszka Morskiego, zarówno u władz, jak i u motłochu. – On zasługuje na śmierć!

– A kimże jesteś, by to osądzać? – spytał Deudermont. – Nie ja! – zaprotestował czarodziej. – Oni! – wyjaśnił, wskazując ręką na tłum.

Deudermont parsknął na tę absurdalną myśl.

– Kapitanie, będziemy zmuszeni opuścić Luskan i nieszybko nas tu mile powitają z powrotem – wskazał Robillard.

– Zapomną zaraz po tym, jak przyprowadzi się następnych więźniów ku ich uciesze, zapewne jutro rano. – Uśmiechnął się chytrze, bez wesołości. – Poza tym i tak nie lubisz Luskan.

Robillard jęknął, westchnął i rozłożył ręce, poddając się, gdy Deudermont, nazbyt cywilizowany, podał kartkę Micanty'emu i poprosił go, by zaniósł ją pospiesznie sędziemu.

– Zapalić pudełko! – Jharkheld zawołał ze sceny po tym jak strażnicy obrócili Wulfgara, by barbarzyńca mógł być świadkiem cierpień Morika.

Wulfgar nie potrafił zdystansować się od widoku szcurzej klatki zajmującej się ogniem. Przerażone zwierzę zaczęło się miotać, a następnie kopać.

Obraz takiego bólu zadawanego przyjacielowi wkroczył do prywatnej domeny Wulfgara, przedarł się przez jego mur zaprzeczenia w chwili, gdy szcur przegryzał się przez skórę Morika. Barbarzyńca wydał z siebie warkot tak przerażający, tak ponadnaturalnie dziki, że odwrócił oczy wszystkich, którzy byli obok niego, od widoku koszmaru Morika. Wielkie mięśnie napięły się i zwolniły, a Wulfgar rzucił się tułowiem na bok, odtrącając trzymającego go mężczyznę. Barbarzyńca wierzgnął jedną nogą, zamachując się żelazną kulą i łańcuchem tak, że zahaczyły o nogi drugiego trzymającego go mężczyzny. Gwałtowne szarpnięcie posłało owego strażnika na ziemię.

Wulfgar ciągnął i ciągnął, gdy inni rzucali się na niego, gdy tłukły go pałki, gdy Jharkheld, rozzłoszczony tym zamieszaniem, wrzasnął, by wyjąć Morikowi knebel. W jakiś niewiarygodny sposób potężny Wulfgar zdołał oswobodzić ręce i rzucił się do ramy.

Jeden strażnik za drugim wpadali na niego. Odrzucał ich na bok jakby byli dziećmi, lecz było ich tak wielu, że nie mógł przedostać się do Morika, który wrzeszczał teraz z bólu.

– Zabierzcie go ze mnie! – krzyczał Morik.

Nagle Wulfgar legł twarzą do ziemi. Jharkheld zbliżył się na tyle, by z głośnym trzaskiem smagnąć go biczem po plecach.

– Przyznaj się do swojej winy! – rozwścieczony sędzia żądał bijąc zaciekle Wulfgara.

Wulfgar warczał i szarpał się. Kolejny strażnik odtoczył się na bok, a innemu silny cios rozpląszczył nos na całej twarzy.

– Zabierzcie go ze mnie! – krzyknął znów Morik.

Tłum to uwielbiał. Jharkheld był pewien, że wyniósł przedstawienie na nowy poziom.

– Stać! – z widowni dobiegł krzyk, który zdołał przebić ogólne wycia i pohukiwania. – Dość!

Podniecenie zgasło szybko, gdy tłum odwrócił się i rozpoznał w mówcy kapitana Deudermonta z Duszka Morskiego.

Deudermont wyglądał na wymizerowanego i opierał się ciężko na lasce.

Trwoga Sędziego Jharkhelda jedynie się wzmocniła, gdy Waillan Micanty przepchnął się przez strażników, by wspiać się na scenę. Podbiegł do Jharkhelda i podał mu kartkę Deudermonta.

Sędzia rozłożył ją i przeczytał. Zaskoczony, wręcz oszołomiony, z każdym słowem stawał się coraz bardziej rozwścieczony. Jharkheld popatrzył na Deudermonta, niedbale wskazał jednemu ze strażników, by znów zakneblował wrzeszczącego Morika, a innym, by podnieśli zmalretowanego Wulfgara na nogi.

Nie przejmując się sobą i nie rozumiejąc, co się dzieje poza torturowaniem Morika, Wulfgar wyrwał się z ich chwytu. Zatoczył się i potknął o dyndające kule oraz łańcuchy, lecz zdołał zanurkować na tyle blisko, by wyciągnąć rękę i zrzucić płonące pudełko ze szczurem z brzucha Morika.

Znów został pobity i zawleczony przed Jharkhelda.

– Teraz to tylko pogorszy sytuację Morika – sadystyczny sędzia obiecał cicho i odwrócił się do Deudermonta, z wyraźną wściekłością na twarzy. – Kapitanie Deudermont! – zawołał. – Jako ofiara i uznany szlachcic masz prawo napisać coś takiego, ale czy jesteś pewien? O tak późnej porze?

Deudermont wystąpił do przodu, ignorując narzekania i protesty, a nawet groźby, i stanął wyprostowany pośród krwiożerczego motłochu.

– Dowody przeciwko Creepsowi Sharky'emu i wytatuowanemu piratowi były mocne – wyjaśnił – lecz zaufanie budzi także opowieść Morika, że został wrobiony wraz z Wulfgarem, by zrzucić na nich winę, tak by pozostali dwaj mogli wziąć nagrodę.

– Ale – spierał się Jharkheld, celując oskarżycielsko palcem – zaufanie budzi także to, co opowiedział Creeps Sharky, o spisku, czyniąc ich wszystkich winnymi.

Tłum, zakłopotany, lecz podejrzewając, że zabawa może się szybko skończyć, wydawał się bardziej lubić wyjaśnienia sędziego Jharkhelda.

– Również budzi zaufanie opowieść Josiego Puddlesa, która jeszcze bardziej wskazuje na zarówno Morika Łotra, jak i na Wulfgara – ciągnął Jharkheld. – Chciałbym ci przypomnieć, kapitanie, że barbarzyńca nie zaprzeczył nawet słowom Creepsa Sharky'ego!

Deudermont popatrzył na Wulfgara, który dalej stał w swej wyprowadzającej z równowagi, beznamiętnej pozycji.

– Kapitanie Deudermont, czy ogłaszasz niewinność tego człowieka? – spytał Jharkheld, wskazując na Wulfgara i mówiąc powoli, na tyle głośno, by wszyscy słyszeli.

– To nie leży w moich prawach – Deudermont odparł ponad okrzykami protestu krwiożerczych wieśniaków. – Nie mogę ogłosić winy czy niewinności, mogę zaproponować ci jedynie to, co trzymasz przed sobą.

Sędzia Jharkheld popatrzył znów na pospiesznie zapisaną kartkę, po czym podniósł ją wysoko, by mógł ją ujrzeć tłum.

– List ułaskawiający dla Wulfgara – wyjaśnił.

Tłum zaszemrał momentalnie jak jeden mąż, po czym zaczął się miotać i rzucać przekleństwami. Zarówno Deudermont, jak i Jharkheld obawiali się, że nastąpią zamieszki.

– To szaleństwo – parsknął Jharkheld.

– Jestem gościem o doskonałej pozycji, zgodnie z twymi własnymi słowami, sędzio Jharkheldzie – odparł spokojnie Deudermont. – Na mocy mej pozycji proszę miasto, by wybaczyło Wulfgarowi i oczekuję, że uszanujesz tę prośbę albo staniesz przed wątpliwościami twych zwierzchników.

Zostało to wypowiedziane bezceremonialnie, prosto i bez jakiegokolwiek miejsca na wykręty. Jharkheld musiał się podporządkować, wiedział o tym i on i Deudermont, bowiem kapitan istotnie miał jak najbardziej prawo wystosować takie przebaczenie. Spotykało się takie listy, zwykle wielkim kosztem rodziny ułaskawianego, lecz nigdy wcześniej nie zdarzyło się to w tak dramatyczny sposób jak tutaj. Nie na Więziennym Karnawale, nie w chwili największego przedstawienia Jharkhelda!

– Śmierć dla Wulfgara! – wrzasnął ktoś w tłumie, po czym przyłączyli się inni, zaś Jharkheld i Deudermont popatrzyli w tej krytycznej chwili na Wulfgara.

Ich miny nic nie znaczyły dla barbarzyńcy, który wciąż uważał, że śmierć będzie ulgą, zapewne najlepszą możliwą ucieczką od straszliwych wspomnień. Gdy Wulfgar popatrzył na Morika, rozciągniętego niemal do granic wytrzymałości, na jego zakrwawiony brzuch i na strażników niosących kolejnego szczura, uświadomił sobie, że nie jest to możliwe, nie jeśli lojalność łotrzyka wobec niego cokolwiek w ogóle znaczyła.

– Nie miałem nic wspólnego z tym atakiem – Wulfgar oznajmił beznamiętnie. – Uwierzcie mi, jeśli chcecie, zabijcie, jeśli nie wierzycie. Nie ma to dla mnie znaczenia.

– No i masz, sędzio Jharkheldzie – powiedział Deudermont. – Wypuść go, jeśli możesz. Uszanuj mą łaskę jako gościa o wyjątkowej pozycji w Luskan.

Jharkheld wytrzymał przez długą chwilę spojrzenie Deudermonta. Starzec wyraźnie tego nie pochwałał, lecz skinął głową strażnikom i Wulfgar został natychmiast wypuszczony z ich rąk. Z wahaniem i dopiero po kolejnym ponagleniu ze strony Jharkhelda jeden z mężczyzn przyniósł klucz do kajdan barbarzyńcy, zdejmując z niego kule i łańcuchy.

– Zabierzcie go stąd – polecił rozzłoszczony Jharkheld, lecz wielki mężczyzna oparł się próbom strażników, by usunąć go ze sceny.

– Morik jest niewinny – oznajmił Wulfgar.

– Co? – wykrzyknął Jharkheld. – Zabrać go!

Wulfgar, silniejszy niż strażnicy w ogóle się spodziewali, pozostał w miejscu.

– Oznajmiam niewinność Morika Łotra! – krzyknął. – Nic nie zrobił i jeżeli będziecie to kontynuować, zrobicie to jedynie dla własnej przyjemności, a nie w imię sprawiedliwości!

– Jakże wy podobnie mówicie – wyraźnie rozczarowany Robillard wyszeptał do Deudermonta, gdy wyłonił się za kapitanem.

– Sędzio Jharkheldzie! – kapitan zawołał ponad okrzykami tłumu.

Jharkheld przyjrzał mu się, wiedząc co nastąpi. Kapitan skinął jedynie głową. Krzywiąc się, sędzia zgarnął swe pergaminy, machnął ze złością do strażników i szybkim krokiem zszedł ze sceny.

Oszalały tłum zaczął napierać, lecz straż miejska go powstrzymała.

Uśmiechając się szeroko i pokazując język tym wieśniakom, którzy próbowali go opluć, Morik został na wpół ściągnięty, na wpół zniesiony ze sceny za Wulfgarem.

* * *

Morik spędził większość spaceru po biurach magistratu przemawiając kojąco do Wulfgara. Z miny wielkiego mężczyzny łotrzyk zgadywał, że Wulfgar znów tkwił w tych okropnych wspomnieniach. Morik obawiał się, że roztrzaska ściany i zabije połowę pomocników sędziego. Brzuch łotrzyka wciąż był zakrwawiony, a ramiona i nogi bolały go mocniej niż kiedykolwiek dotąd. Nie miał zamiaru wrócić na Więzienny Karnawał.

Morik sądził, że zostaną zaprowadzeni przed Jharkhelda. Wizja ta, zważywszy na chwiejny nastrój Wulfgara, mocno go przerażała. Ku jego uldze, eskortujący ich strażnicy ominęli biuro Jharkhelda i skręcili do małego, niewyróżniającego się pokoju. Za ogromnym biurkiem zawalonym stertami papierów siedział nerwowy mały człowieczek.

Jeden ze strażników przedstawił mężczyźnie notę Deudermonta. Zerknął na nią szybko i parsknął, słyszał już bowiem o rozczarowującym przedstawieniu na Więziennym Karnawale. Mały

człowieczek szybko napisał swe inicjały na kartce, potwierdzając, że została przejrzana i zaakceptowana.

– Nie jesteście niewinni – powiedział, podając notę Wulfgarowi – tak więc nie zostajecie uznani za niewinnych.

– Powiedziano nam, że możemy swobodnie odejść – spierał się Morik.

– Istotnie – powiedział biurokrata. – Tak naprawdę nie możecie spokojnie odejść, lecz jesteście zmuszeni odejść. Oszczędzono was, ponieważ kapitan Deudermont nie miał najwyraźniej serca do waszej egzekucji, lecz zrozumcie, że w oczach Luskan jesteście winni zbrodni, o którą was oskarżono. Tak więc jesteście wygnani na całe życie. Macie wolną drogę do bramy, a jeżeli znów zostaniecie kiedykolwiek schwytani w naszym mieście, po raz ostatni staniecie przed Więziennym Karnawalem. Nawet kapitan Deudermont nie będzie w stanie interweniować w waszej sprawie. Rozumiecie?

– To nietrudne – odparł Morik.

Glizdowaty biurokrata zmierzył go spojrzeniem, na co Morik jedynie wzruszył ramionami.

– Zabrać ich stąd – rozkazał mężczyzna. Jeden ze strażników chwycił Morika za ramię, a drugi sięgnął po Wulfgara, lecz wzruszenie ramion i spojrzenie barbarzyńcy przekonały go, by lepiej to przemyślał. Mimo to Wulfgar poszedł za nimi bez problemów i wkrótce obydwoj znaleźli się na zewnątrz, bez kajdan, po raz pierwszy od wielu dni czując się wolni.

Jednak ku ich zaskoczeniu strażnicy nie zostawili ich tam, lecz eskortowali przez całą drogę do wschodniej bramy miasta.

– Idźcie precz i nie wracajcie – jeden z nich powiedział, gdy zatrzęsnęły się za nimi wrota.

– Dlaczego miałbym chcieć wrócić do waszego nędznego miasta? – krzyknął Morik, wykonując kilka obscenicznych i obraźliwych gestów w stronę żołnierzy spoglądających z murów.

Jeden z nich uniósł kuszę i wycelował ją w stronę Morika.

– Patrzajta – rzekł. – Ten mały szczur już próbuje się wślizgnąć z powrotem.

Morik wiedział, że nadszedł czas, by odejść, i to szybko. Odwrócił się i właśnie to zamierzał uczynić, lecz obejrzał się za siebie i ujrzał, że żołnierz, z ostrożną miną na twarzy, szybko opuszcza kuszę. Gdy Morik odwrócił wzrok, zrozumiał, bowiem zbliżali się do nich szybko kapitan Deudermont i jego przyboczny czarodziej.

Przez chwilę wydawało się Morikowi, że Deudermont mógł ich ocalić przed Jharkheldem jedynie po to, by samemu wymierzyć im karę. Obawa ta była krótkotrwała, bowiem mężczyzna podszedł tuż

do Wulfgara, wpatrując się w niego bacznie, lecz nie wykonując żadnych groźnych ruchów. Wulfgar skrzyżował z nim wzrok, nie mrugał ani się nie uchylał.

– Mówiłeś prawdę? – spytał Deudermont.

Wulfgar parsknął i było oczywiste, że kapitan nie otrzyma żadnej innej odpowiedzi.

– Co stało się z Wulfgarem, synem Beornegara? – Deudermont rzekł cicho. Wulfgar odwrócił się, by odejść, lecz kapitan okrążył go szybko, by stanąć przed nim. – Przynajmniej tyle jesteś mi winien.

– Nic nie jestem ci winien.

Deudermont zaledwie przez chwilę zastanawiał się nad tą odpowiedzią i Morik zauważył, że marynarz stara się widzieć sytuację z perspektywy Wulfgara.

– Zgoda – powiedział kapitan, a Robillard prychnął z niezadowolenia. – Twierdziłeś, że jesteś niewinny. W takim przypadku nic nie jesteś mi winien, zrobiłem bowiem to, co słuszne. Wysłuchaj mnie z powodu dawnej przyjaźni.

Wulfgar przyjrzał mu się chłodno, lecz nie wykonał żadnego ruchu, by odejść.

– Nie wiem, co spowodowało twój upadek, mój przyjacielu, co oddaliło cię od towarzyszy takich jak Drizzt Do'Urden, Catti-brie i twój przybrany ojciec Bruenor, który przygarnął cię i uczył o świecie – powiedział kapitan. – Mam jedynie nadzieję, że oni oraz niziołek są bezpieczni i mają się dobrze.

Deudermont przerwał, lecz Wulfgar nic nie powiedział.

– W butelce nie znajdziesz ulgi na długo, mój przyjacielu – rzekł kapitan. – A w chronieniu tawerny przed jej zwyczajowymi klientami nie znajdziesz bohaterstwa. Dlaczego porzuciłeś życie, jakie znałeś?

Usłyszawszy już dość, Wulfgar zaczął odchodzić. Gdy kapitan znów wyszedł przed niego, wielki mężczyzna jedynie odepchnął go nie zwalniając, a Morik pospieszył, by go dogonić.

– Oferuję wam przejazd – Deudermont zawołał za nim nieoczekiwanie (nawet dla siebie).

– Kapitanie! – zaprotestował Robillard, lecz Deudermont odsunął go i pokuśtykał za Wulfgarem oraz Morikiem.

– Chodźcie ze mną na Duszka Morskiego – powiedział Deudermont. – Razem będziemy polować na piratów i zabezpieczać Wybrzeże Mieczy dla uczciwych żeglarzy. Znajdziesz tam prawdziwego siebie, obiecuję ci!

– Usłyszę jedynie twoją definicję mnie – uściślił Wulfgar, obracając się i popędzając Morika, który wydawał się być dość oczarowany propozycją – a jej nie mam ochoty słyszeć. – Wulfgar odwrócił się i ruszył dalej.

Z otwartymi ustami Morik obserwował jego kroki. Gdy się odwrócił, Deudermont wycofał się do miasta. Robillard został jednak w miejscu, utrzymując cierpką minę.

– A ja mogę? – Morik zaczął, podchodząc do czarodzieja.

– Odejdź i to szybko, łotrzyku – ostrzegł Robillard. – Inaczej zostanie z ciebie tylko plama na ziemi, dopóki nie zmyje jej deszcz.

Sprytnemu Morikowi, zawsze starającemu się przetrwać, nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

DZIKA KRAINA UCZYNIONA JESZCZE DZIKSZA

Zbieg wydarzeń mego życia doprowadzał mnie często do badania natury dobra i zła. Raz za razem doświadczałem najczystszych form obojga, szczególnie zła. Całe moje wczesne życie minęło wśród niego, w powietrzu tak przesyconym niegodziwością, że dusiło mnie i zmusiło do odejścia.

Dopiero niedawno, gdy moja reputacja zaczęła zyskiwać mi pewną akceptację wśród ludzkich populacji -przynajmniej tolerancję, jeśli nie mile powitania – jałem dostrzegać bardziej złożoną wersję tego, co obserwowałem w Menzoberranzan, odcienie szarości rozłożone na gamie od światła do mroku. Tak wielu ludzi, jak się wydaje, ma w sobie mroczną stronę, głód makabry i zdolność beznamiętnego lekceważenia bólu kogoś innego w pościgu za własnym ja.

Nigdzie nie jest to wyraźniejsze niż na Więziennym Karnawale w Luskan i na innych podobnych pozorach sprawiedliwości. Więźniowie, czasem winni, czasem nie – nie ma to większego znaczenia – są wprowadzani przed żądny krwi motłoch, a następnie bici, torturowani, a w końcu traceni w wielkim stylu. Urzędujący sędzia stara się wydobywać z nich najdonioślejsze wrzaski najczystszej bólu. Jego zadaniem jest wykrzywianie twarzy tych więźniów w uosobieniu grozy, odbicie w ich oczach największego przerażenia.

Niegdyś, będąc w Luskan z Kapitanem Deudermontem z Duszka Morskiego, zawędrowałem na karnawał, by ujrzeć „procesy” kilku piratów wyłowionych z morza po zatopieniu ich statku. Obserwowanie spektaklu, na którym tysiąc osób zgromadziło się wokół wielkiej sceny, wrzeszcząc i piszcząc z rozkoszy, gdy ci nieszczęśni piraci byli dosłownie rozrywani na szczątki, niemal skłoniło mnie do odejścia z okrętu Deudermonta, niemal sprawiło, że porzuciłem życie łowcy piratów i wycofałem się w zacisze lasu czy gór.

Oczywiście Catti-brie była tam, by przypomnieć mi prawdę, wskazać mi, iż ci sami piraci często wymierzali podobne tortury niewinnym więźniom. Choć przyznała, że taka prawda nie usprawiedliwia Więziennego Karnawału – Catti-brie była tak przerażona na samą myśl o tym miejscu, że nie chciała się do niego w ogóle zbliżyć – przekonywała, że lepiej traktować piratów w ten sposób, niż pozwalać im swobodnie żeglować po pełnym morzu.

Ale dlaczego? Dlaczego to robić?

Pytanie to kłopotalo mnie przez te wszystkie lata, a szukając odpowiedzi zbadalem jeszcze inny aspekt tych niezwykle złożonych istot, zwanych ludźmi. Dlaczego zwykły, w innych przypadkach przyzwoity lud, zniżał się do takiego poziomu jak Więzienny Karnawał? Dlaczego niektórzy członkowie załogi samego Duszka Morskiego, mężczyźni i kobiety, których znalazłem jako

honorowych i przyzwoitych, odczuwało przyjemność oglądając tak makabryczny pokaz tortur?

Odpowiedź leży być może (jeśli istnieje w ogóle bardziej skomplikowana odpowiedź niż natura samego zła) w badaniu postaw innych ras. Pośród dobrych ras jedynie ludzie „świętują” egzekucje i cierpienia więźniów. W społeczeństwie niziołków nie ma miejsca na takie pokazy – ich więźniowie umierają podobno z przejedzenia. Podobnie jest u krasnoludów, choć mogą być agresywne. W ich społeczności z więźniami postępuje się skutecznie i schludnie, bez pokazów i poza publicznym widokiem. Morderca wśród krasnoludów otrzyma pojedynczy cios w szyję. Nigdy nie widziałem żadnych elfów na Więziennym Karnawale, poza jednym przypadkiem, gdy w pobliże zawędrowała ich para, po czym szybko odeszła, wyraźnie zdegustowana. Mniemam, iż pośród gnomów nie istnieją egzekucje, jedynie dożywotnie więzienia w skomplikowanej celi.

A więc dlaczego ludzie? Co jest takiego w emocjonalnej budowie istoty ludzkiej, że prowadzi do takich spektakli jak Więzienny Karnawał? Zło? Sądzę, że to zbyt prosta odpowiedź.

Mroczne elfy pławią się w torturach – jakże dobrze o tym wiem! – a ich działania są wręcz oparte na sadyzmie oraz złu, na niezaspokajalnym pragnieniu usatysfakcjonowania demonicznego głodu Pajęczej Królowej, lecz w przypadku ludzi, jakże wszystkim, co jest z nimi związane, odpowiedź staje się trochę bardziej skomplikowana. Z pewnością wchodzi w grę doza sadyzmu, zwłaszcza ze strony urzędującego sędziego i wspomagających go oprawców, lecz u prostych ludzi, chłopów wiwatujących na widowni, radość wypływa według mnie z trzech źródeł.

Po pierwsze, chłopci w Faerunie są pozbawieni władzy, są poddani kaprysów nie mających skrupułów lordów i właścicieli ziemskich, a z powodu wiecznego zagrożenia inwazją ze strony goblinów, gigantów czy innych ludzi, stąpają twardo przez to, co mają z życia. Więzienny Karnawał pozwala tym nieszczęsnym ludziom zasmakować władzy, władzy nad życiem i śmiercią. Nareszcie mają jakieś poczucie kontroli nad własnym życiem.

Po drugie, ludzie nie są długowieczni jak elfy i krasnoludy, nawet niziołki ich zwykle przeżywają. Chłopi codziennie stoją przed perspektywą śmierci. Matka, która zdołała przeżyć dwa czy trzy porody widziała zapewne śmierć przynajmniej jednego ze swych dzieci. Życie w takiej bliskości ze śmiercią rodzi w nich wyraźnie ciekawość i strach, a nawet grozę. Na Więziennym Karnawale ci ludzie doświadczają śmierci w jej najstraszniejszej postaci, czegoś najgorszego, co śmierć może ze sobą nieść, i odczuwają ukojenie z faktu, że ich własna śmierć nie będzie zapewne ani trochę tak straszna, chyba że sami staną się oskarżonymi postawionymi przed sędziami. Widziałem to, co masz najgorszego, ponura Śmierci, i nie obawiam się ciebie.

Trzecie wyjaśnienie powabu Więziennego Karnawału leży w konieczności sprawiedliwości oraz kary, aby utrzymywać porządek w społeczeństwie. Po tej stronie opowiadał się w dyskusji czarodziej Robillard po moim powrocie na Duszka Morskiego, gdy ujrzałem koszmar. Choć nie odczuwał przyjemności obserwując karnawał i rzadko w nim uczestniczył, Robillard bronił go tak zaciekle jak mógłbym się spodziewać po samym sędzim. Publiczne upokorzenie tych ludzi, publiczne ukazanie ich cierpienia, utrzyma innych na uczciwej drodze, jak sądził. Tak więc wiwaty chłopskiej zgrai nie były niczym więcej jak donośnym potwierdzeniem ich wiary w prawo oraz

porządek społeczny.

Trudno jest obalić ten argument, zwłaszcza zważywszy na skuteczność takich pokazów w zniechęcaniu ewentualnych przestępców, lecz czy jest to tak naprawdę sprawiedliwość?

Uzbrojony w argumenty Robillarda, udałem się do niższych rangą sędziów w Luskan pod pozorem ustanowienia lepszej metody dla Duszka Morskiego przy przekazywaniu schwytanych piratów, lecz tak naprawdę chciałem ich skłonić do rozmowy o Więziennym Karnawale. Stało się dla mnie oczywiste, i to bardzo szybko, że sam karnawał nie miał wiele wspólnego ze sprawiedliwością. Wielu niewinnych mężczyzn i kobiet znalazło się na scenie w Luskan, czystą brutalnością zmuszeni do fałszywych zeznań, a następnie publicznie karani za owe zbrodnie. Sędziowie wiedzieli o tym, chętnie się do tego przyznawali mówiąc o swej uldze, że przynajmniej ci więźniowie, których my im przyprowadzamy, na pewno są winni!

Z tego jednego powodu nigdy nie pogodziłem się z Więziennym Karnawalem. Jedną z miar społeczeństwa jest sposób, w jaki radzi sobie z tymi, którzy odeszli od szlaku społeczności i przyzwoitości, a nieprzyzwoite traktowanie owych przestępców obniża standardy moralności do poziomu torturowanych.

Mimo to praktyka ta trwa w wielu miastach Faerunu i w wielu, wielu wiejskich społecznościach, gdzie sprawiedliwość jest kwestią przetrwania, musi być jeszcze ostrzejsza i bardziej ostateczna.

Być może istnieje jeszcze czwarte wyjaśnienie karnawału. Być może tłum zbiera się jedynie dla rozrywki. Być może nie ma głębszych powodów czy usprawiedliwień innych niż zabawa płynąca z tego wszystkiego. Nie lubię rozważać tego jako możliwości, lecz jeśli ludzie są w stanie na tak wielką skalę pozbywać się tak całkowicie empatii oraz sympatii, by naprawdę radować się widokiem cierpień kogoś innego, to jest to, obawiam się, najprawdziwsza definicja zła.

Po wszystkich godzinach badań, dyskusji, rozmów i wielu, wielu godzinach kontemplacji nad naturą ludzi pośród których żyję, pozostaję bez prostych odpowiedzi na takie wynaturzenia jak Więzienny Karnawał.

Niezbyt mnie to dziwi. Rzadko znajduję prostą odpowiedź na cokolwiek, co związane jest z ludźmi. Jest to być może powód, dla którego niewiele nudy towarzyszy mi w codziennych podróżach oraz spotkaniach. Jest to być może powód, dla którego ich pokochałem.

Drizzt Do'Urden

SKRADZONE NASIENIE

Wulfgar stał przed Luskan, wpatrując się w miasto, w którym został niesłusznie oskarżony, torturowany i publicznie upokorzony. Pomimo tego wszystkiego barbarzyńca nie odczuwał złości do mieszkańców, nawet do niegodziwego magistratu. Gdyby natknął się na Jharkhelda, najprawdopodobniej oderwałby mu głowę, lecz jedynie z potrzeby zamknięcia tego określonego incydentu, a nie z nienawiści. Wulfgar był daleki od nienawiści i to już od dawna. Tak samo było, gdy Wyrwidąb przyszedł do Cutlassa polując na niego, a on go zabił. Tak samo było, gdy natknął się na Niebiańskie Kucyki, barbarzyńskie plemię spokrewnione z jego ludem. Dokonał zemsty na ich niegodziwym szamanie, spełniając przysięgę, sprzed lat. Nie było to z nienawiści, nawet nie z nieokiełznanej wściekłości, lecz po prostu z potrzeby pójścia naprzód w życiu, w którym przeszłość była zbyt straszna, by się nad nią zastanawiać.

Wulfgar doszedł do wniosku, że nie szedł naprzód i wydawało mu się to oczywiste teraz, gdy spoglądał na miasto. Zataczał kółka, małe kółka, które umieszczały go raz za razem w tym samym miejscu, miejscu które można było tolerować jedynie dzięki butelce, jedynie osnuwając przeszłość mgłą i usuwając przyszłość z umysłu.

Wulfgar splunął na ziemię, po raz pierwszy odkąd przybył przed miesiącami do Luskan, zastanawiając się w jaki sposób wkroczył na tą prowadzącą w dół spiralę. Pomyślał o otwartym przestworze na północy, o swej ojczyźnie, Dolinie Lodowego Wichru, gdzie podzielał radość i zabawę ze swymi przyjaciółmi. Pomyślał o Bruenorze, który pokonał go w walce, gdy był ledwie chłopcem, lecz okazał mu takie miłosierdzie. Krasnolud przyjął go jako członka rodziny, a następnie przyprowadził Drizzta, by wyćwiczył go na wojownika. Jakimż przyjacielem był Drizzt, prowadząc go na wielkie przygody, stojąc u jego boku w każdej walce, niezależnie od przewagi liczebnej przeciwnika. Stracił Drizzta.

Pomyślał znów o Bruenorze, który dał Wulfgarowi swe największe osiągnięcie w rzemiośle: wspaniałego Aegis-fanga. Symbol miłości Bruenora do niego. A teraz stracił nie tylko Bruenora, lecz również Aegis-fanga.

Pomyślał o Catti-brie, chyba najbardziej dla niego wyjątkowej kobiecie, która skradła mu serce, kobiecie, którą podziwiał i szanował ponad wszystko. Być może nie mogli być kochankami, czy mężem i żoną. Być może nigdy nie urodziłyby mu dzieci, lecz była jego przyjaciółką, szczerą i prawdziwą. Gdy pomyślał o ich ostatnim spotkaniu, uświadomił sobie prawdę o tej przyjaźni. Catti-brie oddałaby wszystko, by mu pomóc, podzieliłaby się z nim swymi najbardziej osobistymi chwilami i uczuciami, lecz Wulfgar rozumiał, że jej serce należało tak naprawdę do innego.

Fakt ten nie wzbudził w barbarzyńcy złości ani zazdrości. Poczłł jedynie szacunek, poniewaŹ pomimo swych uczuć Catti-brie poświęciłaby wiele, by mu pomóc. A teraz stracił także Catti-brie.

Wulfgar znów splunął. Nie zasługiwał na nich, na Bruenora, Drizzta czy Catti-brie. Nawet na Regisa, który, pomimo swych drobnych rozmiarów i braku męstwa w walce, skoczyłby przed Wulfgara w trudnej chwili, osłoniłby barbarzyńcę jak tylko by mógł przed uszczerbkiem. Jakże mógł ich wszystkich odrzucić?

Jego uwaga powróciła raptownie do teraźniejszości, gdy przez zachodnią bramę Luskan wytoczył się wóz. Pomimo swego paskudnego nastroju, Wulfgar nie był w stanie powstrzymać uśmiechu. W polu widzenia pokazał się woźnica, pulchna starsza kobieta.

Morik. Zostali wygnani zaledwie kilka dni temu, lecz błąkali się po obrzeŹu miasta. Łotrzyk wyjaśnił, Źe aby przeŹyć na otwartym szlaku naleŹy zgromadzić jakieś zapasy, wrócił więc do miasta w pojedynkę. Oceniając po sposobie, w jaki kroczyła para koni i po fakcie, Źe Morik zdobył w ogóle wóz i konie, Wulfgar wiedział, Źe jego podstępnemu małemu przyjacielowi się powiodło.

Łotrzyk zjechał wozem z szerokiej drogi na wijącą się wąską ścieŹkę, prowadzącą do lasu, w którym czekał Wulfgar. Podjechał tuŹ pod urwisko, gdzie zastał barbarzyńcę, po czym podniósł się i ukłonił.

– Niezbyt trudne – oznajmił.

– StraŹnicy cię nie zauwaŹyli? – spytał Wulfgar. Morik parsknął, jakby ta myśl była niedorzeczna.

– To byli ci sami strażnicy, którzy odprowadzali nas do wyjścia – obwieścił głosem pełnym dumy.

Ich doświadczenia z aparatem prawnym Luskan przypomniały Wulfgarowi, Źe on i Morik byli jedynie dużymi graczami w małej sadzawce, nieznaczącymi, gdy porównać z większą sadzawką, którą były kulisy wielkiego miasta, lecz jakże wielkim graczem Morik był w ich małym zakątku!

– Nawet zgubiłem przy bramie torbę z jedzeniem – ciągnął Morik. – Jeden ze strażników podbiegł, by mnie zatrzymać, aby mógł położyć ją z powrotem na wozie.

Wulfgar zszedł na dół obok wozu i odsunął płótno zakrywające ładunek. Z tyłu leŹały torby z żywnością, wraz z liną i materiałami do zbudowania schronienia, ale Wulfgarowi najbardziej rzucały się w oczy skrzynki butelek, butelek pełnych mocnego alkoholu.

– Pomyślałem, Źe się ucieszysz – stwierdził Morik, pochodząc do wielkiego mężczyzny, spoglądającego na rzeczy. – Porzucenie miasta nie oznacza porzucenia naszych przyjemności. – Zastanawiałem się teŹ nad zabraniem Delly Curtie.

Wulfgar zmierzył Morika pełnym złości wzrokiem. Wzmianka o kobiecie w tak lubieŹny sposób

dotkliwie go uraziła.

– Chodź – powiedział Morik, chrząkając i wyraźnie zmieniając temat. – Znajdźmy ciche miejsce, w którym moglibyśmy ugasić pragnienie. – Łotrzyk pozbył się powoli przebrania, krzywiąc się z bólu wciąż przenikającego jego stawy i poszarpany brzuch. Rany te, szczególnie w kolanach, będą się wolno goić. Przystanął znów chwilę później, podnosząc perukę, by podziwiać swe rękodzieło, po czym wspiał się na kozioł, biorąc lejce do rąk.

– Konie nie są zbyt dobre – zauważył Wulfgar. Zaprzęg składał się ze starej, potarganej pary.

– Potrzebowałem złota na napitki – wyjaśnił Morik.

Wulfgar zerknął znów na ładunek, uważając, że Morik powinien wydać fundusze na lepszy zaprzęg, uważając, że dni jego przygody z butelką dobiegły końca. Znów ruszył w górę urwiska, lecz Morik zatrzymał go okrzykiem.

– Na drodze są bandyci – oznajmił łotrzyk – a przynajmniej tak mnie poinformowano w mieście. Bandyci na drodze na północ od lasu i na całym szlaku do przełęczy.

– Boisz się bandytów? – spytał Wulfgar, zaskoczony.

– Tylko takich, którzy nigdy o mnie nie słyszeli – wyjaśnił Morik, a Wulfgar zrozumiał głębsze implikacje. W Luskan reputacja Morika służyła mu dobrze trzymając większość zbirów z dala od niego.

– Lepiej żebyśmy byli przygotowani na kłopoty – dokończył łotrzyk. Morik sięgnął pod kozioł woźnicy i wydobyl wielki topór. – Spójrz – powiedział z paskudnym uśmieszkiem, wyraźnie z siebie dumny, gdy wskazywał na ostrze. – Wciąż pokryty krwią Creepsa Sharky'ego.

Topór samego kata! Wulfgar zaczął pytać Morika jak, na Dziewięć Piekieł, zdołał dostać tę broń w swoje ręce, lecz uznał, że po prostu nie chce wiedzieć.

– No chodź – zachęcił Morik, klepiąc ławkę obok siebie. Łotrzyk wyciągnął butelkę z najbliższej skrzynki. – Jedźmy, pijmy i planujmy obronę.

Wulfgar wpatrywał się długo i stanowczo w butelkę, zanim wspiał się na kozioł. Morik podał mu flaszkę, lecz on odmówił przez zaciśnięte zęby. Wzruszywszy ramionami, łotrzyk wziął solidny łyk i znów podał. Wulfgar znów odmówił. Wywołało to zdumioną minę na twarz Morika, lecz szybko zmieniła się ona w uśmiech, uznał bowiem, że w ten sposób więcej zostanie dla niego.

– Nie musimy żyć jak dzikusy tylko dlatego, że jesteśmy na drodze – stwierdził Morik.

Wulfgarowi nie umknęła ironia tego stwierdzenia wypowiedzianego przez mężczyznę, pijącego tak mocny napitek. Barbarzyńca zdołał opierać się butelce przez całe popołudnie, a Morik radośnie ją

wysączył. Utrzymując wóz w szybkim tempie Morik cisnął butelką w mijaną skałę, po czym zawył wesoło, gdy roztrzaskała się na tysiąc kawałków.

– Robisz dużo hałasu próbując unikać rozbójników – mruknął Wulfgar.

– Unikać? – Morik spytał strzelając palcami. – Nie całkiem. Rozbójnicy mają często dobrze wyposażone obozowiska, w których moglibyśmy znaleźć trochę wygod.

– Tak dobrze wyposażone obozowiska muszą należeć do rozbójników, którym się powiodło – uznał Wulfgar. – A rozbójnicy, którym się powiodło, są zapewne dobrzy w tym, co robią.

– Tak jak Wyrwidąb, mój przyjacielu – przypomniał mu Morik. Gdy Wulfgar wciąż nie wydawał się przekonany, dodał: – Być może zaakceptują naszą propozycję, by do nich dołączyć?

– Nie sądzę – rzekł Wulfgar.

Morik wzruszył ramionami, po czym skinął głową.

– A więc musimy na nich zapolować – powiedział rzeczowo.

– Nawet ich nie znajdziemy – mruknął Wulfgar.

– Naprawdę? – spytał Morik i skreślił w boczną ścieżkę tak raptownie, że wóz stanął na dwóch kołach, a Wulfgar niemal spadł.

– Co? – warknął barbarzyńca, gdy potoczyli się dalej. Ledwo uchylił się przed nisko rosnącą gałęzią, po czym otrzymał paskudną szramę, gdy następna otarła się o jego rękę. – Morik!

– Ciszej, mój duży przyjacielu – powiedział łotrzyk. – Przed nami jest rzeka z zaledwie jednym mostem, którego bandyci niewątpliwie dobrze strzegą. – Wypadli z krzaków, wytaczając się nad brzeg rzeki. Morik spowolnił zmęczone konie do chodu i wjechali na chybotliwy mostek. Ku smutkowi łotrzyka, pokonali go bezpiecznie nie widząc żadnych bandytów.

– Nowicjusze! – mruknął rozczarowany Morik, przysięgając że przejadą parę kilometrów, po czym zawrócą, by znów pokonać most. Musiał jednak zatrzymać gwałtownie wóz. Wielki i brzydki mężczyzna wyszedł na drogę przed nimi, mierząc w ich stronę mieczem.

– Jakie to interesujące, że taka para jak wyjeździ po moim lesie bez pozwolenia – zauważył zbir, opierając miecz na ramieniu.

– Twoim lesie? – zapytał Morik. – Ależ, dobry panie, sądziłem, że ten las jest otwarty do podróży. – Pod nosem rzekł do Wulfgara: – Półork.

– Idiota – Wulfgar odparł tak, by tylko Morik mógł usłyszeć. – To znaczy ty, a nie złodziej. Sam

szukałeś kłopotów...

– Myślałem, że to się spodoba twojej bohaterkiej stronie – odparł łotrzyk. – Poza tym ten rozbójnik ma bez wątpienia obóz pełen luksusów.

– O czym wy gadacie? – zażądał odpowiedzi zbir.

– Ależ, o tobie, dobry panie – szybko odrzekł Morik. – Mój przyjaciel mówił właśnie, że uznał, iż możesz być złodziejem i ten las wcale nie należy do ciebie.

Oczy bandyty rozszerzyły się i bezskutecznie wyjąkał kilka odpowiedzi. Skończyło się na tym, że splunął na ziemię.

– Mówię, że to mój las! – oznajmił, wskazując na swą pierś. – Las Togo!

– A cena za przejazd, dobry Togo? – spytał Morik.

– Pięć złotych! – krzyknął zbir, a po chwili dodał: – Za każdego!

– Daj mu – mruknął Wulfgar,

Morik zachichotał, a obok nich świsnęła strzała, tuż przed jego twarzą. Zaskoczony, że ta banda jest tak dobrze zorganizowana, łotrzyk raptownie zmienił zdanie i zaczął sięgać po sakiewkę.

Wulfgar jednak również zmienił zdanie, rozwścieczony, że ktoś niemal go zabił. Zanim Morik zdążył zgodzić się na cenę, barbarzyńca zeskoczył z wozu i ruszył na Togo z gołymi rękoma, po czym nagle zmienił zamiary oraz kierunek. Dwie strzały przecięły drogę, którą wybrał początkowo. Odwrócił się do potwornego łuczniaka, którego dostrzegł siedzącego na drzewie cztery metry od drogi. Wulfgar przedarł się przez pierwszą linię krzaków i wpadł mocno na leżącą kłodę. Ledwo co zwalnając, podniósł kłodę i rzucił nią w twarz kolejnemu przykucniętemu człowiekowi, po czym kontynuował szarżę.

Dotarł do podstawy drzewa akurat, gdy strzała wbiła się w ziemię obok niego, lecz Wulfgar zignorował ten ledwo co chybiony pocisk. Wskoczywszy na nisko rosnącą gałąź chwycił się i podciągnął z ogromną siłą oraz zwinnością, niemal wbiegając na górę. Odtrącając małe gałęzie i wdrapując się po pozostałych zrównał się poziomem z łucznikiem. Stworzenie, gnoił większy niż Wulfgar, desperacko próbowało naciągnąć na nowo łuk.

– Trzymaj! – wrzasnął tchórzliwy gnoił, ciskając hakiem w Wulfgara i schodząc z gałęzi, wołąc sześciometrowy upadek niż wściekłość Wulfgara.

Ucieczka nie była jednak taka łatwa. Wulfgar wysunął raptownie dłoń i chwycił spadającego stwora za kołnierz. Pomimo szamotania się i miotania, niewygodnej pozycji i ciężaru gnoić, Wulfgar nie miał problemów z wciąganiem go.

Nagle usłyszał wołanie Morika o pomoc.

* * *

Stojąc na koźle, łotrzyk wywijał zaciekle swym wąskim mieczem odbijając ataki Togo oraz innego ludzkiego miecznika, który wyszedł z krzaków. Co gorsza, usłyszał że z tyłu nadchodzi trzeci. Sytuację jeszcze bardziej pogarszał fakt, że powietrze w pobliżu regularnie przecinały strzały.

– Zapłacę! – krzyknął, lecz potworne zbiry jedynie się roześmiały.

Kącikiem oka Morik dostrzegł celującego łuczника. Skoczył do tyłu gdy pocisk się zbliżał, unikając zarówno strzały jak i pchnięcia ze strony zadziwiająco zwinnego szermierza, który stał przed nim. Jednak musiał za ten ruch zapłacić, przewrócił się bowiem za ławkę, wpadając na skrzynkę z butelkami i rozbijając je. Morik zerwał się i wrzasnął z wściekłością, bezradnie uderzając mieczem w oparcie ławki.

Rzucił się na niego Togo, zdobywając pozycję na ławce, lecz rozzłoszczony Morik odpowiedział na jego ruchy, atakując potężnie nie zważając na drugiego miecznika ani na łuczników. Togo cofnął rękę do zamachu, lecz Morik, zwinnie posługujący się klingą, dźgnął pierwszy, trafiając Togo w dłoń, co kosztowało zbira utratę broni. W chwili gdy miecz Togo brzdąknął o drewno ławki, Morik zbliżył się, obracając, by odbić ataki partnera Togo. Wyciągnął zza pasa sztylet, którego ostrze szybko, dwukrotnie wbił w brzuch Togo. Półork desperacko starał się odepchnąć ataki przy użyciu nagich dłoni, lecz Morik był zbyt szybki i zbyt sprytny, dźgał wokół nich jednocześnie wykonując mieczem koła wokół klingi drugiego szermierza.

Togo spadł z ławki na ziemię. Zdołał wykonać tylko jeden krok w biegu, zanim się przewrócił, trzymając za rozerwane trzewia.

Morik ujrzał trzeciego napastnika wyłaniającego się z boku wozu. Usłyszał przerażony okrzyk z góry, po czym następny od zbliżającego się wroga. Łotrzyk zerknął w tamtym kierunku, akurat by zobaczyć, jak schwytyany przez Wulfgara gnoll-łuczник spada z wysoka, wymachując rękoma i wrzeszcząc przez całą drogę. Humanoidalny pocisk trafił idealnie w trzeciego zbira, niską ludzką kobietę, rozbijając ich oboje o ścianę wozu w beładną stertę. Pojękując, kobieta próbowała się odczołgać, a łuczник leżał bez ruchu.

Morik naciskał atakami pozostałego miecznika, chcąc w równym stopniu zejść z otwartego koźła, jak i kontynuować walkę.

Miecznikowi najwyraźniej pozostało jednak niewiele ochoty do walki, gdy dookoła padali jego towarzysze. Sparował pchnięcie Morika, wycofując się przez cały czas, gdy mężczyzna zeskakiwał na drogę.

Morik natarł, pracując mieczem nad i pod klingą zbira. Pchnął przed siebie i wycofał szybko, gdy miecznik zablokował, po czym wystąpił do przodu po lekkim obrocie wąskiego miecza, który spowolnił broń zbira. Chwiejąc się, mężczyzna się cofał, brocząc krwią z jednego barku. Zaczął się obracać i uciekać, lecz Morik dotrzymywał mu kroku, zmuszając do manewrów defensywnych.

Morik usłyszał za sobą kolejny ostrzegawczy okrzyk, a po nim trzask łamiących się gałęzi. Uśmiechnął się wiedząc, że Wulfgar eliminuje następnych łuczników.

– Proszę, panie – zwierzyła Morika stęknęła, gdy coraz więcej ataków łotrzyka przedostawało się z kąśliwymi rezultatami i stało się oczywiste, że Morik jest lepszym szermierzem. – My żeśmy tylko potrzebowali waszych pieniędzy.

– Więc nie skrzywdzilibyście mnie i mojego przyjaciela, gdybyście wzięli monety? – Morik spytał cynicznie.

Mężczyzna potrząsnął energicznie głową, a Morik wykorzystał to odwrócenie uwagi, by jeszcze raz się prześlizgnąć, rysując czerwoną linię na policzku mężczyzny. Ofiara Morika padła na kolana, skamłając, i odrzuciła miecz, błagając o litość.

– Jestem znany jako litościwy – Morik powiedział z udawaną sympatią, słysząc że Wulfgar zbliża się szybko – lecz obawiam się, że mój przyjaciel nie.

Wulfgar przemknął obok i chwycił klęczącego mężczyznę za gardło, podnosząc go i uderzając nim o drzewo. Jedną ręką – drugą przykurczył ochronnie, bowiem z barku wystawała mu złamana strzała – Wulfgar przytrzymał rozbójnika nad ziemią, dusząc go.

– Mógłbym go zatrzymać – wyjaśnił Morik, podchodząc i kładąc dłoń na napiętym przedramieniu swego wielkiego przyjaciela. Dopiero wtedy zauważył poważną ranę Wulfgara. – Musisz nas zaprowadzić do swego obozu.

– Nie mam obozu! – wydyszał mężczyzna. Wulfgar nacisnął i zaczął nim kręcić.

– Zaprowadzę! Zaprowadzę! – pisnął zbir, lecz jego głos zaczął zamierać, gdy Wulfgar zacieśnił chwyt, pozbawiając go głosu i powietrza. Z twarzą wykrzywioną w wyrazie najczystszej wściekłości, barbarzyńca naciskał.

– Puść go – powiedział Morik.

Żadnej odpowiedzi. Człowiek w uchwycie Wulfgara miotał się i wił, lecz nie mógł rozerwać chwytu ani zaczerpnąć powietrza.

– Wulfgarze! – zawołał Morik i chwycił oburącz za rękę wielkiego mężczyzny, szarpiąc zaciekle. – Przestań, człowieku!

Wulfgar go nie słyszał, nie wydawał się w ogóle zauważać łotrzyka.

– Podziękujesz mi za to – przysiągł Morik, choć nie był tego taki pewien, gdy zacisnął dłoń w pięść i uderzył Wulfgara w bok głowy.

Wulfgar wypuścił zbira, lecz tylko po to, by zdzielić Morika na odlew, ciosem po którym łotrzyk zatoczył się do tyłu, a Wulfgar ruszył za nim. Morik podniósł miecz, gotów przebić nim serce wielkiego mężczyzny, jeśli okaże się to konieczne, lecz w ostatniej chwili Wulfgar zatrzymał się, mrugając raz za razem, jakby się właśnie obudził. Morik zrozumiał, że wrócił z miejsca, w które się udał, z powrotem do tego czasu i przestrzeni.

– Teraz zabierze nas do obozu – powiedział łotrzyk. Wulfgar pokiwał bezmyślnie głową, mając wciąż zamglony wzrok. Popatrzył beznamiętnie na złamane drzewce strzały wystające z jego rannego barku. Barbarzyńca zbladł, spojrział zaskoczony na Morika, po czym przewrócił się twarzą w pył.

* * *

Wulfgar obudził się z tyłu wozu na skraju pola otoczonego wysokimi piniami. Z pewnym wysiłkiem uniósł głowę i niemal spanikował. Przechodząca kobieta należała do zbirów z drogi. Co się stało? Zgubili się? Zanim panika zdołała się jednak zagnieździć, usłyszał beztroski głos Morika i zmusił się do podniesienia wyżej, krzywiąc się z bólu, gdy oparł znaczny ciężar na rannej ręce. Wulfgar popatrzył z zaciekawieniem na ten bark: drzewce strzały znikło, a rana była oczyszczona i zabandażowana.

Morik siedział niewiele dalej, gawędząc uprzejmie i dzieląc się butelką z kolejnym z gnollich rozbójników, jakby byli starymi przyjaciółmi. Wulfgar przesunął się na koniec wozu i przełożył nogi przez krawędź, stając niepewnie na nogach. Świat zawirował mu przed oczyma. Czarne plamy przysłoniły pole widzenia. Uczucie to jednak szybko minęło i Wulfgar ostrożnie, lecz miarowo doszedł do Morika.

– Ach, obudziłeś się. Chcesz łyka, mój przyjacielu? – spytał łotrzyk, wyciągając butelkę.

Marszcząc brwi Wulfgar potrząsnął głową.

– No dawaj, musisz się napić – wycedził siedzący obok Morika gnoił o psiej twarzy. Wsunął do ust łyżkę z gęstym gulaszem, połowa zawartości spadła na ziemię lub na przód jego tuniki.

Wulfgar zmierzył wzrokiem paskudnego nowego kompana Morika.

– Odpoczywaj spokojnie, mój przyjacielu – rzekł Morik, rozpoznając to niebezpieczne spojrzenie.

– Ten tutaj Mickers jest przyjacielem i to lojalnym, gdy Togo już nie żyje.

– Odeślij go – powiedział Wulfgar, a gnolowi ze zdumienia opadła szczęka.

Morik podniósł się szybko, podchodząc do Wulfgara i chwytając go za zdrową rękę.

– Oni są sojusznikami – wyjaśnił. – Wszyscy. Byli lojalni wobec Togo, a teraz są lojalni wobec mnie. I ciebie.

– Odeślij ich – powtórzył z naciskiem Wulfgar.

– Jesteśmy na drodze – spierał się Morik. – Potrzebujemy oczu, zwiadowców obserwujących potencjalne terytorium i mieczy, byśmy mogli je utrzymać.

– Nie – Wulfgar rzekł beznamiętnie.

– Nie rozumiesz niebezpieczeństw, mój przyjacielu – Morik powiedział rozsądnie, w nadziei na uspokojenie swego wielkiego kompana.

– Odeślij ich! – Wulfgar wrzasnął nagle. Widząc, że nie posuwa się do przodu z Morikiem, pospieszył do Mickersa. – Precz stąd i z tego lasu!

Mickers popatrzył za wielkiego mężczyznę. Morik wzruszył ramionami z rezygnacją. Mickers wstał.

– Zostaję z nim – powiedział, wskazując na łotrzyka. Wulfgar wytrącił gnolowi miskę z gulaszem i chwycił go za przód koszuli, podnosząc tak, że stanął na palcach.

– Masz ostatnią szansę, by odejść z własnej woli – wielki mężczyzna warknął odpychając Mickersa na kilka kroków.

– Panie Moriku? – poskarżył się Mickers.

– Och, odejź – ze smutkiem rzekł Morik.

– A nasza reszta też? – spytał inny z bandyckiej bandy, stojąc pośród rumowiska głazów na skraju pola. Trzymał naciągnięty łuk.

– Oni albo ja, Moriku – powiedział Wulfgar, tonem nie pozostawiającym miejsca na dyskusję. Barbarzyńca i łotrzyk zerknęli na łucznika i ujrzeli, że zakłada strzałę na cięciwę.

Oczy Wulfgara zabłysnęły wzbierającym szałem i ruszył w stronę łucznika.

– Jeden strzał – zawołał pewnym głosem. – Będiesz miał jeden strzał we mnie. Uda ci się trafić?

Łucznik uniósł łuk.

– Nie sądzę – powiedział Wulfgar, uśmiechając się. – Nie, spudłujesz, bo wiesz.

– Wiem o czym? – ośmielił się zapytać łucznik.

– Wiesz, że nawet jeśli twoja strzała mnie trafi, nie zabije mnie – odparł Wulfgar, miarowo idąc dalej. – Nie od razu, i zdążę zacisnąć ręce na twoim gardle.

Mężczyzna zwolnił cięciwę, lecz Wulfgar uśmiechnął się jedynie z pewnością siebie i szedł dalej. Łucznik rozejrzył się nerwowo, szukając wsparcia, lecz żadnego nie znalazł. Zdając sobie sprawę, że porwał się na zbyt potężnego przeciwnika, mężczyzna całkowicie opuścił cięciwę i pospiesznie uciekł.

Gdy Wulfgar obrócił się z powrotem, Mickers także umknął.

– Teraz musimy na nich uważać – Morik zaobserwował ponuro, gdy Wulfgar wrócił do niego. – Kosztujesz nas sojuszników.

– Nie wejdę w sojusz z mordercami i złodziejami! – powiedział po prostu Wulfgar.

Morik odskoczył od niego.

– A kim ja jestem, jak nie złodziejem?

Mina Wulfgara zelżała.

– No cóż, może poza jednym – sprostował z chichotem.

Morik roześmiał się niepewnie.

– Trzymaj, mój wielki i niezbyt bystry przyjacielu – powiedział, sięgając po kolejną butelkę. – Wypijmy za nas dwóch. Za rozbójników!

– Czeka nas ten sam los, co naszych poprzedników? – zastanawiał się na głos Wulfgar.

– Nasi poprzednicy nie byli tacy bystrzy – wyjaśnił Morik. – Wiedziałem, gdzie ich szukać, ponieważ byli zbyt przewidywalni. Dobry rozbójnik uderza i ucieka do następnego ustalonego obszaru. Dobry rozbójnik wydaje się dziesięcioma różnymi bandami, zawsze jest o krok przed strażnikami miejskimi, zawsze przed tymi, którzy jadą do miast z informacjami wystarczającymi, by ich znaleźć i pokonać.

– Brzmisz tak, jakbyś dobrze znał takie życie.

– Zajmowałem się tym od czasu do czasu – przyznał Morik. – Nie musimy żyć jak dzikusy tylko

dlatego, że jesteśmy na dzikiej drodze – łotrzyk powtórzył to, co szybko stawało się jego mantrą. Podał butelkę Wulfgarowi.

Wulfgar potrzebował całej siły woli, jaką mógł zebrać, by odmówić. Bolał go bark i wciąż był poruszony zbirami. Powrót do wiru nieświadomości wydawał się w tej chwili bardzo zachęcający.

Odmówił jednak, odchodząc od oszołomionego Morika. Przeszedłszy na drugi koniec pola i wspiąwszy się na drzewo, znalazł wygodne zagłębienie, gdzie usiadł obserwując okolicę.

Jego wzrok błędził raz za razem do gór na północy, do Grzbietu Świata, bariery pomiędzy nim a tantym innym światem Doliny Lodowego Wichru, życia jakie znał i jakiego mógł jeszcze zaznać. Pomyślał znów o swych przyjaciółkach, głównie o Catti-brie. Barbarzyńca zasnął śniąc o tym, że trzyma ją w ramionach i całuje delikatnie, co dawało mu wytchnienie od całego bólu tego świata.

Nagle Catti-brie cofnęła się, a gdy Wulfgar ją obserwował, z jej czoła wyrosły małe kościane rogi, a z pleców wielkie nietoperzowe skrzydła. Była sukkubem, demonem z Otchłani, wciągającym go znów do piekła tortur Errtu, przybrawszy uspokajający wygląd, by go uwieść.

Oczy Wulfgara otworzyły się szeroko, a oddech wydobywał się z niego ciężkimi haustami. Starał się odrzucić straszliwe obrazy, lecz nie chciały go opuścić. Nie tym razem. Były tak dojmujące i wyraźne, że barbarzyńca zastanawiał się, czy to wszystko, ostatnie miesiące jego życia, nie było podstępem Errtu, by znów wzbudzić w nim nadzieję, aby demon mógł ją zmiążdżyć. Widział sukkuba, straszliwe stworzenie, które go uwiodło.

– Nie! – Wulfgar warknął, bowiem wspomnienie to było dla niego zbyt okropne, zbyt straszliwe, by mógł mu znów stawić czoła.

– Ukradłam twoje nasienie – sukkub przemówił w jego umyśle, a on nie mógł temu zaprzeczyć. Zrobili to z nim kilkakrotnie podczas lat udręki, zabrali jego nasienie i wyhodowali półdemony, dzieci Wulfgara. Był to pierwszy raz, gdy Wulfgar był w stanie świadomie przywołać to wspomnienie od swego powrotu na powierzchnię, pierwszy raz przeżywał koszmar widząc jak jego demoniczne potomstwo przedziera się przez mentalne bariery, które wznosił.

Widział ich teraz, widział jak Errtu przynosi mu jedno takie dziecko, płaczącego noworodka, a będący jego matką sukkub stoi za demonem. Widział jak Errtu podnosi niemowlę wysoko w górę, tuż przed oczy Wulfgara, tuż przed oczy jego wyjącej matki, po czym odgryza dziecku głowę. Deszcz krwi zalał Wulfgara, który nie był w stanie zaczerpnąć tchu, nie był w stanie zrozumieć, że Errtu znalazł sposób, by znów go dopaść, najgorszy sposób z możliwych.

Wulfgar na wpół spełzł, na wpół spadł z drzewa, lądując ciężko na rannym ramieniu, otwierając na nowo ranę. Ignorując ból, popędził przez pole i znalazł Morika odpoczywającego przy wozie. Wulfgar udał się prosto do skrzynek i szaleńczo rozerwał jedną z nich.

Jego dzieci! Potomstwo z jego skradzionego nasienia!

Mocny płyn palił przez całą drogę do żołądka, jego gorąco rozpływało się, rozpływało, przytępiając zmysły Wulfgara, zamazując straszliwe obrazy.

JUŻ NIE DZIECKO

– Musisz dać miłości czas, by rozkwitła, mój panie – Temigast wyszeptał do lorda Feringala. Zaprowadził młodego władcę do odległego zakątka ogrodu, z dala od Meraldy, która spoglądała za mur od morza. Zarządca odkrył, że zakochany młodzieniec naciska na Meraldę, by poślubiła go jeszcze w przyszłym tygodniu. Zaczerniona kobieta próbowała jednej grzecznej wymówki za drugą, a uparty Feringal zbijał każdą z nich.

– Czas, by rozkwitła? – Feringal powtórzył niedowierzająco. – Szaleje, z pożądania. Nie mogę myśleć o niczym innym niż Meralda!

To ostatnie wypowiedział głośno i obydwaj mężczyźni zerknęli na Meraldę spoglądającą na nich spod zmrużonych powiek.

– I tak powinno być – wyszeptał zarządca Temigast. – Sprawdźmy, czy uczucie utrzyma się z biegiem czasu. Prawdziwym znaczeniem miłości jest czas trwania takich uczuć, mój lordzie.

– Wciąż we mnie wątpisz? – odparł przerażony lord Feringal.

– Nie, mój lordzie – wytłumaczył Temigast – lecz wieśniacy muszą widzieć twój związek z kobietą o statusie takim jak Heralda jako prawdziwą miłość, a nie zadurzenie. Musisz pomyśleć o jej reputacji.

To ostatnie stwierdzenie sprawiło, że Lord Feringal zadumał się. Zerknął znów na kobietę, następnie na Temigasta, wyraźnie zakłopotany.

– Jeśli będzie mi poślubiona, to jakiej szkodzi może ulec jej reputacja?

– Jeśli małżeństwo zostanie przeprowadzone szybko, to chłopci założą, że wykorzystwała swe kobiece sztuczki, by cię zauroczyć – wyjaśnił Temigast. – Zdecydowanie lepiej będzie dla niej, jeśli poświęcisz tygodnie na okazywanie jej swojej szczerej i pełnej szacunku miłości. Wielu i tak będzie mieć do niej pretensje, mój lordzie, z czystej zazdrości. Teraz musisz ją chronić, a najlepiej to zrobisz poświęcając czas na okres narzeczeństwa.

– Ile czasu? – spytał rozochocony młodzieniec.

– Do równonocy wiosennej – zaproponował Temigast, przyciągając kolejne przerażone spojrzenie Feringala. – Tylko tak będzie odpowiednio.

– Umrę – zaskomlał Feringal.

Temigast zmarszczył brwi na wyczerpanego nerwowo lorda.

– Możemy zorganizować spotkanie z inną kobietą, jeśli twoje potrzeby staną się zbyt wielkie.

Lord Feringal potrząsnął energicznie głową.

– Nie mogę myśleć o namiętności z inną kobietą. Uśmiechając się ciepło, Temigast poklepał młodzieńca po ramieniu.

– I to jest prawidłowa odpowiedź prawdziwie zakochanego mężczyzny – powiedział. – Być może uda nam się zaaranżować wesele na przełom roku.

Twarz lorda Feringala rozjaśniła się, lecz znów zmarszczył brwi.

– Pięć miesięcy – mruknął.

– Ale pomyśl o przyjemności po tym, jak ten czas minie.

– Nie myślę o niczym innym – rzekł przybity Feringal.

– O czym rozmawialiście? – spytała Meralda, gdy Feringal dołączył do niej przy murze po tym, jak Temigast przeprosił i opuścił ogród.

– O weselu, oczywiście – odparł lord. – Zarządca Temigast sądzi, że musimy poczekać do przełomu roku. Uważa, że miłość jest rosnącą, rozkwitającą rzeczą – powiedział Feringal, głosem zahaczającym o zwątpienie.

– I tak jest – Meralda zgodziła się z ulgą i wdzięcznością wobec Temigasta.

Feringal chwycił ją nagle i przyciągnął blisko.

– Nie mogę uwierzyć, by moja miłość do ciebie mogła choć trochę bardziej rozkwitnąć – wyjaśnił. Pocałował ją, a Meralda odwzajemniła, ciesząc się, że nie próbuje posuwać się dalej, jak to zazwyczaj czynił.

Zamiast tego lord Feringal odsunął ją na długość ręki.

– Temigast ostrzegł mnie, bym okazywał ci szacunek – przyznał. – Żebym pokazywał wieśniakom, iż nasza miłość jest prawdziwa i trwała. I tak też uczynię czekając. Poza tym da to Priscilli czas, jakiego potrzebuje, by przygotować święto. Obiecała takie wesele, którego całe Auckney, wręcz cała Północ, nigdy dotąd nie widziała.

Uśmiech Meraldy był naprawdę szczery. Cieszyła się z opóźnienia, cieszyła się, że otrzymała czas, jakiego potrzebowała, by ułożyć w odpowiednim porządku swe uczucia do lorda Feringala oraz do Jaki, by pogodzić się ze swą decyzją i odpowiedzialnością. Meralda była pewna, że sobie z tym poradzi, i to nie cierpiąc. Mogła poślubić lorda Feringala i służyć za lady Auckney dla dobra swej matki i reszty rodziny. Być może nie będzie to takie straszne.

Kobieta popatrzyła z błyskiem uczucia na Feringala, który stał obserwując ciemne fale. Kierowana impulsem otoczyła go rękaw talii i złożyła głowę na jego ramieniu, w nagrodę otrzymując cnotliwy, lecz pełen wdzięczności uśmiech swego przyszłego męża. Nic nie powiedział, nawet nie próbował jej bardziej dotykać. Meralda musiała przyznać, że było to... przyjemne.

* * *

– Och, powiedz mi wszystko! – wyszeptała Tori, włączając Meraldzie do łóżka, gdy starsza dziewczyna wróciła do domu. – Dotykał cię?

– Rozmawialiśmy i obserwowaliśmy fale – Meralda odparła niezobowiązująco.

– Czy już go kochasz?

Meralda popatrzyła na siostrę. Czy kochała lorda Feringala? Nie, nie mogła powiedzieć że na pewno nie, przynajmniej nie w tak gorący sposób, w jaki tęskniła za Jaką, lecz być może było to w porządku. Być może pokocha szczodrego lorda Auckney. Z pewnością lord Feringal nie był brzydkim mężczyzną, co to to nie. Gdy ich związek się rozwijał, gdy wyszli poza desperackie, dokonywane po omacku poszukiwania cierpiącego mężczyzny, Meralda zaczęła dostrzegać jego liczne dobre cechy, cechy które rzeczywiście mogła pokochać.

– Czy nie kochasz wciąż Jaki? – spytała Tori.

Uśmiech Meraldy znikł w mgnieniu oka na to bolesne przypomnienie. Nie odpowiedziała i choć raz Tori wyczuła, by odpuścić, gdy Meralda odwróciła się, zwinęła w kłębek i próbowała usilnie nie płakać.

Cała noc koszmarnych snów sprawiła, że stanowiła rano jedno kłębowisko z kocami. Mimo to poranny nastrój Meraldy był dużo lepszy, a poprawił się jeszcze bardziej, gdy weszła do pokoju wspólnego i usłyszała jak jej matka rozmawia z Mam Gardener, jedną z ich hałaśliwszych sąsiadek (małą gnomką o dziobie, którego mógłby jej pozazdrościć sęp), radośnie opowiadając jej o swym spacerze po zamkowym ogrodzie.

– Mam Gardener przyniosła nam trochę jajek – Biaste Ganderlay wyjaśniła, wskazując na

patelnię z jajecznicą. – Obsłuż się, bo nie chcę wstawać.

Meralda uśmiechnęła się do szczodrej gnomki, po czym podeszła do patelni. Z niewyjaśnionych powodów młoda kobieta poczuła nagle, jak jej żołądek skręca się na widok oraz zapach potrawy i musiała wybiec z domu, by zwymiotować przy małym krzaczku za drzwiami.

Mam Gardener natychmiast znalazła się przy niej.

– Wszystko w porządku, dziewczyno? – spytała. Meralda, bardziej zaskoczona niż chora, wyprostowała się.

– To bogate jedzenie w zamku – wytłumaczyła. – Karmią mnie za dobrze, obawiam się.

Mam Gardener zawyła ze śmiechu.

– Och, ale przyzwyczaisz się do tego – powiedziała. – Staniesz się tłusta i pulchna, żyjąc z łatwością i dobrze jedząc.

Meralda odwzajemniła jej uśmiech i wróciła do domu.

– Ale wciąż musisz jeść – rzekła Mam Gardener, prowadząc ją do jajecznicy.

Sama myśl o jajkach sprawiła, że Meraldzie znów skręcił się żołądek.

– Wydaje mi się, że muszę iść się położyć – wyjaśniła, kierując się z powrotem do swego pokoju.

Usłyszała jak starsze kobiety rozmawiają o jej przypadłości, Mam opowiadała Biaste o bogatym jedzeniu. Biaste, której nieobce były choroby, miała nadzieję, że to nic poważniejszego.

Sama Meralda nie była taka pewna. Dopiero wtedy policzyła dni od swego spotkania z Jaką trzy tygodnie temu. Owszem, nie miała miesiączki, ale nie zastanawiała się nad tym, bo nigdy nie była regularna w tych kwestiach...

Młoda kobieta chwyciła się za brzuch, ogarnięta zarówno radością, jak i strachem.

Następnego poranka znów czuła się niedobrze, kolejnego również, lecz mogła ukryć swój stan nie podchodząc nigdzie, gdzie było widać lub czuć jajka. Po porannych wymiotach czuła się dobrze i później jej już nie nękały, stało się więc dla niej oczywiste, że rzeczywiście była w ciąży.

W jej fantazjach myśl o urodzeniu dziecka Jaki Sculiego nie była straszna. Mogła wyobrazić sobie małżeństwo z młodym łotrzykiem, życie w zamku, spaceru u jego boku po ogrodzie, lecz rzeczywistość jej sytuacji była dalece bardziej przerażająca.

Zdradziła lorda Auckney, a co gorsza, zdradziła swą rodzinę. Kradnąc dla siebie tę jedną noc skazała najprawdopodobniej swą matkę na śmierć, a siebie na miano dziwki w oczach całej wioski.

Czy to w ogóle tak daleko zajdzie? – zastanawiała się. Być może, gdy jej ojciec pozna prawdę, zabije ją – w końcu bił ją za wiele mniej. Albo też być może lord Feringal zmusi ją do przejścia ulicami, tak by wieśniacy mogli z niej szydzić, obrzucać zgniłymi owocami i pluć na nią. Albo też, w napadzie szału, lord Feringal wytnie dziecko z jej łona i pośle żołnierzy, by zamordowali Jakę.

A co z dzieckiem? Co szlachcice z Auckney mogli zrobić z dzieckiem, które było owocem rogów przyprawionych ich lordowi? Meralda słyszała opowieści o takich przypadkach w innych królestwach, historie o potencjalnych groźbach wobec tronu, o zamordowanych infantach.

Wszystkie te możliwości wirowały w umyśle Meraldy pewnej nocy, gdy leżała w łóżku, wszystkie straszliwe możliwości, ewentualności zbyt okropne, by mogła je sobie naprawdę wyobrazić, i zbyt przerażające, by mogła im szczerze stawić czoła. Wstała i ubrała się cicho, po czym poszła popatrzeć na matkę, śpiącą spokojnie, zwiniętą w ramionach ojca.

Wypowiedziawszy bezgłośnie pełne rozpaczy przeprosiny do nich obojga, wymknęła się z domu. Noc była wilgotna i wietrzna. Ku przestraszowi młodej kobiety, nie znalazła Jaki w jego zwyczajowym miejscu na polach nad domami, poszła więc do jego domu. Starając się nie obudzić jego bliskich, Meralda rzucała kamyczkami w zasłonę wiszącą w pozbawionym szyby oknie.

Zasłona została raptownie odsunięta na bok i z otworu wyjrzała przystojna twarz Jaki.

– To ja, Meralda – wyszeptała, a twarz młodzieńca rozjaśniła się zaskoczeniem. Wyciągnął do niej dłoń, a gdy ją ścisnęła, przyciągnął ją blisko do swej twarzy, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Muszę z tobą porozmawiać – wytłumaczyła Meralda. – Proszę, wyjdź na zewnątrz.

– Tu jest cieplej – Jaka odparł swym zwyczajowym chytrym, lubieżnym tonem.

Wiedząc, że to nierozsądne, lecz drżąc na mroźnym nocnym powietrzu, Meralda wskazała na drzwi frontowe i pospieszyła do nich. Jaka znalazł się tam po chwili, rozebrany do pasa, trzymając małą świeczkę. Przyłożył palec do wydętych warg i wziął Meraldę pod rękę, prowadząc ją w milczeniu przez zasłonę prowadzącą do jego sypialni. Zanim młoda kobieta zdążyła rozpocząć wyjaśnienia, Jaka znalazł się przy niej, całując ją, kładąc na łóżku obok siebie.

– Przestań! – wysyczała, odsuwając się. – Musimy porozmawiać.

– Później – powiedział Jaka, błędząc po niej dłońmi. Meralda stoczyła się z łóżka i cofnęła o krok.

– Nie – rzekła. – To ważne.

Jaka usiadł na skraju łóżka, wciąż się uśmiechając, lecz nie wykonując żadnego ruchu, by ją chwycić.

– Spóźnia mi się okres – wyjaśniła bez ogródek. Twarz Jaki wykrzywiła się, jakby nie rozumiał.

– Będę miała dziecko – kobieta wypaliła cicho. – Twoje dziecko.

Efekt jej słów nie mógłby być bardziej dramatyczny nawet gdyby uderzyła Jakę pałką po twarzy.

– Jak? – wyjąkał po długiej, drżącej chwili. – To było tylko raz.

– Sądzę więc, że zrobiliśmy to tak jak trzeba – kobieta odparła cierpko.

– Ale... – zaczął Jaka, potrząsając głową. – Lord Feringal? Co zrobimy? – Znów przerwał, po czym spojrzał na Meraldę z ukosa. – Czy ty i on...?

– Tylko z tobą – stanowczo odrzekła Meralda. – Tylko ten jeden raz w całym moim życiu.

– Co zrobimy? – powtórzył Jaka, chodząc nerwowo. Meralda nigdy nie widziała go tak poruszonego.

– Myślałam, że muszę poślubić lorda Feringala – Meralda wyjaśniła, pochodząc i obejmując mężczyznę, by go uspokoić. – Dla dobra mojej rodziny, nie własnego, lecz teraz sytuacja się zmieniła – powiedziała, spoglądając Jace w oczy. – Nie mogę przecież sprowadzić do Zamku Auck dziecka innego mężczyzny.

– Więc co? – spytał Jaka, wciąż wydając się być na skraju desperacji.

– Powiedziałeś, że mnie chcesz – Meralda rzekła cicho, z nadzieją. – Tak więc, wraz z tym co jest w moim brzuchu, masz mnie i całe moje serce.

– Lord Feringal mnie zabije.

– A więc nie zostaniemy – odparła Meralda. – Powiedziałeś, że udamy się przez Wybrzeże Mieczy do Luskan i Waterdeep, więc tak zrobimy, bo muszę tak zrobić.

Myśl ta nie wydawała się szczególnie odpowiadać Jace.

– Ale... – powiedział i potrząsnął kilkakrotnie głową. W końcu Meralda potrząsnęła nim, by go uspokoić i przycisnęła się do niego.

– Naprawdę, tak jest lepiej – rzekła. – Jesteś moją miłością, tak jak ja jestem twoją, a teraz los się wtrącił, by nas ze sobą połączyć.

– To szaleństwo – odparł Jaka, odsuwając się od niej. – Nie możemy uciec. Nie mamy pieniędzy. Nie mamy nic. Umrzemy na drodze, zanim zbliżymy się w ogóle do Luskan.

– Nic? – powtórzyła niedowierzająco Meralda, zaczynając zdawać sobie sprawę, że jest to coś więcej niż tylko mówienie w szoku. – Mamy siebie nawzajem. Mamy naszą miłość i dziecko w drodze.

– Myślisz, że to wystarczy? – Jaka zapytał tym samym niedowierzającym tonem. – Jakie życie nas czeka w takich okolicznościach? Wiecznych chłopów jedzących błoto i wychowujących swe dziecko w błocie?

– Jaki mamy wybór?

– My? – Jaka przygryzł to słowo zaraz gdy opuściło jego usta, zbyt późno uświadamiając sobie, że nie było rozsądnie wypowiadać go na głos.

Meralda walczyła ze łzami.

– Czy chcesz powiedzieć, że skłamałeś, by mnie skłonić, abym się z tobą przespała? Chcesz powiedzieć, że mnie nie kochasz?

– Wcale tego nie mówię. – zapewnił ją Jaka, podchodząc, by położyć jej dłoń na ramieniu – ale jakie mamy szansę przetrwania? Nie uważasz chyba naprawdę, że miłość wystarczy? Nie będziemy mieć jedzenia ani pieniędzy, a będzie nas troje do wyżywienia. I jak będzie, gdy staniesz się tłusta i brzydka, wtedy nawet uprawianie miłości nie da nam radości?

Kobieta zbladła i odsunęła się z jego zasięgu. Podszedł do niej, lecz odtrąciła go.

– Powiedziałeś, że mnie kochasz – powiedziała.

– Powiedziałem – odparł Jaka. – Tak jest. Potrząsnęła powoli głową, mrużąc oczy w chwili jasności.

– Pożądałeś mnie, lecz nigdy naprawdę nie kochałeś. – Głos jej drżał, lecz była zdeterminowana podążać wytyczoną drogą. – Ty głupcze. Nawet nie znasz różnicy. – To powiedziawszy, odwróciła się i wybiegła z domu. Jaka nawet nie starał się pójść za nią.

Meralda przepłakała całą noc na zlanym deszczem zboczu wzgórza i wróciła do domu dopiero wczesnym rankiem. Znała teraz prawdę, niezależnie od tego, co się miało dalej stać. Za jakże głupią się uważała, że oddała się Jace Sculiemu. Przez resztę swego życia będzie spoglądać w przeszłość na tę chwilę, w której stała się kobietą, chwilę w której pozostawiła za sobą niewinne życie dziewczyny. Nie będzie to jednak noc, podczas której straciła dziewictwo. Nie, to będzie ta noc, kiedy to po raz pierwszy uświadomiła sobie, że oddała swój największy skarb samolubnemu, płytkiemu mężczyźnie. Nie, nie mężczyźnie – chłopcu. Jakże była głupia.

NIE MA JAK W DOMU

Siedzieli ściśnięci pod wozem, gdy deszcz dudnił wokół nich. Strumyczki wody przeciekały do środka, a ziemia stawała się błotnista nawet w ich małym schronieniu.

– Nie takie życie sobie wyobrażałem – stwierdził przybity Morik. – Oto jak upadli potężni.

Wulfgar uśmiechnął się do przyjaciela i potrząsnął głową. Nie przejmował się fizycznymi wygodami tak mocno jak Morik, bowiem deszcz mało co go obchodził. Dorastał w końcu w Dolinie Lodowego Wichru, o klimacie dalece ostrzejszym niż wzgorza po tej stronie Grzbietu Świata.

– A teraz zniszczyłem najlepsze bryczesy – stękał Morik, obracając się i strzepując błoto ze spodni.

– Rolnicy zaoferowaliby nam osłonę – przypomniał mu Wulfgar. Wcześniej tego dnia mijali zbiorowisko chat i Wulfgar wspominał kilkakrotnie, że tamtejsi mieszkańcy zapewne daliby im jadło i ciepły dach nad głową.

– Wtedy rolnicy by o nas wiedzieli – Morik powiedział tytułem wyjaśnienia, dawał tę samą odpowiedź za każdym razem, gdy Wulfgar mówił o tej możliwości. – Jeśli ktoś nas szuka, albo będzie szukał, łatwiej będzie podążać naszym śladem.

Piorun rozszczepił drzewo w odległości stu metrów, wydobywając z Morika nagły okrzyk.

– Zachowujesz się tak, jakby za niedługo miała nas ścigać połowa okolicznej milicji – odparł Wulfgar.

– Zrobiłem sobie wielu wrogów – przyznał Morik – podobnie jak ty, mój przyjacielu, wliczając w to jednego z najważniejszych sędziów z Luskan.

Wulfgar wzruszył ramionami, niezbyt go to obchodziło.

– Zrobimy sobie ich więcej, zapewniam cię – ciągnął Morik.

– Z powodu życia, jakie dla nas wybrałeś. Łotrzyk podniósł brew.

– Mamy żyć jak rolnicy, uprawiając ziemię?

– To by było takie straszne?

Morik parsknął, a Wulfgar znów jedynie bezradnie zachichotał.

– Potrzebujemy bazy – Morik oznajmił nagle, gdy kolejny strumyczek dotarł do jego pośladków. – Domu... albo jaskini.

– W górach jest wiele jaskiń – zaproponował Wulfgar. Spojrzenie na twarz Morika, zarówno pełną nadziei, jak i strachu, powiedziało mu, że nie musiał wypowiadać tego, o czym pomyślał: górskie jaskinie były niemal zawsze zamieszkane.

Następnego poranka podniosło się słońce, świecąc jasno na błękitnym niebie, lecz nie zmieniło to marudnego nastroju Morika. Narzekał i tupał w błocie, potem zdjął ubrania i wyprał je, gdy natknęli się na czysty górski strumień.

Wulfgar także wyprał ubrania i umył brudne ciało. Lodowata woda mile chłodziła ranny bark. Leżąc na nasłonecznionej skale i czekając aż wyschną ubrania, Wulfgar zauważył jakiś dym sunący leniwie w powietrze.

– Więcej domów – stwierdził barbarzyńca. – Bez wątpienia Przyjazny lud wobec tych, którzy przy chodzą jako przyjaciele.

– Nigdy nie przestajesz – Morik odparł cierpko, po czym sięgnął za głaz i wyciągnął butelkę wina, którą chłodził w wodzie. Wziął łyk i podał ją Wulfgarowi, który zawahał się, a następnie przyjął.

Niedługo później, we wciąż wilgotnych ubraniach i na lekkim rauszu, ruszyli górkimi ścieżkami. Nie mogli zabrać ze sobą wozu, upchnęli go więc pod jakieś krzaki, a koniom pozwolili paść się w pobliżu. Morik zauważył ironię tego, jak łatwo byłoby komuś ich obrabować.

– Więc musielibyśmy wszystko ukraść z powrotem – odrzekł Wulfgar, a Morik zaczął się śmiać, tęskniąc za sarkazmem barbarzyńcy.

Zatrzymał się raptownie, zauważając nagle spoważniałą twarz swego wielkiego przyjaciela. Podążywszy za wzrokiem Wulfgara ku rozciągającemu się przed nimi szlakowi, Morik zaczął rozumieć, dostrzegł bowiem złamane drzewko, urwane niedawno tuż nad pniem. Wulfgar podszedł tam i pochylił się nisko, badając ziemię wokół drzewka.

– Jak myślisz, co złamało drzewo? – spytał z tyłu Morik. Wulfgar dał gestem znać łotrzykowi, by do niego dołączył, a następnie wskazał na odcisk pięty wielkiego, wielkiego buta.

– Giganci? – zapytał Morik, a Wulfgar poparzył na niego z zaciekawieniem. Wulfgar rozpoznawał już u Morika oznaki wytrącenia z równowagi, jak przy szcurze na Więziennym Karnawale.

– Gigantów też nie lubisz? – spytał Wulfgar. Morik wzruszył ramionami.

– Nigdy żadnego nie widziałem – przyznał – lecz kto ich tak naprawdę lubi?

Wulfgar popatrzył na niego z niedowierzaniem. Morik był doświadczonym weteranem, wyszkolonym jako złodziej i wojownik. Znaczna część treningu Wulfgara odbyła się kosztem gigantów. Barbarzyńcę zdumiała myśl, że ktoś tak wyszkolony jak Morik nigdy żadnego nie widział.

– Raz widziałem ogra – rzekł Morik. – Oczywiście nasi przyjaciele klawisze mieli w sobie całkiem sporo ogrzej krwi.

– Więksi – Wulfgar powiedział bezceremonialnie. – Giganci są znacznie więksi.

Morik zbladł.

– Wracajmy, skąd przyszliśmy.

– Jeśli w pobliżu są giganci, bardzo prawdopodobne, że mają legowisko – wytłumaczył Wulfgar. – Giganci nie cierpią deszczu i skwarze, gdy w okolicy są wygodne jaskinie. Poza tym cenią sobie gotowane posiłki, a wołanie reklamować swej obecności ogniskami pod otwartym niebem.

– Posiłki? – powtórzył Morik. – Czy barbarzyńcy i złodzieje znajdują się w ich menu gotowanych posiłków?

– Są delikatesem – powiedział szczerze Wulfgar, przytakując.

– Chodźmy porozmawiać z rolnikami – rzekł Morik, odwracając się.

– Tchórz – Wulfgar stwierdził cicho. Na to słowo Morik obrócił się w jego stronę. – Bardzo łatwo będzie podążać ich tropem – wyjaśnił Wulfgar. – Nie wiemy nawet, ilu ich jest. Nigdy bym się nie spodziewał, że Morik Łotr będzie umykał przed walką.

– Morik Łotr walczy za pomocą tego – zripostował Morik, pukając się palcem w skroń.

– Gigant to zje.

– To Morik Łotr ucieknie za pomocą stóp – powiedział złodziej.

– Gigant cię złapie – zapewnił go Wulfgar. – Albo rzuci w ciebie kamieniem i zmiażdży cię z oddali.

– Przyjemny wybór – Morik rzekł cynicznie. – Chodźmy porozmawiać z rolnikami.

Wulfgar stanął na piętach, przyglądając się swemu przyjacielowi i nie wykonując żadnego ruchu

by za nim podążyć. Nie mógł się powstrzymać przed skontrastowaniem w tej chwili Morika z Drizztem. Łotrzyk odwracał się, by odejść, podczas gdy drow rzuciłby się na łeb na szyję w przygodę taką, jak poszukiwanie legowiska gigantów. Wulfgar przypomniał sobie jak razem z Drizztem rozpędził całe gniazdo verbeegów, w długiej i brutalnej walce, którą jednak Drizzt rozpoczął ze śmiechem. Wulfgar pomyślał o ostatniej walce, jaką stoczył u boku swego mahoniowoskiego przyjaciela, przeciwko kolejnej bandzie gigantów. Tym razem ścigali ich po górach po tym, jak dowiedzieli się, że osiłki zainteresowały się drogą do Dekapolis.

Wydawało się Wulfgarowi, że Morik i Drizzt byli w wielu sprawach podobni, lecz w najważniejszych nic ich nie łączyło. Kontrast ten bezustannie dręczył Wulfgara, przypominał mu o uderzających różnicach w jego aktualnym życiu, o różnicach pomiędzy tamtym światem na pomoc od Grzbietu Świata i tym tutaj, na południe od niego.

– Tam może być tylko paru gigantów – zasugerował Wulfgar. – Rzadko zbierają się w większej liczbie.

Morik wyciągnął swój wąski miecz i sztylet.

– Sto trafień, żeby jednego powalić? – spytał. – Dwieście? I przez cały ten czas, jaki poświęcę dźgając behemota dwieście razy będę się czuł spokojnie z myślą, że jeden cios giganta zmiażdży mnie na placek.

Uśmiech Wulfgara poszerzył się.

– Na tym polega zabawa – rzekł. Barbarzyńca oparł katowski topór na ramieniu i ruszył za gigantem, nie mając większych kłopotów ze śledzeniem tropu.

Kłęcząc pod koniec wczesnego popołudnia za wielkim głazem, Wulfgar i Morik mieli dobry widok na gigantów i ich legowisko. Nawet Morik musiał przyznać, że lokalizacja była świetna: położona na uboczu jaskinia gnieździła się między skalnymi grzebieniami, a jednak leżała w odległości mniej niż pół dnia marszu do jednej z dwóch głównych górskich przełęczy, wschodniej, oddzielającej Dolinę Lodowego Wichru od krain południa.

Obserwowali przez długą chwilę i zauważyli jedynie dwóch gigantów, później pojawił się trzeci. Mimo to na Wulfgarze nie zrobili wrażenia.

– Giganci wzgórzowi – stwierdził pogardliwie – i tylko trójka. Walczyłem z pojedynczym gigantem górskim, który powaliłby całą trójkę.

– Cóż, zobaczymy, czy uda nam się znaleźć tego giganta górskiego i skłonić go, by przyszedł eksmitować tę grupę – powiedział Morik.

– Ten górski gigant jest martwy – odparł Wulfgar. – Podobnie jak ta trójka wkrótce będzie. – Chwycił wielki topór w dłoń i rozejrzał się, decydując się w końcu na okrężną trasę, która

zaprowadzi go do legowiska.

– Nie mam pojęcia, jak z nimi walczyć – wyszeptał Morik.

– Patrz i ucz się – odrzekł Wulfgar i poszedł.

Morik nie wiedział, czy powinien za nim podążyć czy nie, został więc za głazem, obserwując ruchy swego przyjaciela oraz trójkę znikających w jaskini gigantów. Niedługo potem Wulfgar podkradł się do ciemnego wejścia, wychylił się przez krawędź i zajrzał do środka. Zerknąwszy z powrotem w kierunku Morika, zniknął w mroku.

– Nawet nie wiesz, czy w środku są inni – Morik mruknął do siebie, potrząsając głową. Zastanawiał się, czy przyjscie tu z Wulfgarem było ostatecznie dobrym pomysłem. Łotrzyk wiedział, że mógłby z łatwością wrócić do Luskan, z nową tożsamością na użytek władz, lecz z tą samą szanowaną pozycją na ulicach. Oczywiście przypomniało mu to o wcale nie tak nieznaczej sprawie mrocznych elfów, które się do niego odezwały.

Mimo to, zważywszy na rozmiar tych gigantów, Morik pomyślał, że mógłby wrócić do Luskan. Sam.

* * *

Korytarz wejściowy do jaskini nie był zbyt wysoki czy przestronny, przynajmniej dla gigantów. Wulfgar nabrał otuchy wiedząc, że jego przeciwnicy będą musieli się bardzo pochylać, być może nawet czołgać, aby wejść pod pewien zwisający głaz. Pościg nie byłby za szybki, gdyby Wulfgar został zmuszony do odwrotu.

Tunel poszerzył się i wznosił znacznie za tym krętym, liczącym około piętnaście metrów korytarzem. Dalej otworzył się na szeroką, wysoką komnatę, w której płonący ogromny ogień rzucał w głąb tunelu wystarczającą ilość pomarańczowego światła, by Wulfgar nie szedł w ciemnościach.

Zauważył, że ściany były poszarpane i nierówne, dając wiele cieni. Jakies trzy metry nad podłogą znajdowała się bardzo obiecująca półka skalna. Wulfgar podpełzł kawałek dalej, mając nadzieję na objęcie wzrokiem całego klanu gigantów. Chciał się upewnić, że była ich tylko trójka i że nie mieli żadnych pupili, jakich często hodowali, jak jaskiniowe niedźwiedzie czy wielkie wilki. Barbarzyńca musiał się jednak wycofać, zanim zbliżył się w ogóle do wejścia do groty, usłyszał bowiem jak jeden z gigantów zbliża się, bekając przy każdym dudniącym kroku. Wulfgar wszedł po ścianie na półkę i wtopił się w cienie, by móc obserwować.

Gigant wyłonił się, masując się po brzuchu i kolejny raz bekając. Pochylił się i zgiął

przygotowując się na ciasny odcinek korytarza. Ostrożność nakazywała Wulfgarowi wstrzymać atak, aby mógł lepiej obejrzeć teren i określić siłę przeciwnika, jednak Wulfgar nie był zbyt ostrożny.

Opadł z wielkim rykiem i straszliwym zamachem z nad głowy katowskim toporem, a sama jego siła wzmocniła pęd upadku.

Zaskoczony gigant zdołał wykonać lekki unik, wystarczający, by topór nie rozciął mu karku. Pomimo jego wielkich rozmiarów, siła Wulfgara pozbawiłaby behemota głowy. Mimo to topór zdołał wbić się gigantowi w łopatkę, rozdzierając skórę oraz mięśnie i miażdżąc kość, posyłając go w pełen bólu chwiejny krok, który spowodował przymusowe przyklęknienie na jedno kolano.

W międzyczasie jednak broń Wulfgara złamała się w połowie drzewca. Wiecznie będąc gotowym do improwizacji, barbarzyńca uderzył w ziemię koziółkując, przetoczył się zaraz na nogi i pospieszył do rannego, klęczącego giganta, dźgając go mocno w gardło zaostrozonym, złamanym końcem drzewca. Gdy charczący behemot sięgnął do niego wielkimi, trzęsącymi się dłońmi, Wulfgar wyszarpnął drzewce, zacieśnił uchwyt na jego końcu i uderzył giganta po twarzy.

Pozostawił giganta klęczącego na kolanie, wiedząc że wkrótce pojawią się jego przyjaciele. Szukając dobrej pozycji do obrony zauważył, że atak, czy też może lądowanie na podłodze, otworzyło mu na nowo ranę na barku; jego tunika już stawała się wilgotna od świeżej krwi.

Wulfgar nie miał czasu, by o tym myśleć. Wrócił na swą wysoką półkę, a na obszar pod nim wkroczyli następni dwaj. Znalazł nową broń w formie wielkiego głazu. Wydawszy z siebie zduszone sieknięcie, Wulfgar uniósł go nad głową i czekał.

Ostatni gigant w szeregu, najmniejszy z trójki, usłyszał to sieknięcie i podniósł wzrok akurat w chwili, gdy mężczyzna ciskał głazem – i jakże ów gigant zawył!

Wulfgar podniósł swą pałkę i zeskoczył, znów wykorzystując swój pęd, by wzmocnić siłę uderzenia, gdy celował w twarz. Barbarzyńca dotknął ziemi i obrócił się z powrotem do behemola, przebiegając obok jego nóg, by roztrzaskać mu rzepki kolanowe. Zmieniwszy uchwyt, dźgnął mocno w napięte ścięgna z tyłu kolan, jak nauczył go Bruenor.

Wciąż trzymając się za strzaskaną twarz i wyjąc z bólu, gigant przewrócił się na ziemię za Wulfgarem, wpadając pod nogi ostatniemu z grupy, jedyńemu, który nie poczuł jeszcze ukłucia broni Wulfgara.

* * *

Poza jaskinią Morik skrzywił się, gdy usłyszał krzyki i jęki, wycia i nie dający się z niczym

pomylić odgłos głazu uderzającego o kość.

Odczuwając wbrew sobie ciekawość, łotrzyk zbliżył się do wejścia, starając się zajrzeć do wnętrza, choć bał się i szczerze wierzył, że jego przyjaciel już nie żyje.

– Powinieneś już być daleko na drodze do Luskan – Morik skarcił się pod nosem. – Dziś wieczorem czeka na Morika ciepłe łóżko.

* * *

W obydwu przypadkach trafił ich tak mocno jak tylko mógł, a jednak nie zabił żadnego z trójki, zapewne nawet nie wyeliminował żadnego na zbyt długo z walki. Był odsłonięty i biegł przez główną komnatę nie wiedząc nawet, czy jest tu inne wyjście.

Nie było jednak przy nim wspomnień o Errtu. Był chwilowo wolny od tych emocjonalnych więzów, znajdował się na samym skraju desperacji i uwielbiał to.

Choć raz szczęście było przy nim. We właściwym legowisku Wulfgar znalazł łupy ostatniego najazdu gigantów, w tym szczątki trzech krasnoludów, z których jeden nosił mały, choć solidny młot bojowy, a drugi kilka jednoręcznych toporków osadzonych w bandolierze.

Rycząc, gigant rzucił się na niego, a Wulfgar wypuścił jeden, dwa, trzy ręczne toporki, uzyskując dwa solidne trafienia. Mimo to osiłek wciąż nacierał i był jedynie o szybki krok od niego, gdy Wulfgar, myśląc że zostanie wbity w ścianę, zamachnął się młotem prosto w jego udo.

Barbarzyńca rzucił się desperacko w bok, bowiem chwiejący się gigant nie był w stanie powstrzymać pędu. Wpadł głową na ścianę, osypując sporo kurzu i żwiru ze stropu jaskini. W jakiś sposób Wulfgar zdołał uniknąć zmiżdżenia, lecz pozostawił za sobą swą nową broń i nie był w stanie jej odzyskać do chwili, gdy gigant, którego uderzył głazem wpadł kulejąc do groty.

Zamiast tego Wulfgar sięgnął po złamane drzewce topora. Podnosząc je rzucił się znów na bok, gdy behemot nastąpił na niego ciężkim butem. Wulfgar był już w ruchu, szarżując na wrażliwe kolana, trafiając jedno dwukrotnie, a następnie obracając się wokół przypominającej pień nogi, wychodząc z zasięgu giganta. Wymierzywszy broń, dźgnął znów w tylną część zakrwawionej nogi. Gigant leżący pod ścianą wierzgnął, zahaczając o ranny bark Wulfgara i rzucając nim tak, że barbarzyńca uderzył mocno o przeciwległą ścianę.

Wulfgar znajdował się w wojowniczym szale. Otrząsnął się po uderzeniu rycząc i zaszarżował zaraz z powrotem na kulejącego behemota, zbyt szybko, by ten mógł to dostrzec. Jego nieubłagana pałka znów uderzyła w kolana i choć gigant się na niego zamachnął, Wulfgar nabrał otuchy słysząc

nareszcie pękającą kość. Behemot przewrócił się, trzymając za strzaskane kolano, a donośność jego krzyków zatrzęsła całą jaskinią. Otrząsnąwszy się z tępego bólu po uderzeniu, Wulfgar zawtórował kpiącym śmiechem.

Ten pod ścianą próbował wstać, lecz Wulfgar dopadł go natychmiast, stając na jego grzbiecie i tłukąc go pałką po potylicy. Wykonał kilka potężnych ciosów, na skutek których gigant leżał płasko, starając się zakryć. Wulfgar ośmielił się mieć nadzieję, że być może uda mu się nareszcie go dobić.

Wtedy wielka dłoń innego giganta zacisnęła mu się wokół nogi.

* * *

Morik ledwo mógł uwierzyć w to, co robi, czuł się jakby zdradzały go własne stopy, gdy podkładał się do wejścia do jaskini i zagłębiał do środka.

Ujrzał pierwszego z gigantów jak stał pochylony pod zwisającym głazem, z ręką przy ścianie, by się na niej oprzeć, gdy wykaszliwał resztki krwi z ust.

Zanim zdążył się poddać swemu rozsądkowi, Morik ruszył, w ciszy wślizgując się przy ścianie w mrok jaskini. Dotarł do giganta niemal bezszelestnie, czynione przez niego nieznaczne dźwięki były skutecznie zagłuszone przez kaszel i sapanie giganta, po czym wspinał się na półkę skalną nad ziemią.

Z wewnętrznej komnaty dobiegały odgłosy bitwy i mógł mieć jedynie nadzieję, że Wulfgarowi wiodło się dobrze, zarówno dla jego dobra, jak i dlatego, że zdał sobie sprawę, iż jeśli pozostali giganci rzucą się na niego samego, będzie w naprawdę kiepskiej sytuacji.

Łotrzyk wstrzymał swe nerwy i czekał, w gotowości, ze sztyletem w dłoni, mierząc cios. Rozważył atak z perspektywy ukradkowych pchnięć, jakie znał z walk z ludźmi, lecz popatrzył z powątpiewaniem na swą mizerną broń.

Gigant zaczął się odwracać. Morikowi kończył się czas. Wiedząc że musi trafić idealnie, uznając, że to musi mocno zboleć i zastanawiając się dlaczego, na Dziewięć Piekieł, przyszedł tu za tym głupim Wulfgarem, Morik zaufał instynktowi i skoczył gigantowi do rozdartego gardła.

Jego sztylet błysnął. Gigant zawył i podskoczył – uderzając głową w zwisający głaz. Jęcząc próbował się wyprostować, wymachując rękoma, a Morik odleciał na bok, pozbawiony tchu. Na wpół koziołkując, na wpół biegnąc i z pewnością wrzeszcząc, Morik wyskoczył z jaskini z dyszącym gigantem następującym mu na pięty.

Czuł jak gigant się zbliża, krok za krokiem. W ostatniej chwili Morik rzucił się w bok, a behemot przemknął obok, trzymając się jedną dłonią za gardło, świszcząc straszliwie, z siną twarzą i wybałuszonymi oczyma.

Morik pomknął z powrotem, lecz gigant go nie ścigał. Wielki stwór klęczał, chwytając powietrze.

– Wracam do Luskan – Morik mamrotał raz za razem, lecz jednocześnie szedł do wejścia do jaskini.

* * *

Wulfgar obrócił się i dźgnął z całej siły, a następnie rzucił się dziko naprzód, wykręcając i ciągnąc giganta za nogę. Stwór znajdował się na jednym kolanie, drugą nogę miał wyprostowaną starając się utrzymać jakąś równowagę. Do Wulfgara skierowała się druga mięsista dłoń, lecz wślizgnął się pod nią i szarpnął mocno, uwalniając się i wskakując gigantowi na ramię.

Wdrapał się za głowę behemota i owinał ją rękoma, mierząc szpicem drzewca w oko stwora. Wulfgar zacisnął dłonie na pękniętym trzonku i naparł mocno. Ręce giganta złapały go, chcąc odrzucić napastnika, lecz on tylko warknął i naciskał dalej.

Przerażony gigant próbował się wywinąć, odpychał go z całej siły swymi wielkimi rękoma, napiętymi mięśniami, które powstrzymałyby całkowicie niemal każdego człowieka.

Wulfgar miał jednak dobrą pozycję i obdarzony był siłą niespotykaną u większości ludzi. Ujrzał jak drugi gigant podnosi się na nogi, lecz przypomniał sobie, by toczyć jedną walkę na raz. Wulfgar poczuł jak czubek jego drzewca zatapia się w oku giganta. Stwór wpadł w furję i zdołał nawet podnieść się na jednej nodze, lecz Wulfgar trzymał. Wbijał i wbijał.

Gigant podbiegł na ślepo do ściany i obrócił się, napierając mocno, starając się zmiążdżyć człowieka. Wulfgar warknął, by pozbyć się bólu i naciskał z całej siły, dopóki drąg nie wbił się głębiej, do mózgu behemota.

Wtedy natarł drugi gigant. Wulfgar odzepił się, pełznąc po podłodze i wykorzystując spazmy umierającego stwora, by osłonić swą ucieczkę. Tępy koniec zaimprovizowanej włóczni Wulfgara pozostawał widoczny między fałdami zamkniętej powieki umierającego potwora. Wulfgar ledwo miał czas to dostrzec, gdy rzucał się na łeb na szyję na drugą stronę, by odzyskać swój młot oraz jeden z zakrwawionych ręcznych toporków.

Gigant odrzucił na bok swego martwego towarzysza i ruszył naprzód, po czym zachwiał się, gdy toporek wbił mu się głęboko w czoło.

Wulfgar nacierał dalej wykonując zza głowy potężny zamach, którym wbił młot głęboko w pierś behemota. Znów go trafił, a później trzeci raz, po czym rzucił się pod młóćące pięści i trafił paskudnie giganta w kolano. Wulfgar przemknął obok i pobiegł do ściany za osiłkiem, wbiegł po niej w górę dwa kroki, po czym odbił się, wykonując kolejny skierowany w dół cios w obracającego się giganta.

Głowica młota wbiła się w czaszkę giganta. Behemot opadł na podłogę i legł na niej bardzo nieruchomo.

W tej chwili do komnaty wszedł Morik i wlepił oczy w zmaltretowanego Wulfgara. Bark barbarzyńcy był mokry od krwi, na nodze miał szramę od kostki do uda, a kolana i dłonie były otarte do żywego mięsa.

– Widzisz? – Wulfgar powiedział z triumfalnym śmiechem. – Żadnych problemów. Teraz mamy dom.

Morik popatrzył na to, co widać było za jego przyjacielem, na makabryczne szczątki na wpół pożartych krasnoludów i na dwóch gigantów rozlewających krew po całej komnacie.

– Istotnie – odpowiedział cierpko.

* * *

Większą część trzech następnych dni spędzili czyszcząc swą jaskinię, grzebiąc krasnoludy, rąbiąc na kawałki i wnosząc gigantów, oraz odzyskując swe zapasy. Zdołali nawet doprowadzić okrężną drogą konie oraz wóz, choć po tym wielkim wysiłku pozwolili po prostu koniom odejść wolno, uznawszy, że nigdy nie będą dobre jako zaprzęg.

Z pełnym plecakiem na grzbiecie Morik zabrał Wulfgara na szlak. Dotarli w końcu do miejsca wychodzącego na szeroką przełęcz, jedyny prawdziwy szlak przez ten region Grzbietu Świata. Była to ta sama droga, której Wulfgar i jego dawni przyjaciele używali opuszczając Dolinę Lodowego Wichru. Na zachodzie była druga przełęcz, biegnąca przez Hundelstone, lecz ta trasa była krótsza, choć znacznie bardziej niebezpieczna.

– Wiele karawan przejedzie tędy przed zimą – wyjaśnił Morik. – Będą kierować się na północ z różnymi towarami i na południe z rzeźbami z kości jesiotra.

Bardziej z tym obeznany niż Morik mógłby w ogóle zrozumieć, Wulfgar jedynie przytaknął.

– Powinniśmy w nich ugodzić w obie strony – zasugerował łotrzyk. – Od tych jadących z

południa będziemy mieć zapasy, a od tych z północy pieniądze na przyszłość.

Wulfgar usiadł na płycie skalnej i popatrzył na północ wzdłuż przełęczy, za nią, do Doliny Lodowego Wichru. Znowu przypomniawszy mu się ostry kontrast pomiędzy jego przeszłością a teraźniejszością. Jakże to było ironiczne, że jego dawni przyjaciele polowali na rozbójników.

Wyobraził sobie Bruenora, ryczącego gdy szarżował w górę skalistego zbocza, zwinnego Drizzta przemykającego obok niego, z sejmikami w dłoniach. Guenhwyvar byłaby już nad nimi, odcinając drogę ucieczki. Morik zapewne uciekłby, a Catti-brie powaliłaby go jedną srebrzystą strzałą.

– Spoglądasz na tysiąc kilometrów dalej. O czym myślisz? – spytał Morik. Jak zwykle trzymał otwartą butelkę, z której zaczął już sączyć.

– Myślę, że muszę się napić – odparł Wulfgar, biorąc butelkę i podnosząc ją do warg. Wielki łyk, palący przez całą drogę do żołądka, pozwolił mu się trochę uspokoić, lecz wciąż nie mógł przyzwycząić się do swej obecnej sytuacji. Być może jego przyjaciele przyjdą tu za nim, jak on, Drizzt i Guenhwyvar, a za nimi pozostali, poszli za bandą gigantów, których podejrzewali o rozbój w Dolinie Lodowego Wichru.

Wulfgar wziął kolejny głęboki łyk. Nie podobała mu się perspektywa, że mogliby pójść na niego.

PRZYMUS

Obawiam się, że nie mogę czekać aż do wiosny – Meralda powiedziała nieśmiało do Feringala po kolacji pewnego wieczora w Zamku Auck. Na prośbę Meraldy para przechadzała się tym razem po brzegu morskim, zamiast swego zwyczajowego spaceru po ogrodzie.

Młody lord zatrzymał się szybko, kierując na Meraldę oczy większe niż kiedykolwiek u niego widziała.

– Fale – rzekł, pochylając się bliżej niej. – Obawiam się, że nie dosłyszałem cię dobrze.

– Powiedziałam, że nie mogę czekać aż do wiosny – powtórzyła Meralda. – To znaczy na ślub.

Uśmiech na twarzy Feringala rozlał się od ucha do ucha i wydawało się, jakby młodzieniec chciał wykonać skoczny płas. Chwycił delikatnie jej dłoń, podniósł ją do ust i pocałował.

– Czekałbym do końca świata, gdybyś tak rozkazała – powiedział szczerze. Ku swemu zaskoczeniu – czyż ten mężczyzna nie był zawsze pełen niespodzianek? – Meralda zauważyła, że mu wierzy. Nigdy jej nie zdradził.

Choć Meralda była podekscytowana, miała palące problemy.

– Nie, mój lordzie, nie będziesz długo czekał – odparła, zabierając dłoń i gładząc go po policzku. – Pewnie, że się cieszę, że byś na mnie zaczekał, ale sama nie mogę już czekać do wiosny z powodu własnych pragnień. – Przysunęła się i pocałowała go, po czym poczuła jak młodzieniec się wzrusza.

Feringal po raz pierwszy odsunął się od niej.

– Wiesz, że nie możemy – rzekł, choć wyraźnie go to zabolalo. – Dałem swoje słowo Temigastowi. Stosowność, moja miłości. Stosowność.

– A więc uczynić to stosownie, i to szybko – odparła Meralda, gładząc delikatnie policzek mężczyzny. Pomyślała, że Feringal może się przewrócić pod jej czułym dotykiem, przysunęła się więc bliżej i dodała dyszącym głosem: – Po prostu nie mogę się doczekać.

Feringal utracił swój słaby upór i otoczył ją ramionami, zatapiając ją w pocałunku.

Meralda nie chciała tego, ale wiedziała co musi zrobić. Obawiała się, że już minęło zbyt wiele

czasu. Młoda kobieta zaczęła ciągnąć mężczyznę na piasek obok siebie, stanowczo mając na myśli uwiedzenie go i skończenie z tym wszystkim, lecz od zamkowego muru dobiegło wołanie: przenikliwy głos Priscilli.

– Feri!

– Nie cierpię jak mnie tak nazywa! – Z wielkim wysiłkiem, młody lord odskoczył od Meraldy i przeklął pod nosem siostrę. – Czy nigdy przed nią nie ucieknę?

– Feri, czy to ty? – zawołała znów Priscilla.

– Tak, Priscillo – mężczyzna odparł z ledwo ukrywaną irytacją.

– Wracajcie do zamku – powiedziała kobieta. – Robi się ciemno, a Temigast mówi, że krążą pogłoski o złodziejach w okolicy. Woli, żebyście byli w obrębie murów.

Załamany Feringal popatrzył na Meraldę i potrząsnął głową.

– Musimy iść – rzekł.

– Nie mogę czekać aż do wiosny – kobieta powiedziała z desperacją.

– I nie będziesz – odrzekł lord Feringal – lecz zrobimy to stosownie, w zgodzie z etykietą. Przesunę dzień ślubu na przesilenie zimowe.

– Za długo – odparła Meralda.

– A więc na równonoc jesienną.

Meralda przemyślała kwestie czasowe. Do jesiennego równonocy było sześć tygodni, a ona była w ciąży już od ponad miesiąca. Na jej twarzy ukazał się smutek.

– Nie jestem w stanie jeszcze bardziej tego przesunąć – wyjaśnił lord Temigast. – Jak wiesz, Priscilla zajmuje się planowaniem i już wyje ze złości, gdy słyszy, że w ogóle chcę to przesunąć. Temigast pragnie, abyśmy zaczekali przynajmniej do przełomu roku, ale go przekonam, by było inaczej.

Mówił bardziej do siebie niż do Meraldy, tak więc pozwoliła mu trajkotać, pogrążając się we własnych myślach, gdy wracali do zamku. Wiedziała, że obawy mężczyzny o gniew jego siostry były zdecydowanie nie docenianiem jej. Priscilla będzie zbijać ich plany o zmianę terminu. Meralda była pewna, iż ma ona nadzieję, że wszystko to się rozleci.

I rzeczywiście rozleci się jeszcze przed ślubem, jeśli ktoś będzie podejrzewał, że nosi dziecko innego mężczyzny.

– Powinieneś wiedzieć, że lepiej nie wychodzić w nocy bez strażników – Priscilla złajała go, gdy weszli do foyer. – W okolicy są złodzieje.

Zmierzyła wzrokiem Meraldę, która знаła źródło gniewu Priscilli. Siostra Feringala nie obawiała się o złodziei. Raczej bała się tego, co mogło zajść między Feringalem i Meralda, co niemal zaszło między nimi na plaży.

– Złodzieje? – Feringal odparł chichocząc. – W Auckney nie ma złodziei. Nie mieliśmy tu kłopotów od wielu lat, odkąd zostałem lordem.

– A więc mamy zaległości – Priscilla odrzekła cierpko. – Czy chciałbyś, aby pierwsza napaść w Auckney od lat miała miejsce na lorda i jego przyszłą żonę? Czy nie masz poczucia odpowiedzialności za kobietę, którą podobno kochasz?

To sprawiło, że Feringala zatkało. Wydawało się, że Priscilla zawsze była w stanie zrobić to za pomocą zaledwie kilku słów. Meralda zanotowała sobie w myślach, by zaradzić coś na tę sytuację zaraz jak tylko będzie dysponować odrobiną władzy.

– To była moja wina – wtrąciła się Meralda, wchodząc między rodzeństwo. – Często spaceruję nocą, to moja ulubiona pora.

– Nie jesteś już zwykłą wieśniaczką – Priscilla złajała ją bezceremonialnie. – Musisz rozumieć odpowiedzialność, jaka towarzyszy twemu wstąpieniu do rodziny.

– Tak, pani Priscillo – odparła Meralda, wykonując grzeczne dygnięcie i pochylając głowę.

– Jeśli życzysz sobie spacerować nocą, rób to w ogrodzie – dodała Priscilla, lecz trochę łagodniejszym tonem.

Meralda, z wciąż pochyloną głową, by Priscilla nie mogła widzieć jej twarzy, uśmiechnęła się porozumiewawczo. Zaczynała rozumieć jak zyskać sobie jej względy. Priscilla lubiła hardych, nie zgodnych i pokornych.

Priscilla odwróciła się, by wyjść, wydając z siebie gniewne prychnięcie.

– Mamy wieści – lord Feringal powiedział nagle, zatrzymując jaw ten sposób. Meralda podniosła raptownie głowę, z twarzą czerwoną z zaskoczenia i sporej złości. Chciała, by zakrztusił się jej słowami. Nie była to odpowiednia chwila na takie oświadczenie.

– Zdecydowaliśmy, że nie możemy czekać aż do wiosny, by się pobrać – ciągnął nieświadomy tego Feringal. – Dniem ślubu będzie dzień równonocy jesiennej.

Jak można było się spodziewać, twarz Priscilli zrobiła się jaskrawoczerwona. Najwyraźniej potrzebowała całej swej siły woli, by powstrzymać się od drżenia.

– Istotnie – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – A czy podzielicie się już tymi wieściami z zarządcą Temigastem?

– Jesteś pierwsza – rzekł Feringal. – Z grzeczności i dlatego, że dokonujesz przygotowań do ślubu.

– Istotnie – Priscilla powtórzyła ze złością w głosie. – Powiedz mu, Feri – poprosiła. – Jest w bibliotece. Zajmę się tym, by odwieziono Meraldę do domu.

To sprawiło, że lord Feringal pospieszył z powrotem do Meraldy.

– Już nie tak długo, moja miłości – powiedział, delikatnie całując jej palce, po czym wyszedł energicznie, by odnaleźć zarządcę.

– Co tam z nim zrobiłaś? – Priscilla warknęła na Meraldę, zaraz gdy jej brat opuścił komnatę.

– Zrobiłam? – wyduła wargi Meralda.

– Użyłaś swoich, hmm, wdzięków, by na niego wpłynąć, czyż nie?

Meralda roześmiała się głośno z wysiłków Priscilli, by uniknąć potocznego słownictwa, a Priscilla z pewnością nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Być może winnam była – odparła. – Uspokoić bestię, jak to nazywamy. Lecz nie, nie zrobiłam tego. Kocham go, wiesz o tym, ale matka nie wychowała mnie na zdzirę. Twój brat ma mnie poślubić, więc zaczekamy. Do jesiennej równonocy, zgodnie z jego własnymi słowami.

Priscilla zmrużyła groźnie oczy.

– Nienawidzisz mnie za to – Meralda oskarżyła ją bez ogródek. Priscilla nie była na to przygotowana. Jej oczy rozszerzyły się i cofnęła się o krok. – Nienawidzisz mnie za to, że zabieram twego brata i zakłócam życie, jakie sobie zorganizowałaś, lecz uważam to za trochę samolubne, jeśli tak mogę powiedzieć. Twój brat kocha mnie, a ja jego, tak więc zamierzamy się pobrać, z twoim błogosławieństwem czy bez niego.

– Jak śmiesz...

– Śmiem mówić prawdę – przerwał Meralda, zdumiona własną śmiałością, lecz wiedziała, że nie może się już cofnąć. – Moja mama nie przeżyje zimy w naszym zamierzającym domu, a ja nie pozwolę jej umrzeć. Nie dla dobra tego, co stosowne i nie dla twoich kłopotów. Wiem, że zajmujesz się organizacją, tak więc jestem ci wdzięczna, lecz zrób to szybciej.

– A więc o to w tym wszystkim chodzi? – spytała Priscilla, sądząc, że trafiła tu na słaby punkt. – O twoją matkę?

– O twojego brata – odparła Meralda, prostując się i wyrównując ramiona. – O Feringala, a nie o Priscillę, dlatego więc tak się tym przejmujesz.

Priscilla była tak wyczerpana nerwowo i zaskoczona, że nie mogła nawet wydobyć z ust żadnego argumentu. Spłoniona, odwróciła się i uciekła, zostawiając Meraldę samą w foyer.

Młoda kobieta spędziła chwilę zastanawiając się nad własnymi słowami, ledwo mogąc uwierzyć, że dotrzymała pola Priscilli. Rozważyła swój następny krok i uznała, że roztropnie będzie odejść. Gdy wróciła z Feringalem, zauważyła przed wejściem Liama z powozem, poszła więc do niego i poprosiła go, by zabrał ją do domu.

* * *

Obserwował jak powóz jedzie drogą z zamku, jak robił za każdym razem, gdy Meralda wracała z kolejnego ze swych spotkań z lordem Auckney.

Jaka Sculi nie wiedział, co począć z własnymi uczuciami. Wciąż wracał myślami do chwili, w której Meralda powiedziała mu o dziecku, ich dziecku. Odtrącił ją, pozwalając opaść swej tarczy i odsłaniając tym samym wyraźnie na swej twarzy odczuwane szczere uczucia. Teraz to była dla niego kara, obserwowanie jak wraca drogą z Zamku Auck, od niego.

Co innego Jaka mógł zrobić? Z pewnością nie chciał życia, jakie proponowała Meralda. Co to to nie! Myśl o poślubieniu jej, o tym jak staje się tłusta i brzydka, o wrzeszczącym dziecku, przerażała go, lecz chyba nie tak, jak myśl o tym, że ma ją lord Feringal.

Tak właśnie było, Jaka teraz to rozumiał, choć uświadomienie sobie tego wszystkiego niewiele zmieniło w tym, co odczuwał w sercu. Nie mógł znieść myśli, że Meralda mu się odda, albo że lord Feringal będzie wychowywał dziecko Jaki, jakby było jego własnym. Czuł się, jakby mężczyzna bezpośrednio go okradał, jak każdy lord w każdym miasteczku robił ze swymi wieśniakami w subtelniejszy sposób. Tak, oni zawsze brali od wieśniaków, od uczciwego ludu, jak Jaka. Sami żyli w luksusach, podczas gdy uczciwy lud, jak Jaka, łamał sobie paznokcie w brudzie i jadł zepsutą żywność. Brali wybrane przez siebie kobiety, nie oferując sobą nic z charakteru, jedynie bogactwo, z którym taki chłop jak Jaka nie mógł konkurować. Feringal zabrał jego kobietę, a teraz weźmie także jego dziecko.

Trzęsąc się z wściekłości, Jaka impulsywnie zbiegł na drogę wymachując rękoma, żądając by powóz się zatrzymał.

– Precz! – Liam Woodgate zawołał z góry, nawet trochę nie zwalniając.

– Muszę porozmawiać z Meraldą – krzyknął Jaka. – Chodzi o jej mamę.

To sprawiło, że Liam zwolnił powóz na tyle, by móc zerknąć w dół i dowiedzieć się, co myśli Meraldą. Młoda kobieta wystawiła głowę przez okno powozu, by poznać źródło zamieszania. Zauważywszy wyraźnie poruszonego Jakę zbladła, lecz nie cofnęła się.

– Chce, bym się zatrzymał, aby mógł z tobą porozmawiać. Coś z twoją mamą – wyjaśnił woźnica.

Meraldą przyjrzała się ostrożnie Jace.

– Porozmawiam z nim – zgodziła się. – Możesz się tu zatrzymać i mnie wysadzić, Liamie.

– Wciąż ponad kilometr do twego domu – zauważył gnomi woźnica, niezbyt zadowolony z zakłóceń. – Mogę tam zabrać was oboje – zaproponował.

Meraldą podziękowała mu i odmachnęła.

– Tyle spokojnie przejdę – odpowiedziała i wyszła przez drzwiczki, zanim powóz w ogóle przestał się toczyć, zostając sama na ciemnej drodze z Jaką.

– Jesteś głupcem, że tu przychodzisz – Meraldą zaczęła łajać zaraz, gdy Liam zawrócił powóz i odjechał. – O co ci chodzi?

– Nie miałem wyboru – odparł Jaka, podchodząc, by ją objąć. Odepchnęła go.

– Wiesz, co noszę – ciągnęła kobieta – i wkrótce będzie też wiedział lord Feringal. Jeśli zestawisz cię razem z moim dzieckiem, zabije nas oboje.

– Nie boję się go – powiedział Jaka, zbliżając się do niej. – Wiem tylko o tym, co czuję, Meraldo. Nie miałem wyboru, musiałem dzisiaj do ciebie przyjść.

– Wystarczająco wyraźnie pokazałeś swoje uczucia – kobieta odrzekła chłodno.

– Jakim byłem głupcem – zaprotestował Jaka. – Musisz zrozumieć, jakim szokiem była dla mnie ta wiadomość, lecz teraz już to przemogłem. Przebacz mi, Meraldo. Nie mogę żyć bez twojego miłosierdzia.

Meralda zamknęła oczy, a jej ciało chwiało się, gdy próbowała to wszystko przetrwać.

– O co ci chodzi, Jako Sculi? – znów spytała cicho. – Gdzie twoje serce?

– Z tobą – odpowiedział cicho, podchodząc bliżej.

– I? – ponagliła, otwierając oczy, by popatrzeć na niego stanowczo. Wydawał się nie rozumieć. – Zapomniałeś więc już o tym małym? – spytała.

– Nie – wypalił, chwytając. – Kocham także dziecko, oczywiście.

Meralda odkryła, że mu nie wierzy, a jej mina mu o tym powiedziała.

– Meraldo – powiedział, ujmując jej dłonie i potrząsając głową. – Nie mogę znieść myśli, że lord Feringal będzie wychowywał moje... nasze dziecko jako własne.

Zła odpowiedź. Wszystkie zmysły Meraldy, jej oczy wciąż szeroko otwarte od jej poprzedniego spotkania z tym chłopcem, wywrzaski wały jej prawdę. Nie chodziło tu o jego miłość do dziecka, czy nawet o jego miłość do niej. Nie, uświadomiła sobie, Jaka nie był zdolny do takich uczuć. Był tutaj teraz, błagając o jej miłość, ponieważ nie mógł znieść myśli o porażce z lordem Feringalem.

Meralda wzięła długi i uspokajający oddech. Oto stał tu mężczyzna, którego jak sądziła kochała, mówiąc jej wszystkie te rzeczy, które niegdyś pragnęła słyszeć. Oboje byliby teraz w połowie drogi do Luskan, gdyby Jaka obrał tę drogę, gdy do niego przyszła. Meralda Ganderlay była teraz mądrzejszą kobietą, kobietą myślącą o tym, co dobre dla niej i dla jej dziecka. Jaka nigdy nie dałby im dobrego życia. W swym sercu wiedziała, że niedługo zacząłby gardzić nią i dzieckiem, gdy pułapka biedy pochwyciłaby ich w swój nieunikniony potrzask. Była to rywalizacja, nie miłość. Meralda zasługiwała na więcej.

– Odejdź – powiedziała do Jaki. – Odejdź daleko i nie wracaj. Mężczyzna stał jak rażony piorunem.

– Ale...

– Nie możesz mi dać żadnych odpowiedzi, w które bym uwierzyła – ciągnęła kobieta. – Nie ma dla nas życia, które uczyniłoby cię szczęśliwym.

– Mylisz się.

– Nie, nie myślę się, i ty również o tym wiesz – rzekła Meralda. – Mieliśmy swoją chwilę i będzie mi ona droga przez całą resztę mego życia. Kolejna chwila ukazała prawdę o tym wszystkim. Nie masz w swoim życiu miejsca dla mnie ani dla tego dziecka. Nigdy nie będziesz miał. – Tak naprawdę chciała mu powiedzieć, by odszedł i dorósł, lecz nie musiał tego od niej słyszeć.

– Oczekujesz, że będę stał cicho i patrzył jak lord Feringal... Meralda przerwała mu zakrywając dłońmi uszy.

– Każde słowo, które wypowiadasz pozbawia mnie dobrych wspomnień. Ujawniłeś przede mną swoje serce.

– Byłem głupcem – błagał Jaka.

– I wciąż nim jesteś – powiedziała chłodno Meralda. Odwróciła się i odeszła.

Jaka wołał za nią, a jego krzyki przeszywały ją równie skutecznie jak strzały, lecz szła dalej i nie oglądała się za siebie, na każdym kroku przypominając sobie prawdę o tym mężczyźnie, o tym chłopcu. Zaczęła biec i nie zatrzymała się, dopóki nie dotarła do domu.

We wspólnym pokoju paliła się samotna świeca. Ku jej uldze, rodzice i Tori spali, co było dla niej litościwą wiadomością, ponieważ nie chciała chwilowo z nikim rozmawiać. W końcu rozwikłała swe uczucia wobec Jaki, mogła zaakceptować ból utraty. Starła się mocno pamiętać o nocy pełnej namiętności, a nie o rozczarowaniach, które po niej nastąpiły, lecz owe rozczarowania, ujawniające, kim naprawdę był ten chłopiec, były szorstką rzeczywistością, nie fantazjami młodych kochanków. Naprawdę chciała, by odszedł.

Meralda wiedziała, że miała inny, bardziej palący problem. Jesienna równonoc była zbyt daleko, lecz rozumiała, że nigdy nie przekona lorda Feringala, nie mówiąc już o Priscilli i Temigaście, by jeszcze bardziej przesunąć ślub.

Być może nie będzie musiała, uznała, gdy przyszedł jej pomysł. Lenno wybaczyłoby im, gdyby pobrali się jesienią i w jakiś sposób ujawniłoby się, że wcześniej się kochali. Auckney było pełne „siedmiomiesięcznych dzieci”

Leżąc w swym ciemnym pokoju, Meralda pokiwała głową, wiedząc, co musi zrobić. Znow wwidzie Feringala i to szybko. Znała jego pragnienia i wiedziała, że może rozpalić je w płomień zwykłym pocałunkiem czy dotykiem.

Uśmiech Meraldy rozpląnął się niemal natychmiast. Nienawidziła siebie za samą myśl o czymś takim. Gdyby szybko uwiodła Feringala, uznałby dziecko za swe własne, co byłoby kłamstwem najgorszym ze wszystkich, dla Feringala i dla dziecka.

Nienawidziła tego planu i siebie za obmyślenie go, lecz gdy w drugim pokoju jej matka zakaszłała, Meralda wiedziała już, co musi zrobić.

MIEĆ DO TEGO SERCE

– Nasi pierwsi klienci – oznajmił Morik. Wraz z Wulfgarem stali na wysokiej grani wychodzącej na przełęcz do Doliny Lodowego Wichru. Szlakiem toczyły się dwa wozy, kierując się do wyłomu w górach, w tempie miarowym, choć nie pospiesznym.

– Podróźni czy kupcy? – spytał Wulfgar, nieprzekonany.

– Kupcy i to z bogactwem na pokładzie – odparł łotrzyk. – Zdradza ich tempo, a brak strażników zaprasza nas.

Wydawało się Wulfgarowi głupie, że kupcy podejmowaliby tak niebezpieczną wyprawę bez ciężkiej eskorty żołnierzy, lecz nie wątpił w słowa Morika. Podczas jego ostatniej podróży z doliny u boku byłych przyjaciół również natknęli się na samotny kupiecki wóz bez ochrony.

– Zaskoczony? – zapytał Morik, zauważając jego minę.

– Idioci zawsze mnie zaskakują – odrzekł Wulfgar.

– Nie mogą sobie pozwolić na strażników – wyjaśnił Morik. – Zresztą niewielu zapuszczających się do Doliny Lodowego Wichru może, a ci którzy mogą zwykle wybierają bezpieczniejszą, zachodnią przełęcz. To są drobni kupcy, sam widzisz, handlowe mizeroty. Polegają głównie na szczęściu, zarówno w znajdowaniu zdolnych wojowników szukających środka transportu, jak i otwartego szlaku.

– To wydaje się zbyt łatwe.

– To jest łatwe! – Morik odparł entuzjastycznie. – Rozumiesz oczywiście, że robimy tej karawanie przysługę.

Wulfgar nie wyglądał na przekonanego.

– Pomyśl o tym – nalegał łotrzyk. – Gdybyśmy nie zabili gigantów, na tych kupców spadłyby zapewne głazy – wytłumaczył Morik. – Nie tylko zostaliby pozbawieni bogactwa, lecz ich kości zostałyby także pozbawione skóry w kotle gigantów. – Wyszczrzył zęby. – Nie obawiaj się więc, mój wielki przyjacielu – ciągnął. – Chcemy jedynie ich pieniędzy, co jest uczciwą zapłatą za pracę, którą dla nich wykonaliśmy.

Było to dziwne, ale dla Wulfgara miało sens. W tym sensie praca, o której mówił Morik nie różniła się od tego, co Wulfgar robił przez wiele lat z Drizztem i pozostałymi, sprowadzał sprawiedliwość w dzicz. Różnica polegała na tym, że wcześniej nie prosił o zapłatę, co Morik wyraźnie zamierzał teraz uczynić.

– Najłatwiej będzie pokazać im naszą siłę nie angażując się w walkę – wyjaśnił łotrzyk. – Zażądać daniny jako zapłaty za nasze wysiłki, jakichś zapasów i być może trochę złota, po czym puścić ich w dalszą drogę. Przy jedynie dwóch wozach i bez żadnych widocznych strażników możemy jednak całkowicie ich sprzątnąć, co będzie niezłym łupem, jeśli zrobimy to odpowiednio i bez świadków. – Jego uśmiech, gdy przedstawiał tę drugą ewentualność zniknął, gdy zauważył zmarszczone brwi Wulfgara.

– A więc danina, nic więcej – Morik zgodził się na kompromis. – Odpowiednia zapłata za naszą pracę na drodze.

Nawet to nie odpowiadało zbyt barbarzyńcy, lecz pokiwał głową zgadzając się.

Wybrał fragment szlaku zasłany kamieniami, gdzie wozy będą musiały znacznie zwolnić, inaczej naraziłyby się na utratę koła bądź konia. Samotne drzewo po lewej stronie drogi zapewniało Wulfgarowi podporę jakiej będzie potrzebował, by przeprowadzić swą część ataku, jeśli do tego dojdzie.

Morik czekał na widoku obok szlaku, gdy dotoczyły się tam dwa wozy.

– Witajcie! – zawołał, wychodząc na środek drogi, z podniesionymi wysoko rękoma. Morik skurczył się trochę, widząc że mężczyzna na koźle obok woźnicy unosi w jego stronę sporą kuszę. Mimo to nie mógł się za bardzo wycofać, chciał bowiem, by wóz zatrzymał się w określonym miejscu.

– Z drogi albo położę cię trupem! – wrzasnął kusznik.

W odpowiedzi Morik pochylił się i podniósł w górę wielką głowę, głowę zabitego giganta.

– To nie byłoby wskazane – odparł – zarówno moralnie, jak i fizycznie.

Wóz przestał się toczyć, zmuszając do zatrzymania również ten z tyłu.

Morik wykorzystał swą stopę, niemal naciągając tym ruchem kolano, by wysunąć zza kamienia drugą odciętą głowę.

– Z radością informuję was, że szlak przed wami jest czysty.

– Więc z drogi – odparł woźnica z pierwszego wozu – inaczej on cię zastrzeli, a ja przejadę po twoich flakach.

Morik zachichotał i odsunął worek, jaki położył na szlaku, odsłaniając trzecią gigantyczną głowę. Pomimo ich brawury ujrzał, że widzowie tego spektaklu byli pod sporym wrażeniem – i bali się. Nie można było lekceważyć nikogo, kto był w stanie pokonać trzech gigantów.

– Moi przyjaciele i ja pracowaliśmy ciężko cały tydzień, by oczyścić szlak – wyjaśnił Morik.

– Przyjaciele?

– Myślicie, że zrobiłem to sam? – Morik powiedział ze śmiechem. – Schlebiasz mi. Nie, miałem pomoc wielu przyjaciół. – Morik rzucił spojrzeniem na skaliste wyniesienia nad przełęczą, jakby potwierdzał swych niezliczonych „przyjaciół” – Musicie im wybaczyć, są bardzo wstydliwi.

– Jechać dalej! – dobiegł krzyk z wozu, a dwaj mężczyźni na koźle popatrzyli po sobie.

– Twoi przyjaciele chowają się jak złodzieje – woźnica wrzasnął do Morika. – Oczyszczyć drogę.

– Złodzieje? – Morik powtórzył z niedowierzaniem. – Już byłbyś martwy, zgnieciony na placek pod głazem giganta, gdyby nie my.

Drzwi wozu otworzyły się ze skrzypieniem i wychylił się z nich starszy mężczyzna, stojący z jedną nogą w środku, a drugą na stopniu.

– Żądasz zapłaty za swe czyny – zauważył, wyraźnie znając aż nazbyt dobrze tę taktykę (podobnie jak większość kupców na północnych połaciach Faerunu).

– Żądasz to takie paskudne słowo – odrzekł Morik.

– Paskudne jak twoja gierka, mały złodzieju – odparł kupiec. Morik zmrużył groźnie oczy i zerknął wymownie na trzy wielkie głowy.

– A więc dobrze – stwierdził kupiec. – Jaka jest cena za twoje bohaterstwo?

– Potrzebujemy zapasów, aby móc utrzymywać straż i tę przełęcz bezpieczną – Morik wyjaśnił rozsądnie. – I być może trochę złota, w nagrodę za nasze wysiłki. – Tym razem to kupiec się skrzywił. – Aby zapłacić wdowom po tych, którzy nie przeżyli naszego najazdu na klan gigantów – zaimprovizował Morik.

– Ciężko nazwać trzech klanem – kupiec odparł cierpko – lecz nie umniejszam waszych wysiłków. Oferuję tobie oraz twoim ukrywającym się przyjaciołom dobry posiłek, a jeśli zgodzicie się towarzyszyć nam do Luskan jako strażnicy, zapłacę każdemu z was sztukę złota na dzień – dodał kupiec, dumny ze swej szczodrości i wyraźnie zadowolony z siebie, iż obrócił sytuację na swą korzyść.

Oczy Morika zmrużyły się na tę słabą ofertę.

– Nie mamy zamiaru wracać teraz do Luskan.

– Więc zabierz jedzenie i ciesz się nim – dobiegła szorstka odpowiedź.

– Idiota – Morik stwierdził pod nosem. Na głos zaś skontrolował ofertę kupca: – Nie zaakceptujemy mniej niż pięćdziesiąt sztuk złota i wystarczającej ilości jedzenia na trzy dobre posiłki dla siedmiu mężczyzn.

Kupiec roześmiał się.

– Zaakceptujecie naszą ochotę, by pozwolić wam ujść z życiem – powiedział. Strzelił palcami i z drugiego wozu wyskoczyło dwóch mężczyzn, z wyciągniętymi mieczami. Woźnica z tego wozu również wyciągnął swój.

– A teraz precz! – skończył i zniknął w środku. – Rozjedź go! – krzyknął do woźnicy.

– Idioci! – wrzasnął Morik, jako wskazówka dla Wulfgara.

Woźnica zawahał się i to był jego błąd. Trzymając koniec grubej liny, Wulfgar wyskoczył ze swego ukrycia w głązach po lewej stronie i wpadł w ruch wahadłowy, wydając z siebie mrozące krew w żyłach wycie. Kusznik obrócił się i wystrzelił, lecz sporo chybił. Wulfgar wpadł z pełną szybkością, puszczając linę i zamachując się swymi wielkimi ramionami, by zgarnąć zarówno kusznika, jak i woźnicę z kozła, lądując na nich po drugiej stronie. Cios łokciem w twarz rozłożył woźnicę. Odwracając zamach, Wulfgar uderzył kusznika w szczękę, z pewnością ją łamiąc, gdyż trysnęła krew.

Trzech mieczników wyskoczyło z drugiego wozu – dwóch obiegiło pierwszy wóz z lewej strony, a trzeci natarł z prawej. Morik udał się na prawo, z drugim i wąskim mieczem w jednej dłoni oraz sztyletem w drugiej, przejmując przeciwnika, zanim zdołał zbliżyć się do Wulfgara.

Miecznik rzucił się na łotrzyka w bezpośredni sposób. Morik wysunął miecz obok wykonującej pchnięcie klingi, lecz zatoczył nim koło, nie dopuszczając do zwarcia. Postąpił o krok, przekładając sztylet nad mieczem mężczyzny i odsuwając go nieszkodliwie na bok, jednocześnie kontrując pchnięciem własnym mieczem, kierując się do gardła mężczyzny. Był już trupem, a raczej byłby nim, tyle że ręka Morika została zatrzymana równie pewnie, jak gdyby starał się przebić swym mieczem litą skałę.

– Co ty robisz? – zażądał odpowiedzi od Wulfgara, gdy barbarzyńca postąpił o krok i grzmotnął strażnika, niemal tracąc ucho pod uderzającym mieczem i sztyletem. Mężczyzna podniósł wolną rękę do bloku, lecz ciężki cios Wulfgara przebił się przez jego obronę, posyłając swoją pięść oraz rękę mężczyzny w jego twarz i odtrącając w tył. To zwycięstwo było jednak krótkotrwałe.

Choć chwiał się po ciosie łokciem Wulfgara, woźnica znów stał na nogach z klingą w dłoni. Co gorsza, pozostali dwaj miecznicy znaleźli silne pozycje, jeden na kozle, a drugi przed wozem. Gdyby

to nie było wystarczająco złe, z drzwi wypadł kupiec, z różdżką w dłoni.

– Teraz my jesteśmy idiotami! – Morik wrzasnął do Wulfgara, przeklinając i wywijając się przed atakiem miecznika na koźle. Z manewru pchnięcia i cięcia mężczyzny Morik zorientował się, iż nie był on nowicjuszem w walce.

Wulfgar ruszył na kupca. Nagle leciał do tyłu, włosy stały mu dęba, a serce miało się szaleńczo.

– A więc to robi ta różdżka – Morik stwierdził po rozbłysku. – Nienawidzę czarodziejów.

Zaatakował miecznika, który odbił jego pierwszą próbę szybkiego zabójstwa okrężnym parowaniem, które niemal pozbawiło łotryka równowagi.

– Wracaj szybko! – Morik zawołał do Wulfgara, po czym uchylił się i pchnął szaleńczo swym mieczem, gdy miecznik z kozła zeskoczył na zaprzęg i dźgnął w jego głowę.

Woźnica rzucił się na Wulfgara, podobnie jak mężczyzna, którego właśnie uderzył, a barbarzyńca szybko starał się ściągnąć młot z pleców. Ruszył na spotkanie szarży woźnicy, lecz zatrzymał się szybko i odwrócił chwyt oraz kierunek, ciskając zamiast tego młotem w stronę kupca, nie miał bowiem zamiaru wchłonąć kolejnej błyskawicy.

Młot idealnie trafił w cel, nie w kupca, lecz w drzwi wozu, przytrzaszkując nimi rękę mężczyzny, akurat gdy zamierzał wyzwolić kolejny ładunek. Wystrzelił jednak, a syczący pocisk ledwo co chybił drugiego mężczyznę nacierającego na Wulfgara.

– Wszyscy do ataku! – zawołał Morik, spoglądając na skaliste urwisko po lewej. Błef ten sprawił, że zaledwie na chwilę, jego przeciwnicy odwrócili głowy. Gdy obrócili je z powrotem, łotryk był już w pełnym odwrocie, a Morik potrafił naprawdę, szybko biegać, gdy zagrożone było jego życie.

Woźnica podchodził z wahaniem, szanując siłę Wulfgara. Drugi mężczyzna szarżował jednak bezpośrednio, dopóki barbarzyńca nie obrócił się w jego stronę ze skokiem i wielkim rykiem. Wulfgar niemal natychmiast odwrócił kierunek, idąc z powrotem na woźnicę, zaskakując mężczyznę swą niezwykłą zwinnością. Przyjął piekące cięcie w rękę w zamian za pochwycenie dłoni z bronią mężczyzny. Przyciągnąwszy go blisko silnym pociągnięciem, Wulfgar pochylił się nisko, złapał wolną dłonią za pas mężczyzny i uniósł szamoczącego się głupca wysoko w powietrze. Obrót i rzut cisnęły woźnicę mocno w jego szarżującego towarzysza.

Wulfgar przystanął, zauważając Morika pomykającego w pełnym odwrocie. Był to rozsądny wybór, zważywszy na tok walki, lecz krew barbarzyńcy gotowała się. Odwrócił się z powrotem do wozów i dwóch mieczników, akurat by oberwać kolejną błyskawicą. Dzięki swym długim nogom Wulfgar minął Morika pięćdziesiąt metrów w górę kamienistego wzniesienia.

Kolejny pocisk uderzył blisko pary, rozbijając kamienie. Niedługo potem dołączył do niego belt z

kuszy, w towarzystwie szyderstw i gróźb, lecz nie było pościgu i wkrótce wbiegli wysoko na stok. Gdy ośmielili się zatrzymać i złapać oddech, Wulfgar popatrzył na dwa cięcia na swej tunice, potrząsając głową.

– Zwyciężylibyśmy, gdybyś ruszył prosto na kupca po tym, jak zrzuciłeś woźnicę i kusznika, jak planowaliśmy – łajał Morik.

– A ty poderznąłbyś temu mężczyźnie gardło – zaatakował Wulfgar.

Morik skrzywił się.

– I co z tego? Jeśli nie masz serca do takiego życia, to dlaczego tu jesteśmy?

– Ponieważ postanowiłeś dobić targu z mordercami w Luskan – przypomniał mu Wulfgar i wymienili lodowate spojrzenia.

Morik położył dłoń na swej klindze, sądząc że wielki mężczyzna może go zaatakować.

Wulfgar właśnie o tym pomyślał.

Do jaskini wrócili oddzielnie. Morik wyprzedził go i zaczął wchodzić do środka. Wulfgar zmienił zdanie i został na zewnątrz, podchodząc do małego pobliskiego strumienia, w którym mógłby lepiej obmyć rany. Zauważył, że nie jest zbyt mocno oparzony na piersi, tylko włosy spaliły mu się od tego, co było uderzeniem drobnej błyskawicy. Rana na barku otworzyła się jednak dość poważnie i dopiero wtedy, po zdjęciu ciężkiej tuniki, barbarzyńca zrozumiał, ile krwi stracił.

Morik znalazł go kilka godzin później, zemdlonego na płaskim głazie. Otrzeźwił barbarzyńcę kuksańcem.

– Nie spisaliśmy się dobrze – łotrzyk stwierdził, trzymając dwie butelki – jednak żyjemy i to jest powód do świętowania.

– Potrzebujemy powodu? – odparł Wulfgar, nie uśmiechając się i odwrócił wzrok.

– Pierwsze ataki są zawsze katastrofalne – Morik wyjaśnił rozsądnie. – Musimy przyzwyczać się nawzajem do naszych stylów walki, to wszystko.

Wulfgar rozważył te słowa w świetle swych własnych doświadczeń, w świetle pierwszej prawdziwej walki, w jakiej brał udział wraz z Drizztem. Owszem, w pewnej chwili niemal powalił drowa nisko ciśniętym Aegis-fangiem, lecz od tego momentu rozpoczęła się jego symbioza z Drizztem, więź serca, która doprowadziła ich do więzi w taktyce. Czy mógł powiedzieć to samo o Moriku? Czy kiedykolwiek będzie mógł?

Wulfgar popatrzył z powrotem na łotrzyka, który uśmiechał się i podawał butelki z mocnym

trunkiem. Tak, dojdzie do porozumienia z Morikiem. Staną się niczym serce i dusza. Być może to właśnie najbardziej dręczyło Wulfgara.

– Przeszłość już nie istnieje, a przyszłość jeszcze nie istnieje – stwierdził Morik. – Żyj więc teraźniejszością i ciesz się nią, mój przyjacielu. Ciesz się każdą chwilą.

Wulfgar rozważył te słowa, powszechną mantrę dla wielu żyjących z dnia na dzień na ulicy. Wziął butelkę.

SZANSA

– Nie mamy wiele czasu! Co na siebie włożę? – Biaste Ganderlay załkała, gdy Meralda powiedziała jej, że ślub przesunięto na równonoc jesienną.

– Jeśli mamy na siebie włożyć cokolwiek więcej niż marny, lord Feringal to przyśle – rzekł Dohni Ganderlay, klepiąc kobietę po ramieniu. Rzucił Meraldzie spojrzenie pełne dumy, a głównie uznania, ona zaś wiedziała, iż rozumiał, jaką czyniła tu ofiarę.

Jakże ta mina zmieniłaby się, zastanawiała się, gdyby ojciec dowiedział się o dziecku w jej brzuchu?

Pomimo tych myśli zmusiła się do słabego uśmiechu w odpowiedzi i poszła do swego pokoju, by się ubrać. Liam Woodgate przybył wcześniej, by poinformować Meraldę, iż lord Feringal zaaranżował jej tego samego dnia, tylko później, spotkanie z szwaczką mieszkającą na samym zachodnim skraju Auckney, jakieś dwie godziny jazdy stąd.

– Żadnych pożyczonych sukien na ten wielki dzień – oznajmił Liam. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, bym tak powiedział, Biaste, twoja córka naprawdę będzie najpiękniejszą panną młodą jaką kiedykolwiek widziało Auckney.

Jakże twarz Biaste pojaśniała, a oczy zaiskrzyły! Co dziwne, to również zabolalo Meraldę, ponieważ choć wiedziała, że robi dla swej rodziny to co słuszne, nie mogła sobie wybaczyć głupoty wobec Jaki. Teraz musiała uwieść lorda Feringala, i to szybko, być może jeszcze tej nocy. Przy przełożonym ślubie mogła jedynie mieć nadzieję, że inni, głównie Priscilla i Temigast, wybaczą jej poczęcie dziecka przed oficjalną ceremonią. Najgorsze ze wszystkiego było to, że Meralda będzie musiała zabrać prawdę o swym dziecku ze sobą do grobu.

Za jaką nędzną istotę uważała się w tej chwili. Madam Prinkle, szwaczka ceniona w całej okolicy, bez wątpienia zrobi jej najpiękniejszą suknię, ozdobioną klejnotami, z drogich, barwnych tkanin, lecz wątpiła, czy będzie potrafiła do niej dopasować jaśniejącą twarz.

Meralda umyła się i ubrała, zjadła drobny posiłek i była cała w uśmiechach, gdy Liam Woodgate po nią wrócił. Usiadła z łokciem opartym o parapet, wpatrując się w przetaczający się za oknem krajobraz. Mężczyźni i gnomy pracowali na wysokich polach, lecz ani nie zauważyła, ani nie wypatrywała pośród nich Jaki Sculiego. Domy robiły się coraz rzadsze, dopóki tylko okazyjna chałupa nie pstrzyła skalistej okolicy. Powóz przejechał przez mały lasek, w którym Liam zatrzymał się na chwilę, by odpocząć i napić konie.

Wkrótce znów ruszyli, pozostawiając mały zagajnik i podróżując ponownie przez skalisty teren. Po prawej stronie Meraldy było morze. Po pomocnej stronie ścieżki wznosiły się strome skalne klify, niektóre schodziły na skraj morza tak, że Meralda zastanawiała się, jak Liam przejedzie tam powozem.

Zastanawiała się również, jak jakaś kobieta może żyć tu sama. Meralda uznała, że zapyta o to Liama później. Na razie wysłedziła posterunek, kamienną fortecę nad którą powiewała flaga lorda Feringala. Dopiero wtedy zaczęła doceniać potęgę lorda Auckney. Wolno posuwający się powóz przejechał ledwie piętnaście kilometrów, lecz wydawało się jakby przejechali pół świata. Z jakiegoś powodu, którego nie była w stanie zrozumieć, widok sztandaru Feringala w tym odległym regionie sprawił, że Meralda poczuła się lepiej, jakby potężny lord Feringal Auck mógł ją obronić.

Jej uśmiech zniknął szybko, gdy przypomniała sobie, że będzie ją chronił tylko wtedy, gdy zostanie okłamany.

Kobieta zapadła się z powrotem w siedzenie, westchnęła i pogładziła po wciąż płaskim brzuchu, jakby spodziewała się, że w tej chwili dziecko ją kopnie.

* * *

– Flaga wisi, więc w środku są żołnierze – stwierdził Wulfgar.

– I w środku zostaną – odpowiedział Morik. – Żołnierze rzadko opuszczają zacisze swych kamieni, nawet jeśli się ich wzywa. Ich czujka, nawet jeśli takowego mają, bardziej przejmują się tymi, którzy atakują twierdzę, a nie czymkolwiek na drodze. Poza tym w takiej oddali od jakichkolwiek miasteczek, które mogłyby ich utrzymywać, nie może ich być więcej niż tuzin, a wątpię, czy choć połowa tego.

Wulfgar zastanawiał się, czy nie przypomnieć Morikowi, iż ledwie kilka dni temu mniejsza ilość ludzi okrążyła ich na drodze, lecz zachował ciszę.

Po katastrofie na przełęczy Morik zasugerował, by opuścili ten region, w razie gdyby kupiec zaalarmował straż luskańską, zgodnie ze swym przekonaniem, że prawdziwy rozbójnik nigdy nie pozostaje długo w jednym miejscu, zwłaszcza po nieudanym ataku. Początkowo Morik chciał udać się na północ, do Doliny Lodowego Wichru, lecz Wulfgar stanowczo się sprzeciwił.

– Więc na zachód – zaproponował łotrzyk. – Jest tam małe lenno, wciśnięte między góry i morze, na południowy zachód od przełęczy Hundelstone. Niewielu tam się udaje, bo nie jest zaznaczone na większości map, lecz wiedzą o nim kupcy z pomocnych dróg i czasami podróżują tamtędy po drodze do i z Dekapolis. Być może znów spotkamy się z naszym przyjacielem i jego różdżką

błyskawic.

Ta możliwość niezbyt ekscytowała Wulfgara, lecz jego odmowa, by pójść do Doliny Lodowego Wichru pozostawiała im tak naprawdę tylko dwie możliwości. Znaleźliby się głębiej w nieprzyjaznym Grzbiecie Świata, gdyby poszli na wschód do krainy goblinów, gigantów oraz innych paskudnych, nie przynoszących zysku potworów. Pozostawało południe i zachód, a zważywszy na ich związki z władzami Luskan na południu, zachód wydawał się jedynym rozsądnym wyborem.

Wyglądało na to, iż ów wybór okaże się również dobrym, bowiem para obserwowała, jak drogą toczy się samotny wóz, ozdobna kareta, którą mógłby jeździć szlachcic.

– To może być czarodziej – stwierdził Wulfgar, boleśnie przypominając sobie błyskawice, którymi oberwał.

– Nic nie wiem o żadnych znanych czarodziejach w tym regionie – odparł Morik.

– Nie byłeś w tym regionie od lat – przypomniał mu Wulfgar. – Kto ośmieliłby się podróżować sam w takim ozdobnym powozie? – zastanawiał się na głos.

– Dlaczego nie? – zripostował Morik. – Na obszarze na południe od gór nie ma wielu problemów, a wzdłuż drogi są w końcu posterunki – dodał, machając ręką w stronę odległej kamiennej twierdzy. – Tutejsi ludzie nie są uwięzieni w swych domach pod groźbą goblinów.

Wulfgar przytaknął, lecz to wydawało się zbyt łatwe. Uznał, że woźnica karety musi być co najmniej doświadczonym wojownikiem. Było prawdopodobne, że w środku są też inni, być może wyposażeni w paskudne różdżki czy inne potężne magiczne przedmioty. Jedno spojrzenie na Morika powiedziało jednak barbarzyńcy, że nie zniechęcił swego przyjaciela. Morik wciąż czuł wyrzuty po klęsce na przełęczy. Potrzebował udanej akcji.

Droga w dole wykonywała szeroki zakręt wokół górskiej iglicy. Morik i Wulfgar wybrali bardziej bezpośrednią trasę, wracając na drogę daleko przed powozem, z dala od widoku z kamiennego posterunku. Wulfgar natychmiast zaczął rozkładać swą linę, szukając jakiegoś miejsca, w którym mógłby ją przywiązać. Znalazł wąskie drzewo, lecz nie wyglądało obiecująco.

– Po prostu zeskocz – uznał Morik, wskazując na nawis skalny. Łotrzyk pospieszył dalej drogą, wyciągając bicz, bowiem pojawił się powóz, turkocząc wokół południowego zakrętu.

– Z drogi! – chwilę później dobiegło wołanie Liama Woodgate.

– Muszę z tobą porozmawiać, dobry panie! – krzyknął Morik, utrzymując pozycję na środku wąskiego szlaku. Gnom zwolnił powóz i zatrzymał go w bezpiecznej odległości od łotrzyka – i zbyt daleko, jak zauważył Morik, by Wulfgar mógł dokonać skoku.

– Na rozkaz lorda Feringala z Auckney, zejdziesz z drogi – stwierdził Liam.

– Potrzebuję pomocy, panie – wyjaśnił Morik, obserwując kątem oka, jak Wulfgar wdrapuje się na swe miejsce. Morik wykonał wtedy krok naprzód, lecz Liam ostrzegł go na nowo.

– Stój gdzie jesteś, przyjacielu – powiedział gnom. – Spełniam polecenie swego lorda i nie wątpię, że cię przejadę, jeśli nie odsuniesz się na bok.

Morik zachichotał.

– Nie sędzę – rzekł.

Coś w tonie Morika, lub też być może po prostu ruch wzdłuż położonych wyżej głazów zwróciło uwagę Liama. Nagle gnom uświadomił sobie nadciągające niebezpieczeństwo i popędził swój zaprzęg.

Wulfgar zeskoczył w tej chwili, lecz trafił w bok powozu za woźnicą. Jego pęd oraz nachylenie kamienistego szlaku postawiły karetkę na dwóch kołach. Wewnątrz krzyknęła kobieta.

Kierując się jedynie instynktem, Morik podniósł swój bicz i wykonał nim wielkie trzask przed końmi. Zwierzęta rzuciły się lewo, w stronę nachylenia, i zanim Wulfgar zdołał się złapać, zanim pasażerka w środku zdołała nawet ponownie krzyknąć, powóz przewrócił się na bok, zrzucając zarówno woźnicę, jak i Wulfgara.

Oszołomiony Wulfgar zmusił się do wstania, oczekując walki z woźnicą lub kimś innym gramolącym się z karety, lecz woźnica leżał pośród kamieni, jęcząc, a z wnętrza powozu nie wydobywały się żadne dźwięki. Morik pospieszył, by uspokoić konie, po czym wskoczył na karetkę i otworzył ją szarpnięciem. Ze środka dobiegł kolejny wrzask.

Wulfgar podszedł do woźnicy i delikatnie podniósł głowę gnoma. Położył ją z powrotem, pewien że jest on wykluczony z walki, lecz mając nadzieję, że nie jest śmiertelnie ranny.

– Musisz to zobaczyć – Morik zawołał do Wulfgara. Sięgnął do powozu, podając dłoń pięknej młodej kobiecie, która szybko ją odrzuciła. – Wyjdź, albo obiecuję, że tam do ciebie dołączę – ostrzegł Morik, lecz przerażona kobieta wciąż odsuwała się od niego.

– W taki zaś sposób rozbójnicy zdobywają swe przyjemności – Morik oznajmił Wulfgarowi, gdy wielki mężczyzna podszedł do niego. – A skoro mówimy o przyjemnościach... – dodał, po czym wskoczył do karety.

Kobieta wrzasnęła i zaczęła okładać go rękoma, lecz nie mogła dorównać wyszkolonemu łotrzykowi. Szybko przycisnął ją do stropu karety, teraz będącego ścianą, trzymając jej ręce, kolanem blokując ją przed kopaniem go w pachwinę i przysuwając usta blisko jej.

– Całus dla zwycięzcy?

Morik podniósł się nagle, złapany za kołnierz i wyciągnięty z łatwością z powozu przez rozwścieczonego Wulfgara.

– Przekraczasz granicę – odparł Wulfgar, stawiając łotrzyka na ziemi.

– Została uczciwie schwytała – spierał się Morik, nie rozumiejąc problemu swego przyjaciela. – Zrobimy, co nasze i pozwolimy jej odejść. Co za problem?

Wulfgar zmierzył go spojrzeniem.

– Opatrz woźnicy rany – powiedział. – A potem sprawdź, jakie skarby mogą być w wozie.

– Dziewczyna...

– ... nie liczy się jako skarb – Wulfgar mu odwarknął. Morik rozłożył ręce w geście klęski i poszedł zająć się leżącym gnomem.

Wulfgar sięgnął do powozu, podobnie jak wcześniej Morik, podając swą wielką dłoń przerażonej młodej kobiecie.

– Wyjdź – poprosił ją. – Obiecuję, że nie zostaniesz skrzywdzona.

Oszołomiona i posiniaczona kobieta odsunęła się przed jego ręką.

– Nie możemy postawić wozu z powrotem, gdy będziesz w środku – Wulfgar wyjaśnił rozsądnie. – Nie chciałabyś ruszyć dalej w drogę?

– Chcę żebyście wy ruszyli w drogę – warknęła kobieta. – I zostawili cię tu samą?

– Lepiej samą niż ze złodziejami – zripostowała Meralda.

– Byłoby lepiej dla twojego woźnicy, gdybyś wyszła. Umrze, jeśli zostawimy go leżącego na kamieniach – Wulfgar bardzo się starał uspokoić kobietę, a przynajmniej wystraszyć ją tak, by przystąpiła do działania. – Chodź. Nie skrzywdzę cię. Owszem, obrabuję, lecz nie skrzywdzę.

Bojaźliwie podniosła dłoń. Wulfgar chwycił ją i z łatwością wyciągnął z powozu. Postawiwszy ją na ziemi przyglądał się jej przez długą chwilę. Pomimo świeżego siniaka z boku twarzy, była naprawdę piękną młodą kobietą. Mógł zrozumieć pragnienia Morika, lecz nie miał zamiaru narzucać się jakiegokolwiek kobiecie, nieważne jak pięknej, i z pewnością nie zamierzał pozwolić, by zrobił to Morik.

Dwaj złodzieje spędzili parę chwil przeszukując powóz, znajdując, ku uciesze Morika, sakiewkę ze złotem. Wulfgar rozglądał się za kłodą, by użyć jej jako dźwigni.

– Chyba nie zamierzasz podnieść karety? – Morik spytał niedowierzająco.

– Owszem, zamierzam – odparł Wulfgar.

– Nie możesz tego zrobić – spierał się łotrzyk. – Ona pojedzie prosto do kamiennej twierdzy i w przeciągu godziny będzie nas ścigać stado żołnierzy.

Wulfgar nie słuchał. Znalazł duże kamienie i umieścił je obok dachu przewróconego powozu. Pociągnawszy mocno, podniósł go z ziemi. Nie widząc żadnej pomocy ze strony Morika, oparł się i zdołał uwolnić jedną rękę, by wsunąć kamień pod krawędź.

Konie parsknęły i szarpnęły się, a Wulfgar niemal wszystko wypuścił.

– Idź chociaż je uspokoić – polecił Morikowi. Łotrzyk nie wykonał żadnego ruchu. Wulfgar popatrzył na kobietę, która podbiegła do zaprzęgu i uciszyła zwierzęta.

– Nie zrobię tego sam – Wulfgar zawołał znów do Morika, bardziej rozłoszczonym głosem.

Wydawszy z siebie głębokie, przejmujące westchnięcie, łotrzyk doczłapał się do niego. Przyjrząwszy się szybko sytuacji, przeszedł tam, gdzie Wulfgar zostawił linę, po czym przerzucił ją przez drzewo, a następnie przywiązał jeden koniec do górnej krawędzi powozu. Morik przeszedł obok kobiety, która odskoczyła od niego, lecz on ledwo to dostrzegł.

Następnie Morik wziął konie za uzdy i poprowadził je tak, że pociągnęły ostrożnie i powoli powóz, by jego koła znalazły się w równej odległości od drzewa.

– Ty podnoś, a ja za pomocą liny będę podtrzymywał – polecił Wulfgarowi. – Następnie oprzyj się i unieś wyżej, a wkrótce go postawimy.

Morik był sprytny, Wulfgar musiał to przyznać. Zaraz gdy łotrzyk zajął miejsce, a kobieta znów uspokajała zaprzęg, Wulfgar pochylił się nisko i pociągnął mocno, a powóz uniósł się w górę.

Morik szybko wybrał luźny odcinek, zacieśniając linę wokół drzewa, pozwalając tym samym Wulfgarowi na poprawę pozycji. Chwilę później barbarzyńca znów pociągnął, a Morik ponownie utrzymał powóz w miejscu w najwyższym punkcie. Po trzecim pociągnięciu przez Wulfgara kareta zakołysała się na czterech kołach.

Konie parskwały nerwowo i dreptały w miejscu, ciskając głowami w proteście tak mocno, że kobieta nie mogła ich utrzymać. Wulfgar znalazł się jednak natychmiast przy niej, chwytając uzdy i uspokajając zwierzęta. Następnie, używając tej samej liny, przywiązał je do drzewa i podszedł do leżącego woźnicy.

– Jak on się nazywa? – spytał kobietę. Widząc jej wahanie, powiedział: – Nie możemy ci zrobić nic gorszego niż już zrobiliśmy poznając po prostu twoje imię. Czuję się dziwnie pomagając mu, lecz

nie wiedząc jak go nazywać.

Mina kobiety zelżała, gdy dostrzegła sens w jego uwadze.

– Nazywa się Liam. – Najwyraźniej nabrała trochę odwagi, podeszła bowiem i przykucnęła przy woźnicy, a na jej twarzy strach został zastąpiony troską. – Czy wszystko będzie z nim dobrze?

– Jeszcze nie wiem.

Biedny Liam wydawał się być daleki od przytomności, lecz żył, a po bliższym przyjrzeniu się jego rany nie wyglądały na zbyt poważne. Wulfgar uniósł go delikatnie i zaniósł do powozu, kładąc na ławce w środku. Barbarzyńca wrócił do kobiety, biorąc ją za rękę i ciągnąc za sobą.

– Powiedziałeś, że mnie nie skrzywdzisz – zaprotestowała i próbowała się wyrwać. Łatwiej by jej było utrzymać dwa konie.

Uśmiech Morika poszerzył się na widok ciągniętej przez Wulfgara dziewczyny.

– Zmiana w sercu? – spytał łotrzyk.

– Idzie na razie z nami – wyjaśnił Wulfgar.

– Nie! – sprzeciwiła się młoda kobieta. Zacisnąwszy pięść, podskoczyła i uderzyła Wulfgara mocno w potylicę.

Zatrzymał się i obrócił do niej, z rozbawioną miną i lekko pod wrażeniem jej odwagi.

– Tak – odpowiedział, przyszpilając jej rękę, gdy próbowała znów go uderzyć. – Przejdziesz z nami zaledwie ponad kilometr – wyjaśnił. – Wtedy pozwolę ci wrócić do powozu oraz woźnicy, a następnie możecie się udać dokąd tylko zechcecie.

– Nie skrzywdzicie mnie?

– Ja nie – odrzekł Wulfgar. – Zmierzył wzrokiem Morika. – On też nie.

Uświadamiając sobie, że ma niewielki wybór w tej kwestii, młoda kobieta poszła bez dalszych sporów. Zgodnie ze swym słowem, Wulfgar wypuścił ją jakieś półtora kilometra od powozu. Następnie on, Morik oraz ich sakiewka ze złotem rozplynęli się w górach.

Meralda przebiegła całą drogę do biednego Liama. Bolało ją w boku, gdy dotarła do starego gnoma. Obudził się, lecz niezbyt był w stanie wypełznąć z karety, nie mówiąc już o powożeniu nią.

– Zostań w środku – poprosiła go kobieta. – Ja zawrócę zaprzęg i zawiozę nas z powrotem do Zamku Auck.

Liam zaprotestował, lecz Meralda jedynie zatrzasnęła drzwi i zabrała się do pracy. Wkrótce wracali z powrotem drogą na zachód, podskakując na wybojach, nie była bowiem doświadczona w powożeniu końmi, a droga nie była łatwa. Gdy kilometry i domy przetaczały się za nią, przyszedł jej pomysł, zgoła proste rozwiązanie wszystkich jej problemów.

Było już długo po zachodzie słońca, gdy dociągnęli do właściwego Auckney u bram Zamku Auck. Lord Feringal i Priscilla wyszli, by ich powitać, a ich szczęki opadły, gdy ujrzeli sponiewieraną kobietę oraz zmaltretowanego woźnicę wewnątrz.

– Złodzieje na drodze – wyjaśniła Meralda. Priscilla przypadła do niej, dziwnie jak na siebie zatroskana. Głosem niewiele głośniejszym niż szept, Meralda dodała: – On mnie skrzywdził. – Z tymi słowami, łkając padła Priscilli w ramiona.

* * *

Wicher jęczał wokół nich, smutnym głosem śpiewając Wulfgarowi o tym, co było i o tym, czego nigdy już nie mogło być, o utraconym czasie, o utraconej niewinności, oraz o przyjaciółach, za którymi boleśnie tęsknił, jednak nie mógł ich odszukać.

Po raz kolejny usiadł na wysokim urwisku na północnym krańcu przełęczy w Grzbiecie Świata, wychodzącej na Dolinę Lodowego Wichru, na północny wschód. Ujrzał tam iskrę. Mogło to być złudzenie świetlne, albo też pochyłe promienie późnopołudniowego słońca odbijające się w MaerDualdon, największym z trzech jezior w regionie Dekapolis. Pomyślał także, że ujrział Kopiec Kelvina, samotną górę na północ od łańcucha.

Była to zapewne tylko jego wyobraźnia, powiedział sobie znów, albo złudzenie optyczne, bowiem góra leżała daleko od niego. Dla Wulfgara było to niczym milion kilometrów.

– Obozowali za południowym krańcem przełęczy – oznajmił Morik, podchodząc, by dołączyć do wielkiego mężczyzny. – Nie było ich wielu. Powinno się ich łatwo sprzątnąć.

Wulfgar przytaknął. Po sukcesie na nadbrzeżnej drodze na zachodzie, para wróciła na południe, do regionu między Luskan a przełęczą, i nawet kupili trochę towarów od jednego przejezdnego kupca za pomocą nieuczciwie zdobytego złota. Następnie wrócili na przełęcz i uderzyli na kolejną karawanę. Tym razem wszystko poszło gładko, kupiec oddał daninę i nie było potrzeby przelewania krwi. Morik zauważył trzecią grupę ich ofiar, karawanę trzech wozów kierującą się na północ od Luskan, do Doliny Lodowego Wichru.

– Zawsze spoglądasz na północ – zauważył Morik, siadając obok Wulfgara – a jednak się tam nie zapuścisz. Masz wrogów w Dekapolis?

– Mam przyjaciół, którzy powstrzymaliby nas, gdyby wiedzieli, że jesteśmy w okolicy – wyjaśnił Wulfgar.

– Kto spróbowałby nas powstrzymać? – odparł czupurnie Morik.

Wulfgar popatrzył mu prosto w oczy.

– Oni powstrzymaliby nas – powtórzył, a jego posępna mina nie zostawiała miejsca na spory. Pozwolił, by to spojrzenie błąkało się przez chwilę po Moriku, po czym odwrócił się z powrotem ku dolinie, a do jego błękitnych jak niebo oczu powróciła tęsknota.

– Jakie życie tam za sobą zostawiłeś? – zapytał Morik. Wulfgar odwrócił się z powrotem, zaskoczony. On i Morik nieczęsto rozmawiali o swej przeszłości, a przynajmniej nie wtedy, kiedy nie byli pijani.

– Powiesz mi? – naciskał Morik. – Widzę tak wiele w twojej twarzy. Ból, żal i co jeszcze?

Wulfgar zachichotał na to spostrzeżenie.

– Co zostawiłem za sobą? – powtórzył. Po chwili milczenia odpowiedział: – Wszystko.

– To brzmi głupio.

– Mogłem być królem – ciągnął Wulfgar, wpatrując się znów w dolinę i mówiąc jakby do siebie. Być może tak właśnie było. – Wodzem połączonych plemion Doliny Lodowego Wichru, z silnym głosem w radzie Dekapolis. Mój ojciec... – Popatrzył na Morika i roześmiał się. – Nie polubiłbyś mojego ojca. A przynajmniej on nie polubiłby ciebie.

– Dumny barbarzyńca?

– Opryskliwy krasnolud – odrzekł Wulfgar. – Jest moim przybranym ojcem – wyjaśnił, gdy łotrzyk parsknął. – Ósmy król Mithrilowej Hali i przywódca krasnoludzkiego klanu kopiącego w dolince pod Kopcem Kelvina w Dolinie Lodowego Wichru.

– Twój ojciec jest krasnoludzkim królem? Wulfgar przytaknął.

– A ty jesteś na szlaku przy mnie, śpiąc na ziemi? Znów przytaknięcie.

– Naprawdę jesteś większym głupcem niż sądziłem. Wulfgar jedynie wpatrywał się w tundrę, słuchając smutnej pieśni wichru. Nie mógł nie zgodzić się z oceną Morika, lecz nie miał też mocy, by to zmienić. Usłyszał jak Morik sięga do swego plecaka, a następnie rozległ się znajomy brzęk butelek.

NARODZINY

Sądzymy, że rozumiemy tych, którzy nas otaczają. Osoby, które poznaliśmy ujawniają wzorce zachowań, a gdy nasze oczekiwania co do tych zachowań są raz za razem spełniane, zaczynamy uważać, iż znamy serce i duszę owej osoby.

Uważam to za percepcję wynikającą z zarozumiałości, bowiem nie można naprawdę zrozumieć serca oraz duszy kogoś innego i nie można naprawdę docenić opinii, jakie ktoś mógłby mieć względem podobnych, bądź przytoczonych doświadczeń. Wszyscy szukamy prawdy, zwłaszcza w naszej własnej sferze istnienia, domu który sobie zbudowaliśmy oraz tych przyjaciół, z którymi postanowiliśmy się nim dzielić. Obawiam się jednak, że jeśli chodzi o jednostki, tak złożone i zmienne, prawda nie zawsze jest oczywista.

Jeśli kiedykolwiek pomyślę, że fundamenty mojego świata są zakorzenione w kamieniu, przychodzi mi do głowy Jarlaxle i jestem upokorzony. Zawsze dostrzegałem, iż w tym najemniku jest więcej niż tylko proste dążenie do osobistych zysków – w końcu pozwolił mi oraz Catti-brie odejść z Menzoberranzan i to w chwili, kiedy nasze głowy były warte naprawdę wielką cenę. Gdy Catti-brie była jego więźniem, całkowicie pod jego władzą, nie wykorzystał jej, choć przyznał, jeśli nie poprzez słowa to poprzez czyny, że uważają za dość atrakcyjną. Zawsze więc dostrzegałem przymioty charakteru pod chłodnym płaszczkiem najemnika, lecz pomimo owej wiedzy moje ostatnie spotkanie z Jarlaxlem ukazało mi, że jest znacznie bardziej skomplikowany i z pewnością znacznie bardziej łaskawy niż kiedykolwiek mógłbym się domyślać. Poza tym nazwał się przyjacielem Zaknafeina i choć początkowo ta myśl budziła we mnie odrazę, teraz uważam to nie tylko za wiarygodne, lecz za prawdopodobne.

Czy teraz znam prawdę o Jarlaxle? I czy jest to ta sama prawda, którą postrzegają otaczające go osoby, członkowie Bregan D'aerthe? Z pewnością nie i choć uważam swój aktualny osąd za słuszny, nie będę tak zarozumiała, by głosić go z całą pewnością, ani też nie zacznę nawet uważać, że wiem o nim więcej niż moje powierzchowne spostrzeżenia.

A co z Wulfgarem? Który Wulfgar jest tym prawdziwym? Czy jest dumnym i honorowym mężczyzną, którego wychował Bruenor, mężczyzną, który walczył u mego boku przeciwko Biggrinowi i w tak wielu kolejnych potyczkach? Mężczyzną, który ocalił barbarzyńskie plemiona przed pewnym unicestwieniem, a lud Dekapolis przed kolejnymi katastrofami jednocząc grupy za pomocą dyplomacji? Mężczyzną, który przejechał Faerun dla swego uwięzionego przyjaciela? Mężczyzną, który pomógł Bruenorowi odzyskać jego utracone królestwo?

Czy też Wulfgar jest mężczyzną, który skrzywdził Catti-brie? Nawiedzanym mężczyzną, który

wydaje się być predestynowany do absolutnego upadku?

Jest nimi obydwoma, jak sądzę, połączeniem swych doświadczeń, uczuć oraz opinii, jak my wszyscy. To te drugie ze składowej trójcy, uczucia, wywalane doświadczeniami, z którymi nie jest w stanie sobie poradzić, kontrolują teraz Wulfgara. Czyste emocje tych uczuć zmieniają jego opinie na negatywne. Zważywszy na tę rzeczywistość, kim jest Wulfgar teraz, a co ważniejsze, jeśli przetrwa ten trudny okres, kim się stanie?

Jakże pragnę wiedzieć. Jakże żałuję, że nie mogłem mu towarzyszyć w tej niebezpiecznej podróży, nie magłem z nim porozmawiać i być może na niego wpłynąć. Że nie mogłem mu przypomnieć, kim był, a przynajmniej jako kogo go postrzegaliśmy.

Nie mogę jednak, bowiem w ostatecznym rozrachunku na powierzchnię wyjdą serce i dusza Wulfgara, a nie jego określone czyny. A ja, i ktokolwiek inny, nie mógłbym bardziej wpłynąć na owo serce oraz duszę niż mógłbym na samo słońce.

Co ciekawe, to z codziennej wędrówki tego ciała niebieskiego po niebie, nabieram teraz otuchy, gdy myślę o Wulfgarze. Dlaczego obserwować świt? Dlaczego więc tę określoną chwilę, zamiast każdej innej pory dnia?

Ponieważ o świcie sionce jest dalece jaśniejsze. Ponieważ o świcie widzimy ponowne odrodzenie się po mroku. Z tego wynika moja nadzieja, ponieważ podobnie jak ze słońcem, może też tak być z osobami. Ci, którzy upadną mogą wspiąć się z powrotem, a wtedy jaśniej rozblyszną w oczach tych, którzy ich otaczają. Obserwuję świt i myślę o mężczyźnie, o którym sądziłem, że go znam, oraz modlę się, by moje spostrzeżenia były słuszne.

Drizzt Do'Urden

OSTATNI WIELKI AKT SAMOLUBNOŚCI

Kopnął ziemię, rozpryskując błoto, po czym uderzył mocno palcem o niepoddający się zagrzebany kamień, ukazujący ledwie jedną setną swego prawdziwego rozmiaru. Jaka nawet nie poczuł bólu, bowiem ból w jego sercu – nie, nie w sercu, lecz w dumie – był zdecydowanie gorszy. Tysiąc razy gorszy.

Ślub będzie miał miejsce na przełomie pór roku, pod koniec tego właśnie tygodnia. Lord Feringal będzie miał Meraldę, będzie miał dziecko Jaki.

– Co to za sprawiedliwość? – krzyknął. Sięgnąwszy w dół, by podnieść kamień, poznał prawdę o jego zakopanych rozmiarach. Jaka chwycił inny i podnosząc się cisnął nim, o mało nie trafiając w parę starszych farmerów opierających się na motykach.

Owa para, w towarzystwie starego długonosego krasnoluda, rzuciła się w jego stronę miotając przekleństwami, lecz Jaka, zbyt pochłonięty własnymi problemami, nie zauważył, że właśnie spowodował kolejny problem.

Nie wiedział o ich istnieniu, dopóki się nie obrócił i nie spostrzegł, że stoją tuż przed nim. Opryskliwy krasnolud podskoczył i posłał zaciśniętą pięść prosto w twarz Jaki, rozkładając go na ziemi.

– Cholerny głupi chłopak – wymamrotał krasnolud, po czym odwrócił się, by odejść.

Upokorzony i ledwo myślący Jaka kopnął go w kostki, przewracając go.

W jednej chwili szczupły młodzieniec został podniesiony na nogi przez innego rolnika.

– Co, szukasz śmierci? – mężczyzna spytał, potrząsając nim solidnie.

– Być może szukam – Jaka odparł z wielkim, dramatycznym westchnieniem – Tak, wszelka radość znikła z tego zamętu.

– Chłopak jest głupi – rolnik trzymający Jakę powiedział do swego towarzysza. Krasnolud powracał, z zaciśniętymi pięściami i zuchwą wysuniętą pod gęstą brodą. Gdy skończył, mężczyzna obrócił Jakę i popchnął go do drugiego rolnika. Krasnolud nie chwycił Jaki, lecz zamiast tego pchnął go z powrotem, wysoko w plecy, tak że młodzieniec padł twarzą w błoto. Krasnolud wszedł mu na krzyż, wciskając w ziemię twardymi butami.

– Patrz, gdzie rzucasz kamieniami – powiedział, podskakując nagle i na chwilę pozbawiając Jakę tchu.

– Chłopak jest głupi – drugi rolnik powiedział odchodząc wraz ze swym towarzyszem.

Jaka leżał na ziemi i płakał.

* * *

– Całe to dobre jedzenie na zamku – stwierdziła Madam Prinkle, stara siwa kobieta o uśmiechniętej twarzy. Skóra kobiety, zwisająca pomarszczonymi fałdami, wydawała się zbyt luźna jak na jej kości. Złapała Meraldę w tali i uszczypnęła ją. – Jeśli co tydzień będziesz zmieniać rozmiar, jak mogę dopasować do ciebie suknię? No, dziewczyno, jesteś o trzy palce większa.

Meralda zaczerwieniła się i odwróciła wzrok, nie chcąc napotkać wzroku Priscilli, która stała z boku, obserwując i nasłuchując uważnie.

– Ostatnio byłam naprawdę głodna – odparła Meralda. – Jadłam wszystko, co mogłam włożyć do ust. Trochę jestem zdenerwowana. – Popatrzyła niespokojnie na Priscillę, która ciężko z nią pracowała, by pomóc jej się pozbyć chłopskiego akcentu.

Priscilla przytaknęła, lecz wydawała się niezbyt przekonana.

– Cóż, lepiej znajdź lepszy sposób na uspokojenie się – odrzekła Madam Prinkle – inaczej rozsadzisz suknię podchodząc do lorda Feringala. – Roześmiała się prześmiewcze, stając się jedną wielką trzęsącą się kulą zbyt luźnej skóry. Meralda i Priscilla również zaśmiały się na wpół podświadomie, choć żadna z nich nie wydawała się ani trochę rozbawiona.

– Możesz ją odpowiednio przerobić? – spytała Priscilla.

– Och, nie ma obawy – odrzekła Madam Prinkle. – Sprawię, że dziewczyna będzie piękna w swój dzień. – Zaczęła zbierać swoje nici i przybory do szycia. Priscilla podeszła, by jej pomóc, podczas gdy Meralda szybko zdjęła suknię, zebrała własne rzeczy i wypadła z pomieszczenia.

Z dala od pozostałej dwójki, kobieta położyła dłoń na swym niezaprzeczalnie większym brzuchu. Minęło już ponad dwa i pół miesiąca od jej spotkania z Jąkana zalanym światłem gwiazd polu i choć wątpiła, by dziecko było tak wielkie, by aż tak wypychać jej brzuch, z pewnością jadła ostatnio bardzo dużo. Być może to z nerwów, być może dlatego, że jadła za dwoje, lecz niezależnie od przyczyny przez resztę tygodnia musiała być ostrożna, by nie zwracać na siebie większej uwagi.

– Zwróci nam suknię jutro rano – Priscilla powiedziała za nią, a młoda kobieta niemal wyskoczyła z butów. – Czy coś nie w porządku, Meraldo – kobieta spytała, podchodząc do niej i kładąc Jej rękę na ramieniu.

– Czy nie bałabyś się, gdybyś wychodziła za lorda? Priscilla podniosła starannie wyskubane brwi.

– Nie bałabym się, ponieważ nie byłabym w takiej sytuacji – odparła.

– Ale zakładając, żeś by... że byłabyś – naciskała Meralda. – Gdybyś urodziła się chłopką, a lord...

– Niedorzeczne – przerwała kobieta. – Gdybym urodziła się chłopką, nie byłabym tym kim jestem, tak więc całe twoje pytanie ma niewiele sensu.

Meralda wpatrywała się w nią, wyraźnie zakłopotana.

– Nie jestem chłopką, ponieważ nie mam duszy ani krwi chłopki – wyjaśniła Priscilla. – Wy z ludu uważacie za przypadek to, że rodzicie się w swojej rodzinie, a my ze szlachty w naszej, lecz nie o to chodzi, moja droga. Pozycja pochodzi z wewnątrz, nie z zewnątrz.

– A więc wy jesteście lepsi? – Meralda spytała bezceremonialnie.

Priscilla uśmiechnęła się.

– Nie lepsi, moja droga – odpowiedziała protekcyjnie. – Inni. Wszyscy mamy swoje miejsce.

– A moje nie jest przy twoim bracie – uznała młodsza kobieta.

– Nie pochwalam mieszania krwi – stwierdziła Priscilla i obydwie wpatrywały się w siebie przez długą, niezręczną chwilę.

A więc sama powinnaś go poślubić, pomyślała Meralda, lecz ugryzła się w język.

– Uszanuję jednak wybór mego brata – Priscilla ciągnęła tym samym oczerniającym tonem. – To jego własne życie i może je niszczyć tak jak mu się podoba. Zrobię to, co mogę, by podnieść cię najbardziej jak to możliwe do jego poziomu. Lubię cię, moja droga – dodała, wyciągając rękę, by poklepać Meraldę po ramieniu.

Pozwoliłabyś mi więc wyczyścić swoją komodę, bezgłośnie zezłościła się Meralda. Chciała wypowiedzieć się przeciwko rozumowaniu Priscilli, naprawdę chciała, lecz w tym momencie nie czuła się szczególnie odważna. Nie, z powodu dziecka, dziecka Jaki, dorastającego w jej łonie, była teraz podatna na zranienia i nie czuła się na równa takim jak okropna Priscilla Auck.

Był już późny poranek, gdy Meralda się obudziła. Mogła to stwierdzić po wysokości słońca świecącego przez okno. Zmartwiona, wydostała się z łóżka. Dlaczego ojciec nie obudził jej wcześniej do obowiązków domowych? Gdzie była jej matka?

Przepchnęła się przez zasłonę do wspólnego pokoju i uspokoiła momentalnie, bowiem cała jej rodzina siedziała przy stole. Krzesło jej matki było odsunięte do tyłu i kobieta siedziała wpatrzona w sufit. Zagadkowy mężczyzna, odziany w coś, co wydawało się ornatem religijnym, śpiewał cicho i wcierał jej w czoło pachnącą słodko oliwę.

– Tato – zaczęła pytać, lecz mężczyzna podniósł dłoń, by ją uciszyć, wskazując, by podeszła bliżej niego.

– Obserwator Beribold – wyjaśnił. – Ze Świątyni Helma w Luskan. Lord Feringal przysłał go, by twoja mama była zdrowa i silna na ślub.

Meralda otworzyła usta.

– Możesz więc ją wyleczyć?

– To trudna choroba – odparł Obserwator Beribold. – Twoja matka jest silna, walcząc z takim uporem. – Meralda zaczęła go naciskać, lecz odpowiedział jej uspokajającym uśmiechem. – Twoja matka zacznie wracać do zdrowia i będzie wolna od więdnienia, zanim ja i Wysoki Obserwator Risten opuścimy Auckney – obiecał.

Tori zapiszczała, a serce Meraldy podskoczyło z radości. Poczowała, jak silne ramię ojca obejmuje ją w talii, przyciągając bliżej. Ledwo mogła uwierzyć w dobre wieści. Wiedziała, że lord Feringal uleczy jej matkę, lecz nigdy nie wyobrażała sobie, że zajmie się tym przed ślubem. Choroba matki była niczym wielki miecz, który Feringal zawiesił jej nad głową, a jednak usunął go.

Zastanowiła się nad wiarą, jaką okazywał jej lord Feringal, nie poproszony o to, posyłając uzdrowiciela do jej domu. Jaka nigdy nie zrezygnowałby z tak oczywistej korzyści. Nie dla niej, nie dla kogokolwiek. Jednakże Feringal – a nie był głupcem – miał do Meraldy wystarczające zaufanie, by zabrać miecz.

Uświadomienie sobie tego faktu wywołało na twarzy Meraldy uśmiech. Przez tak długi czas uważała swój związek z Feringalem za poświęcenie wobec rodziny, lecz teraz, nagle, dostrzegła prawdę tego wszystkiego. Był dobrym mężczyzną, przystojnym mężczyzną, mężczyzną z możliwościami, który ją szczerze kochał. Jedyńm powodem, dla którego nie była w stanie odwzajemnić jego uczucia było jej niezdrowe zadurzenie w samolubnym chłopcu. Dziwne, lecz przybycie uzdrowiciela Feringala także i ją uzdrowiło z dolegliwości.

Młoda kobieta wróciła do swego pokoju, by ubrać się na dzień. Ledwo mogła doczekać się następnej wizyty u lorda Feringala, podejrzewała bowiem – nie, wiedziała – iż teraz będzie go postrzegać trochę inaczej.

Była z nim tego samego popołudnia, co miało być ich ostatnim spotkaniem przed ślubem. Feringal, podekscytowany przygotowaniami i listą gości, zupełnie nic nie powiedział o wizycie uzdrowiciela w domu Meraldy.

– Posłałeś dziś swego uzdrowiciela do mojego domu – wypaliła, nie mogąc już dłużej powstrzymać myśli. – Przed ślubem. Gdyby moja mama była chora, a tylko ty miałbyś władzę, by ją uleczyć, mógłbyś uczynić mnie swoją niewolnicą.

Feringal popatrzył na nią jakby po prostu nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi.

– Dlaczego miałbym pragnąć czegoś takiego?

To szczere i niewinne pytanie potwierdziło to, o czym już wiedziała. Uśmiech spowił jej piękną twarz i podskoczyła kierowana impulsem, by złożyć duży pocałunek na policzku Feringala.

– Dziękuję ci za uzdrowienie mojej mamy, za uzdrowienie mojej rodziny.

Jej podziękowania napełniły jego serce oraz twarz radością. Gdy próbowała znów pocałować go w policzek, obrócił się tak, by jej wargi zetknęły się z jego. Odwzajemniła pocałunek po dziesięciokroć, pewna, że jej życie z tym miłym i wspaniałym mężczyzną będzie bardziej niż znośne. Dalece bardziej.

Gdy Meralda zastanawiała się nad tą sceną podczas podróży powrotnej do domu, jej emocje opadły, gdy jej myśli wróciły do dziecka oraz kłamstwa, jakie będzie musiała opowiadać do końca swych dni. Jakże paskudniejsze wydawały się teraz jej czyny! Meralda uważała, że była winna jedynie złego osądu, lecz rzeczywistość uczyni to czymś znacznie więcej, wyniesie jej błędną tęsknotę za jedną nocą miłości do statusu zdrady.

Tak więc z mieszaniną strachu, nadziei i radości Meralda weszła następnego dnia wczesnym porankiem do ogrodu, w którym wszyscy szlachcice z Auckney i ważni świadkowie, w tym jej własna rodzina, siostra lorda Feringala oraz zarządca Temigast stali uśmiechając się i wpatrując się w nią z ciekawością. Był tam Liam Woodgate, odziany w liberię, trzymając drzwi i uśmiechając się od ucha do ucha, a na przeciwległym krańcu ogrodu względem niej stał Wysoki Obserwator Kalorc Risten, starszy kapłan Helma, boga wybranego przez Feringala, w swej lśniącej zbroi i w zwieńczonym pióropuszem hełmie z otwartą przyłbicą.

Jaki piękny dzień i jaka wspaniała sceneria na takie wydarzenie! Priscilla zastąpiła swe letnie kwiaty kwitnącymi jesienią chryzantemami, kaphtami i jaskrami, i choć nie były tak lśniąco jak poprzednie rabatki, kobieta uzupełniła ich odcienie jaskrawymi chorągiewkami. Padało przed świtem, lecz chmury uleciały, pozostawiając w powietrzu czysty zapach. Kałuże na niskim murku i kropelki na płatkach w iskrzącym pokazie odbijały poranne słońce. Nawet wiatr od oceanu pachniał dziś świeżo.

Nastrój Meraldy rozjaśnił się. Dzięki małżeństwu nie będzie już taka bezbronna. Teraz nie bała

się o nic więcej, niż potknięcie o własne stopy, gdy szła do ceremonialnego podium, małej platformy, ozdobionej z wierzchu rękawicą bojową i gobelinem przedstawiającym na środku niebieskie oko. Ta pewność siebie uległa jedynie wzmocnieniu, gdy Meralda popatrzyła na promieniejącą twarz swej matki, bowiem młody asystent Kalorka istotnie dokonał nad nią cudu. Meralda obawiała się, iż jej matka nie będzie dość zdrowa, by przybyć na ceremonię, lecz teraz jej twarz lśniła, oczy błyszczały zdrowiem, którym nie cieszyła się od lat.

Rozpromieniając się, odkładając na bok wszelkie obawy o swój sekret, młoda kobieta zaczęła wchodzić na podium. Nie potknęła się. Zdecydowanie nie. Ci, którzy ją obserwowali sądzili, iż Meralda wydaje się unosić nad ogrodową ścieżką, była doskonałą panną młodą i choć wydawała się trochę szersza pośrodku, wszyscy uważali to za znak, że młoda kobieta nareszcie dobrze je.

Stojąc obok prefekta, Meralda obróciła się, by obserwować wejście lorda Feringala. Wyszedł w swym pełnym uniformie dowódcy straży Zamku Auck, w lśniącej kolczudze przetykanej złotym brokatem, w hełmie ozdobionym pióropuszem na głowie i z wielkim mieczem przypiętym do biodra. Wielu w tłumie zachłysnęło się, kobiety zachichotały, a Meralda znów pomyślała, że jej związek z tym mężczyzną może nie być taką złą rzeczą. Jakże przystojnym wydawał się jej Feringal, teraz nawet bardziej, ponieważ знаła prawdę o jego szczodrym sercu. Jego fantastyczny wojskowy strój był niewiele więcej jak przedstawieniem, lecz wyglądał na wspaniałą i robiącą wrażenie postać.

Cały w uśmiechach, Feringal dołączył do niej przy Wysokim Obserwatorze. Duchowny rozpoczął ceremonię, uroczyście wyznaczając wszystkich zgromadzonych na świadków uświęconego połączenia. Meralda skupiła wzrok nie na lordzie Feringalu, lecz na swej rodzinie. Ledwo słyszała Kalorka Ristena odprawiającego ceremonię. W pewnym momencie podano jej kielich wina, aby wypić łyk, a następnie przekazała go lordowi Feringalowi.

Wokół nich śpiewały ptaki, kwiaty były wspaniałe, para przystojna i szczęśliwa – był to ślub, którego zazdrościły wszystkie kobiety w Auckney. Każdy, kto nie został zaproszony na ceremonię mógł pozdrowić parę później, przed bramą frontową zamku. Tym, którzy mieli mniej szczęścia w życiu, spektakl dostarczał zastępczych przyjemności. Poza jedną osobą.

– Meralda!

Krzyk przeciął poranne powietrze i spłoszył stado mew z klifów na wschód od zamku. Wszystkie oczy skierowały się w stronę źródła głosu na wysokim klifie. Stała tam samotna sylwetka, nie dająca się z nikim pomylić sylwetka Jaki Sculiego o obwisłych ramionach.

– Meralda! – głupi młodzieniec krzyknął ponownie, jakby to imię było wyrywane z jego serca.

Meralda popatrzyła na swych rodziców, na strapionego ojca, a następnie na twarz swego już wkrótce męża.

– Kto to jest? – spytał lord Feringal, wyraźnie poruszony. Meralda prychnęła i potrząsnęła

głową, ze szczerą odrazą na twarzy.

– Głupiec – zdołała w końcu powiedzieć,

– Nie możesz poślubić lorda Feringala! Ucieknij ze mną, błagam cię, Meraldo! – Jaka podszedł niebezpiecznie blisko krawędzi urwiska.

Lord Feringal, i każdy, jak się wydawało, wpatrywał się stanowczo w Meraldę.

– Dziecięca przyjaźń – wyjaśniła pospiesznie. – Głupiec, powiadam ci, mały chłopiec, nikt kim trzeba się przejmować. – Widząc, że jej słowa wywierają niewielki efekt, położyła dłoń na przedramieniu Feringala i podeszła bardzo blisko. – Jestem tu, by cię poślubić, ponieważ odkryliśmy miłość, o której nigdy bym nie marzyła, że będzie możliwa – powiedziała, desperacko starając się go uspokoić.

– Meralda! – zaskowyczał Jaka.

Lord Feringal marszczył brwi w stronę klifu.

– Niech ktoś uciszy tego głupca – zażądał. Popatrzył na Wysokiego Obserwatora Ristena. – Opuść sferę milczenia na jego głupią głowę.

– Za daleko – odparł Risten, potrząsając głową, choć tak naprawdę nawet nie miał przygotowanego takiego czaru.

Na drugim końcu ogrodu zarządca Temigast obawiał się, dokąd może zaprowadzić ta przeszkoda, ponaglał więc strażników, by uciszyli hałaśliwego młodzieńca.

Podobnie jak Temigast, Meralda naprawdę się bała, zastanawiając się, jak głupi okaże się Jaka. Czy ten idiota powie coś, co będzie kosztowało Meraldę ślub, co mogło kosztować ich oboje reputację, a być może nawet życie?

– Ucieknij ze mną, Meraldo! – wrzasnął Jaka. – Jestem twoją prawdziwą miłością!

– Kim jest ten bękart? – znów zażądał odpowiedzi lord Feringal, wyszedłszy poza stadium poruszenia.

– Robotnik z pola, który sądzi, że mnie kocha – wyszeptała, gdy tłum ich obserwował. Meralda dostrzegła tu niebezpieczeństwo, chwiejne ognie płonące w oczach Feringala. Popatrzyła na niego bezpośrednio i stwierdziła stanowczo, bez miejsca do dyskusji: – Gdybyśmy nie mieli się pobrać, gdybyśmy nie odkryli wspólnej miłości, i tak nie miałabym nic wspólnego z tym głupcem.

Lord Feringal wpatrywał się w nią chwilę dłużej, lecz nie mógł pozostać rozgniewany po tym jak usłyszał szczerze wyznanie Meraldy.

– Czy mam kontynuować, mój panie? – spytał Wysoki Obserwator Risten.

Lord Feringal podniósł dłoń.

– Gdy zostanie zabrany ten głupiec – odparł.

– Meraldo! Jeśli do mnie nie przyjdiesz, rzucę się na skały w dole! – Jaka wrzasnął nagle i podszedł do krawędzi urwiska.

Kilka osób w ogrodzie zachłysnęło się gwałtownie, lecz nie Meralda. Stała wpatrując się chłodno w Jakę, tak rozzłoszczona, że nie obchodziło ją zbytnio, czy ten głupiec spełni swą groźbę, była bowiem pewna, że tego nie zrobi. Chciał jedynie udęczyć ją i upokorzyć publicznie, by popisać się przed lordem Feringalem. To była żalosna zemsta, nie miłość.

– Stój! – krzyknął strażnik, szybko zbliżając się do Jaki stojącego na samej krawędzi klifu.

Młodzieniec obrócił się na to wezwanie, lecz gdy to robił stopa wyslizgnęła się spod niego, wskutek czego przewrócił się na brzuch. Chwycił się dłońmi, lecz ześlizgnął się dalej, tak że zwisał od piersi w dół, trzydzieści metrów nad poszarpanymi skałami w dole.

Strażnik rzucił się do niego, lecz było już za późno.

– Meralda! – dobiegł ostatni krzyk Jaki, desperackie, zawodzące wycie, gdy zniknął z pola widzenia.

Choć Meralda była oszołomiona nagłym, zaskakującym rozwojem wypadków, była rozdarta między niedowierzającym żalem za Jaką a świadomością, że spoczywa na niej baczne spojrzenie Feringala, obserwujące i oceniające każdą jej reakcję. Natychmiast zrozumiała, że teraz każda porażka teraz z jej strony będzie wykorzystana przeciwko niej, gdy prawda o jej stanie okaże się oczywista.

– Na bogów! – westchnęła, zakrywając dłonią usta. – Och, biedny głupiec! – Obróciła się do lorda Feringala i potrząsnęła głową, wydając się bardzo zagubiona.

I zdecydowanie była, w jej sercu kłębiła się mieszanina nienawiści, przerażenia oraz zapamiętanej namiętności. Nienawidziła Jaki – o jak go nienawidziła! – za jego reakcję na wiadomość, że jest w ciąży, i nienawidziła go jeszcze bardziej za jego dzisiejszą głupotę. Mimo to nie mogła odrzucić tych zapamiętanych uczuć, sposobu w jaki sam widok młodzieńca nadał wesołości jej krokom zaledwie kilka krótkich miesięcy temu. Meralda wiedziała, że ostatni krzyk Jaki będzie ją prześladował do końca życia.

Ukryła to wszystko i zareagowała na przerażający widok tak jak ci, którzy ją otaczał i – szokiem i grozą.

Przełożyli ślub. Za trzy dni dokończyli ceremonię szarego i mocno zachmurzonego poranka. Wydawało się to odpowiednie.

* * *

Przez resztę dnia, podczas wielkiego wesela otwartego dla wszystkich z Auckney, Meralda wyczuwała wahanie w ruchach swego męża. Starła się zagadnąć o to Feringala, lecz nie chciał się zdradzić. Meralda rozumiała, że się boi. Ale dlaczego Feringal miał się bać? Jaka zginął krzycząc do jego przyszłej żony.

Mimo to jednak, gdy wino płynęło, a zabawa trwała, lord Feringal wykonał więcej niż tylko kilka uśmiechów. Jakże te uśmiechy się poszerzyły, gdy Meralda wyszeptła mu do ucha, iż nie może się doczekać ich pierwszej wspólnej nocy, skonsumowania ich miłości.

Tak naprawdę młoda kobieta była podekscytowana tą perspektywą, choć trochę się bała. Zauważy oczywiście, że jej dziewictwo nie było nietknięte, lecz nie było to takie niespotykane wśród kobiet żyjących w surowym rolniczym środowisku, ciężko pracujących, często dosiadających koni, i można było to wytłumaczyć. Zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby wyjawiała prawdę o swym stanie i wytłumaczyła to kłamstwami, jakie spreparowała, by to wszystko wyjaśnić.

Nie, uznała, nawet gdy wchodziła wraz z mężem po schodach do ich prywatnych komnat. Nie, miał dosyć zamętu podczas ostatnich kilku dni. To będzie noc dla jego przyjemności, a nie bólu.

Dopilnuje tego.

* * *

Pierwszy tydzień małżeństwa był wspaniały, pełen miłości i uśmiechów, a te ze strony Biaste Ganderlay najbardziej ją wzruszały. Jej rodzina nie przybyła, by zamieszkać razem z nią w Zamku Auck. Nie ośmieliłaby się zasugerować czegoś takiego Priscilli, jeszcze nie, lecz Wysoki Obserwator Risten pracował niestrudzenie nad matką Meraldy i oznajmił, że kobieta jest całkowicie wyleczona. Meralda widziała prawdę tego stwierdzenia wymalowaną wyraźnie na rozpromienionej twarzy Biaste.

Widziała także, że choć Feringal jest wciąż wstrząśnięty zachowaniem Jaki na urwisku, pogodzi się z tym wydarzeniem. Kochał ją, tego była pewna, i nieustannie jej nadskakiwał.

Meralda pogodziła się z własnymi uczuciami wobec Jaki. Było jej przykro za to, co się stało, lecz nie nosiła w sobie winy za jego śmierć. Jaka sam to sobie zrobił i zrobił to dla siebie, a z pewnością nie dla niej. Meralda rozumiała teraz, że Jaka robił wszystko dla siebie. Zawsze w jej sercu będzie małe miejsce dla młodzieńca, dla fantazji, które nigdy się nie ziszcą, lecz było to zawiązką rekompensowane przez wiedzę, iż jej rodzinie będzie się powodzić lepiej niż ktokolwiek z nich kiedykolwiek mógłby choć marzyć. W końcu przeniesie Biaste oraz Dohniego do zamku lub odpowiedniej własnej posiadłości i pomoże Tori znaleźć właściwego męża, być może bogatego kupca, gdy dziewczyna będzie na to gotowa.

Pozostawał tylko jeden problem. Meralda obawiała się, że Priscilla zaczyna domyślać się jej stanu, bowiem kobieta, choć na zewnątrz sympatyczna, rzuciła jej kilka nie dających się pomylić spojrzeń. Podejrzliwych spojrzeń, jak te zarządcy Temigasta. Wiedzieli o jej stanie lub przynajmniej podejrzewali. W każdym razie wkrótce wszyscy będą o tym wiedzieć, co do idealnego pod pozostałymi względami życia Meraldy wprowadzało dozę desperacji.

Meralda myślała nawet o tym, by udać się do Wysokiego Obserwatora Ristena, by dowiedzieć się, czy istnieje jakaś magia, która mogłaby usunąć jej dziecko. Odrzuciła jednak tę myśl niemal natychmiast, i to nie ze strachu, że Risten by ją zdradził. Choć nie chciała żadnej części Jaki Sculiego, nie mogła się skłonić, by zniszczyć rosnące w niej życie.

Pod koniec pierwszego tygodnia małżeństwa Meralda ustaliła jedyną możliwą drogę i pod koniec drugiego tygodnia zdobyła się na odwagę, by zainicjować swój plan. Poprosiła kucharkę, by na śniadanie przygotowała jajka i czekała przy stole wraz z Feringalem, Priscillą oraz Temigastem. Lepiej załatwić to wszystko na raz z nimi wszystkimi.

Jeszcze zanim kucharka przyszła z jajkami, ich zapach doleciał do Meraldy i wywołał w niej to zwyczajowe uczucie mdłości. Pochyliła się i złapała za brzuch.

– Meraldo? – Feringal zapytał z troską.

– Wszystko w porządku, dziecko? – dodał Temigast. Meralda popatrzyła przez stół na Priscillę i ujrzała podejrzenie.

Podniosła się szybko ze skowytem i natychmiast zaczęła płakać. Nietrudno było Meraldzie wywołać te łzy.

– Nie, nie jest w porządku! – krzyknęła.

– Co się dzieje, najdroższa? – zapytał lord Feringal, zrywając się i podbiegając do niej.

– Na drodze – Meralda wyjaśniła pomiędzy spazmami – do Madam Prinkle...

– Gdy zostałeś zaatakowany? – zarządca Temigast podsunął uprzejmie.

– Mężczyzna, wielki – zawyla Meralda. – On mnie zgwałcił! Lord Feringal zatoczył się jakby został uderzony.

– Dlaczego nam nie powiedziałaś? – Temigast zażądał odpowiedzi po wahaniu, jakie wydawało się ugodzić całą ich trójkę.

Kucharka natomiast, która weszła ze śniadaniowym półmiskiem Meraldy, upuściła go w szoku na podłogę.

– Bałam się wam powiedzieć – skowyczała Meralda, spoglądając na swego męża. – Bałam się, że mnie znienawidzisz.

– Nigdy! – nalegał Feringal, lecz był wyraźnie wstrząśnięty do głębi i nie wykonał żadnego ruchu, by wrócić do boku swej żony.

– A teraz mówisz nam ponieważ...? – ton Priscilli i zboląta mina Temigasta ujawniły młodej kobiecie, że oboje znali odpowiedź.

– Ponieważ jestem w ciąży, obawiam się – wypaliła Meralda. Przytłoczona własnymi słowami i zapachem tych cholernych jajek, pochyliła się na bok i zwymiotowała. Meralda usłyszała poprzez swój kaszel okrzyk rozpaczony Feringala i naprawdę ją zraniło, że tak go skrzywdziła.

Następnie zapanowała cisza.

Meralda, skończywszy wymiotować, bała się usiąść prosto, bała się popatrzeć im trojgu w twarz. Nie wiedziała, co zrobić, choć słyszała o wieśniaczce, która zaszła w ciążę w wyniku gwałtu. Ta kobieta nie została okryta hańbą.

Uspokajająca dłoń chwyciła ją za ramię i podniosła z krzesła. Priscilla uściskała mocno Meraldę i wyszeptła jej delikatnie do ucha, że wszystko będzie w porządku.

– Co ja mam zrobić? – wyjąkał lord Feringal, ledwo mogąc mówić przez gulę w gardle. Jego ton sprawił, iż Meralda pomyślała, że mógłby tu i teraz wygnać ją z zamku, ze swego życia.

Zarządca Temigast podszedł, by wesprzeć młodzieńca.

– Sytuacja nie jest bez precedensu, mój lordzie – wyjaśnił starzec. – Nawet w twoim własnym królestwie.

Wszyscy troje popatrzyli na zarządcę.

– Nie ma tu oczywiście zdrady – ciągnął Temigast. – Poza tym, że Meralda nie powiedziała nam od razu. Możesz ją za to ukarać jak uważasz za stosowne, choć modlę się, byś był łaskawy wobec przerażonej dziewczyny.

Feringal popatrzył stanowczo na Meraldę, lecz leciutko przytaknął.

– A co do dziecka – kontynuował Temigast – musi zostać ogłoszone otwarcie i szybko. Zostanie uczynione jasnym i wiążącym, że to dziecko nie będzie dziedzicem twego tronu.

– Zabiję je, gdy się urodzi! – warknął lord Feringal. Meralda zaskowyczała, podobnie jak Priscilla, ku absolutnemu zaskoczeniu młodej kobiety.

– Mój lordzie – powiedział zarządca Temigast. Feringal uderzał się pięściami o nogi w czystej frustracji. Meralda widziała każdy jego ruch i rozpoznała, że jego słowa o morderstwie były czystymi pogroźkami.

Zarządca Temigast potrząsnął głową i podszedł, by poklepać lorda Feringala po ramieniu.

– Lepiej oddać dziecko komuś innemu – rzekł. – Niech zniknie z waszych oczu i z waszego życia.

Feringal popatrzył pytająco na swą żonę.

– Nie chcę go – Meralda odpowiedziała temu spojrzeniu szczerą odpowiedzią. – Nie chcę w ogóle myśleć o tej nocy, hm, chwili. – Skończywszy ugryzła się w wargę, mając nadzieję, że jej przejęzyczenie nie zostało zauważone.

Ku jej uldze i utrzymującemu się zaskoczeniu, to Priscilla pozostała obok niej, odprowadziła ją do pokoju. Nawet gdy znalazły się poza zasięgiem słuchu Temigasta oraz lorda Feringala, delikatne zachowanie starszej kobiety nawet trochę nie zelżało.

– Nie mogę nawet zgadywać, jak cię to boli – powiedziała Priscilla.

– Przepraszam, że nie powiedziałam wam wcześniej. Priscilla poklepała ją po policzku.

– To musiało być zbyt bolesne – rzekła – lecz nie zrobiłaś nic złego. Mój brat był wciąż twoim pierwszym kochankiem, pierwszym mężczyzną, któremu oddałaś się dobrowolnie i mąż nie może żądać niczego więcej.

Meralda przełknęła odczuwaną winę, przełknęła ją i odepchnęła na bok z usprawiedliwieniem, że Feringal rzeczywiście był jej pierwszym prawdziwym kochankiem, pierwszym mężczyzną, z którym spała, a który żywił wobec niej szczere uczucia.

– Być może dojdziemy do jakiegoś porozumienia, gdy dziecko się urodzi – Priscilla powiedziała nieoczekiwanie.

Meralda popatrzyła na nią dziwnie, nie do końca chwytając.

– Myślałam, że być może byłoby lepiej, gdybym znalazła sobie inne miejsce do życia – wyjaśniła Priscilla. – Albo może wzięła dla siebie jedno skrzydło zamku.

Meralda popatrzyła na nią zmrużonymi oczyma, zaskoczona, po czym to do niej trafiło. Była tak zaskoczona, że wrócił jej dawny chłopski dialekt.

– Myślisz coby zabrać dziecko dla siebie – wypaliła.

– Być może, jeśli udałoby nam się porozumieć – Priscilla rzekła z wahaniem.

Meralda nie miała pojęcia, jak odpowiedzieć, lecz podejrzewała, iż nie będzie wiedziała, dopóki dziecko się nie urodzi. Czy będzie w stanie mieć dziecko gdzieś blisko siebie? Czy też może odkryje, że nie może rozstać się z niemowlęciem, które w końcu będzie jej?

Nie, uznała, tak nie będzie. Nie zatrzyma dziecka, nie będzie mogła, nieważne jak będzie się czuć po jego urodzeniu.

– Wybiegamy zbyt daleko w przyszłość – Priscilla stwierdziła jakby czytając myśli Meraldy. – Na razie musimy dopilnować, żebyś dobrze jadła. Jesteś teraz żoną mojego brata i dasz mu dziedziców tronu Auckney. Musimy cię do tego czasu utrzymywać zdrową.

Meralda ledwo mogła uwierzyć w te słowa, w szczerą troskę. Nigdy nie spodziewała się, że jej plan tak bardzo się powiedzie, co sprawiło jedynie, iż poczuła jeszcze większą winę.

Tak minęło kilka dni, a Meralda uwierzyła, że sprawy utrzymują się na stabilnym kursie. Było kilka szorstkich punktów, zwłaszcza w sypialni, gdzie wciąż musiała zaspokajać dumę swego męża, powtarzając, iż barbarzyńca, który ją zgwałcił, nie dał jej żadnej przyjemności. Posunęła się nawet do twierdzenia, iż była praktycznie nieprzytomna podczas całego wydarzenia i nie była nawet pewna, co się stało dopóki nie uświadomiła sobie, że jest brzemienna.

Lecz pewnego dnia Meralda napotkała nieoczekiwany problem w swoim planie.

– Rozbójnicy nie podróżują daleko – usłyszała jak lord Feringal mówił Temigastowi, gdy dołączyła do nich w salonie.

– Z pewnością ci łajdacy nie są nigdzie w pobliżu Auckney – odparł zarządca.

– Dość blisko – nalegał Feringal. – Kupiec Galway ma potężnego czarodzieja do wynajęcia.

– Nawet czarodzieje muszą wiedzieć, czego szukać – stwierdził Temigast.

– Nie pamiętam jego twarzy – wypaliła Meralda, spiesząc się, by do nich dojść.

– Ale Liam Woodgate pamięta – powiedział Feringal, przybierając gładki uśmiezek kogoś, kto

zamierza dokonać zemsty.

Meralda starała się ciężko, by nie wyglądać na zaniepokojoną.

ZMORA KAŻDEGO ZŁODZIEJA

Małe stworzenie lazło po skałach, schodząc po stromym stoku jakby goniła je sama śmierć. Z rozwścieczonym Wulfgarem za plecami, ryczącym z bólu z powodu otwartej na nowo rany na barku, goblin miałby większe szansę przeciwko śmierci.

Droga kończyła się pięciometrowym spadkiem, lecz ucieczka goblina nie skończyła się tam – niewiele myśląc skoczył. Lądując z dudnieniem i raczej żalosem próbą przetoczenia się, wstał, zakrwawiony, lecz wciąż się ruszający.

Wulfgar nie podążył za nim, nie mógł pozwolić sobie na takie oddalenie od wejścia do jaskini, gdzie Morik wciąż walczył. Barbarzyńca zatrzymał się i zaczął szukać kamienia. Podniósłszy jeden, cisnął nim w uciekającego goblina. Spudłował, goblin był za daleko, lecz Wulfgar, zadowolony że stwór nie wróci, odwrócił się i popędził z powrotem do jaskini.

Na długo przed tym jak tam dotarł zauważył jednak, że bitwa się skończyła. Morik siedział na głazie u podstawy poszarpanej kamiennej iglicy, prychnął i parskając.

– Te małe szczury szybko uciekają – stwierdził.

Wulfgar przytaknął i przeszedł do pozycji siedzącej na ziemi. Wcześniej wyszli, by zbadać przełęcz. Po powrocie znaleźli tuzin goblinów, zdeterminowanych, by zawłaszczyć sobie ich jaskiniowy dom. Dwanaście przeciwko dwóm – gobliny nie miały szans.

Tylko jeden z goblinów był martwy, ten którego Wulfgar chwycił za gardło i ścisnął. Pozostałe zostały rozgonione na cztery wiatry i obydwaj mężczyźni wiedzieli, że tchórzliwe stworzenia nie wrócą przez długi, długi czas.

– Nie mam jego serca, ale mam sakiewkę – oznajmił Morik, trzymając małą skórzaną torbę. Dmuchał w pustą dłoń na szczęście (i dlatego, że górski wicher był dziś mroźny), po czym opróżnił torbę, otwierając szeroko oczy. Wulfgar również nachylił się pożądlawie. Wytoczyły się dwie sztuki srebra, kilka miedziaków i trzy lśniące kamienie – nie klejnoty, lecz tylko kamienie.

– Mamy szczęście, że po drodze nie napotkaliśmy kupca – Wulfgar mruknął sarkastycznie – bo to jest zdecydowanie bogatszy łup.

Morik cisnął nędzny skarb na ziemię.

– Wciąż mamy mnóstwo złota po napadzie na powóz na zachodzie – stwierdził.

– Miło słyszeć, że się do tego przyznajesz – dobiegł z góry niespodziewany głos. Podnieśli wzrok wzdłuż kamiennej iglicy i ujrzeli mężczyznę w powłóczystych niebieskich szatach, trzymającego długą dębową laskę i mierzącego ich spojrzeniem. – W końcu nie chciałbym sądzić, że znalazłem złych złodziei.

– Czarodziej – Morik mruknął z odrazą, napinając się. – Nienawidzę czarodziejów.

Odziany w szatę mężczyzna podniósł laskę i zaczął inkantować. Wulfgar poruszył się szybciej, pochylając się, by podnieść spory kamień, po czym podniósł się i cisnął nim. Wymierzył idealnie. Kamień uderzył czarodzieja w pierś, choć nieszkodliwie się od niej odbił. Jeśli mężczyzna w ogóle to zauważył, nie okazał tego po sobie.

– Nienawidzę czarodziejów! – wrzasnął ponownie Morik, rzucając się na bok. Wulfgar zaczął się ruszać, lecz było już za późno, bowiem błyskawica wystrzelona z laski ugodziła w niego, odrzucając w tył.

Wulfgar podniósł się, koziołkując i przeklinając, z kamieniami w dłoniach.

– Ile trafień możesz przyjąć? – krzyknął do czarodzieja, wypuszczając jeden z nich, który ledwo chybił. Drugi poszybował na blokującą rękę wyraźnie rozbawionego czarodzieja i odbił się tak pewnie, jakby uderzył w litą skałę.

– Czy każdy w całym Faerunie ma dostęp do czarodzieja? – krzyknął Morik, wybierając trasę od osłony do osłony starając się wejść na iglicę. Morik wierzył, że jest w stanie uciec, przechytryć lub pokonać (szczególnie z Wulfgarem u boku) każdego łowcę nagród czy wojowniczego lorda w okolicy. Czarodzieje byli jednak zupełnie inną kwestią, jak nauczył się w wielu bolesnych przypadkach wcześniej, ostatnio podczas pojmania na ulicach Luskan.

– Ile możesz przyjąć? – wrzasnął znów Wulfgar, ciskając kolejnym kamieniem, który także chybił celu.

– Jednego! – odparł czarodziej. – Tylko jednego.

– Więc go traf! – Morik wrzasnął do Wulfgara, źle interpretując odpowiedź. Czarodziej nie mówił o przyjmowaniu trafień na swą magiczną kamienną skórę, lecz o braniu jeńców. W chwili, gdy Morik krzyczał, odziany w szatę mężczyzna wskazał wolną dłoń na Wulfgara. Z wyciągniętych palców wystrzeliła czarna macka, pełzając ze straszliwą szybkością w dół iglicy, by owinać się wokół barbarzyńcy, wiążąc go mocno z magiem.

– Drugiego nie pozostawię bez uszczerbku! – czarodziej krzyknął do nikogo obecnego. Zacisnął pięść, jego pierścień błysnął i stuknął laską o skałę. Wulfgar i mag znikli w oślepiającym błysku i w obłoku dymu, pośród grzmotu wzdłuż iglicy.

– Czarodzieje – Morik splunął z czy sta pogardą, tuż przed tym jak iglica, z Morikiem w połowie swej wysokości, zawałiła się.

* * *

Znajdował się w sali audiencyjnej zamku. Nieugięta czarna macka wciąż owijała go uparcie w swych objęciach, starając się przyszpilić jego potężne ręce. Wulfgar uderzał w nią, lecz była giętka i po prostu uginała się pod ciosami, wchłaniając całą ich energię. Chwytał mackę, starając się ją skrócić i rozerwać, lecz w chwili, gdy jego dłonie pracowały nad jednym kawałkiem, drugi koniec macki, uwolniony z dłoni czarodzieja, owinał się wokół jego nóg i przewrócił go, rzucając na twardą podłogę. Wulfgar przetaczał się, szamotał i wił, lecz bezskutecznie. Był spętany.

Barbarzyńca użył swych dłoni, by upewnić się, że macka nie owinie mu się wokół szyi, a gdy był już przynajmniej pewien, że go nie skrzywdzi, skierował uwagę bardziej na swe otoczenie. Stał tam czarodziej, przed parą foteli, na których siedział mężczyzna około dwudziestu pięciu lat i młodsza, niezaprzeczalnie piękna kobieta – kobieta, którą Wulfgar rozpoznawał aż nazbyt dobrze.

Obok nich stał starzec, a w fotelu z boku siedziała pulchna kobieta lat być może czterdziestu. Wulfgar zauważył także, iż salę otaczało kilku żołnierzy dobrze uzbrojonych i o ponurych twarzach.

– Jak obiecałem – powiedział czarodziej, skłaniając się przed mężczyzną na tronie. – A teraz, jeśli pozwolisz, jest jeszcze drobna kwestia mojej zapłaty.

– Znajdziesz złoto czekające w komnatach, jakie ci zapewniłem – odparł mężczyzna. – Nigdy w ciebie nie wątpiłem, dobry panie. Twój kupiecki mentor Galway polecał mi ciebie z całego serca.

Czarodziej znów się uklonił.

– Czy moje usługi są jeszcze potrzebne? – spytał.

– Jak długo to pozostanie? – zapytał mężczyzna, wskazując na mackę trzymającą Wulfgara.

– Długi czas – obiecał czarodziej. – Z pewnością wystarczająco długo, byś mógł go przepytąć i skazać, a następnie by można go było zawlec do lochu bądź zabić w miejscu, w którym leży.

– Możesz więc odejść. Będziesz dziś z nami wieczerzać?

– Obawiam się, że mam naglące sprawy w Gościnnej Wieży – odrzekł czarodziej. – Miło było cię poznać, lordzie Feringalu. – Znów się uklonił i wyszedł, chichocząc gdy mijał leżącego barbarzyńcę.

Ku zaskoczeniu wszystkich, Wulfgar warknął, chwycił mackę oburącz i rozerwał ją. Właśnie zdołał stanąć na nogach, przy akompaniamencie licznych wrzasków, gdy rzucił się na niego tuzin żołnierzy, grzmocąc go opancerzonymi pięściami oraz ciężkimi pałkami. Wciąż walcząc z macką, Wulfgar zdołał uwolnić dłoń do jednego ciosu, odtrącając żołnierza, oraz by złapać innego za kark i uderzyć jego twarzą o podłogę. Wulfgar upadł, oszołomiony i zmalretowany. Gdy czarodziej magicznie rozproszył resztki macki, ręce barbarzyńcy były założone za jego plecami i spięte grubym łańcuchem.

– Gdybyśmy byli tylko my dwaj, czarodzieju, zostałoby ci coś, by mnie powstrzymać? – warknął uparty barbarzyńca.

– Zabiłbym cię w górach – odwarknął mag, wyraźnie zawstydzony porażką swej magii.

Wulfgar wystrzelił kulkę plwociny, która trafiła mężczyznę w twarz.

– Ile możesz przyjąć? – spytał.

Rozwścieczony czarodziej zaczął wymachiwać palcami, lecz zanim zdołał coś osiągnąć Wulfgar przedarł się przez krąg żołnierzy i uderzył go barkiem, odtrącając daleko. Barbarzyńca został niemal natychmiast na powrót poskromiony, lecz wstrząśnięty czarodziej zebrał się z podłogi i wybiegł z sali.

– Pokaz robiący wrażenie – lord Feringal powiedział z sarkazmem, krzywiąc się. – Czy mam bić ci brawo, zanim cię wykastruję?

To zwróciło uwagę Wulfgara. Zaczął odpowiadać, lecz strażnik uderzył go, by stał cicho.

Lord Feringal popatrzył na młodą kobietę siedzącą obok niego.

– Czy to ten mężczyzna? – spytał, z jadem w każdym słowie. Wulfgar spojrzał stanowczo na kobietę, na kobietę przed której skrzywdzeniem powstrzymał Morika, na kobietę, którą wypuścił bez szwanku. Ujrzał coś w jej głębokich zielonych oczach, jakieś uczucie, którego nie potrafił określić. Smutek, być może? Z pewnością nie złość.

– Ja... nie sędzę – rzekła kobieta i odwróciła wzrok.

Oczy lorda Feringala mocno się powiększyły. Starzec stojący obok niego zachłysnął się otwarcie, podobnie jak druga kobieta.

– Popatrz ponownie, Meraldo – Feringal rozkazał ostro. – Czy to on?

Żadnej odpowiedzi, a Wulfgar mógł wyraźnie dojrzeć w jej oczach ból.

– Odpowiedz mi! – zażądał lord Auckney.

– Nie! – kobieta krzyknęła, nie chcąc skrzyżować z nikim wzroku.

– Przeprowadzić Liama! – wrzasnął lord Feringal. Stojący za Wulfgarem żołnierz wypadł z sali, wracając po chwili ze starym gnomem.

– Och, pewnie, że to on – powiedział gnom, podchodząc, by spojrzeć Wulfgarowi prosto w oczy. – Myślisz, że cię nie poznam? – spytał. – Nieźle mnie zrobiliście, jak twój mały szcurzy przyjaciel odwrócił moją uwagę, a ty zeskoczyłeś. Znam cię, złodziejski psie, bo ujrzałem cię, zanim mnie uderzyłeś! – Odwrócił się do lorda Feringala. – Ano – rzekł. – To on.

Feringal przez długą, długą chwilę mierzył wzrokiem kobietę obok siebie.

– Jesteś pewien? – spytał Liam, wciąż na nią patrząc.

– Nieczęsto mnie pokonywano, mój lordzie – odparł Liam. – Nazwałeś mnie najlepszym wojownikiem w Auckney i to dlatego powierzyłeś mi swoją damę. Zawiodłem cię i nie wykręcami się od tego. To on, powiadam, lecz czym ci odpłacę, bym mógł z nim uczciwie walczyć?

Odwrócił się i popatrzył Wulfgarowi w oczy. Wulfgar odpowiedział spojrzeniem i choć nie miał wątpliwości, że przy minimalnym wysiłku mógłby złamać gнома na pół, nic nie powiedział. Wulfgar nie mógł uciec przed faktem, że skrzywdził niskiego osobnika.

– Możesz coś powiedzieć za siebie? – lord Feringal spytał Wulfgara. Zanim barbarzyńca zaczął mówić, młody lord pospieszył naprzód, odtrącając Liama na bok, by stanąć bardzo blisko. – Mam dla ciebie loch – wyszeptał ostro. – Ciemne miejsce, pełne resztek i kości poprzednich mieszkańców. Pełne szcurów i jadowitych pajaków. Tak, głupcze, mam dla ciebie miejsce, w którym będziesz gnił, dopóki nie uznam, że nadszedł czas, byś zginął straszliwą śmiercią.

Wulfgar zdążył już dobrze poznać procedurę, i wydał z siebie jedynie ciężkie westchnięcie. Szybko został odciągnięty.

* * *

Z kąta sali audiencyjnej zarządca Temigast obserwował to wszystko bardzo bacznie, przesuważąc wzrok z Wulfgara na Meraldę i z powrotem. Zauważył, że Priscilla siedzi cicho, bez wątpienia również wszystko chłonąc.

Dostrzegł jad na twarzy Priscilli, gdy spoglądała na Meraldę. Myślała, że kobietę cieszył gwałt barbarzyńcy, uświadomił sobie Temigast. Być może sądziła, że to nie był gwałt.

Zważywszy na rozmiary mężczyzny, Temigast nie mógłby się zgodzić z tym stwierdzeniem.

* * *

Cela była tym wszystkim, co obiecał lord Feringal, okropnym, ciemnym i wilgotnym miejscem wypełnionym straszliwym odorem śmierci. Wulfgar nie mógł niczego dojrzeć, nawet własnej dłoni, gdy trzymał ją na centymetr przed twarzą. Pełzał dookoła w błocie i gorszych rzeczach, odrzucając ostre kości w bezowocnych próbach znalezienia jakiegoś kawałka suchej ziemi, na której mógłby usiąść. Przez cały zaś czas miażdżył pająki i inne pełzające stworzenia, które spieszyły, by się dowiedzieć, jaki nowy posiłek im dostarczono.

Dla większości ten loch wydawałby się gorszy niż więzienne tunele w Luskan, głównie z powodu czystego poczucia pustki i samotności, lecz Wulfgar nie obawiał się szczurów ani pajaków. Jego koszmary sięgały o wiele głębiej. Tutaj w mroku odkrył, że jakoś był w stanie odpędzać owe koszmary.

Tak minął dzień. W trakcie następnego barbarzyńca obudził się na światło pochodni i odgłos strażnika wsuwającego talerz ze zgniłym jedzeniem przez małą szczelinę w na wpół zakratowanej, na wpół metalowej klapie odcinającej tę, brudną norę od mokrych tuneli. Wulfgar zaczął jeść, lecz wypluł, myśląc, że lepiej będzie, jeśli spróbuje złapać i obedrzeć ze skóry szczura.

Tego drugiego dnia barbarzyńcę odnalazł emocjonalny zamęt. Głównie był zagniewany na cały świat. Być może zasługiwał na karę za swą rozbójniczą działalność – mógł przyjąć za to odpowiedzialność – lecz to wykaczało poza sprawiedliwość związaną z jego czynami na drodze przy powozie lorda Feringala.

Wulfgar był także zły na siebie. Być może Morik przez cały czas miał rację. Być może nie miał serca do takiego sposobu życia. Prawdziwy rozbójnik pozwoliłby gnomowi umrzeć albo przynajmniej, by go szybko dobił. Prawdziwy rozbójnik zaznałby przyjemności z kobietą, a następnie zawlókł ją za sobą, by sprzedać w niewolę lub zachować jako własną niewolnicę.

Wulfgar roześmiał się na głos. Tak, istotnie, Morik miał rację. Wulfgar nie miał serca do żadnej z tych rzeczy. A teraz był tutaj, jako nędzny nędznik, porażka na najniższym poziomie cywilizowanego społeczeństwa, głupiec zbyt niekompetentny, by nawet być odpowiednim rozbójnikiem.

Następną godzinę spędził nie w swojej celi, lecz z powrotem w Grzbiecie Świata, w tej wielkiej granicy pomiędzy tym, czym był niegdyś, a tym, czym się stał, w tej fizycznej barierze, która wydawała się tak odpowiednim symbolem mentalnej bariery w jego wnętrzu, muru jaki wznosił niczym emocjonalny łańcuch górski, by powstrzymać bolesne wspomnienia o Errtu.

Oczyrna wyobraźnia znajdował się tam teraz, siedząc na stokach Grzbietu Świata, wpatrując się w Dolinę Lodowego Wichru i w życie jakie niegdyś znał, po czym obracając się, by spojrzeć na południe i żalną egzystencję, jaką teraz cierpiał. Trzymał oczy zamknięte, choć i tak niewiele ujrzałby w ciemności, ignorując liczne pełzające istoty, które na niego szturmowały i otrzymując sporo bolesnych pajęczych ugryzień za swą nieuwagę.

Jakiś czas później tego samego dnia hałas wyciągnął go z transu. Otworzył oczy i ujrzał migotanie kolejnej pochodni w tunelu za drzwiami.

– Wciąż żyjesz? – dobiegło pytanie głosem starca.

Wulfgar przeniósł się na kolana i podpełznął do drzwi, mrugając raz za razem, gdy oczy dostosowywały mu się do światła. Po kilku chwilach w mężczyźnie trzymającym pochodnię rozpoznał doradcę, którego widział w sali audiencyjnej, mężczyznę przypominającego mu pod względem fizycznym Sędziego Jharkhelda z Luskan.

Wulfgar parsknął i precyzyjnie jedną dłoń między prętami.

– Przypał ją swoją pochodnią – zaproponował. – Korzystaj ze swych zboczonych przyjemności, jak masz okazję.

– Jesteś zły, że cię schwytano, jak przypuszczam – odparł mężczyzna nazywany Temigastem.

– Dwukrotnie niesprawiedliwie uwięziony – odrzekł Wulfgar.

– Czy wszyscy więźniowie nie są uwięzieni niesprawiedliwie według własnego rozeznania? – spytał zarządca.

– Kobieta powiedziała, że to nie ja.

– Kobieta wielce ucierpiała – zripostował Temigast. – Być może nie może stawić czoła prawdzie.

– Lub być może mówiła słusznie.

– Nie – Temigast powiedział natychmiast, potrząsając głową. – Liam zapamiętał cię wyraźnie i nie może się mylić. – Wulfgar znów parsknął. – Zaprzeczasz, że byłeś złodziejem, który przewrócił powóz? – Temigast zapytał bez ogródek.

Wulfgar wpatrywał się w niego nie mrugając, lecz jego mina mówiła wyraźnie, że nie zaprzecza tym słowom.

– Samo to kosztowałoby cię dłonie i uwięzienie przez tyle lat, ile lord Feringal uznałby za słuszne – wyjaśnił Temigast. – Lub samo to kosztowałoby cię życie.

– Wasz woźnica, Liam, był ranny – odparł Wulfgar, powarkującym głosem. – Przypadkowo. Mogłem pozwolić mu zginąć na drodze. Dziewczyna w żaden sposób nie została skrzywdzona.

– Dlaczego miałyby twierdzić inaczej? – Temigast spytał cicho.

– A twierdzi? – odparł Wulfgar i przekrzywił głowę zaczynając chwytać, zaczynając rozumieć, dlaczego młody lord był tak bardzo rozwścieczony. Z początku uważał, że źródłem jest zwykła duma – w końcu nie zdołał obronić własnej żony – lecz teraz, w retrospekcji, Wulfgar zaczął podejrzewać, iż było tu coś głębszego, jakaś pierwotna wściekłość. Przypomniawszy sobie pierwsze słowa lorda Feringala do niego, groźbę kastracji.

– Modłę się, by lord Feringal przygotował dla ciebie najpaskudniejszą śmierć, barbarzyńco – stwierdził Temigast. – Nie możesz wiedzieć, jakie cierpienie sprawiłeś jemu, lady Meraldzie czy ludowi Auckney. Jesteś łajdakiem i psem, a twoja śmierć przysłuży się sprawiedliwości, czy to w publicznej egzekucji czy też tu na dole, jeśli zginiesz samotnie w brudzie.

– Przyszedłeś tu tylko po to, by dostarczyć mi tę wiadomość? – Wulfgar spytał sarkastycznie. Temigast uderzył go w dłoń płonąca pochodnią, zmuszając Wulfgara do szybkiego cofnięcia ręki.

Następnie starzec odwrócił się i odszedł spiesznie, pozostawiając Wulfgara samotnego w ciemnościach i z pewnymi bardzo zagadkowymi myślami wirującymi w głowie.

* * *

Pomimo swego końcowego wybuchu i szczerej złości, Temigast odszedł nie będąc o czymkolwiek przekonany. Poszedł zobaczyć się z barbarzyńcą głównie z powodu reakcji Meraldy w sali audiencyjnej, ponieważ chciał poznać prawdę. Teraz prawda wydawała się zdecydowanie bardziej niejasna. Dlaczego Meralda nie zidentyfikowałaby Wulfgara, gdyby go rzeczywiście rozpoznała? Jak mogła nie rozpoznać? W końcu mężczyzna się wyróżniał, miał ponad dwa metry wzrostu, a w barkach był równie szeroki jak młody gigant.

Temigast wiedział, że Priscilla się myli, widział bowiem iż sądziła, że Meraldzie podobał się gwałt.

– Śmieszne – mruknął zarządca, wypowiadając na głos myśli, aby móc odczytać w nich sens. – Całkowicie i kompletnie śmieszne.

– Ale czy Meralda chroniłaby swego gwałciciela? – spytał się cicho.

Odpowiedź ugodziła go równie wyraźnie jak obraz idiotycznego młodzieńca ześlizgującego się z

klifu.

DOBRY LORD BRANDEBURG

– Nienawidzę czarodziejów – mruknął Morik, wypełzając z rumowiska, z tuzinem rozcięć i siniaków zdobiących jego ciało. – Niezbyt uczciwa walka. Muszę się nauczyć tego całego czarowania! Łotrzyk spędził długą chwilę przyglądając się okolicy, lecz Wulfgara nie było oczywiście nigdzie widać. Wybór czarodzieja, by zabrać Wulfgara wydawał się Morikowi dość dziwny. Najprawdopodobniej uznał Wulfgara za groźniejszego z ich dwójki, być może za przywódcę. Jednakże to Morik, a zdecydowanie nie Wulfgar dobierał się do damy w powozie. Wulfgar był tym, który nalegał, by ją wypuścić i to szybko, by uratować rannego woźnicę. Najwyraźniej czarodziej przybył źle poinformowany.

A co teraz powinien zrobić Morik? Wrócił najpierw do jaskini, opatrując swe rany i zbierając zapasy, jakich będzie potrzebował na drogę. Nie chciał tu zostać, nie z rozżłoszczoną bandą goblinów w pobliżu i bez Wulfgara u boku. Dokąd jednak pójść?

Wybór wydał się oczywisty po zaledwie chwili poważnego zastanowienia – z powrotem do Luskan. Morik zawsze wiedział, iż zawędruje znów na ulice, które tak dobrze znał. Stworzy sobie nową tożsamość na użytek większości, lecz pozostanie raczej tym samym groźnym łotrzykiem dla tych, których współpracy będzie potrzebował. Jak dotąd problemem w jego planach był Wulfgar. Morik nie mógłby wejść do Luskan z wielkim barbarzyńcą u boku i mieć nadziei na utrzymanie tajemnicy na dłużej.

Oczywiście była też nie tak błaha kwestia mrocznych elfów.

Nawet ten potencjalny problem nie ograniczał go jednak, bowiem zrobił, co tylko mógł, by pozostać z Wulfgarem, jak mu polecono. Teraz Wulfgar zniknął i droga leżała otworem. Morik wykonał pierwsze kroki na drodze z Grzbietu Świata, kierując się z powrotem do miejsca, które znał tak dobrze.

Coś bardzo dziwnego stało się jednak wtedy ze zmysłami Morika. Łotrzyk odkrył, że na każdy krok na południe wykonuje dwa na zachód. Nie była to sztuczka czarodzieja, lecz czar rzucony przez jego własne sumienie, czar pamięci, który szeptał żądania, jakie Wulfgar postawił kapitanowi Deudermontowi na Więziennym Karnawale, że Morik także musi zostać uwolniony. Po raz pierwszy w swym nędznym życiu spętany przyjaźnią, Morik Łotr wkrótce dreptał drogą, układając swój plan.

Tej nocy obozował na zboczu górskim i dostrzegł ognisko grupy ustawionych w koło wozów. Nie był daleko od głównej północnej przełęczy. Wozy pochodziły z Dekapolis, bez wątplenia, i kierowały się na południe, tak więc nie zajadą w pobliże lenna na zachodzie. Nie było

prawdopodobne, by kupcy słyszeli w ogóle o tym miejscu.

– Bądź pozdrowiony! – późną nocą Morik zawołał do samotnego wartownika.

– Stój gdzie jesteś! – odkrzyknął mężczyzna. Za nim inni zaczęli się krzątać.

– Nie jestem wrogiem – wyjaśnił Morik. – Jestem krnąbrnym poszukiwaczem przygód oddzielonym od swojej grupy, lekko rannym, lecz bardziej złym niż poszkodowanym.

Po krótkiej dyskusji, której Morik nie mógł dosłyszeć, inny głos oznajmił, że może się zbliżyć, lecz ostrzegł, że tuzin łuczników celuje w jego serce i lepiej, by ciągle pokazywał otwarte dłonie.

Ani trochę nie pragnąc walki, Morik właśnie tak zrobił, wchodząc między bliźniaczymi szeregami uzbrojonych mężczyzn w światło ogniska, by stanąć przed dwoma kupcami w średnim wieku, jednym o posturze niedźwiedzia, drugim szczuplejszym, choć i tak dość krzepkim.

– Jestem lord Brandeburg z Waterdeep – zaczął Morik – wracam do Dekapolis, do Maer Dualdon, gdzie mam nadzieję trafić na łowy na jesiotry. To dobry interes!

– Jesteś daleko od gdziekolwiek, lordzie Brandeburgu – odparł cięższy kupiec.

– Późna pora jak na drogę do Maer Dualdon – odrzekł drugi, podejrzliwie.

– Jednak tam właśnie się udaję, jeśli znajdę moich zabawnych, wędrownych przyjaciół – Morik odpowiedział ze śmiechem. – Może ich widzieliście? Krasnolud, zwie się Bruenor Battlehammer, jego ludzka córka Catti-brie – och, samo słońce chyli się przed jej pięknem! – dość gruby niziołek i... – Morik zawahał się i wyglądał na dość zdenerwowanego, choć porozumiewawcze uśmiechy na twarzach kupców były dokładnie tym, co miał nadzieję ujrzeć.

– I mroczny elf – ciężki mężczyzna dokończył za niego. – Możesz otwarcie mówić o Drizzcie Do'Urdenie, lordzie Brandeburgu. Jest dobrze znany i nie jest wrogiem żadnemu kupcowi wjeżdżającemu do doliny.

Morik westchnął z udawaną ulgą i w myślach podziękował Wulfgarowi, iż opowiedział mu tak wiele o swych byłych przyjaciółach podczas pijackich hulanek w ciągu ostatnich kilku dni.

– Miło cię poznać, powiadam ci – ciągnął ciężko kupiec. – Jestem Petters, a to mój współpracownik Goodman Dawinkle. – Na znak Pettersa, strażnicy za Morikiem odprężyli się i cała trójka zasiadła wokół ognia, gdzie Morikowi podano miskę gęstego gulaszu.

– Z powrotem do Doliny Lodowego Wichru, mówisz? – spytał Dawinkle. – Zgubiłeś tę grupę? Żadnych kłopotów, mam nadzieję?

– To bardziej gra – odpowiedział Morik. – Dołączyłem do nich wiele kilometrów na południe i

chyba w swej zarozumiałości za daleko posunąłem się z Catti-brie.

Obydwaj kupcy wykrzywili się złowrogo.

– Nic poważnego, zapewniam was – Morik dodał szybko. – Byłem nieświadomy, że jej serce należy do innego, nieobecnego przyjaciela, ani też nie zdałem sobie sprawy, że ten postępujący Bruenor jest jej ojcem. Poprosiłem jedynie o wymianę towarzyską, lecz to, jak się obawiam, wystarczyło, by Bruenor zechciał mi się odpłacić.

Kupcy i strażnicy teraz się roześmieli. Słyszeli o opryskliwym i nadopiekuńczym Bruenorze Battlehammerze, jak każdy, kto spędził trochę czasu w Dolinie Lodowego Wichru.

– Obawiam się, że przechwalałem się umiejętnościami tropicielskimi – ciągnął Morik – tak więc Bruenor postanowił mnie sprawdzić. Zabrali mojego konia, moje dobre ubrania i znikli z drogi – tak dobrze ukryli się w krzakach, prowadzeni przez Drizzta, że ktoś nie rozumiejący umiejętności mrocznego elfa pomyślałby, iż mieli magiczną pomoc.

Kupcy pokiwali głowami, wciąż się śmiejąc.

– Teraz muszę ich zatem odnaleźć, choć wiem, że już zbliżają się do Doliny Lodowego Wichru. – Zachichotał z siebie. – Jestem pewien, że roześmieją się, gdy przyjdę pieszo, w brudnym i podartym ubraniu.

– Wyglądasz jakbyś walczył – stwierdził Dawinkle, zauważając ślady osunięcia lawiny oraz bitwy z goblinami.

– Potyczka z paroma goblinami i ogrem, nic poważnego – łotrzyk odparł nonszalancko. Mężczyźni unieśli brwi, lecz nie z powątpiewaniem – nie wobec kogoś, kto podróżował z tak potężnymi towarzyszami. Morik miał tak wielki urok i umiejętności, że rozumiał jak wplatać jedne opowieści pod drugie, tak że bazowa przesłanka szybko została zaakceptowana jako fakt.

– Ucieszymy się, jeśli zechcesz spędzić tu noc, dobry panie – zaproponował kupiec Petters – albo tak wiele nocy, ile zechcesz. Wracamy jednak do Luskan, w kierunku przeciwnym niż zamierzona przez ciebie droga.

– Przyjmę posłanie na tę noc – odrzekł Morik – i być może... – pozwolił słowom zawisnąć w powietrzu, podnosząc palce do ust w pozie pełnej zadumy.

Zarówno Petters jak i Dawinkle wychylili się w oczekiwaniu.

– Nie wiecie, gdzie mógłbym zakupić konia, dobrego wierzchowego konia? – spytał Morik. – Może też dobry strój. Moi przyjaciele odjechali łatwą drogą, więc wciąż mogę ich przegonić do Dekapolis. Jakież wspaniałe miny odmaluję na ich twarzach, gdy wejdą do Samotnego Lasu i odkryją, że czekam na nich i wyglądam naprawdę wspaniale.

Mężczyźni wokół niego zawyli z uciechy.

– Cóż, my mamy zarówno konie, jak i ubiory – ryknął Petters, nachylając się, by poklepać Morika po ramieniu, co spowodowało, że się skrzywił, ponieważ został tam otarty przez kamienie. – Zaoferujemy lordowi Brandeburgowi dobrą cenę.

Zjedli, wymienili się opowieściami i pośmiali. Zanim skończyli, Morik zdobył ich najsilniejszego konia wierzchowego i wspaniały ubiór, w dwóch odcieniach zieleni, z najlepszego materiału ze złotym brokatem, za błahą cenę, ułamek tego, co zapłaciłby w dowolnym sklepie w Luskan.

Został z nimi przez noc, lecz odjechał z pierwszymi promieniami słońca, jadąc na północ i śpiewając pieśń poszukiwaczy przygód. Gdy karawana znikła z pola widzenia, skierował się na zachód i pogalopował, sądząc że powinien bardziej zmienić swój wygląd, zanim jako lord Brandeburg z Waterdeep przybędzie do małego lenna.

Miał nadzieję, że w pobliżu nie będzie czarodzieja. Morik nienawidził czarodziejów.

Errtu go odnalazł. Tam, w mroku swej więziennej celi, Wulfgar nie mógł uciec przed emocjonalną agonią, przed nawiedzającymi go wspomnieniami, wwierconymi w jego istotę, przez lata udręki z opazurzonych dłoni Errtu oraz jego demonicznych sług.

Demon znów go odnalazł i trzymał, szydził z niego wraz z powabnymi kusicielkami, by zniszczyć jego oraz owoc jego nasienia.

Znów ujrzał wszystko tak wyraźnie, demona stojącego przed nim, niemowlę – dziecko Wulfgara – w jego potężnych rękach. Odczuwa odrazę na samą myśl, że spłodził takie stworzenie, półdemon, lecz przypomniał sobie także uznanie przez siebie tego dziecka – niewinnego dziecka? – za własne.

Errtu otworzył szeroko swą śliniącą się paszczę, pokazując te straszne psie zęby. Pysk demona pochylił się niżej, spiczaste zęby wisiały tuż nad głową dziecka Wulfgara, osadzone w szczękach tak wielkich, że głowa niemowlęcia mieściła się w nich. Errtu zniżył się...

Wulfgar poczuł palce sukkuba muskające jego ciało i obudził się gwałtownie. Wrzeszczał, wierzgał i miotał się, zrzucając kilka pajaków, lecz otrzymując ugryzienia od wielu innych. Barbarzyńca podniósł się na nogi i rozpędził w atramentowej ciemności swej celi, niemal pozbawiając się przytomności, gdy wpadł na niepoddające się drzwi.

Przewrócił się z powrotem na brudną podłogę, łkając, trzymając twarz w dłoniach, pełny złości i frustracji. Wtedy zrozumiał, co wytrąciło go z koszmarnego snu, usłyszał bowiem kroki w korytarzu. Gdy podniósł wzrok, ujrzał migotanie pochodni zbliżające się do drzwi.

Wulfgar cofnął się i usiadł prosto, starając się odzyskać część swej godności. Przypomniał sobie, że skazanym na zgubę spełnia się często ostatnie życzenie. Jego życzeniem będzie butelka silnego

alkoholu, ognistej cieczy, która po raz ostami wypali z jego umysłu te wspomnienia.

Światło pojawiło się tuż obok jego celi i spojrzała na niego lorda Feringala.

– Jesteś gotowy przyznać się do swej zbrodni, psie? – spytał. Wulfgar wpatrywał się w niego przez długą, długą chwilę.

– Dobrze więc – ciągnął niewstrząśnięty lord. – Zostałeś zidentyfikowany przez mojego zaufanego woźnicę, tak więc na mocy prawa muszę jedynie podać ci twoją zbrodnię i karę.

Wciąż bez odpowiedzi.

– Za grabież na drodze zabiorę ci dłonie – lord Feringal wyjaśnił rzeczowo. – Po jednej i to powoli. Za twą gorszą zbrodnię... – zawahał się i nawet w tym słabym świetle Wulfgarowi wydawało się, iż mężczyzna odczuł nagły ból.

– Mój lordzie – ponaglił stary Temigast stojący z tyłu.

– Za twą gorszą zbrodnię – zaczął na nowo lord Feringal, mocniejszym głosem – za zgwałcenie lady Meraldy zostaniesz publicznie wykastrowany, a następnie przykuty na jeden dzień na widoku publicznym. Później zaś, psie Wulfgarze, zostaniesz spalony na stosie.

Twarz Wulfgara wykrzywiła się niedowierzaniem, gdy usłyszał o tej ostatniej zbrodni. Ocalił tę kobietę przed takim losem! Chciał wrzeszczeć lordowi Feringalowi w twarz, chciał wydzierać się na niego i wyrwać drzwi z framugi. Chciał zrobić to wszystko, a jednak nie zrobił nic, siedział jedynie cicho, akceptując niesprawiedliwość.

Czy to jednak była niesprawiedliwość? – Wulfgar spytał sam siebie. Czy nie zasługiwał na taki los? Czy to miało w ogóle znaczenie?

Tak właśnie było, uznał Wulfgar. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Znajdzie wolność w śmierci. Niech lord Feringal go zabije i skończy z tym, robiąc im obu przysługę. Kobieta go fałszywie oskarżyła i nie mógł zrozumieć dlaczego, lecz... nieważne.

– Nie masz nic do powiedzenia? – zażądał odpowiedzi lord Feringal.

– Dasz mi ostatnie życzenie?

Młodzieniec zadrżał wyraźnie na tę absurdalną myśl. – Mc ci nie dam! – wrzasnął. – Nic więcej niż tylko jedną noc, o głodzie i w brudzie, żebyś rozważył swój straszliwy los.

– Mój lordzie – Temigast powtórzył, by go uspokoić. – Strażnik! Odprowadzić lorda Feringala z powrotem do jego komnat. – Młodzieniec skrzywił się po raz ostatni na Wulfgara przez otwór w drzwiach, po czym dał się odprowadzić.

Temigast został jednak, biorąc jedną z pochodni i gestem każąc pozostałym strażnikom odejść. Stał przez dłuższą chwilę przy drzwiach celi, wpatrując się w Wulfgara.

– Odejdź, starcze – powiedział barbarzyńca.

– Nie zaprzeczyłeś ostatniemu zarzutowi – rzekł Temigast – choć przede mną spierałeś się, że jesteś niewinny.

Wulfgar wzruszył ramionami, lecz nic nie powiedział i nie odpowiedział mężczyźnie spojrzeniem.

– Jaki byłby sens, żebym się powtarzał? I tak jestem już skazany.

– Nie zaprzeczyłeś gwałtowi – stwierdził znów Temigast. Głowa Wulfgara uniosła się, by skrzyżować wzrok z Temigastem.

– Ty też nie przemówiłeś w moim imieniu – odparł. Temigast popatrzył na niego jakby został spoliczkowany. – I nie powinienem.

– A więc pozwolisz umrzeć niewinnemu. Temigast parsknął głośno.

– Niewinnemu? – oznajmił. – Jesteś złodziejem i psem, a ja nie zrobię nic przeciwko lady Meraldzie, ani lordowi Feringalowi, dla twojego żalosnego dobra.

Wulfgar roześmiał się z niego, z groteskowości tego wszystkiego.

– Proponuję ci jednak to – ciągnął Temigast. – Nie powiedz słowa przeciwko lady Meraldzie, a zapewnię, że twoja śmierć będzie szybka. To najlepsze, co mogę zaoferować.

Wulfgar przestał się śmiać i spojrzał stanowczo na skomplikowanego zarządcę.

– A inaczej – ostrzegł Temigast – obiecuję, że przeciągnę spektakl twych tortur na cały dzień i jeszcze dłużej. Sprawię, że tysiąc tysięcy razy będziesz błagał o śmierć, zanim uwolnię cię °d agonii.

– Od agonii? – Wulfgar powtórzył głucho. – Starcze, nic nie wiesz o agonii.

– Zobaczymy – warknął Temigast i odwrócił się, zostawiając Wulfgara samego w ciemnościach... dopóki Errtu nie wrócił do niego, jak zawsze czynił.

Morik jechał tak szybko, jak tylko koń na to pozwalał, tak długo jak biedne zwierzę mogło wytrzymać. Przemknął tą samą drogą, na której napotkali wraz z Wulfgarem powóz, obok tego samego miejsca, w którym Wulfgar go przewrócił.

Wpadł do Auckney późnym popołudniem na oczach licznych wieśniaków.

– Powiedz mi proszę imię twego lorda, dobry panie – zawołał do jednego, podkreślając swą prośbę ciśniętą złotą monetą.

– Lord Feringal Auck – powiedział szybko mężczyzna. – Mieszka ze swoją nową żoną w Zamku Auck, tam – dokończył, wskazując sękatym palcem na wybrzeże.

– Wielkie dzięki! – Morik skłonił głowę, cisnął jeszcze kilka srebrnych monet, po czym dźgnął konia piętami kłusując przez ostatnich kilkaset metrów drogi do małego mostu prowadzącego do Zamku Auck. Brama była otwarta, po obu jej stronach stali wyglądający na znudzonych strażnicy.

– Jestem lord Brandeburg z Waterdeep – powiedział do nich, zatrzymując rumaka. – Zapowiedzcie mnie proszę u swego lorda, mam bowiem długą drogę za sobą, a jeszcze dłuższą przed sobą.

Z tymi słowy, łotrzyk zsiadł z wierzchowca i otrzepał pantalon, posuwając się nawet do tego, że wyjął zza pasa swój wąski miecz, oczyścił ostrze, po czym wykonał nagły, oszłamiający pokaz szermierki, zanim schował go z powrotem do pochwy. Zdał sobie sprawę, że zrobił na nich wrażenie, bowiem jeden z nich pobiegł do zamku, a drugi zajął się jego koniem.

W przeciągu kilku minut Morik, Lord Brandeburg, stał przed lordem Feringalem w sali audiencyjnej Zamku Auck. Wykonał niski ukłon i przedstawił się jako podróżny, który stracił swych towarzyszy w walce z bandą gigantów w Grzbiecie Świata. Widział w oczach Feringala, iż drobny szlachcic był poruszony wizytą lorda wielkiego miasta Waterdeep i osłabił swą ostrożność starając się go zadowolić.

– Sądzę, że jeden lub dwóch z mych przyjaciół uciekło – Morik zakończył opowieść – choć daję słowo, że żaden gigant nie może powiedzieć tego samego.

– Jak daleko stąd to było? – zapytał lord Feringal. Wydawał się mieć trochę rozproszoną uwagę, lecz historia Morika wyraźnie go zaalarmowała.

– Wiele kilometrów, mój lordzie – rzekł Morik – i nie stanowi to zagrożenia dla twojego cichego królestwa. Jak powiedziałem, wszyscy giganci nie żyją. – Rozejrzał się dookoła i uśmiechnął. – Byłoby szkoda, gdyby takie potwory spadły na tak ciche i bezpieczne miejsce.

Lord Feringal chwycił przynętę.

– Nie takie ciche i nie takie bezpieczne – warknął przez zaciśnięte zęby.

– Niebezpieczeństwo, tutaj? – Morik powiedział niedowierzająco. – Może piraci? – Wyglądał na zaskoczonego i popatrzył na starego zarządcę stojącego za tronem. Mężczyzna potrząsnął niezauważalnie głową, co Morik wziął za znak, by nie drażnić tematu, lecz właśnie o to mu chodziło.

– Rozbójnicy – warknął lord Feringal.

Morik zaczął odpowiadać, lecz ugryzł się w język, gdy do sali weszła kobieta, którą zdecydowanie rozpoznawał.

– Moja żona – lord Feringal przedstawił ją z roztargnieniem. – Lady Meralda Auck.

Morik uklonił się nisko, ujął jej dłoń i podniósł do swych warg, wpatrując się jej prosto w oczy. Ku swej ogromnej uldze i dumie ze sprytnego przebrania, nie ujrzał w nich żadnego śladu, by go rozpoznawała.

– Najpiękniejsza z żon – stwierdził Morik. – Masz mój podziw, lordzie Feringalu.

Wywołało to w końcu uśmiech na twarzy Feringala, lecz szybko przerodził się on w grymas.

– Moja żona była w powozie zaatakowanym przez tych rozbójników.

Morik zachłysnął się.

– Odnajdę ich, lordzie Feringalu – powiedział. – Odnajdę i zaszlachtuję na drodze. Albo przywiozę tobie, jeśli wolisz.

Lord Feringal zamachał rękoma, uciszając go.

– Mam tego, którego chciałem – rzekł. – Drugi został pogrzebany pod lawiną.

Wargi Morika wydeły się na to bolesne wspomnienie.

– Odpowiedni los – powiedział.

– Odpowiedniejszy los planuję dla pojmanego barbarzyńcy – ponuro odparł Feringal. – Najstraszliwszą śmierć, zapewniam cię. Możesz być jej świadkiem, jeśli zostaniesz w Auckney na noc.

– Oczywiście, chętnie – oznajmił Morik. – Co zaplanowałaś dla łajdaka?

– Najpierw kastrację – wyjaśnił lord Feringal. – A właściwa śmierć nastąpi za dwa poranki.

Morik przyjął zadumaną pozę.

– Barbarzyńca, mówisz.

– Wielki barbarzyńca z północy, owszem – odrzekł Feringal.

– Silny?

– Silniejszy niż każdy człowiek, którego kiedykolwiek widziałem – odparł lord Auckney. – Trzeba było potężnego czarodzieja, by oddać go sprawiedliwości i nawet ów mężczyzna zostałby przez niego pokonany, gdyby moi strażnicy nie otoczyli go i nie pobili.

Morik niemal zakrztusił się na wzmiankę o czarodzieju, lecz zachował spokój.

– Zabicie rozbójnika jest z pewnością odpowiednim rozwiązaniem – powiedział Morik – lecz być może lepiej ci się posłuży w inny sposób. – Czekał, obserwując bacznie jak lord Feringal bliżej mu się przygląda.

– Być może mógłbym kupić tego mężczyznę – wyjaśnił Morik. – Jestem osobą o niemałych możliwościach, zapewniam cię, i z pewnością przydałby mi się silny niewolnik u boku, gdy rozpocznę poszukiwania mych zaginionych towarzyszy.

– Nie ma szans – Feringal odparł raczej ostro.

– Ale jest zaznajomiony z tymi stronami... – Morik zaczął przekonywać.

– Zginie straszną śmiercią za krzywdę, jaką uczynił mojej żonie – zripostował lord Feringal.

– Ach tak, mój lordzie – powiedział Morik. – Ten incydent ją zaniepokoił.

– Ten incydent pozostawił ją z dzieckiem! – wrzasnął Feringal, chwytając poręczę fotela tak mocno, aż pobiełały mu knykcie.

– Mój lordzie! – zarządca krzyknął na to nierozsądne oświadczenie, a Meralda zachłysnęła się. Morik ucieszył się, że ich szok przysłonił jego własny.

Lord Feringal uspokoił się szybko, rozsiadając się na nowo w fotelu i wymrukując przeprosiny do Meraldy.

– Lordzie Brandeburgu, błagam cię o wybaczenie – rzekł. – Rozumiesz moją złość.

– Wykastruję tego psa w twoim imieniu – odparł Morik, wyciągając miecz. – Zapewniam cię, że jestem wyćwiczony w takich sztukach.

To złagodziło lekko napięcie w sali. Nawet lord Feringal zdobył się na uśmiech.

– My zajmiemy się tym, co nieprzyjemne – odrzekł – lecz istotnie ucieszyłoby mnie twoje towarzystwo podczas wykonywania wyroku. Czy zostaniesz przez te dwa dni moim gościem?

Morik ukłonił się bardzo nisko.

– Jestem do twoich usług, mój lordzie.

Niedługo później Morik został zaprowadzony do gospody tuż za zamkowym mostem. Nie był ucieszony tym, że lord Feringal trzyma gości za zamkowymi murami. To zdecydowanie utrudni mu dotarcie do Wulfgara. Dowiedział się jednak od eskorty, iż Wulfgar trzymany jest w lochu pod zamkiem.

Morik musiał dostać się do swego przyjaciela i to szybko, bowiem w związku z fałszywymi oskarżeniami złożonymi przeciwko Wulfgarowi lord Feringal na pewno go zabije i to w straszny sposób. Śmiałe ratunki nigdy nie były częścią planów Morika.

Wielu złodziei sprzedawano podróżującym lordom, miał więc nadzieję, iż lord Feringal rozstanie się z nim w zamian za sporą sumkę – na dodatek w swym własnym złocie – lecz gwałcicieli, zwłaszcza tych, którzy pokusili się na szlachcianki, czekał tylko jeden, straszliwy los.

Morik wyrzął przez okno swego małego pokoju, spoglądając na Zamek Auck i rozciągające się za nim ciemne wody. Spróbuje znaleźć jakiś sposób, by dostać się do Wulfgara, lecz obawiał się, że będzie musiał wrócić sam do Luskan.

DRUGA PRÓBA WYMIERZENIA SPRAWIEDLIWOŚCI

– To twój ostatni posiłek, psie – powiedział jeden z dwóch strażników stojących obok celi Wulfgara. Mężczyzna splunął najedzenie i wsunął tacę przez otwór.

Wulfgar zignorował ich i nie sięgnął po jedzenie. Ledwo mógł uwierzyć, że uciekł przed egzekucją w Luskan tylko po to, by zostać zabitym w jakimś mizernym lennie. Uderzyło go wtedy, że być może sobie na to zasłużył. Nie, nie skrzywdził oczywiście kobiety, lecz jego czyny w trakcie ostatnich kilku miesięcy, zwłaszcza odkąd zostawił Drizzta i innych w Dolinie Lodowego Wichru – odkąd uderzył Catti-brie w twarz – nie były czynami człowieka nie zasługującego na tak ponury los. Czy wraz z Drizztem nie zabijali potworów za te same zbrodnie, które teraz popełniał? Czy nie udali się na zbocza Grzbietu Świata w pościgu za bandą gigantów, którzy obserwowali szlak, najwyraźniej zamierzając zasadzać się na karawany kupieckie? Jakież miłosierdzie okazali gigantom? Na jakież miłosierdzie zasługiwał więc Wulfgar?

Mimo to dość mocno dręczyło wielkiego mężczyznę, podważało niewielką pewność, jaką żywił w sprawiedliwość i człowieczeństwo, że zarówno w Luskan, jak i w Auckney został oskarżony o zbrodnie, których nie popełnił. Nie miało to dla niego sensu. Jeśli chcieli go tak paskudnie zabić, dlaczego nie zrobić tego za przewinienia, których się dopuścił? Było mnóstwo takich, z których można było wybierać.

Podchwycił ostatnie strzępki rozmowy odchodzących tunelem strażników.

– To będzie nędzne dziecko, wywodzące się z takich lędźwi.

– Rozerwałby lady Meraldę, tak wielką pałą!

To skłoniło Wulfgara do zastanowienia. Siedział w ciemności przez długą chwilę, z otwartymi ustami. Teraz zaczęło to mieć dla niego większy sens, gdy poukładał elementy łamigłówek. Z poprzednich rozmów strażników wiedział, że lord Feringal i lady Meralda dopiero niedawno się pobrali, a teraz była w ciąży, ale nie z lordem Feringalem.

Wulfgar niemal roześmiał się w głos z absurdalności tego wszystkiego. Stał się wygodną wymówką dla cudzołożnej szlachcianki, balsamem na rogi przyprawione lordowi Feringalowi.

– Co za szczęście – mruknął, lecz rozumiał, że to coś więcej niż tylko pech doprowadziło do jego aktualnych kłopotów. Seria złych wyborów z jego strony wtrąciła go w ten mrok z pajakami, smrodem oraz wizytami demona.

Tak, uważał że na to zasługiwał. Nie za zbrodnię, o które go oskarżono, lecz za te które popełnił.

* * *

Nie mogła spać, nie była nawet w stanie zamknąć oczu. Feringal zostawił ją wcześniej i wrócił do swego pokoju, skarżyła się bowiem na niewygodę i poprosiła go, by dał jej odpocząć od ciągłych zalotów. Nie chodziło o to, że miała coś przeciwko temu. Tak naprawdę uprawianie miłości z Feringalem było zdecydowanie przyjemne, a gdyby nie dziecko i myśl o biednym mężczyźnie w lochu, wykroczyłoby wręcz poza przyjemność.

Meralda doszła do przekonania, że zmiana jej nastawienia do Feringala miała solidne podłoże, był bowiem delikatnym i przyzwoitym mężczyzną. Nie miała problemów ze spoglądaniem na niego w świeży sposób, dostrzegając jego przystojne rysy oraz urok, choć było to trochę zagrzebane przez lata spędzone pod wpływem jędzowatej siostry. Meralda mogła wydobyć ten urok na wierzch, wiedziała to, mogła wyciągnąć z Feringala to, co najlepsze i żyć w rozkoszy z dobrym człowiekiem.

Odkryła jednak, że nie jest w stanie tolerować samej siebie. Jakże jej głupota nawiedzała ją w formie dziecka w łonie, w gniewie wrzącym w jej mężu. Chyba najbardziej cierpkim ciosem ze wszystkich była dla Meraldy nadchodząca egzekucja niewinnego mężczyzny, mężczyzny który uratował ją przed tą samą zbrodnią, za którą miał zostać straszliwie zabity.

Po tym, jak Wulfgar został zaciągnięty do lochu, Meralda próbowała zracjonalizować sobie jego wyrok, przypominając sobie, że był on rzeczywiście rozbójnikiem, posuwała się nawet do mówienia sobie, iż ofiarą barbarzyńcy padali inni, być może nawet gwałcił inne kobiety.

Te argumenty nie trafiały jednak na podatny grunt, bowiem Meralda wiedziała lepiej. Choć obrabował jej powóz, uzyskała spory wgląd w jego charakter. Spowodowało to jej kłamstwo. Jej kłamstwo sprowadzi brutalną egzekucję na mężczyznę, który na to nie zasługiwał.

Meralda leżała do późnej nocy, uważając się za najstraszniejszą osobę na całym świecie. Jakiś czas później ledwo uświadomiła sobie, że idzie, drepcząc boso po chłodnej kamiennej posadzce i przyświecając sobie blaskiem samotnej świecy. Udała się do pokoju Temigasta, przystając przy drzwiach, by usłyszeć uspokajające odgłosy chrapania starca, i wkradła się do środka. Jako zarządca, Temigast trzymał klucze do wszystkich drzwi w zamku na dużym kółku z kutego żelaza.

Meralda znalazła kółko na haku nad komodą zarządcy i zdjęła je cicho, przy każdym drobniutkim odgłosie zerkając nerwowo na Temigasta. W jakiś sposób opuściła pokój nie budząc mężczyzny, po czym przemknęła przez salę audiencyjną, obok kwater strażników i do kuchni. Tam znalazła drzwi w podłodze prowadzące na dolne poziomy, zablokowane tak mocno, że żaden człowiek, a nawet

gigant nie mógłby mieć nadziei ich otworzyć. Chyba że miał klucze.

Meralda gmerała w nich, próbując każdego dopóki nie otworzyła każdego zamka i nie odsunęła każdej sztaby. Przystanąła, zbierając się, starając się uformować pełniejszy plan. Usłyszała wtedy strażników, śmiejących się w bocznym pomieszczeniu, i podeszła, by zajrzeć do środka. Grali w kości.

Meralda podeszła do drzwi do spiżarni, właściwie włazu, prowadzących do zewnętrznego muru zamku. Nie było tam zbyt wiele miejsca wśród skał, zwłaszcza podczas przyływu, lecz będzie musiało wystarczyć. Otworzywszy je również, kobieta wróciła do zapadni i delikatnie ją podniosła. Zszedłszy do brudnych tuneli, szła bosą po pochyłości, zadzierając szlafrok do góry tak by nie zostały na nim mogące ją zdradzić plamy.

Wulfgar obudził się na dźwięk klucza w zamku swej celi i słabe, migoczące światło w korytarzu. Straciwszy wszelką rachubę czasu, sądził iż nadszedł poranek tortur. Jakże się zdziwił widząc lady Meraldę wpatrującą się w niego przez pręty w okienku.

– Czy możesz mi wybaczyć? – wyszeptała, zerkając nerwowo przez ramię.

Wulfgar jedynie się w nią wpatrywał.

– Nie wiedziałam, że będzie cię ścigać – wyjaśniła kobieta. – Myślałam, że odpuści, a ja będę...

– Bezpieczna – dokończył za nią. – Myślałaś, że będziesz bezpieczna. – Tym razem to Meralda popatrzyła z niedowierzaniem. – Dlaczego przysłałaś? – spytał Wulfgar.

– Mogłeś nas zabić – odparła. – To znaczy mnie i Liama, na drodze. Albo zrobić to, co powiedzieli, że zrobiłeś.

– Co ty powiedziałaś, że zrobiłem – przypomniał jej Wulfgar.

– Mogłeś pozwolić swemu przyjacielowi zrobić na drodze, co chciał, mogłeś pozwolić Liamowi umrzeć – Meralda ciągnęła. – Jestem ci choć tyle winna. – Ku oszołomieniu Wulfgara, obróciła klucz w zamku. – W górę drabiną, później na lewo i przez drzwi spiżarni – wytłumaczyła. – Droga jest wolna. – Zapaliła kolejną świecę i zostawiła mu, po czym odwróciła się i uciekła.

Wulfgar dał jej fory, nie starając się jej dogonić, nie chciał bowiem, by była wmieszana, jeśli zostanie schwytany. Opuściwszy celę zdjął ze ściany metalowy lichtarz i użył go do rozbicia zamka tak cicho jak tylko mógł, by wyglądał na wyłamany. Następnie przeszedł korytarzami do drabiny i wspiął się do kuchni.

On również usłyszał strażników kłócących się i rzucających w sąsiednim pokoju kośćmi, nie mógł więc w podobny sposób zniszczyć zamków i sztab. Zamknął na powrót i zablokował zapadnię. Niech myślą, że miał jakąś magiczną pomoc. Idąc przez spiżarnię, jak poprosiła go

Meralda, Wulfgar przecisnął się przez małe drzwiczki, naprawdę ciasne, i trafił na niebezpieczną półkę na mokrych skałach u podstawy zamku. Kamienie były wytarte i gładkie. Wulfgar nie mógł liczyć na wspinaczkę po nich, nie było też widać żadnej drogi prowadzącej za róg zamku, był bowiem przyływ.

Wulfgar wskoczył do zimnej wody.

* * *

Ukrywając się w kuchni, Meralda skinęła głową, gdy Wulfgar wzmocnił jej podstęp zabezpieczając drzwi w dół. Podobnie zamknęła drzwi do spiżarni, zmyła ze stóp wszelkie ślady podziemnej przygody i podreptała cicho z powrotem, aby bez dalszej zwłoki zwrócić klucze do pokoju zarządcy Temigasta.

Niedługo potem Meralda znalazła się z powrotem w swym łóżku, wygnawszy w końcu straszliwe demony winy – a przynajmniej część z nich.

* * *

Wiatr od wody był zimny, lecz Morik mimo to pocił się pod ciężkimi fałdami swego ostatniego przebrania jako starej praczki – Stał za kamiennym murem w pobliżu wejścia na krótki most Prowadzący do Zamku Auck.

– Dlaczego postawili to coś na wyspie? – łotrzyk mruknął z niesmakiem, lecz jego aktualne problemy odpowiedziały oczywiście na to pytanie. Samotny strażnik opierał się o mur nad wielką zamkową bramą. Mężczyzna zapewne na wpół spał, lecz Morik nie widział sposobu, by się do niego zbliżyć. Most był dobrze oświetlony, z tego co słyszał pochodnie płonęły przez całą noc, i nie dawał żadnej osłony. Będzie musiał dopłynąć do zamku.

Morik popatrzył z powątpiewaniem na ciemne wody. Gdyby nawet udało mu się je pokonać, nie zostałyby mu wiele z przebrania. Morik nie był dobrym pływakiem i nie znał morza ani nie wiedział jakie potwory mogą czaić się pod ciemnymi falami.

Zdał sobie wtedy sprawę, że jego czas z Wulfgarem dobiegł końca. Uznał, że uda się o poranku na miejsce kaźni, lecz zapewne tylko po to, by się pożegnać, nie było bowiem prawdopodobne, by mógł go uratować nie narażając siebie samego.

Nie, uznał, nawet się nie pojawi. – Co dobrego mogłoby to dać? – mruknął. Mogłoby nawet sprowadzić na niego katastrofę, gdyby był tam czarodziej, który pochwycił Wulfgara i rozpoznałby go. – Lepiej żebym zapamiętał Wulfgara z naszych czasów wolności.

– Żegnaj, mój wielki przyjacielu – Morik powiedział na głos ze smutkiem. – Wracam teraz do Luskan...

Morik przerwał, gdy u podstawy muru zakotłowała się woda. Wielka, ciemna sylwetka zaczęła wypełzać z piany. Dłoń łotrzyka podążyła w kierunku miecza.

– Morik? – spytał Wulfgar przez zęby dzwoniące od lodowatej wody. – Co ty tu robisz?

– Mógłbym zapytać cię o to samo! – krzyknął łotrzyk, jednocześnie uradowany i oszołomiony. – Ja przybyłem oczywiście, by cię uratować – dodał czupurny łotrzyk, pochylając się, by chwycić dłoń Wulfgara i pomóc mu się podciągnąć. – To będzie wymagało wielu wyjaśnień, lecz chodź, ruszajmy w drogę.

Wulfgar nie zamierzał się sprzeciwić.

* * *

– Każdy strażnik w tym zamku zostanie stracony! – wściekał się lord Feringal, gdy następnego poranka dowiedział się o ucieczce, poranka, podczas którego planował wymierzyć barbarzyńcy swą sprawiedliwość.

Strażnik skurczył się, bojąc się, że lord Feringal zaatakuje go tam, gdzie stał, i rzeczywiście wydawało się, że młodzieniec zaszarżuje na niego prosto ze swego fotela. Meralda chwyciła go za rękę, uspokajając go.

– Spokojnie, mój lordzie – powiedziała.

– Spokojnie? – wzdrygnął się lord Feringal. – Kto mnie zawiódł? – wrzasnął na strażnika. – Kto odpłaci zamiast Wulfgara?

– Nikt – Meralda odpowiedziała, zanim jękający się strażnik zdążył się odezwać. Feringal popatrzył na nią niedowierzająco. – Każdy kogo skrzywdzisz będzie skrzywdzony z mojego powodu – wyjaśniła. – Nie chcę mieć krwi na swych rękach. Pogorszyłbyś tylko sprawę.

Młody lord uspokoił się trochę i siadł z powrotem, wpatrując się w swą żonę, w kobietę, którą ponad wszystko pragnął chronić. Po chwili zastanowienia, chwili spoglądania w tę piękną, niewinną

twarz, Feringal przytaknął, zgadzając się.

– Przeszukać wszystkie ziemie – polecił strażnikowi – i jeszcze raz zamek, od lochów do blanków. Sprowadzić mi go żywcem.

Z kroplami potu na czole, strażnik uklonił się i wybiegł z sali.

– Nie obawiaj się, moja miłości – lord Feringal powiedział do Meraldy. – Wezwę znów czarodzieja i rozpocznę poszukiwania na nowo. Ten barbarzyńca nie ucieknie.

– Proszę, mój lordzie – błagała Meralda. – Nie wzywaj znów tego czarodzieja, ani żadnego innego. – To sprawiło, że podniosło się kilka brwi, także Priscilli i Temigasta. – Chcę, by to wszystko się skończyło – wyjaśniła. – Skończyło się, powiadam, i zostało na drodze za mną. Nie chcę znów kiedykolwiek oglądać się za siebie. Niech ten mężczyzna odejdzie i zginie w górach, a my zajmijmy się własnym życiem, kiedy to będziesz mógł wychowywać własne dzieci.

Feringal wciąż się w nią wpatrywał, nie mrugając. Powoli, bardzo powoli pokiwał głową, a Meralda przybrała spokojniejszą pozę w swym fotelu.

* * *

Zarządca Temigast obserwował to wszystko z rosnącą pewnością. Wiedział bez cienia wątpliwości, że to Meralda uwolniła barbarzyńcę. Roztropny starzec, podejrzliwy od pierwszej chwili, kiedy to ujrzał reakcje, kobiety na przywleczonego przed nią Wulfgara, nie miał większych trudności ze zrozumieniem, dlaczego. Postanowił nic nie mówić, bowiem nie do niego należało zadawanie lordowi niepotrzebnego bólu. W każdym razie, dziecko zostanie odsunięte z drogi i z linii sukcesji.

Temigast był jednak daleki od spokoju, zwłaszcza po tym jak popatrzył na Priscillę i ujrzał u niej minę, którą sam mógłby nosić. Zawsze była podejrzliwa i Temigast obawiał się, że może żywić te same wątpliwości, co do pochodzenia dziecka. Choć Temigast czuł, iż nie do niego należy zadawanie niepotrzebnego bólu, Priscilla Auck wydawała się pławić w czymś właśnie takim. Droga, o której mówiła Meralda zdecydowanie nie była czysta i to w obu kierunkach.

ZIMOWA PRZERWA

– To jest nasza szansa – Wulfgar wyjaśnił Morikowi. Obydwaj przykucnęli pod osłoną kamiennej ściany na górskim zboczu ponad jedną z licznych małych wiosek po południowej stronie Grzbietu Świata.

Morik popatrzył na swego przyjaciela i potrząsnął głową, wydając z siebie niezbyt entuzjastyczne westchnięcie. Przez trzy tygodnie od ich powrotu z Auckney Wulfgar nie tylko powstrzymywał się od butelki, lecz zakazał im obu angażowania się nadal w działalność rozbójniczą. Jesień się kończyła, przechodząc w zimę, co oznaczało niemal bezustanny strumień karawan ostatnich kupców wracających z Doliny Lodowego Wichru. Następnie odeszli również sezonowi mieszkańcy północnych ostępów, mężczyźni i kobiety, którzy udali się do Dekapolis na lato, by łowić ryby, potoczyli się z powrotem w swych wozach do Luskan z końcem sezonu.

Wulfgar postawił przed Morikiem jasno, iż ich złodziejskie dni się zakończyły. Byli więc tutaj, spoglądając na małą, niesłychanie nudną wioskę, która jak się dowiedzieli mogła się spodziewać jakiegoś rodzaju ataku ze strony orków czy goblinów.

– Nie zaatakują z dołu – stwierdził Wulfgar, wskazując na szerokie pole na wschód od wioski na tej samej wysokości co najwyższe budynki. – Stamtąd – wyjaśnił Wulfgar.

– I właśnie tam wybudowali mur oraz najlepsze osłony – odparł Morik, jakby to miało wszystko ułatwiać. Sądził, że nadciągająca banda potworów liczy mniej niż dwadzieścia sztuk, a choć wioska nie liczyła więcej chat niż połowa tej liczby, Morik nie widział tu żadnych większych problemów.

– Więcej może zejść z góry – stwierdził Wulfgar. – Wieśniacy mogą zostać mocno przyciśnięci, jeśli atak nastąpi z dwóch stron.

– Szukasz wymówki – oskarżył go Morik. Wulfgar popatrzył na niego z zaciekawieniem. – Wymówki, by wziąć udział w walce – wyjaśnił łotrzyk, co wywołało uśmiech na twarzy Wulfgara. – Chyba że przeciwko kupcom – ze smutkiem dodał Morik.

Wulfgar utrzymał spokojną i zadowoloną minę.

– Pragnę walczyć z przeciwnikami, którzy na to zasługują – powiedział.

– Znam wielu wieśniaków, którzy spieraliby się, iż kupcy zasługują na więcej niż goblinoidzi –

odrzekł Morik.

Wulfgar potrząsnął głową, nie mając czasu i nie będąc w nastroju do siedzenia oraz dumania nad kwestiami filozoficznymi. Ujrzeni za wioską poruszenie, zbliżanie się potworów znanych Wulfgarowi, stworzeń, które barbarzyńca mógł szlachtować bez oporów czy wyrzutów sumienia. Dwudziestka orków szarżowała w poprzek pola, przebiegając pod bezskutecznymi salwami strzał ze strony wieśniaków.

– Idź i skończ z tym – powiedział Morik, zaczynając wstawać.

Wulfgar, który uczył się na takich atakach, zatrzymał go i skierował wzrok na zbocza, skąd spadł wielki głaz, miażdżąc ścianę jednego z budynków.

– Na górze jest gigant – wyszeptał Wulfgar, już ruszając w górę. – Być może więcej.

– Więc tam pójdziemy – Morik mruknął ze zrezygnowaniem, choć wyraźnie wątpił w słuszność takiej drogi.

Kolejny głaz stoczył się w dół, a za nim trzeci. Gigant podnosił czwarty, gdy Wulfgar i Morik wyłonili się zza zakrętu szlaku i wślizgnęli między dwie skały, obserwując behemota od tyłu.

Ręczny toporek Wulfgara wbił się w ramię giganta, który upuścił głaz na własną głowę. Olbrzym ryknął i obrócił się tam, gdzie stał Morik wruszając ramionami, z wąskim mieczem w dłoni. Rycząc, gigant rzucił się na niego jednym długim susem. Morik zaskomlał i zerwał się do ucieczki przez głązy. Gigant ruszył w szybki pościg, lecz gdy dotarł do wąskiej przełęczy, Wulfgar wskoczył na jeden z głązów i uderzył mocno swym zwyczajnym młotem w bok głowy behemota, wprawiając ją w wibracje. Gdy oszołomiony gigant był już w stanie popatrzeć na głaz, Wulfgara już tam nie było. Znalazłszy się z powrotem na ziemi, barbarzyńca rzucił się na bok giganta, by zmiażdżyć mu rękę kolanową, a następnie zanurkował z powrotem między kamienie.

Gigant pobiegł za nim, trzymając się za zranioną głowę, następnie za bolące kolano, później zaś spoglądając na topór wbity głęboko w przedramię. Zmienił nagle kierunek, mając już dość tej walki, i zamiast tego uciekł w górę zbocza, z powrotem w dzikie ostępy Grzbietu Świata.

Morik wyszedł zza głązów i podał Wulfgarowi dłoń.

– Dobra robota – pogratulował mu. Wulfgar zignorował dłoń.

– Robota dopiero się zaczęła – sprostował, zrywając się do biegu w dół zbocza w stronę wioski oraz walki toczony na wschodniej barykadzie.

– Ty to kochasz walczyć – Morik skomentował cierpko do pleców przyjaciela. Westchnąwszy, rzucił się za nim.

Poniżej bitwa przy barykadzie trwała praktycznie w impasie, żadne orki nie pokonały jeszcze obronnego muru, lecz żadne nie zostały także jeszcze solidnie trafione. Nagle się to zmieniło, gdy Wulfgar pojawił się na górze, biegnąc z pełną szybkością przez pole i pohukując, ile miał sił w płucach. Skacząc, wzbijając się, z rozłożonymi rękoma, padł na cztery stworzenia, powalając je wszystkie na ziemię. Nastąpił szal młócenia, dźgania, uderzania i kopania. Więcej orków zbliżyło się, by dołączyć do walki, lecz ostatecznie to Wulfgar, zakrwawiony, zmaltretowany, lecz uśmiechający się szeroko, wyłonił się jako jedyny pozostający przy życiu.

Pokrzepieni jego zdumiewającym szturmem oraz pojawieniem się Morika, który powalił kolejnego orka w drodze w dół zbocza, wieśniacy rzucili się na pozostałych członków łupieżczej wyprawy. Okrążone stworzenia, z których tuzin był jeszcze w stanie biec, uciekły, skąd przyszły.

Gdy Morik zbliżył się do Wulfgara, barbarzyńca otoczony był przez wieśniaków, poklepujących go, wiwatujących, obiecujących wieczną przyjaźń, oferujących miejsce zamieszkania na nadchodzącą zimę.

– Widzisz – Wulfgar powiedział do Morika z radosnym śmiechem. – Łatwiej niż na przełęczy.

Wycierając klingę, łotrzyk przyjrzał się sceptycznie swemu przyjacielowi. Walka była łatwa, łatwiejsza nawet niż przewidywał optymistyczny Wulfgar. Morik również został szybko otoczony przez dziękujących wieśniaków, w tym kilka młodych i atrakcyjnych kobiet. Cichy zimowy odpoczynek przed płonącym kominkiem mógł nie być taką złą rzeczą. Być może odłoży jednak plany swego powrotu do Luskan.

* * *

Pierwsze trzy miesiące małżeńskiego życia Meraldy były wspaniałe. Nie błogie, lecz wspaniałe, gdy obserwowała jak jej matka odzyskuje siły oraz zdrowie po raz pierwszy od lat. Nawet życie w zamku nie było tak złe jak się obawiała. Była tam oczywiście Priscilla, nigdy nie posuwająca się dalej niż do dorywczej przyjaźni i często mierząca ją groźnym wzrokiem, lecz nie wykonywała żadnych kroków przeciwko Meraldzie. Jakby mogła, gdy jej brat był tak wyraźnie zakochany w swej żonie?

Ona również pokochała męża. To, w połączeniu z widokiem zdrowej matki, uczyniły jesień cudownym czasem dla młodej kobiety, czasem nowych rzeczy, czasem wygody, czasem nadziei.

Jednak gdy wokół Auckney zaczęła zapadać zima, do zamku poczęły wkradać się duchy z przeszłości.

Dziecko Jaki, rosnące i wierzgające, przypominało Meraldzie dosadnie o jej straszliwym

kłamstwie. Zauważyła, że coraz więcej myśli o Jace Sculim, o swych chwilach głupoty względem niego, a było ich wiele. Zastanawiała się nad ostatnimi momentami życia Jaki, kiedy to wykrzykiwał jej imię, ryzykując dla niej całym swym istnieniem. Wtedy Meralda przekonała samą siebie, że było to z zazdrości o lorda Feringala, a nie z miłości. Teraz, gdy dziecko Jaki kopało w jej łonie, a upływ czasu w nieunikniony sposób zamglił wydarzenia, nie była już taka pewna. Być może Jake jednak ją pokochał. Być może podniecenie, jakie odczuwali podczas swej namiętnej nocy, zasiało także ziarna głębszych uczuć, które potrzebowały jedynie czasu, by odnaleźć drogę przez szorstką rzeczywistość chłopskiej egzystencji.

A bardziej prawdopodobne było to, że jej nastrój to tylko rezultat zimowej depresji grającej na uczuciach jej oraz jej męża. Nic nie pomogło to, iż częstotliwość uprawiania przez nich miłości zmniejszyła się znacznie wraz ze wzrostem rozmiarów brzucha Meraldy. Przyszedł do niej pewnego poranka, gdy wszyscy w zamku pogrążeni byli w głębokim śnie, a wicher dał przez szczeliny w kamieniach. Zaczął ją całować, lecz przestał i popatrzył na nią stanowczo, po czym zadał jej nieuniknione pytanie.

Jak jej było z barbarzyńcą?

Nawet gdyby kopnął ją w głowę, nie zabolałoby jej tak bardzo, a jednak Meralda nie była zła na swego męża, mogła zrozumieć jego wątpliwości oraz obawy z powodu własnego chłodnego nastroju oraz namacalnego dowodu, że była z innym mężczyzną.

Kobieta powtarzała sobie wciąż, że gdy dziecko urodzi się i zostanie zabrane, ona i Feringal rozpoczną normalne życie. Gdy znikną już oczywiste napięcia, będą się mogli głębiej pokochać. Mogła mieć jedynie nadzieję, że to wszystko nie rozleci się w miesiącach, jakie pozostały jej jeszcze do donoszenia dziecka.

Oczywiście, gdy między Feringalem a Meralda narastało owo napięcie, zwiększała się także ilość nachmurzonych min, jakimi Priscilla rzucała w stronę Meraldy. Władza uzyskana dzięki owinięciu sobie lorda Feringala wokół małego palca dała Meraldzie przewagę w bezustannej cichej wojnie, jaką toczyła z nią Priscilla. Stając się coraz szersza od dziecka innego mężczyzny odkryła, iż ta władza słabnie.

Nie rozumiała tego jednak, zważywszy na początkową reakcję Priscilli, gdy dowiedziała się o jej gwałcie. Priscilla wspomniała nawet o wzięciu dziecka do siebie, aby wychować je z dala od zamku, jak często czyniono w takich sytuacjach.

– Jesteś niezwykle duża jak na tak wczesny okres ciąży – Priscilla odezwała się do niej tego samego zimowego dnia, w którym Feringal spytał ją o Wulfgara. Meralda uznała, że ta jędzowata kobieta wyraźnie wyczuła napięcie wibrujące między nią a lordem. Głos Priscilli był niezwykle gęsty od podejrzeń i jadu, co powiedziało Meraldzie, że jej szwagierka bacznie śledzi upływ czasu. Naprawdę będą kłopoty, gdy Meralda urodzi zdrowe, w pełni donoszone dziecko w siedem miesięcy po incydencie na drodze. Tak, Priscilla będzie zadawać pytania.

Meralda skierowała rozmowę na inne tory dzieląc się swymi obawami o rozmiary barbarzyńcy i o to, że dziecko może ją rozerwać. To uciszyło na krótko Priscillę, lecz wiedziała, że rozejm nie przetrwa i pytania powrócą.

Istotnie, gdy zima zaczęła dobiegać końca, a brzuch Meraldy nabrzmał, w całym Auckney zaczęły krążyć szept. Szept o dacie urodzin dziecka. Szept o incydencie na drodze. Szept o tragicznej śmierci Jaki Sculi. Nie będąc głupią, Meralda widziała ludzi liczących na palcach, widziała napięcie w twarzy swej matki, choć kobieta nie zapytałaby się otwarcie o prawdę.

Gdy stanie się to, co nieuniknione, Priscilla zapewne dowiedzie źródła.

– Urodzisz dziecko w miesiącu Ches – kobieta powiedziała dość ostro, gdy pewnego chłodnego popołudnia jadła wraz z Meralda i zarządcą Temigastem kolację. Zbliżała się szybko równonoc, lecz zima nie wypuściła jeszcze ziemi ze swych szponów, wichur obsypywał zamkowe mury wysoko śniegiem. Meralda popatrzyła na nią sceptycznie.

– W połowie Chesu – stwierdziła Priscilla. – Lub być może pod koniec, czy nawet na początku Miesiąca Burz.

– Wyczuwasz jakiś problem z ciążą? – wtrącił się zarządca Temigast.

Po raz kolejny Meralda dostrzegła, że był on jej sojusznikiem. On również wiedział, lub przynajmniej podejrzewał tyle, co Priscilla, a jednak nie okazywał Meraldzie wrogości. Zaczęła postrzegać Temigasta na podobieństwo ojca, lecz porównanie to wydało się jeszcze odpowiedniejsze, gdy wróciła myślą do poranka po nocy spędzonej z Jaką, kiedy to Dohni Ganderlay podejrzewał prawdę, lecz przebaczył jej w świetle większego poświęcenia, większego dobra.

– Racja, wyczuwam problem – Priscilla odparła łamiącym się głosem, w jakiś sposób przekazując swym tonem, iż nie ma na myśli fizycznych aspektów ciąży. Priscilla popatrzyła na Meraldę i prychnęła, po czym rzuciła swą serwetkę i wyszła pospiesznie, kierując się w stronę schodów.

– O co jej chodzi? – Meralda spytała Temigasta z oczyma pełnymi strachu. Zanim zdążył się odezwać, otrzymała odpowiedź, gdy z góry dobiegły krzyki. Żadne z nich nie było w stanie odróżnić poszczególnych słów, lecz było oczywiste, że Priscilla poszła porozmawiać ze swym bratem.

– Co powinnam zrobić... – zaczęła mówić Meralda, lecz Temigast ją uciszył.

– Jedz, moja pani – powiedział spokojnie. – Musisz pozostać silna, bowiem czekają cię próby. – Meralda zrozumiała podwójne znaczenie tych słów. – Jestem pewien, że sobie z nimi poradzisz tak długo, jak zachowasz zmysły – stary zarządca dodał mrugając uspokajająco okiem. – Gdy to wszystko minie, odnajdziesz życie, jakiego pragniesz.

Meralda chciała podbiec i złożyć głowę na ramieniu mężczyzny, albo wybiec zupełnie z zamku, do ciepłego i wygodnego domu, jaki lord Feringal dał jej rodzinie, i położyć głowę na ramieniu ojca. Zamiast tego wzięła głęboki oddech, by się uspokoić, po czym zrobiła to, co zasugerował Temigast – zjadła posiłek.

Śnieg pojawił się wcześniej i wiele go napadało w tym roku. Morik wolałby Luskan, lecz dostrzegł motywację Wulfgara w sprowadzeniu ich do tego wioskowego azylu. Było tu mnóstwo do zrobienia, zwłaszcza po opadach śniegu, gdy trzeba było oczyścić teren i zbudować wały obronne, lecz Morik zdołał uniknąć większości z tych prac udając rannego w walce, która ich tu doprowadziła.

Wulfgar zabrał się jednak do pracy z rozkoszą, używając jej, by zajmować swe ciało i nie mieć czasu na myślenie ani śnienie. Mimo to Errtu odnalazł go w tej wiosce, jak odnajdywał w każdym miejscu, do którego Wulfgar się udawał, w każdym miejscu, w które kiedykolwiek się uda. Teraz, zamiast ukrywać się przed demonem w butelce, barbarzyńca witał te wspomnienia z podniesionym czołem, odgrywał wydarzenia, choć straszliwe, i zmuszał się do przyznawania, że to się stało, to wszystko, i że musiał stawić czoła chwilom słabości oraz porażki. Wielokrotnie Wulfgar siedział samotnie w mroku pokoju, który otrzymał, trzęsąc się, mokry od chłodnego potu, ze łzami których nie potrafił już wstrzymywać. Wielokrotnie chciał pobiec do niewyczerpanego zapasu butelek Morika, lecz nie zrobił tego.

Warczał i krzyczał, a jednak utrzymywał postanowienie, by akceptować przeszłość taką, jaką była i w jakiś sposób wykraczać poza nią, Wulfgar nie wiedział, gdzie znalazł siłę oraz determinację, lecz podejrzewał, iż leżały w nim uspięne i wyłoniły się, gdy ujrzał odwagę, jaką Meralda okazała, by go uwolnić. Miała o tyle więcej do stracenia niż on, a jednak odnowiła w nim wiarę w świat. Wiedział teraz, że jego walka z Errtu będzie trwać dopóki uczciwie nie wygra, że mógł się chować w butelce, lecz nie na zawsze.

Stoczyli kolejną bitwę na przełomie roku, drobną potyczkę z kolejną bandą orków. Wieśniacy wiedzieli, że nadciąga atak i przygotowali pole bitwy, wylewając tam stopiony śnieg. Gdy orki się zjawily, ślizgały się na lodzie, dzięki czemu łucznicy mogli je wystrzelać na otwartej przestrzeni.

Nieoczekiwane przybycie grupy luskańskich żołnierzy, którzy zgubili się na patrolu, bardziej zaniepokoiło Wulfgara i Morika i strzaskało ich idylliczną egzystencję niż bitwa. Wulfgar był pewien, że przynajmniej jeden z żołnierzy rozpoznał ich z Więziennego Karnawału, lecz albo nie powiedział nic wieśniakom, albo wieśniaków to nie obchodziło. Po odejściu żołnierzy nie usłyszeli nic niepokojącego.

W końcu była to najcichsza zima jaką Wulfgar oraz Morik przeżyli. Było to potrzebne wytchnienie. Zaczęła się wiosna, choć pozostało wiele śniegu, a para zaczęła układać plany na przyszłość.

– Koniec z rozbójnictwem – Wulfgar przypomniał Morikowi pewnej cichej nocy w połowie miesiąca Ches.

– Racja – zgodził się łotrzyk. – Nie tęsknię za tym życiem.

– Więc co dla Morika?

– Z powrotem do Luskan, obawiam się – powiedział łotrzyk. – Do mego domu. Zawsze mego domu.

– A przebranie zapewni ci bezpieczeństwo? – Wulfgar spytał ze szczerą troską.

Morik uśmiechnął się.

– Ludzie mają krótką pamięć, mój przyjacielu – wyjaśnił, w myślach dodając, że ma nadzieję, iż drowy także mają krótką pamięć, bowiem powrót do Luskan oznaczał porzucenie misji obserwowania Wulfgara. – Odkąd zostaliśmy... wydalenii, bez wątpienia nasycili swą żądzę krwi na setce nieszczęśników na Więziennym Karnawale. Moje przebranie ochroni mnie przed władzami, a moja prawdziwa tożsamość znów da mi szacunek niezbędny na ulicach.

Wulfgar przytaknął, ani trochę w to nie wątpiąc. Tutaj w dziczy łotrzyk nie robił nawet śladu tego wrażenia co na ulicach Luskan, gdzie niewielu mogło dorównać jego sztuczkom.

– A co dla Wulfgara? – spytał Morik, zaskoczony szczerą troską w swym głosie. – Dolina Lodowego Wichru? Starzy przyjaciele?

Barbarzyńca potrząsnął głową, bowiem po prostu nie znał leżącej przed nim drogi. Kiedyś niewiele myśląc odrzuciłby tę możliwość, lecz teraz się nad nią zastanowił. Czy był gotów wrócić do towarzyszy z hali, jak nazywano niegdyś jego, Drizzta,

Bruenora, Catti-brie, Guenhwyvar oraz Regisa? Czy uciekł przed demonem oraz demoniczną butelką? Czy doszedł do porozumienia z Errtu oraz z prawdą o swym uwięzieniu?

– Nie – odpowiedział i na tym poprzestał, zastanawiając się, czy kiedykolwiek napotka znów spojrzenia swych dawnych przyjaciół.

Morik przytaknął, choć był lekko zaniepokojony własnymi powodami. Nie chciał, by Wulfgar wracał z nim do Luskan. Przebranie wielkiego mężczyzny będzie wystarczająco trudne, lecz było coś więcej. Morik nie chciał, by Wulfgar został schwytany przez mroczne elfy.

* * *

– Ona robi z ciebie głupca i całe Auckney o tym wie, Feri! – Priscilla wrzasnęła na swego

brata.

– Nie nazywaj mnie tak! – warknął, przepychając się obok niej, szukając odskoczni od tematu. – Wiesz, że tego nienawidzę.

Priscilla nie chciała odpuścić.

– Czy możesz zaprzeczyć stadium jej ciąży? – naciskała. – Urodzi za dwa tygodnie.

– Barbarzyńca był wielkim mężczyzną – warknął Feringal. – Dziecko będzie wielkie i to cię myli.

– Dziecko będzie przeciętne – zripostowała Priscilla – jak dowiesz się za miesiąc. – Jej brat zaczął odchodzić. – Założę się, że będzie piękne, z kręconymi brązowymi włosami swego ojca. – To sprawiło, że Feringal się obrócił, mierzając ją wzrokiem. – Swego martwego ojca – kobieta dokończyła, nie cofając się nawet na centymetr.

Lord Feringal jednym krokiem przebył dzielącą ich odległość i uderzył swą siostrę mocno w twarz. Przerażony tym, co zrobił, cofnął się, trzymając swą twarz w dłoniach.

– Mój biedny rogaty brat – Priscilla odpowiedziała na ten policzek, spoglądając na niego ponad dłonią, którą przyłożyła do siniaka. – Przekonasz się. – Z tymi słowy, wyszła z pokoju.

Lord Feringal stał tam bez ruchu przez długi, długi czas, mocno starając się uspokoić oddech.

Trzy dni po ich dyskusji pogoda ociepliła się na tyle, by spowodować odwilż, co pozwoliło Morikowi oraz Wulfgarowi opuścić wioskę. Wieśniacy byli niezadowoleni widząc, że odchodzą, zwłaszcza dlatego, że odwilż oznaczała czas kolejnych ataków potworów. Para, szczególnie niecierpliwy Morik, nie chciała słuchać ich błagań.

– Być może do was wrócę – stwierdził Wulfgar. Sądził, że być może naprawdę tak się stanie, gdy on i Morik pójdą w swoją stronę przy Luskan. Dokąd indziej barbarzyńca mógł w końcu się udać?

Droga przez wzgórza była powolna, tak błotnista i zdradziecka, że często musieli iść, prowadząc ostrożnie swe konie. Gdy góry ustąpiły miejsca bardziej płaskiej równinie tuż na północ od Luskan, jechało im się już względnie łatwo.

– Wciąż masz wóz oraz zapasy, jakie zostawiliśmy w jaskini – stwierdził Morik.

Wulfgar zdał sobie sprawę, iż łotrzyk zaczyna odczuwać ukłucia winy z powodu tego, że go opuszcza.

– Jaskinia nie pozostała pusta przez zimę, jestem pewien – rzekł barbarzyńca. – I nie zostało wiele zapasów, jeśli miałbym zgadywać.

– Więc weź to, co należy do aktualnych mieszkańców – Morik odparł mrugając okiem. – Gigantów być może, nic czego Wulfgar mógłby się obawiać. – Wywołało to uśmiech na twarzach ich obu, nie utrzymał się tam jednak.

– Powinieneś być zostać w wiosce – stwierdził Morik. – Nie możesz wrócić ze mną do Luskan, więc wioska wydaje się miejscem równie dobrym jak inne, jeśli chcesz decydować o swym losie.

Dotarli do rozwidlenia dróg. Jedna ścieżka kierowała się na południe do Luskan, a druga na zachód. Gdy Morik odwrócił się, by popatrzeć na Wulfgara, zauważył, iż stoi on na tym drugim trakcie, na drodze do małego lenna, w którym został uwięziony, gdzie Morik (trzeba by usłyszeć jak łotrzyk to opowiadał) uratował go przed śmiercią w męczarniach.

– Planujesz zemstę? – spytał łotrzyk.

Wulfgar popatrzył na niego z zaciekawieniem, po czym załapał, o co mu chodzi.

– Nie bardzo – odparł. – Zastanawiam się nad losem pani zamku.

– Tej, która cię niesłusznie posądziła o gwałt? – zapytał Morik. Wulfgar wzruszył ramionami, jakby nie chciał ustąpić w tej kwestii.

– Była w ciąży – wyjaśnił – i bardzo się bała.

– Sądziś, że przyprawiła rogi mężowi? – spytał Morik. Wulfgar wydał wargi i przytaknął.

– Zaoferowała więc twoją głowę, by ochronić swą reputację – Morik powiedział szyderczo. – Typowa szlachcianka.

Wulfgar nie odpowiedział, lecz nie postrzegał sytuacji w taki sam sposób. Barbarzyńca rozumiał, że nigdy nie chciała, by został schwytany, lecz raczej że powinien pozostać odległym i niewyjaśnionym rozwiązaniem jej osobistych problemów. Było to zrozumiałe, choć nie honorowe.

– Do tego czasu musiała już urodzić – mruknął do siebie. – Zastanawiam się, jak się zachowała, gdy to zobaczyli i uświadomili sobie, że nie może być moje.

Morik rozpoznał ton Wulfgara i to go zmartwiło.

– Nie będę musiał zastanawiać się nad twoim losem, jeśli wrócisz, by sprawdzić jej – stwierdził cierpko. – Nie zdołałbyś wejść do tej wioski nie będąc rozpoznany.

Wulfgar przytaknął, nie sprzeciwiając się, lecz wciąż się uśmiechał, co nie uszło uwadze Morika.

– Ty jednak byś mógł – rzekł.

Morik spędził długą chwilę przyglądając się swemu przyjacielowi.

– Gdyby moja droga nie wiodła do Luskan – odparł.

– Droga, którą sam wybrałeś, a nie masz żadnych planów wymagających natychmiastowej uwagi – powiedział Wulfgar.

– Zima się jeszcze nie skończyła. Wykorzystaliśmy okazję, by zejść ze wzgórz. Kolejna burza może spaść w każdej chwili, zakopując nas głęboko – dalej protestował Morik, lecz Wulfgar słyszał w tonie łotrzyka, że się nad tym zastanawiał.

– Burze nie są takie złe na południe od gór. Morik roześmiał się..

– Ostatnia przysługa? – spytał Wulfgar.

– Dlaczego się tym przejmujesz? – spierał się Morik. – Ta kobieta niemal doprowadziła do twojej śmierci i to na tyle paskudnej, że zadowoliliby motłoch na Więziennym Karnawale.

Wulfgar wzruszył ramionami, sam szczerze niezbyt pewien odpowiedzi, lecz nie zamierzał się wycofać.

– Ostatni akt przyjaźni pomiędzy nami dwoma – nalegał – abyśmy mogli się odpowiednio rozstać w nadziei na ponowne spotkanie.

Morik znów się roześmiał.

– Chodzi ci tylko o ostatnią walkę ze mną u boku – powiedział na wpół humorystycznie. – Przyznaj się, beze mnie żaden z ciebie wojownik!

Nawet Wulfgar musiał się roześmiać na ironizowanie Morika, lecz później przybrał błagalną minę.

– Och, no prowadź – mruknął Morik, poddając się, czego Wulfgar się spodziewał. – Jeszcze raz odegram rolę lorda Brandeburga. Mam tylko nadzieję, że Brandeburg nie był powiązany z twoją ucieczką i że czystym zbiegiem okoliczności Feringal nie widział, jak razem opuszczamy jego ziemie.

– Jeśli zostaniemy złapani, szczerze powiem lordowi Feringalowi, że nie odegrałeś żadnej roli w mojej ucieczce – powiedział Wulfgar, a pod jego gęstą zimową brodą ukazał się krzywy uśmiech.

– Nie masz pojęcia, jak ta obietnica mnie uspokaja – Morik powiedział drwiąco, gdy ruszył za swym przyjacielem na zachód, w stronę kłopotów w Auckney.

OBJAWIENIE

Dwa dni później przewidywana przez Morika burza istotnie nadeszła, lecz jej furia była dość utemperowana późną porą roku, dzięki czemu droga pozostała przejezdna. Dwaj jeźdźcy wlekli się nią uważając, by pozostawać na szlaku. Pomimo paskudnej pogody posuwali się szybko, prowadzeni forsownie przez Wulfgara. Wkrótce dotarli do regionu porozrzucanych zabudowań gospodarskich i kamiennych chałup. Teraz burza okazała się ich sojuszniczką, bowiem niewiele ciekawskich twarzy ukazywało się w mocno zasłoniętych oknach, a jadąca para, owinięta w grube skóry, była trudna do rozpoznania poprzez śnieg.

Niedługo potem Wulfgar czekał pod osłoniętym nawisem wśród wzgórz, podczas gdy Morik, lord Brandeburg z Waterdeep, pojechał do wioski. Dzień mijał, burza trwała, a Morik nie wracał. Wulfgar opuścił swe schronienie, by znaleźć dogodny punkt obserwacyjny, dający mu widok na Zamek Auck. Zastanawiał się, czy Morik został odkryty. Jeśli tak, czy powinien szybko znaleźć jakiś sposób, aby pomóc swemu przyjacielowi?

Wulfgar zachichotał. Było bardziej prawdopodobne, że Morik został w zamku na dobrym posiłku i w tej chwili wygrzewa się przed kominkiem. Barbarzyńca wrócił do swego schronienia, by wyczesać konia, mówiąc sobie, że powinien zachować spokój.

W końcu Morik wrócił, z naprawdę, ponurą miną.

– Nie spotkałem się z przyjacielskimi uściskami – wyjaśnił.

– Przebranie nie wystarczyło?

– To nie to – powiedział łotrzyk. – Uznali mnie za lorda Brandeburga, lecz tak jak się obawiałem, uważali za trochę dziwne, że zniknąłem w tym samym czasie co ty.

Wulfgar przytaknął. Przedyskutowali taką ewentualność.

– Dlaczego pozwolili ci odjechać, jeśli byli podejrzliwi?

– Przekonałem ich, że to był tylko zbieg okoliczności – oznajmił – inaczej dlaczego wracałbym do Auckney? Oczywiście musiałem uczestniczyć w sporym posiłku, by ich przekonać.

– Oczywiście – Wulfgar zgodził się sarkastycznie, cierpkim tonem. – Co z lady Meraldą i jej dzieckiem? Widziałeś ją? – ponaglał barbarzyńca.

Morik zdjął siodło z konia i zaczął go wyczesywać, jakby znów przygotowywał się do drogi.

– Czas byśmy odjechali – odparł rzeczowo. – Daleko stąd.

– Jakie wieści? – naciskał Wulfgar, teraz naprawdę zatroskany.

– Nie mamy tu sojuszników, nawet znajomych w nastroju, by zabawiać gości – odrzekł Morik. – Lepiej dla wszystkich, aby Wulfgar, Morik i lord Brandeburg zostawili tę nędzną podróbkę lenna daleko za ogonami swych koni.

Wulfgar nachylił się i złapał łotrzyka za ramię, szorstko odciągając go od pracy przy koniu.

– Lady Meralda? – zażądał.

– Urodziła dziecko zeszłej nocy – Morik przyznał z wahaniem. Oczy Wulfgara rozszerzyły się z trwogą. – Oboje przeżyli – Morik szybko dodał – póki co. – Odsunąwszy się, łotrzyk z odnowioną energią wrócił do swej pracy.

Czując na sobie oczekujący wzrok Wulfgara, Morik westchnął i odwrócił się.

– Spójrz, powiedziała im, że ją zgwałciłeś – przypomniał swemu przyjacielowi. – Wydaje się prawdopodobne, że osłaniała romans – stwierdził Morik. – Skłamała, oskarżając cię, aby ukryć własną zdradę..

Znów porozumiewawcze skinienie głową, bowiem nie było to dla Wulfgara nowością.

Morik popatrzył na niego stanowczo, zaskoczony że nie jest wstrząśnięty bezceremonialnym wyrażeniem wszystkiego tego, co się stało, zdumiony, że nie okazuje żadnej złości pomimo faktu, iż z powodu kobiety został pobity i niemalże brutalnie stracony.

– Cóż, teraz są wątpliwości związane z pochodzeniem dziecka – wyjaśnił Morik. – Poród był zbyt szybko, zważywszy na nasze spotkanie z dziewczyną na drodze, a są tacy w wiosce i w zamku, którzy nie wierzą w jej opowieść.

Wulfgar westchnął głęboko.

– Podejrzałem, że tak się stanie.

– Słyszałem jakieś rozmowy o młodzieńcu, który zabił się, spadając z klifu w dniu ślubu lorda Feringala i Meraldy, o mężczyźnie, który zginął wykrzykując jej imię.

– Lord Feringal sądzi, że to właśnie on przyprawił mu rogi? – spytał Wulfgar.

– Niespecjalnie – odparł Morik. – Ponieważ dziecko zostało z pewnością poczęte przed ślubem,

byłoby tak zresztą nawet gdyby to było twoje dziecko, lecz wie oczywiście, że jego żona legła kiedyś z kimś innym i teraz może uważać, że zrobiła to z własnej woli, a nie dlatego, że ktoś ją do tego zmusił na dzikiej drodze.

– Zgwałcona kobieta jest pozbawiona winy – wtrącił Wulfgar, bowiem to wszystko miało sens.

– Podczas gdy zdradzająca kobieta... – dodał złowieszczo Morik.

Wulfgar znów westchnął i wyszedł spod osłony, spoglądając znów w stronę, zamku.

– Co się z nią stanie? – zawołał do Morika.

– Małżeństwo zostanie z pewnością uznane za nieważne – odpowiedział Morik, mieszkał bowiem dość długo w ludzkich miastach, by rozumieć takie rzeczy.

– A lady Meralda zostanie odesłana z zamku – barbarzyńca rzekł z nadzieją.

– Jeśli będzie miała szczęście, zostanie wygnana z domeny Feringala Aucka bez pieniędzy ani tytułu – odparł Morik.

– A jeśli nie będzie miała szczęścia? – spytał Wulfgar. Morik skrzywił się.

– Żony szlachciców były za takie przewinienia skazywane na śmierć – odrzekł łotrzyk światowiec.

– Co z dzieckiem? – chciał wiedzieć coraz bardziej poruszony Wulfgar. Obrazy jego własnych straszliwych doświadczeń z przeszłości zaczęły ukazywać się na skraju świadomości.

– Jeśli będzie miało szczęście, zostanie wygnane – odparł Morik – choć obawiam się, że takie coś będzie wymagać więcej szczęścia niż wygnanie kobiety. To bardzo skomplikowane. Dziecko jest zagrożeniem dla domeny Aucka, lecz także dla jego dumy.

– Zabija dziecko, bezradne niemowlę? – zapytał Wulfgar, zaciskając mocno zęby, gdy te okropne wspomnienia zaczęły podkradać się bliżej.

– Nie można lekceważyć wściekłości zdradzonego lorda – odpowiedział ponuro Morik. – Lord Feringal nie może okazać słabości, inaczej zaryzykuje utratę szacunku swego ludu oraz utratę ziemi. To wszystko jest skomplikowaną i nieprzyjemną sprawą. Wyośmy się stąd.

Wulfgar istotnie się wynosił, wypadł spod nawisu i ruszył szlakiem. Morik dogonił go szybko.

– Co chcesz zrobić? – łotrzyk zażądał odpowiedzi, dostrzegając determinację Wulfgara.

– Nie wiem, ale coś muszę zrobić – rzekł Wulfgar, zwiększając tempo zgodnie z poziomem

swego podniecenia, podczas gdy Morik starał się dotrzymać mu kroku. Gdy weszli do wioski, burza znów okazała się sojuszniką, bowiem w pobliżu nie było żadnych wieśniaków. Wzrok Wulfgara skoncentrowany był na moście prowadzącym do Zamku Auck.

* * *

– Oddaj dziecko, jak planowałeś – zarządca Temigast zasugerował chodzącemu nerwowo lordowi Feringalowi.

– Teraz jest inaczej – wyjąkał młodzieniec, uderzając się bezradnie pięściami po bokach. Zerknął na Priscillę. Jego siostra siedziała wygodnie, swym gładkim uśmiechem przypominając, że ostrzegła go przed poślubieniem chłopki.

– Nie wiemy, czy cokolwiek się zmieniło – powiedział Temigast, jak zawsze służąc za głos rozsądku.

Priscilla parsknęła.

– Nie potrafisz liczyć? – spytała.

– Dziecko może być wcześniakiem – zaprotestował Temigast.

– Nigdy dotąd nie widziałam lepiej ukształtowanego niemowlęcia – rzekła Priscilla. – Ona nie jest wcześniakiem i wiesz o tym, Temigaście. – Priscilla popatrzyła prosto na swego brata, powtarzając rozmowy, które przez cały dzień krążyły po Zamku Auck. – Dziecko zostało poczęte w połowie lata – powiedziała – przed domniemanym atakiem na drodze.

– Skąd możesz być pewna? – zaskowyczał lord Feringal. Jego dłonie rozdzierały boki spodni, co było doskonałym odzwierciedleniem rozdarcia mającego miejsce w jego umyśle.

– A skąd ty możesz nie być pewny? – zripostowała Priscilla. – Zrobiono z ciebie głupca ku uciesze całej wioski. Pograżysz się teraz jeszcze bardziej słabością?

– Ciągle ją kochasz – wtrącił się zarządca Temigast.

– Czyżby? – powiedział lord Feringal, wyraźnie rozdarty i rozbity. – Już nie wiem.

– A więc ją odeślij – zaproponował zarządca. – Wygnaj ją razem z dzieckiem.

– To sprawi jedynie, że wieśniacy będą się jeszcze głośniejszym śmiać – Priscilla zauważyła cierpko.

– Czy chcesz, żeby to dziecko wróciło za dwadzieścia lat i zabrało ci królestwo? Jak wiele razy słyszeliśmy takie opowieści?

Temigast zmierzył kobietę wzrokiem. Takie rzeczy się zdarzały, lecz zdecydowanie nie były powszechne.

– Co więc mam zrobić? – lord Feringal zażądał odpowiedzi od swej siostry.

– Osądzić zdradę dziwki – Priscilla odrzekła rzeczowo – oraz szybkie i sprawiedliwe usunięcie rezultatu jej niewierności.

– Usunięcie? – Feringal powtórzył sceptycznie.

– Ona chce, żebyś zabił dziecko – Temigast wyjaśnił z sarkazmem.

– Rzuć je w fale – Priscilla podsunęła żarliwie, wstając z fotela. – Jeśli nie okażesz teraz słabości, lud wciąż będzie cię szanował.

– Znienawidzą cię bardziej, jeśli zamordujesz niewinne dziecko – Temigast powiedział ze złością, bardziej do Priscilli niż do lorda Feringala.

– Niewinne? – wzdrygnęła się Priscilla, jakby ta myśl była niedorzeczna.

– Niech cię znienawidzą – rzekła do lorda Feringala, przysuwając do niego swą twarz. – Lepiej to, niż żeby się z ciebie śmiali. Czy zniesiesz to, że bękart będzie żył? Jako przypomnienie tego, z kim Meralda legła przed tobą?

– Zamknij pysk! – zażądał lord Feringal, odpychając ją. Priscilla nie cofnęła się.

– Och, jakże ona jęczała w ramionach Jaki Sculiego – powiedziała, a jej brat trząśnięty tak bardzo, że nawet nie był w stanie mówić przez zgrzytające zęby. – Założę się, że wyginała dla niego w łuk te swoje piękne plecy – Priscilla skończyła lubieżnie.

Młody lord wydobył z siebie dzikie, prychające dźwięki. Chwycił oburącz siostrę za ramiona i odrzucił ją na bok. Uśmiechała się przez cały czas, usatysfakcjonowana, bowiem rozwścieczony lord przemknął obok Temigasta i pobiegł do schodów. Schodów prowadzących do Meraldy i jej bękartu.

– Wiesz, że jest strzeżony – Morik przypomniał mu, wrzeszcząc, choć jego głos zabrzmiał słabo w wyjąłym wicherze.

Wulfgar i tak by nie zważał na to ostrzeżenie. Jego wzrok skoncentrowany był na Zamku Auck i barbarzyńca nie zбочył z drogi do mostu. Wyobraził sobie zaspę śniegu, jako tę barierę pomiędzy mężczyzną, którym był, a ofiarą, jaką się stał. Teraz, nareszcie wolny od wszelkich wpływów mocnego trunku, z siłą woli dającą mu pancerz przeciwko tym straszliwym obrazom z czasów

uwieżenia, Wulfgar wyraźnie ujrzał przed sobą wybór. Mógł wrócić do życia, jakie odnalazł lub naciskać dalej, mógł przekroczyć tę emocjonalną barierę, mógł wywalczyć sobie drogę z powrotem do mężczyzny, którym niegdyś był.

Barbarzyńca warknął i napał na burzę. Nabierał nawet prędkości docierając do mostu, najpierw posuwał się szybkim marszem, potem klusem, a następnie biegiem wybierając drogę, skręcając na prawo, gdzie śnieg utworzył zaspę wzdłuż płotu i frontowego muru zamku. Wulfgar wszedł na zaspę, zapadając się w śniegu po kolana, lecz powarkując i napierając, utrzymując pęd. Podskoczył ze szczytu zaspę, wyciągając rękę, by zaczepić głowicą młota o mur. Stuknąwszy mocno o ścianę Wulfgar usłyszał z góry zaniepokojony okrzyk, lecz nawet nie zwolnił, napiął wielkie mięśnie podciągając się na górę, gdzie przetoczył się, prześlizgując nad zwieńczoną blankami barierą. Wylądował zwinnie na nogach na wewnętrznym parapecie, tuż pomiędzy dwoma osłupiałymi strażnikami, z których żaden nie trzymał broni, starali się bowiem ogrzewać ręce.

Morik ruszył tą samą drogą co Wulfgar, używając zwinnych ruchów, by wspiać się po murze niemal tak samo szybko jak jego przyjaciel zdołał dzięki brutalnej sile. Mimo to, gdy dotarł na parapet, Wulfgar był już na dziedzińcu, pędząc do głównej twierdzy. Obydwaj strażnicy również byli na dole, leżąc na ziemi i jęcząc. Jeden trzymał się za żuchwę, a drugi zwinął się w kłębek trzymając za żołądek.

– Zabezpieczyć drzwi! – jeden z nich zdołał krzyknąć.

Główne drzwi otworzyły się ze zgrzytem i wyrzła z nich mężczyzna. Widząc nadciągającego Wulfgara, próbował je szybko zamknąć. Wulfgar dotarł tam tuż przed tym, jak się zatrzasnęły, napierając na nie z całej siły. Usłyszał jak mężczyzna woła szaleńczo o pomoc i poczuł większy opór, gdy drugi strażnik dołączył do pierwszego, obydwaj pchali potężnie.

– Ja też idę – zawołał Morik – choć tylko bogowie wiedzą dlaczego!

Przebywając myślami daleko, w ciemnym i zadymionym miejscu, w którym jego dziecko wydało z siebie ostatni przerażony okrzyk, Wulfgar nie słyszał swego przyjaciela, nie potrzebował go. Rycząc, pchał z całej siły dopóki drzwi nie odleciały, ciskając obydwu strażników niczym dzieci na tylną ścianę foyer.

– Gdzie ona jest? – Wulfgar zażądał odpowiedzi, i w tej chwili otworzyły się drugie drzwi w przedsionku. Pojawił się Liam Woodgate, nacierając z mieczem w dłoni.

– Teraz zapłacisz, psie! – krzyknął woźnica, atakując szybko i mocno, dźgając i wykonując fintę. Przyciągnąwszy klingę z powrotem, posłał ją w nagły obrót, po czym udał podłużne cięcie, obracając ją z powrotem i wychodząc do śmiertelnego pchnięcia.

Liam był dobry, był najlepszym wojownikiem w całym Auckney i wiedział o tym. To dlatego trudno było zrozumieć, w jaki sposób młot Wulfgara wyskoczył tak szybko, że zahaczył o ostrze Liama i odsunął je na bezpieczną odległość od celu. Jak wielki barbarzyńca zdołał obrócić się tak

zwinnie, by dostać się w obszar zasięgu miecza Liama? W jaki sposób był w stanie wykonać tak doskonały zwrot, że wcisnął swą szeroką rękę pod ramię Liama trzymające miecz? Liam znał swoje umiejętności, tak więc jeszcze trudniej mu było zrozumieć, w jaki sposób jego przebiegły atak został tak całkowicie wykorzystany przeciwko niemu. Wiedział jedynie, że jego twarz została nagle przyciśnięta do kamiennej ściany, ręce zaciśnięte mocno na plecach, a oddech powarkującego barbarzyńcy musnął mu kark.

– Lady Meralda i dziecko – spytał Wulfgar. – Gdzie oni są?

– Wcześniej zginę niż ci powiem! – oznajmił Liam. Wulfgar przycisnął. Biedny stary gnom pomyślał, że na pewno zginie, lecz ugryzł się z determinacją w język i warknął na odczuwany ból.

Wulfgar obrócił go i uderzył raz jeszcze, po czym znów obrócił, gdy zdołał w jakiś sposób stając na nogach, przewracając na podłogę. Liam niemal podciął Morika, który przemknął się przez drugie drzwi do właściwego zamku.

Wulfgar był tuż za nim. Usłyszeli głosy i Morik poprowadził, wpadając przez szereg podwójnych drzwi do wygodnego salonu.

– Lord Brandeburg? – spytała lady Priscilla.

Pisnęła z przerażenia i rzuciła się z powrotem na swój fotel, gdy Wulfgar wszedł za łotrzykiem do komnaty.

– Gdzie jest lady Meralda i dziecko? – ryknął.

– Czy nie spowodowałaś dość krzywd? – spytał zarządca Temigast, podchodząc, by stanąć śmiało przed wielkim mężczyzną.

Wulfgar popatrzył mu prosto w oczy.

– Zbyt wiele – przyznał – lecz tutaj wcale. Temigasta zatkało.

– Gdzie oni są? – zażądał odpowiedzi Wulfgar, przypadając do Priscilli.

– Złodzieje! Mordercy! – krzyknęła Priscilla, omdlewając.

Wulfgar skrzyżował spojrzenia z Temigastem. Ku zaskoczeniu barbarzyńcy, stary zarządca skinął głową i wskazał na klatkę schodową.

Kiedy to robił, Priscilla Auck wbiegała po owych schodach najszybciej jak mogła.

– Masz jakiegokolwiek pojęcie, co mi zrobiłaś? – Feringal spytał Meraldę, stojąc przy jej łóżku, a niemowlę leżało w ciepłe obok niej. – Nam? Auckney?

– Błagam cię, żebyś spróbował zrozumieć, mój lordzie – prosiła kobieta.

Feringal skrzywił się, wciskając sobie pięści w oczy. Wzrok zrobił mu się bardziej stanowczy, sięgnął w dół i porwał dziecko.

Meralda zaczęła podnosić się do niego, lecz nie miała siły i padła z powrotem na łóżko.

– Co chcesz zrobić?

Feringal podszedł do okna i odciągnął zasłonę.

– Moja siostra mówi, że powinienem cisnąć je w fale, na skały – powiedział przez zęby zaciśnięte w ciasnym grymasie – żeby pozbyć się dowodów twojej zdrady.

– Proszę, Feringalu, nie... – zaczęła Meralda.

– Wszyscy tak mówią, wiesz o tym – Feringal powiedział jakby w ogóle się nie odezwała. Zamrugał oczyma i wytarł nos w rękaw. – Dziecko Jaki Sculiego.

– Mój lordzie! – krzyknęła, ze strachem w zaczerwienionych oczach.

– Jak mogłaś? – wrzasnął Feringal, po czym przeniósł wzrok z niemowlęcia na otwarte okno. Meralda zaczęła płakać.

– Rogacz, a teraz morderca – Feringal mruknął do siebie podchodząc bliżej okna. – Przekleńś mnie, Meraldo! – zaklął. Wyciągając ręce, przysunął dziecko do otworu, po czym popatrzył na niewinną małą dziewczynkę i przyciągnął ją z powrotem, mieszając własne łzy z łzami dziecka – Przekleńś mnie, mówię! – krzyknął, oddychając ciężkimi, męczącymi haustami.

Nagle drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie i wpadła lady Priscilla. Zatrzasnęła je za sobą i zamknęła na zasuwkę. Przyjrząwszy się szybko scenerii, podbiegła do brata.

– Oddaj mi je! – wrzasnęła piskliwym głosem.

Lord Feringal wsunął bark między niemowlę a wyciągnięte dłonie Priscilli.

– Oddaj mi je! – wrzasnęła znów kobieta i rozpoczęła się szamotanina o dziecko.

* * *

Wulfgar rzucił się szybko w pościg, pokonując kręte schody po cztery na raz. Dotarł do długiego korytarza wyłożonego bogatymi gobelinami, gdzie wpadł na kolejnego strojącego się na ważniaka strażnika zamkowego. Barbarzyńca odtrącił na bok miecz mężczyzny, chwycił go za gardło i podniósł w powietrze.

Morik przemknął obok niego, idąc od drzwi do drzwi i nasłuchując, po czym zatrzymał się gwałtownie przy jednych.

– Są tutaj – oznajmił. Chwycił klamkę, lecz odkrył jedynie, że są zamknięte.

– Klucz? – zażądał Wulfgar, potrząsając strażnikiem. Mężczyzna chwycił żelazną rękę barbarzyńcy.

– Nie ma klucza – wydyszał bez tchu. Wulfgar wyglądał jakby chciał go udusić, lecz złodziej zainterweniował.

– Nie przejmuj się, otworzę zamek – powiedział, sięgając szybko do sakiewki przy pasku.

– Nie przejmuj się, mam klucz! – krzyknął Wulfgar. Morik podniósł wzrok i ujrzał barbarzyńcę kierującego się na niego, ze strażnikiem wciąż dyndającym na końcu jednej z rąk. Dostrzegając jego zamiary, Morik umknął z drogi, gdy Wulfgar cisnął bezradnym mężczyzną w drewniane drzwi. – Klucz – wyjaśnił barbarzyńca.

– Dobry rzut – skomentował Morik.

– Mam praktykę – wytłumaczył Wulfgar, przedzierając się obok oszołomionego strażnika, by wpaść do pokoju.

Meralda siedziała na łóżku, łkając, podczas gdy lord Feringal i jego siostra stali przy otwartym oknie, z dzieckiem w ramionach Feringala. Nachylał się w stronę otworu, jakby zamierzał wyrzucić niemowlę. Lord Auckney, Priscilla i Meralda skierowali oszołomione spojrzenia w stronę Wulfgara, a ich oczy rozszerzyły się jeszcze bardziej, gdy za barbarzyńcą wpadł Morik.

– Lord Brandeburg! – krzyknął Feringal. Lady Priscilla wrzasnęła na swego brata.

– Zrób to teraz, zanim wszystko zepsują...!

– Dziecko jest moje! – oznajmił Wulfgar. Priscilla ugryzła się z zaskoczenia w język przy końcu

swej wypowiedzi. Feringal zamarł jakby obrócił się w kamień.

– Co? – zachłysnął się młody lord.

– Co? – zachłysnęła się lady Priscilla.

– Co? – w tym samym czasie zachłysnął się Morik.

– Co? – zachłysnęła się Meralda, cicho, i zakaszła szybko, by ukryć swe zaskoczenie.

– Dziecko jest moje – powtórzył stanowczo Wulfgar – i jeśli wyrzucisz je przez okno, podążysz za nim tak szybko, że prześcigniesz je i twoje połamane ciało złagodzi jego upadek.

– Jesteś taki elokwentny w sytuacjach kryzysowych – stwierdził Morik. Do lorda Feringala dodał zaś: – Owszem, to okno jest małe, ale założę się, że mój wielki przyjaciel zdoła cię przez nie precyzyjnie. I twoją pulchną siostrę także.

– Nie możesz być ojcem – obwieścił lord Feringal, trzęsąc się tak gwałtownie, że wydawało się, jakby jego nogi chciały się pod nim załamać. Popatrzył na Priscillę szukając odpowiedzi, na swą siostrę, która zawsze unosiła się nad nim pełna odpowiedzi na wszystko. – Co to za sztuczka?

– Oddaj mi je! – zażądała Priscilla. Wykorzystując zmieszanie paraliżujące jej brata, podeszła szybko i wyrwała dziecko z objęć Feringala. Meralda krzyknęła, dziecko krzyknęło, a Wulfgar rzucił się do przodu, wiedząc że nie zdąży, wiedząc że niewinne dziecko na pewno jest zgubione.

W chwili gdy Priscilla obracała się do okna, jej brat skoczył przed nią i uderzył ją w twarz. Oszołomiona, cofnęła się o krok. Feringal wyrwał dziecko z jej rąk i znów ją pchnął, przewracając na podłogę.

Wulfgar przyglądał mu się przez długą i wymowną chwilę, rozumiejąc ponad wszelką wątpliwość, że pomimo swej wyraźnej złości oraz odrazy Feringal nie skrzywdzi dziecka. Barbarzyńca przeszedł przez pokój, pewien swych obserwacji, pewien że młodzieniec nie zrobi nic przeciwko niemowlęciu.

– Dziecko jest moje – barbarzyńca powiedział z warkotem, wyciągając ręce, by delikatnie wyjąć krzyczące niemowlę ze słabnących objęć Feringala. – Zamierzałem poczekać jeszcze miesiąc przed powrotem – wyjaśnił, obracając się w stronę Meraldy. – Ale to dobrze, że urodziłaś wcześniej. Moje dziecko donoszone do końca ciąży zabiłoby cię pewnie przy porodzie.

– Wulfgar! – Morik krzyknął nagle.

Lord Feringal, najwyraźniej odzyskawszy część zmysłów i większość wściekłości, wyciągnął zza pasa sztylet i rzucił się gwałtownie na barbarzyńcę. Morik nie musiał się jednak martwić, bowiem barbarzyńca usłyszał jego ruchy. Podniósłszy dziecko wysoko jedną ręką, by uchronić je przed

krzywdą, obrócił się i odtrącił sztylet na bok wolną dłonią. Gdy Feringal zbliżył się, Wulfgar wbił mocno kolano w jego pachwinę. Lord Feringal przewrócił się, zamieniając się w jęczącą stertę na podłodze.

– Sądzę, że mój wielki przyjaciel może sprawić, byś nigdy nie miał własnych dzieci – stwierdził Morik, puszczając oko do Meraldy.

Meralda nawet nie usłyszała tych słów, wpatrując się ogłupiałym wzrokiem w Wulfgara, w dziecko, które uznał za własne.

– Naprawdę przepraszam cię za moje czyny na drodze, lady Meraldo – powiedział barbarzyńca, grając teraz przed pełną widownią, bowiem w drzwiach pojawili się Liam Woodgate, zarządca Temigast oraz pozostałe pół tuzina zamkowych strażników, spoglądając z niedowierzaniem szeroko otwartymi oczyma. Leżąca na podłodze przed Wulfgarem lady Priscilla podniosła wzrok, a w jej oczach zakotłowały się zmieszanie i nieokiełznana złość.

– Wszystko spowodowały butelka i twoje piękno – wyjaśnił Wulfgar. Skierował swą uwagę na dziecko, uśmiechając się szeroko, gdy podnosił małą w górę, by przyjrzeć się jej swymi błyszczącymi niebieskimi oczyma. – Jednak nie przeproszę za rezultat tej zbrodni – powiedział. – Nigdy.

– Zabiję cię – warknął lord Feringal, podnosząc się na kolana. Wulfgar sięgnął w dół jedną ręką i chwycił go za kołnierz.

Potężnym szarpnięciem pomógł mu wstać, obrócił lorda, by przydusić go zgiętą ręką.

– Zapomnij o mnie i o dziecku – Wulfgar wyszeptał mu do ucha. – Inaczej połączone plemiona z Doliny Lodowego Wichru złupią ciebie oraz twoją nędzną małą wioseczkę.

Wulfgar odepchnął młodego lorda, posyłając go w oczekujące objęcia Morika. Spoglądając na Liama oraz innych niebezpiecznych strażników, łotrzyk nie tracił czasu przykładając mu do gardła ostry sztylet.

– Dajcie nam zapasy na drogę – polecił Wulfgar. – Potrzebujemy pieluch i żywności dla dziecka. – Każdy w pokoju, poza Wulfgarem i dzieckiem, przybrał minę pełną niedowierzania.

– Zróbcie to! – ryknął barbarzyńca. Marszcząc brwi, Morik ruszył w kierunku drzwi z lordem Feringalem, gestem nakazując podnoszącej się Priscilli iść przed nimi.

– Przynieście! – łotrzyk polecił Liamowi i Priscilli. Zerknął za siebie i ujrzał Wulfgara podchodzącego do Meraldy, przeszedł więc jeszcze dalej, zmuszając wszystkich do wycofania się.

– Co cię skłoniło do zrobienia czegoś takiego? – spytała Meralda, gdy została sama z Wulfgarem i dzieckiem.

– Nietrudno było rozwikłać twój problem – wyjaśnił Wulfgar.

– Fałszywie cię oskarżyłam.

– Ale zrozumiale – odparł Wulfgar. – Byłaś w potrzasku i bałaś się, ale ostatecznie zaryzykowałam wszystkim, by uwolnić mnie z więzienia. Nie mogłem pozwolić, by taki czyn pozostał bez zapłaty.

Meralda potrząsnęła głową, zbyt przytłoczona, by choć zacząć to rozumieć. Tak wiele myśli i emocji wirowało w jej umyśle. Widziała desperację w twarzy Feringala, sądziła że rzeczywiście upuści dziecko na skały. A jednak ostatecznie nie był w stanie tego zrobić, nie pozwolił tego zrobić swej siostrze. Kochała tego człowieka – jakże mogła by go nie kochać? A jednak nie mogła zaprzeczyć nieoczekiwanym uczuciom do tego niemowlęcia, choć wiedziała, że nigdy, przenigdy nie będzie mogła jej zatrzymać.

– Zabieram dziecko daleko stąd – Wulfgar powiedział z determinacją, jakby czytał jej w myślach. – Jeśli chcesz możesz pójść z nami.

Meralda zaśmiała się cicho, bez humoru, ponieważ wiedziała, że zaraz się rozpłacze.

– Nie mogę – wyjaśniła szeptem. – Mam obowiązek wobec mego męża, jeśli wciąż mnie będzie chciał, i wobec mojej rodziny. Moi bliscy byliby napiętnowani, gdybym z wami poszła.

– Obowiązek? Czy to jedyny powód, dla którego zostajesz? – spytał ją Wulfgar, najwyraźniej wyczuwając coś więcej.

– Kocham go, wiesz o tym – odparła Meralda, a po jej pięknej twarzy popłynęły łzy. – Wiem, co musisz o mnie myśleć, lecz to dziecko naprawdę zostało spłodzone, zanim kiedykolwiek...

Wulfgar uniósł dłoń.

– Nie jesteś mi winna żadnych wyjaśnień – rzekł – bo zdecydowanie nie jestem w pozycji, by oceniać ciebie bądź kogokolwiek innego. Zrozumiałem twój... problem, wróciłem więc, by odpłacić ci za twą szczodrość, to wszystko. – Popatrzył na drzwi, za którymi Morik trzymał lorda Feringala. – On cię kocha – powiedział. – Wyraźnie to było widać w jego oczach i w głębi jego bólu.

– Sądzisz, że dobrze robię zostając?

Wulfgar wzruszył ramionami, znów odmawiając osądu.

– Nie mogę go zostawić – rzekła Meralda, wyciągając rękę i czule gładząc dziewczynkę po twarzy – lecz nie mogę też jej zatrzymać. Feringal nigdy by jej nie zaakceptował – przyznała pustym i głuchym głosem, zdała sobie bowiem sprawę, że czas spędzony z córką zbliżał się do końca. – Ale być może oddałby ją innej rodzinie w Auckney, teraz gdy myśli, że go nie zdradziłam –

zasugerowała słabo.

– Przypominałaby mu o jego bólu, a tobie o twoim kłamstwie – Wulfgar powiedział cicho, nie oskarżając kobiety, lecz z pewnością uświadamiając jej prawdę. – I byłaby w zasięgu jego jędzowatej siostry.

Meralda opuściła wzrok i przyjęła gorzką prawdę. Dziecko nie byłoby bezpieczne w Auckney.

– Kto ją lepiej wychowa niż ja? – Wulfgar spytał nagle, z determinacją w głosie. Popatrzył na malutką dziewczynkę i jego usta wygięły się w ciepłym uśmiechu.

– Zrobisz to? Wulfgar przytaknął.

– Z radością.

– Będziesz ją chronił? – naciskała Meralda. – Opowiesz małej o jej mamie?

Wulfgar przytaknął.

– Nie wiem, dokąd prowadzi teraz moja droga – wyjaśnił – podejrzewam jednak, że nie zawędruję bardzo daleko stąd. Być może pewnego dnia powrócę, a przynajmniej ona to zrobi, by spojrzeć na swoją mamę.

Meralda trzęsa się od spazmów, a jej twarz lśniła od łez. Wulfgar zerknął na drzwi, by upewnić się, że nie jest obserwowany, po czym pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Tak będzie najlepiej – powiedział cicho. – Zgadzasz się?

Po tym, jak przyjrzała się lepiej mężczyźnie, temu mężczyźnie, który zaryzykował wszystkim, by uratować ją oraz jej córkę, choć nie zrobiły nic, by zasłużyć na jego bohaterstwo, Meralda przytaknęła.

Łzy dalej płynęły wartko. Wulfgar potrafił docenić ból jaki odczuwała, głębię jej poświęcenia. Nachylił się, pozwalając Meraldzie ostatni raz pogłaskać i pocałować swą córeczkę, lecz gdy chciała ją zabrać, cofnął się. Pełen zrozumienia uśmiech Meraldy był zarazem słodki i gorzki.

– Żegnaj, malutka – powiedziała przez łzy i odwróciła wzrok. Wulfgar po raz ostatni uklonił się Meraldzie, a następnie, z dzieckiem ułożonym w ramionach, odwrócił się i opuścił pokój.

Znalazł Morika w korytarzu, wyszczekującego komendy o mnóstwo jedzenia oraz ubrań – i złota, ponieważ będą potrzebowali złota, by umieszczać dziecko w ciepłych i wygodnych gospodach. Barbarzyńca, niemowlę i złodziej szli przez zamek i nikt nie wykonywał żadnego ruchu, by ich powstrzymać. Wyglądało to tak, jakby lord Feringal oczyścił im drogę, chcąc pozbyć się dwóch złodziei i bękarta ze swego zamku i życia tak szybko, jak to możliwe.

Priscilla była jednak odrębną kwestią. Wpadli na nią na pierwszym piętrze, gdzie rzuciła się na Wulfgara próbując zabrać mu dziecko i przez cały czas mierząc go butnym wzrokiem. Barbarzyńca utrzymał ją w bezpiecznej odległości, miną pokazując wyraźnie, że przełamie ją na pół, jeśli będzie próbowała skrzywdzić dziecko. Priscilla prychnęła z niesmakiem, narzuciła na niego gruby wełniany pled i warknąwszy po raz ostatni w proteście odwróciła się na pięcie.

– Głupia krowa – Morik mruknął pod nosem. Chichocząc, Wulfgar czule owinał dziecko ciepłym kocem, uciszając w końcu jej płacz. Na zewnątrz światło słoneczne zanikało, lecz burza osłabła, ostatnie chmury rozstępowały się i pędziły po niebie niesione szybkim wiatrem. Brama była opuszczona. Po drugiej stronie mostu ujrzeli zarządcę Temigasta czekającego na nich z parą koni i lordem Feringalem u boku.

Feringal stał wpatrując się przez długą chwilę w Wulfgara i dziecko.

– Jeśli kiedykolwiek wrócisz... – zaczął mówić.

– Dlaczego miałbym? – przerwał mu barbarzyńca. – Mam teraz swoje dziecko, które dorośnie, by zostać królową w Dolinie Lodowego Wichru. Nie myśl nawet, by pójść za mną, lordzie Feringalu, bo zniszczysz cały swój świat.

– Dlaczego miałbym? – Feringal zripostował tym samym ponurym tonem, spoglądając śmiało na Wulfgara. – Mam swoją żonę, swoją piękną żonę. Moją niewinną żonę, która oddaje mi się dobrowolnie. Nie muszę jej się narzucać.

To ostatnie stwierdzenie, odzyskanie pewnej dozy męskiej dumy, powiedziało Wulfgarowi, iż Feringal wybaczył Meraldzie, albo wkrótce wybaczy. Desperacki, nieprzemyślany i całkowicie improwizowany plan w jakiś dziwny, cudowny sposób zadziałał. Powstrzymał chichot, pozwalając Feringalowi cieszyć się potrzebną mu chwilą. Nie mrugnął nawet, gdy lord Feringal wyprostował się, podniósł ramiona i przeszedł przez most oraz opuszczoną bramę do swego domu oraz żony.

Zarządca Temigast podał im wodze.

– Ona nie jest twoja – powiedział nieoczekiwanie. Zaczynając podciągać siebie oraz dziecko na konia, Wulfgar udał, że go nie słyszy.

– Nie obawiaj się, bowiem nie powiem o tym, ani nie powie Meralda, której naprawdę uratowałeś dzisiaj życie – ciągnął zarządca. – Jesteś dobrym człowiekiem, Wulfgarze, synu Beornegara, z Plemienia Łosia z Doliny Lodowego Wichru. – Wulfgar zamrugął z zaskoczenia, zarówno z powodu komplementu, jak i prostego faktu, że ten mężczyzna tak wiele o nim wie.

– Powiedział mu czarodziej, który cię schwytał – stwierdził Morik. – Nienawidzę czarodziejów.

– Nie będzie pościgu – powiedział Temigast. – Moje słowo.

I owo słowo okazało się prawdziwe, bowiem Morik i Wulfgar dojechali bez przeszkód z powrotem pod nawis, gdzie odzyskali własne konie i ruszyli dalej drogą na wschód, wyjeżdżając na dobre z Auckney.

– Co jest? – Wulfgar spytał Morika później tego wieczoru, widząc rozbawioną minę łotrzyka. Ścieśnili się wokół płonącego ogniska, aby dziecko miało ciepło. Morik uśmiechnął się i podniósł dwie butelki, jedną z ciepłym kozłim mlekiem dla dziecka, a drugą z ich ulubionym mocnym trunkiem. Wulfgar wziął tę z mlekiem.

– Nigdy cię nie zrozumiem, mój przyjacielu – stwierdził Morik.

Wulfgar uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział. Morik nigdy nie mógł tak naprawdę poznać przeszłości Wulfgara, dobrych czasów z Drizztem oraz pozostałymi oraz dalece gorszych czasów z Errtu oraz potomstwem z jego skradzionego nasienia.

– Są łatwiejsze sposoby, by zarobić – rzekł Morik, przyciągając tym stanowcze spojrzenie Wulfgara. – Zamierzasz oczywiście sprzedać dziecko – stwierdził.

Wulfgar uśmiechnął się szyderczo.

– Dobra cena – spierał się Morik, pociągając zdrowy łyk z butelki.

– Nie dość dobra – powiedział Wulfgar, obracając się z powrotem do dziecka. Dziewczynka wiła się i gruchała.

– Nie możesz planować, że ją zatrzymasz! – spierał się Morik. – Co będzie robić z nami? Z tobą, dokądkolwiek planujesz się udać? Straciłeś zmysły?

Krzywiąc się, Wulfgar obrócił się do niego, wytrącił mu butelkę z dłoni, po czym pchnął na ziemię. Tak zdeterminowanej odpowiedzi Morik Łotr jeszcze nigdy nie otrzymał.

– Ona nawet nie jest twoja – Morik przypomniał mu. Łotrzyk nie mógłby się bardziej mylić.

EPILOG

Morik popatrzył raz jeszcze na przebranie Wulfgara i westchnął bezradnie. Tylko tyle mógł zrobić, by zmienić wygląd ponad dwumetrowego, ważącego sto pięćdziesiąt kilogramów blondwłosego barbarzyńcy.

Wulfgar był znów gładko ogolony po raz pierwszy od swego powrotu z Otchłani. Morik nauczył go chodzić w sposób, który mógł trochę zmniejszyć jego wzrost, z opadniętymi barkami, lecz zakrzywionymi rękoma, tak by nie opadały mu do kolan. Morik zdobył także dużą brązową szatę, podobną do kapłańskiej, z kryzowanym kołnierzem, który pozwolił Wulfgarowi na skrócenie szyi nie robiąc tego w oczywisty sposób.

Mimo to łotrzyk nie był całkowicie zadowolony z przebrania, nie gdy tak wiele od niego zależało.

– Powinieneś tu zaczekać – zaproponował, chyba po raz dziesiąty odkąd Wulfgar powiedział mu, czego sobie życzy.

– Nie – Wulfgar powiedział pewnie. – Nie przyjdą na samo twoje słowo. To coś, co sam muszę, zrobić.

– Doprowadzić nas do śmierci? – łotrzyk spytał sceptycznie.

– Prowadź – powiedział Wulfgar, ignorując go. Gdy Morik próbował się sprzeciwić, barbarzyńca zakrył mniejszemu mężczyźnie usta dłonią i obrócił go w stronę odległej miejskiej bramy.

Westchnąwszy po raz ostatni i potrząsnąwszy głową, Morik poprowadził ich do Luskan. Ku wielkiej uldze ich obu, bowiem Wulfgar zdecydowanie nie chciał być rozpoznany niosąc dziecko, nie zostali odkryci, nie zostali w ogóle zatrzymani, lecz po prostu weszli do miasta, w którym w najlepsze trwał wiosenny karnawał.

Zgodnie z planem przybyli pod koniec dnia. Wulfgar udał się prosto na Ulicę Półksiężycy, wchodząc do Cutlassa jako jeden z pierwszych klientów. Podszedł do baru, tuż obok Josiego Puddlesa.

– Czego się napijesz? – spytał Arumn Gardpeck, lecz pytanie to utkwilo mu w gardle, a oczy powiększyły się, gdy przyjrzał się baczniej wielkiemu mężczyźnie. – Wulfgar – wydyszał.

Za barbarzyńcą upadła taca i Wulfgar obrócił się, by ujrzeć stojącą tam Delly Curtie,

oszołomioną. Josi Puddles pisnął i odsunął się.

– Miło cię spotkać, Arumnie – Wulfgar powiedział do oberżysty. – Piję tylko wodę.

– Co tu robisz? – wysapał oberżysta, podejrzliwie i z pewnym strachem.

Josi zeskoczył ze swojego stołka i ruszył do drzwi, lecz Wulfgar chwycił go za rękę i zatrzymał w miejscu.

– Przyszedłem przeprosić – odezwał się barbarzyńca. – Was obydwu – dodał, obracając się do Josiego.

– Próbowałeś mnie zabić – wyjąkał Josi.

– Byłem zaślepiony gniewem i pewnie pijany – odparł Wulfgar.

– On zabrał twój młot – przypomniał Arumn.

– Ze słusznego strachu, że mogłem go użyć przeciwko tobie – odpowiedział barbarzyńca. – Zachował się jak przyjaciel, a to o wiele więcej niż mógłbym powiedzieć o Wulfgarze.

Arumn potrząsnął głową, ledwo wierząc w to wszystko. Wulfgar puścił Josiego, lecz mężczyzna nie wykonał żadnego dalszego ruchu w kierunku drzwi, stał tylko, oszołomiony.

– Przyjąłeś mnie, dałeś jedzenie, płatną pracę oraz przyjaźń, gdy najbardziej jej potrzebowałem – Wulfgar kontynuował do samego Arumna. – Skrzywdziłem cię, i to straszliwie, a teraz mogę tylko mieć nadzieję, że znajdziesz w swym sercu chęć, by mi wybaczyć.

– Zamierzasz znów tu zamieszkać? – spytał Arumn. Wulfgar uśmiechnął się smutno i potrząsnął głową.

– Ryzykuję życiem chociażby tym, że wszedłem do miasta – odparł. – Odejdę w przeciągu godziny, lecz musiałem tu przyjść, musiałem przeprosić was dwóch, oraz, głównie – obrócił się w stronę Delly – ciebie.

Delly Curtie zbladła, gdy Wulfgar zbliżył się do niej, jakby nie wiedziała, jak zareagować na jego słowa, na sam jego ponowny widok.

– Pokornie przepraszam za wszelki ból, jaki ci kiedykolwiek wyrządziłem, Delly – powiedział. – Byłaś najlepszą przyjaciółką, jakiej mężczyzna mógłby kiedykolwiek pragnąć. Więcej niż przyjaciółką – dodał szybko, widząc jej zmarszczone brwi.

Delly przyjrzała się zawiniątku w jego ramionach.

– Masz maleństwo – rzekła, głosem pełnym emocji.

– Jest moje przez przypadek, a nie pochodzenie – odparł Wulfgar. Podał jej małą dziewczynkę. Delly wzięła ją, uśmiechając się czule, bawiąc się z palcami dziecka i wywołując uśmiech na jej niewinnej małej twarzyczce.

– Chciałbym, żebyś znów mógł zostać – zaproponował Alumn i brzmiał szczerze, choć oczy Josiego powiększyły się powątpiewaniem na samą tę myśl.

– Nie mogę – odrzekł Wulfgar. Uśmiechając się do Delly, nachylił się i wzięła dziecko z powrotem, po czym pocałował Delly w czoło. – Modlę się, abyś znalazła całe szczęście, na które zasługujesz, Delly Curtie – powiedział, po czym, spojrzawszy na Arumna oraz Josiego i skinąwszy im, skierował się do drzwi.

Delly również popatrzyła stanowczo na Arumna, będącego jej niemal ojcem. Mężczyzna zrozumiał i znów przytaknął. Dogoniła Wulfgara, zanim dotarł do wyjścia.

– Zabierz mnie ze sobą – powiedziała, z oczyma błyszczącymi nadzieją, czymś co niewiele w niej widziało od długiego, długiego czasu.

Wulfgar wyglądał na zakłopotanego.

– Nie wróciłem, by cię uratować – wyjaśnił.

– Uratować? – Delly powtórzyła niedowierzająco. – Nie potrzebuję twojego ratunku, dziękuję ci bardzo, ale widzę, że to ty potrzebujesz pomocy z tą małą. Dobrze sobie radzę z brzdącami – większość młodego życia spędziłam wychowując moich braci oraz siostry – i dość mocno znudziło mnie życie tutaj.

– Nie wiem, dokąd zaprowadzi mnie droga – spierał się Wulfgar.

– Będzie dość bezpieczna, wydaje mi się – odrzekła Delly. – Bo musisz się troszczyć o małą.

– Być może Waterdeep – powiedział Wulfgar.

– Miejsce, które zawsze chciałam zobaczyć – rzekła, a jej uśmiech poszerzał się z każdym słowem, wydawało się bowiem oczywiste, że Wulfgar stał się dość zaintrygowany jej propozycją.

Barbarzyńca popatrzył z zaciekawieniem na Arumna, a oberżysta raz jeszcze pokiwał głową. Nawet z tej odległości Wulfgar widział ślad wilgoci otaczający oczy mężczyzny.

Oddał dziecko z powrotem Delly, poprosił ją, by tam zaczekała i wrócił do baru, do Arumna oraz Josiego.

– Nigdy już jej nie skrzywdzę – obiecał Arumnowi.

– Jeśli to zrobisz, odnajdę cię i zabiję – warknął Josi. Wulfgar oraz Arumn popatrzyli na niego, Arumn z powątpiewaniem, lecz Wulfgar starał się bardzo zachować po ważną minę.

– Wiem o tym, Josi Puddlesie – odparł bez sarkazmu – a twój gniew jest czymś, czego naprawdę się obawiam.

Gdy Josi poradził sobie z własnym zaskoczeniem, wypiął z dumą mizerną pierś. Wulfgar i Arumn wymienili spojrzenia.

– Nie pijesz? – spytał Arumn. Wulfgar potrząsnął głową.

– Potrzebowałem butelki, by się w niej ukryć – odpowiedział szczerze – ale nauczyłem się, że jest gorsza niż to, co mnie prześladowuje.

– A jeśli znudzisz się dziewczyną?

– Nie przyszedłem tu po Delly Curtie – odrzekł Wulfgar. – Tylko po to, aby przeprosić. Nie sądziłem, że tak całkowicie przyjmie moje przeprosiny, lecz cieszę się, że to zrobiła. Znajdziemy dobrą drogę do podróży i będę ją chronić najlepiej jak potrafię, głównie przed sobą samym.

– Widzę, że tak będzie – odparł Arumn. – Spodziewam się waszego powrotu.

Wulfgar uścisnął dłoń Arumna, poklepał Josiego po ramieniu i podszedł, by wziąć Delly pod rękę, wyprowadzając ją z Cutlassa. Razem odeszli od znaczącej części swego życia.

* * *

Lord Feringal i Meralda przechadzali się po ogrodzie, ręka w rękę, ciesząc się wiosennymi zapachami oraz pięknem. Sztuczka Wulfgara zadziałała. Feringal oraz całe lenno uwierzyli znów, że Meralda była stroną skrzywdzoną, uwalniając ją od hańby, a młodego lorda od śmieszności.

Kobieta naprawdę odczuwała ból po stracie dziecka, lecz to, podobnie jak jej małżeństwo, zaczynało się poprawiać. Powtarzała sobie raz za razem, że jej dziecku jest lepiej z dobrym i silnym mężczyzną, lepszym ojcem niż kiedykolwiek mógłby być Jaka. Wielokrotnie Meralda płakała za straconym dzieckiem, lecz zawsze powtarzała sobie swą logiczną litanię i przypominała, że jej życie, zważywszy na jej pomyłki oraz status przy urodzeniu, było zdecydowanie lepsze niż mogłaby sobie kiedyś wyobrazić. Jej matka oraz ojciec byli zdrowi, a Tori odwiedzała ją codziennie, brykając radośnie wśród kwiatów i okazując się większym cierniem dla Priscilli niż była

kiedykolwiek Meralda.

Teraz para cieszyła się po prostu wspaniałością wiosny, kobieta przystosowywała się do nowego życia. Feringal strzelił nagle palcami i odsunął się. Meralda popatrzyła na niego z zaciekawieniem.

– Zapomniałem o czymś – odparł jej mąż. Feringal pokazał jej gestem, by zaczekała, po czym wbiegł z powrotem do zamku, niemal tratując wychodzącą przez ogrodowe drzwi Priscillę.

Oczywiście Priscilla wciąż nawet trochę nie wierzyła w opowieść Wulfgara. Skrzywiła się widząc Meraldę, lecz młodsza kobieta jedynie odwróciła się i podeszła do muru, spoglądając na fale.

– Czekasz na przyjście następnego kochanka? – Priscilla mruknęła pod nosem przechodząc. Często rzucała w stronę Meraldy werbalne ciosy, a Meralda często pozwalała, aby po niej spłynęły.

Jednak nie tym razem. Meralda stanęła przed swą szwagierką, z rękoma na biodrach.

– Nigdy nie odczuwałaś szczerego uczucia w swym nędznym życiu, Priscillo Auck, dlatego jesteś taka zgorzkniała – powiedziała. – Nie osądzaj mnie.

Oczy Priscilli powiększyły się z szoku i zadrżała, nieprzyzwyczajona, by zwracać się do niej w tak bezpośredni sposób.

– Prosisz...

– Ja cię nie proszę, ja ci mówię – Meralda rzekła szorstko. Priscilla wyprostowała się i skrzywiła, po czym uderzyła Meraldę w twarz.

Czując pieczenie, Meralda oddała jej jeszcze mocniej.

– Nie oceniaj mnie, bo inaczej szepnę słówko o twojej niegodziwości do ucha twojego brata – Meralda ostrzegła tak chłodnym i wyrachowanym głosem, że same jej słowa sprawiły, iż twarz Priscilli poczerwieniała. – Nie wątpisz chyba, że jego ucho należy do mnie – dokończyła Meralda. – Pomyślałaś, jakie mogłoby być życie w wiosce pośród chłopów dla kogoś takiego jak ty?

W chwili gdy skończyła, jej mąż wypadł z powrotem, z bukietem kwiatów w dłoni, kwiatów dla swej drogiej Meraldy. Priscilla rzuciła jedno spojrzenie na swego nadskakującego brata, zapłakała głośno i pobiegła do zamku.

Feringal obserwował ją jak znika, zakłopotany, lecz aktualnie tak niewiele go obchodziło, co Priscilla myśli lub czuje, że nie kłopotał się nawet zapytaniem o to Meraldy.

Meralda również obserwowała odejście niegodziwej kobiety. Jej śmiech wynikał z czegoś więcej niż tylko radości z prezentu od męża. Z czegoś o wiele więcej.

* * *

Morik pożegnał się z Wulfgarem oraz Delly, po czym od razu zaczął ustanawiać na nowo swą pozycję na ulicach Luskan. Wziął pokój w gospodzie na Ulicy Półksiężycy, lecz spędzał tam niewiele czasu, bowiem ciężko pracował, mówiąc o swej nowej tożsamości tym, którzy mieli wiedzieć, ustalając swą reputację jako zupełnie inny człowiek, Włamywacz Brandenburg, dla tych, którzy nie wiedzieli.

Pod koniec tygodnia wielu kiwało z szacunkiem głowami, gdy mijał ich na ulicy. Pod koniec miesiąca łotrzyk nie obawiał się już odwetu ze strony władz. Był z powrotem w domu i wkrótce wszystko będzie takie jak było, zanim Wulfgar w ogóle przybył do Luskan.

Pewnej nocy, myśląc właśnie o tym, opuszczał swój pokój, przechodził przez drzwi swej sypialni do górnego korytarza gospody. Zamiast tego wpadł w oślepiający tunel, wylatując z niego w kryształowej komnacie, której okrągłe ściany nadawały jej wygląd kondygnacji w wieży.

Oszołomiony Morik zaczął sięgać po sztylet, lecz ujrzał sylwetki o mahoniowej skórze i zmienił zdanie, będąc wystarczająco roztropnym, by nie opierać się mrocznym elfom.

– Znasz mnie, Moriku – powiedział Kimmuriel Oblodra, podchodząc blisko niego.

Morik istotnie rozpoznał drowa jako posłańca, który przyszedł do niego przed rokiem, prosząc go, by obserwował bacznie Wulfgara.

– Przedstawiam ci mojego przyjaciela, Raigy'ego – Kimmuriel powiedział uprzejmie, wskazując drugiego mrocznego elfa w komnacie, mającego złowieszczą minę.

– Czy nie poprosiliśmy cię, abyś obserwował człowieka o imieniu Wulfgar? – spytał Kimmuriel.

Morik zająknął się, nie wiedząc, co powiedzieć. – I czyż nas nie zawiodłeś? – ciągnął Kimmuriel.

– Ale... ale to było rok temu – zaprotestował Morik. – Od tego czasu nie daliście żadnego znaku.

– A teraz ukrywasz się, w przebraniu, wiedząc o swej zbrodni przeciwko nam – powiedział Kimmuriel.

– Moje domniemane zbrodnie są innej natury – wyjąkał Morik, czując się tak jakby ściany zaciskały się wokół niego. – Ukrywam się przed władzami Luskan, nie przed wami.

– Przed nimi ukrywasz się? – rzekł drugi drow. – Pomóc ci mogę! – Podszedł do Morika i uniósł dłonie. Z koniuszków jego palców wystrzeliły ogniki, parząc mu twarz i paląc włosy. Łotrzyk zawył i upadł na podłogę, klepiąc się po przypalonej skórze.

– Teraz wyglądasz inaczej – stwierdził Kimmuriel i obydwie mroczne elfy zachichotały paskudnie. Wciągnęły go po schodach wieży do innej komnaty, w której drow o łysej głowie siedział wygodnie na fotelu, trzymając purpurowy kapelusz z wielkim piórem.

– Wybacz, Moriku – powiedział. – Moi porucznicy są nadpobudliwi.

– Byłem z Wulfgarem przez wiele miesięcy – twierdził Morik, znajdując się wyraźnie na skraju hysterii. – Okoliczności rozdzieliły nas, zmusiły go do opuszczenia Luskan. Mogę go odnaleźć, jeśli...

– Nie ma potrzeby – rzekł drow w fotelu, podnosząc dłoń, by uspokoić płaszcącego się mężczyznę. – Jestem Jarlaxle, z Menzoberranzan, i całkowicie ci wybaczam.

Morik potarł dłonią to, co zostało z jego włosów, jakby chciał powiedzieć, że żałuje, iż Jarlaxle nie był wcześniej taki łaskawy.

– Planowałem, że Wulfgar będzie moim głównym partnerem handlowym w Luskan, moim tutejszym reprezentantem – wyjaśnił Jarlaxle. – Teraz, gdy odszedł, proszę cię, abyś przyjął tę rolę.

Morik zamrugał, a jego serce przyspieszyło.

– Uczynimy cię bogatym i potężnym ponad twoje wyobrażenia – wytłumaczył przywódca najemników, a Morik mu uwierzył. – Nie będziesz musiał ukrywać się przed władzami. Wielu z nich będzie cię wręcz niemal codziennie zapraszać do swych domów, będą bowiem chcieli pozostawać z tobą w dobrych stosunkach. Jeśli jest ktoś, kogo chciałbyś... wyeliminować, to również można z łatwością zaaranżować.

Morik oblizwał to, co pozostało mu z warg.

– Czy to brzmi na pozycję, którą Morik Łotr chciałby objąć? – spytał Jarlaxle, a Morik po dziesięciokroć odwzajemnił przebiegłą minę mrocznego elfa.

– Ostrzegam cię – powiedział Jarlaxle, wychylając się w swym fotelu i błyskając ciemnymi oczyma. – Jeśli kiedykolwiek mnie zawiedziesz, mój przyjaciel Raigy chętnie ponownie zmieni twój wygląd.

– I znów – dodał radośnie czarodziej.

– Nienawidzę czarodziejów – Morik mruknął pod nosem.

* * *

Wulfgar i Delly spoglądali na Waterdeep, Miasto Wspaniałości. Najwspanialsze i najpotężniejsze miasto na Wybrzeżu Mieczy było miejscem wielkich marzeń i jeszcze większej potęgi.

– Myślisz, że gdzie się zatrzymamy? – spytała szczęśliwa kobieta, delikatnie kołysząc dziecko.

Wulfgar potrząsnął głową.

– Mam monety – odparł – ale nie wiem, jak długo pozostaniemy w Waterdeep.

– Nie chcesz, byśmy tu zamieszkali?

Barbarzyńca wzruszył ramionami, bo nie myślał o tym zbyt wiele. Przybył do Waterdeep w innym celu. Oczekiwał, że odnajdzie w porcie kapitana Deudermonta oraz Duszka Morskiego, bądź też że wkrótce przybędą, jak to często robili.

– Byłaś kiedyś nad morzem? – spytał kobietę, swą najlepszą przyjaciółkę, a teraz i partnerkę.

Nadszedł czas, by odzyskał Aegis-fanga.